



Wyciąg po miłość

Jane Costello

*Jeśli lubisz powieści **Sophie Kinselli**
i **Emily Giffin**, ta książka na pewno Ci się spodoba.*

Costello Jane

Wyścig po miłość

Z angielskiego przełożyła Dorota Stadnik

On byłby wspaniałą zdobyczą, gdyby tylko ona mogła go dogonić... Abby Rogers już się zdarzało dbać o linię – wtedy zamiast dwóch babeczek z jagodami zjadała na śniadanie jedną. Odkąd pochłania ją prowadzenie własnej firmy, Abby nie ma czasu ani na ćwiczenia, ani na miłość. Kiedy atrakcyjny trener zachęca ją, by dołączyła do Klubu Biegacza, Abby nagle odczuwa nieodpartą ochotę na aktywność fizyczną. Niestety, pierwszy trening to upokorzenie: nie dość, że musi ćwiczyć w różowych legginsach, to jeszcze o mało nie wypluwa płuc. Po takim upokorzeniu zarzeka się, że nigdy nie wróci do klubu. Wtedy jej pracownica Heidi zjawia się w firmie z bardzo złą wiadomością, która na zawsze odmieni ich życie



Rozdział 1

Żyję w strachu przed złowrogim słowem na „s”, które prześladowuje mnie od rana do wieczora. Dręczy mnie myśl, że prędzej czy później stanie się faktem dokonanym.

Co to za słowo? „Spóźnienie”. Jego groźba ciągle nade mną wisi. A skutki mogą być opłakane.

Może przesadzam z tym czarnowidztwem, wiem jednak, że stoję w obliczu nieuniknionego, ponieważ zbyt często balansuję na krawędzi.

Zziajana wpadam w ostatniej chwili na prezentację, uśmiecham się przepraszająco z płonącymi policzkami, po czym uświadamiam sobie, że czegoś zapomniałam: a to karteczek samoprzylepnych, a to materiałów dla uczestników, a to... majtek.

O Boże, majtki! Na szczęście dziś rano odkryłam ich brak zaraz po wyjściu z domu, więc wystarczyło pędem zawrócić spod furtki.

Gdy napięty plan każe mi łamać wszystkie przepisy drogowe, pozostaje jedynie desperacja.

Szaleńcza, trwająca dwadzieścia minut jazda odzwierciedla cały mój dzień. To piekło wielozadaniowości, w którym prócz panowania nad kierownicą dokonuję innych wyczynów: rozładowuję baterię telefonu w trakcie siedmiu rozmów, nakładam korektor na sińce pod oczami i jem lunch. Słowa „lunch” używam tu w znaczeniu umownym. Trudno przecież nazwać lunchem nędzną porcyjkę frytek i ledwo zjadliwego cienkiego burgera.

Gryzę ostatni kęs i odkładam resztki burgera na siedzenie obok, jednocześnie zerkając na zegarek. Jest za piętnaście czwarta. Serce wali mi

jak oszalała. Starając się je uspokoić, skupiam się na swojej prezentacji. Zapamiętałam trzy pierwsze zdania, tak jak uczono mnie na kursie wystąpień publicznych w zeszłym roku.

- Panie i PANOWIE. - Zaciskam ręce na kierownicy i demonicznie szczerzę zęby (prowadzący przekonywał, że każdy mniej entuzjastyczny uśmiech jest źródłem złych wibracji) - witam bardzo, BARDZO serdecznie. Mam nadzieję, że wszyscy są wypoczęci.

Co ja gadam, przecież jest popołudnie. Nie mogą być wypoczęci. Wspaniały początek, Abby. Szalenie przekonujący z ciebie przedsiębiorca.

To słowo nadal budzi moje zażenowanie. Zupełnie jakbym zaliczała siebie - dwudziestoosmiolatkę, która od półtora roku z trudem porusza się w świecie biznesu - do tej samej kategorii co Richard Branson.

Mam firmę, mam wizytówki z napisem „dyrektor naczelny”, wątpię jednak, bym kogokolwiek zwiodła. Równie wiarygodna jako rekin biznesu byłaby Miss Piggy.

- Nazywam się Abigail Rogers. Opowiem wam DZISIAJ, co River Web Design MOŻE dla was ZROBIĆ.

Przesadna modulacja. Trener kazał podkreślać trzy słowa w każdym akapicie, ale stosując się do jego wskazówek, mówię jak sir William „Waleczne Serce” Wallace.

Często się zastanawiam, czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do bycia szefową. Gdy od razu po studiach wylądowałam w dużej firmie, nie miałam aż takich ambicji. Lubiłam swoją pracę, dlatego nie mogę powiedzieć, że odeszłam z powodu wrednego przełożonego czy paskudnych klientów, którzy mnie nie doceniali.

Wręcz przeciwnie, to za sprawą pochwał - i jednego odcinka *The Apprentice* za dużo - zakiełkowała mi w głowie myśl o własnym biznesie. Tyle że najwcześniej za rok będę mogła powiedzieć, czy podjęłam słuszną decyzję. A może dopiero za dziesięć lat.

*** Program telewizyjny prowadzony przez amerykańskiego miliardera Donalda Trumpa, w którym kilkanaścioro uczestników rywalizuje o pozycje menedżera w jednej z jego firm.**

- River Web Design to czteroosobowy zespół o WYSOKICH KWALIFIKACJACH. Szczycimy się POMYSŁOWOŚCIĄ (tu stosowna pauza), PRACOWITOŚCIĄ (kolejna pauza) oraz umiejętnością rozpoznania RZECZYWISTYCH POTRZEB klientów i konsumentów.

W tym miejscu znów posyłam w przestrzeń obłąkańczy uśmiech.

Ostatnio spędzam w aucie większość dnia, co wcale nie usprawiedliwia towarzystwa ubezpieczeniowego, które wczoraj zażądało ode mnie nieprzyzwoicie wysokiej kwoty za przedłużenie polisy.

Przyznaję, w zeszłym roku miałam wyjątkowego pecha. Rywalizując z bmw o miejsce na parkingu przed supermarketem, trochę je zarysowałam, za drugim razem na niewielkim rondzie otarłam się o ciężarówkę z naczepą. Z powodu tych drobnych zdarzeń komunikacyjnych firma tak podniosła mi stawkę ubezpieczenia, jakby chodziło o prywatny samolot.

Mam zielone światło. Zerkam na mapę i pluję sobie w brodę, że zostawiłam GPS w biurze. Zwalniam i wpatruję się w znak po lewej. Serce podchodzi mi do gardła na dźwięk klaksonu za plecami.

- Cholera! - Przejechałam właściwy skręt.

Dodaję gazu i szukam wzrokiem miejsca, w którym mogłabym zawrócić. Czując na karku oddech jadących za mną zirytowanych kierowców, skręcam w wąską uliczkę między dwoma budynkami i znajduję się na małym zatłoczonym parkingu. Kręcę kierownicą, by rozpocząć manewr zawracania na trzy.

Spoglądam na zegarek, zatrzymuję się na chwilę, sięgam po frytki i popijam je colą. Energicznym ruchem umieszczam butelkę w stojaku, wrzucam wsteczny bieg, przeląkam frytki i zaczynam od nowa:

- Panie i panowie, witam bardzo serdecz...

Przerywa mi głuchy odgłos. Auto zatrzymuje się gwałtownie, a ja siłą bezwładu lecę do przodu, czując, jak pasy wrzynają mi się w ciało. Cola wylewa się z niezakręconej butelki. Przerazona odwracam się, by spojrzeć przez tylną szybę.

Nie widzę nic prócz betonowej ściany budynku rady miejskiej grubo ponad dziesięć stóp od tyłu auta. Bogu dzięki! Musiałam uderzyć w jeden ze słupków.

Drżącą ręką otwieram drzwi. I wtedy to dostrzegam. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że patrzę na znieruchomiałą rękę tuż przy tylnym kole mojego auta. Wydaję zduszony okrzyk. Nie wierzę. Czyżbym kogoś zabiła? Naprawdę kogoś zabiłam?!

Rozdział 2

O. Mój. Boże!

Wyskakuję z auta. Serce wali mi jak młotem, żołądek podchodzi do gardła. Mężczyzna, którego właśnie przejechałam, leży na plecach z nogami przygniecionymi motocyklem. Granatowy lakier maszyny lśni w lipcowym słońcu. Zauważam kask, który potoczył się dalej.

Schylam się, by dotknąć ręki. Jest ciepła. To piękna, opalona męska dłoń, duża i silna, ze zdartą skórą na kostkach. Młoda dłoń, która przeze mnie nie zestarzeje się i nie doczeka deformacji wywołanych artretyzmem.

- Przepraszam! - zawodzę. - Tak mi przykro, tak mi przykro!

Oczy zachodzą mi łzami, lecz umysł pracuje na najwyższych obrotach. Podnoszę się i omiatam wzrokiem parking. Jestem sama. Tylko z sąsiedniej ulicy dobiega szum samochodów. Dopadam otwartych drzwi auta i łapię torebkę. Grzebię w niej wściekle i po chwili wydaję telefon. Wybieram 999, naciskam klawisz połączenia i wtedy... pada mi bateria.

- Niech to szlag! - Próbuję zmniejszyć napięcie szybkimi urywanymi oddechami, których moja przyjaciółka Jess uczyła się w szkole rodzenia. Na próżno. Działają tak samo jak zadziałałby defibrylator.

Biegnę na tył auta w nadziei, że mężczyzna, którego przygwoździłam do ziemi, usiadł o własnych siłach i ma się dobrze. Niestety, moje nadzieje okazują się płonne. Biorę go za przegub. Nie wyczuwam pulsu.

- NA POMOC! - wrzeszczę, a mój głos niesie się echem po parkingu. Po chwili dociera do mnie, że jestem zdana tylko na siebie.

Zakasuje spódnicę, padam na kolana i chwytam mężczyznę pod ramiona. Zapieram się z całej siły, walcząc z bezwładnym ciężarem atletycznego ciała. Krzywię się z bólu, szorując kolanami po szorstkim asfalcie.

Dalej, Abby. Masz tylko jedno wyjście. Sztuczne oddychanie. TAK! Jest tylko jedno „ale”: nie umiem robić sztucznego oddychania.

Mimo to postanawiam spróbować. Z zakamarków pamięci wydobywam strzępki informacji. Moja wiedza o pierwszej pomocy to wypadkowa wiadomości zdobytych w skautkach w 1989 roku i obrazków z odcinka serialu *Ostry dyżur* z ubiegłego tygodnia.

Myśl, Abby!

Czy najpierw robi się sztuczne oddychanie metodą usta-usta, a potem uciska klatkę piersiową, czy odwrotnie? Wydaje mi się, że najpierw to pierwsze. Ale i tak muszę przygotować ofiarę do tego drugiego. Drżącymi rękami rozpinam mężczyznę kurtkę i odsłaniam szeroką pierś. Dwa pierwsze guziki koszuli ma rozpięte.

Sprawdzam, czy w ustach są jakieś ciała obce. Jestem pewna, że gdzieś o tym czytałam, chociaż Bóg jeden wie, czego szukać. Drobnych, skarpetki nie do pary? A może jednej z tych broni masowej zagłady, których nigdy nie znaleziono...

Skąd mi to przyszło do głowy?!

Odchylam mu głowę i nabieram powietrza. Co ma być, to będzie. Pochylam się nad nim, serce wali mi jak szalone. Zamykam oczy

1 przywieram wargami do jego ust.

Kiedy orientuję się, że popełniłam błąd - powinnam zatkać mu nos - uświadamiam sobie coś jeszcze. Wargi reanimowanego mężczyzny wcale nie wydają się wargami nieprzytomnego człowieka. A już z całą pewnością nie martwego.

Po chwili już wiem, skąd to dziwne wrażenie. Jego usta się poruszają. Jego usta... Boże, my się całujemy!

Odsuwam się gwałtownie i patrzę na niego oniemiała.

Niedoszły trup ma niewiele ponad trzydzieści lat. Jest piekielnie przystojny, opalony, ma mocno zarysowaną szczękę, wydatne usta i ciemne, prawie czarne włosy obcięte krótko, by ujarzmić lekkie fale.

Powoli przygryza wargi, jakby chciał sprawdzić smak moich ust, i otwiera oczy. Są zielone. Albo brązowe. Nie. Są i zielone, i brązowe. Mają barwę lasu. Najważniejsze, że są oczami żywego człowieka.

Patrzę zdziwiona, jak mruga i porusza szczęką na boki, zupełnie jak wyrwany z głębokiego snu. Spogląda na mnie, a ja wybucham niekontrolowanym śmiechem. Nie umiem powstrzymać radości, że do listy swoich dzisiejszych wyczynów nie muszę dopisywać zabójstwa.

- Dzięki ci, Boże! Dzięki, dzięki! - powtarzam jak nakręcona. Wyraz twarzy nieznajomego mówi mi, że winna mu jestem wyjaśnienie.

- Czy pani zawsze cofa auto z prędkością czterdziestu mil na godzinę? Mężczyzna kuca i obrzuca uważnym spojrzeniem swój motocykl.

O motocyklach wiem tylko jedno: że ich nie znoszę. Ten wygląda, a raczej wyglądał, na bardzo drogie cacko. W tej chwili przypomina kupę złomu stratowanego przez stado nosorożców.

- Przepraszam, ale wcale nie jechałam czterdzieści na godzinę. - Staram się zachować spokój.

Rzuca mi gniewne spojrzenie. Jest wspaniale zbudowany. Mięśnie ramion drgają mu pod kurtką, gdy wyszarpuje spod koła kawałek karoserii.

- Jechała pani wystarczająco szybko, żeby mnie zabić - rzuca war-kliwie.

- Och, nie przesadzajmy. - Nerwowym uśmiechem próbuję rozładować nieco napięcie.

- Nie przesadzajmy? - powtarza ostro, z czego wnioskuję, że na próżno się wysilałam. - Nie muszę przesadzać. Pani zwała mnie z nóg.

Mimo okoliczności w jego głosie i sposobie mówienia jest coś magnetycznego. Na podstawie wyglądu i brzmienia głosu oceniam, że facet musi się uważać za ciacho.

- Naprawa będzie kosztować majątek - ciągnie. - Mam nadzieję, że jest pani ubezpieczona.

Serce mi zamiera na wzmiankę o ubezpieczeniu. Przypominam sobie nową niebotyczną składkę i brak zniżki za bezwypadkową jazdę.

- Oczywiście - odpowiadam wymijająco. W tym jestem świetna, trenuję wymijające odpowiedzi od lat. - A może... - Już mam zaproponować, że zapłacę za szkody bez pośrednictwa ubezpieczyciela, lecz w ostatniej chwili gryzę się w język i przeklinam w duchu za to, że tak łatwo dałam się podejść.

Czytałam ostatnio artykuł, w którym przypominano, by nigdy nie brać na siebie odpowiedzialności pod wpływem impulsu. Nieważne, jak bardzo ma się ochotę przeproszać. Dopiero teraz rozumiem, na czym polegał mój błąd - oczywiście prócz spowodowania tamtych dwóch kolizji, ale nie to jest teraz przedmiotem moich rozważań.

- Coś pani mówiła? - pyta nieznajomy, rzucając mi złowieszcze spojrzenie znad wraku motocykla.

- Nie. - Posyłam mu słodki uśmiech.

- I dobrze. - Wstaje i wyciera zakurzone ręce o spodnie na udach. -Pani mi poda swoje namiary, ja podam swoje, i najszybciej, jak to możliwe, zwrócę się do mojej firmy ubezpieczeniowej.

- Do brze - mówię z ociąganiem. - Pan najwyraźniej uważa, że wina leży po mojej stronie.

Jego oczy ciemnieją.

- To oczywiste.

- O tym zdecydują nasi ubezpieczyciele - cedzę przez zęby. Nieznajomy źle przyjmuje moje słowa.

- Proszę pani, spokojnie prowadzę motocykl przez parking i nagle widzę tył citroena C4, który zaraz mnie staranuje...

- Mogę to panu wyjaśnić... - zaczynam, lecz on nie daje mi dojść do słowa.

- Nie wzięła pani pod uwagę, że ktoś lub coś może nagle pojawić się na drodze. Z tego, co zdążyłem zauważyć, była pani zbyt zajęta gadaniem do siebie, by zwracać uwagę na cokolwiek innego.

- Nie gadałam do siebie, tylko ćwiczyłam...

- Wrzuciła pani wsteczny bieg i po prostu ruszyła. Czterdzieści mil na godzinę.

Krzyżujemy spojrzenia.

- Nie jechałam czterdzieści na godzinę - protestuję. - A co do mówienia do siebie... - krzyżuję ręce na piersi - niech panu będzie, przyznaję, rzeczywiście mówiłam do siebie. I co z tego? To była o wiele przyjemniejsza rozmowa niż nasza.

Mam wrażenie, że kącki jego ust unoszą się w lekkim uśmiechu, nad którym stara się zapanować.

- Proszę pana - z rozmysłem odwracam wzrok - już wyraziłam swoje ubolewanie z powodu tego niefortunnego zdarzenia.

- Tak? Nie przypominam sobie.

- Moje słowa brzmiały, cytuję: „Przepraszam. Tak mi przykro, tak przykro”.

Patrzy na mnie zdezorientowany. Uderza mnie myśl, że przecież był nieprzytomny, kiedy to mówiłam.

- Może przejdziemy do konkretów? - proponuję. - Spieszę się.

- Do jakich konkretów?

- Wymiany numerów telefonów.

- Pani propozycja mi pochlebia, ale przez kilka następnych weekendów jestem zajęty. Poza tym mam już dziewczynę.

- Chodzi o ubezpieczenie, a nie o... - Urywam, orientując się, że perfidnie mnie podpuszcza. - Ma pan długopis?

- Nie przy sobie. - Maca się po kieszeniach. - A pani?

- Proszę poczekać. - Wracam do auta i sięgam po torebkę. Zamiast długopisu znajduję konturówkę do ust. Musi wystarczyć. Prostując się, czuję na sobie jego wzrok. Odwracam się gwałtownie, lecz on spogląda już w innym kierunku i nie wiem, czy sobie tego nie wyobraziłam. Chcę pisać, lecz nagle moja ręka zawisa w powietrzu.

- Co się stało?

- Nie pamiętam nazwy mojej firmy ubezpieczeniowej - wyznaję oszołomiona takim obrotem sprawy. W zeszłym roku miałam z nimi do

czynienia trzy razy. Mogę podać nazwiska przynajmniej sześciu pracowników ich centrali telefonicznej i imiona większości ich dzieci. Dostałam nawet zaproszenie na srebrne gody jednego z nich.

- Pani żartuje.

- Niestety nie. Proszę do mnie napisać, prześlę panu dane e-mailem - Podaję mu wizytówkę.

Kiedy ją ode mnie bierze, nasze palce stykają się na ułamek sekundy. Czerwienię się i jednocześnie karcę w duchu. Myśl, że łechcę ego mężczyzny, który: a) nie musi się wysilać, by zwrócić na siebie uwagę płci przeciwnej, i b) puści mnie z torbami, jest niemal bolesna.

- Dziękuję - mówi uprzejmie, biorąc drugą wizytówkę, na której zapisuje mi swój adres e-mailowy. W jego rękę moja konturówka przypomina kredkę z pudełka czteroletniego dziecka. - Odezwę się.

- Super - mamroczę. Nie powinnam tego mówić.

- Nie prosiłem się o to - mówi lodowato. - To pani najechała na mnie, skasowała mi motocykl i o mało mnie nie zabiła.

- Bez przesady. - Zaczynam gotować się ze złości.

- Cóż znaczy drobne wstrząśnienie mózgu między przyjaciółmi, prawda?

- Nie jesteśmy przyjaciółmi - zauważam.

Nieznajomy podnosi wrak motocykla i przygląda mu się uważnie.

- Nie, nie jesteśmy - mówi.

Rozdział 3

Docieram do biura Max Crane Law półtorej minuty przed planowanym rozpoczęciem prezentacji. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie moja straszna fryzura. Moje włosy są za długie (sięgają do ramion) i mają widoczne odrosty, a wszystko z powodu braku czasu na wizytę u fryzjera. Na dodatek wyglądają, jakbym w ostatniej chwili suszyła je dmuchawą do liści.

Jestem pąsowa z przejęcia. Z kolorem moich policzków współgra barwa moich kolan. Patrząc na nie, można by pomyśleć, że usiłowałam ogolić je zardzewiałym skalpelem.

Upewniwszy się, że jestem sama w damskiej toalecie, zadzieram spódnicę i wkładam nogę do umywalki z matowego szkła. W pośpiechu spłukuję krew i obmywam kolano pianką do rąk o zapachu lawendy. W tej samej chwili drzwi otwierają się szeroko i do łazienki wkracza Letitia Hooper, szefowa działu rozwoju i marketingu, alias Pani Big. Przynajmniej tak ją dzisiaj nazywam ze względu na prezentację w jej firmie.

Chociaż Letitia, którą często spotykam przy okazji różnych wydarzeń branżowych, ma dopiero trzydzieści siedem lat, ubiera się jak dyrektorka szkoły z internatem dla dziewcząt. Za każdym razem na jej widok spodziewam się posadzenia w kozie.

- Ach, Letitio! - wołam. Szybko wyciągam nogę z umywalki, opryskując Letitię wodą. Mruga, by usunąć z nich drobiny pianki do rąk, i taksuje mnie z góry na dół. - Bardzo przepraszam. - Kuśtykam bosą po papierowy ręcznik. - Co u ciebie?

Biorę kilka ręczników z podajnika i osuszam nogi.

- Wszystko dobrze, Abby, dziękuję - odpowiada jak gdyby nigdy nic. - W zeszłym tygodniu spotkałam na lunchu twoją pracownicę, Heidi Hughes.

- Och, Heidi. - Uśmiecham się zadowolona, że nasza rozmowa przybrała taki obrót. Wiem, że Heidi nie sprawi mi zawodu. - Jest w mojej firmie prawie od początku.

- Robi doskonale wrażenie - stwierdza Letitia. - Świetnie się spisała, promując wasze usługi.

Notuję sobie w pamięci, żeby podziękować za to Heidi przy najbliższym spotkaniu. Cała Heidi. Właśnie dlatego kilka tygodni temu awansowałam ją na głównego projektanta.

Jej pierwszy dzień w pracy ponad rok temu nie rzuciłby na kolana kierownika działu personalnego.

I nie była to wcale jej wina. Heidi nigdy nie sprawiała kłopotów. Chodziło o jej szefową, której kariera zawodowa właśnie nabrała kosmicznego przyspieszenia.

Kiedy tamtego dnia otworzyłam drzwi naszego biura na czwartym piętrze, od razu zauważyłam serdeczny uśmiech Heidi i życzliwość wypisaną na jej twarzy. Była ładną dwudziestopięcioletką o jasnorudych włosach, cherubinkowych ustach i piegowatym nosku.

Przyszła przed czasem. W odpowiedzi na moje powitanie zalała mnie potokiem słów, widać było, że jest zdenerwowana. Pomyślałam sobie wtedy, że trochę za bardzo się wystroiła. Miała na sobie szykowny grafitowy kostium. Dziś wiem, że zawsze ubiera się tak do pracy.

- Ładnie tu - powiedziała, rozglądając się po miniaturowym biurze w biznesowej dzielnicy Liverpoolu. Rozmowę kwalifikacyjną odbyłyśmy w kafejce po drugiej stronie ulicy, więc dopiero pierwszego dnia zobaczyła swoje nowe miejsce pracy. - Gdzie mam siedzieć?

Wolałabym, żeby to pytanie nie padło.

- W ostateczności tutaj. - Wskazałam miejsce na dywanie. Zamrugła zdziwiona.

- To kłopotliwa sytuacja, ale twoje biurko i komputer przyjadą jutro - wyjaśniłam przeproszającym tonem. - To moja wina, za późno je zamówiłam. Miałam tyle na głowie, do tej pory wszystko robiłam sama... Nie chcę zanudzać cię szczegółami. Niedługo wychodzę, usiądziesz przy moim biurku.

Odsunęłam na bok stertę papierów i opakowania czekoladek Maltesers, mrużąc pod nosem przeprosiny. Jeśli Heidi miała jakieś obawy, nie zdradziła ich ani słowem, ani gestem.

Miała doskonałe CV. Skończyła przyzwoitą uczelnię i tak jak ja pracowała w dużej firmie marketingowej. Ale to nie dlatego przyjął ją do pracy. Zdecydowały cechy jej charakteru: entuzjazm, bezpretensjonalność, miłe obejście i - na co liczyłam - inicjatywa.

Nie zawiodłam się. Podczas mojej czterogodzinnej nieobecności w biurze Heidi przyswoiła sobie informacje o naszych klientach, sporządziła listę tych potencjalnych, spisała propozycje zakupów do biura, a na dokładkę zrobiła porządek w szafce z materiałami biurowymi, która przedtem wyglądała jak pobożowisko.

Przyznaję, że w tamtej chwili przemknęła mi przez głowę kąśliwa myśl, że Heidi jest zbyt doskonała. Byłyśmy w tym biurze tylko we dwie i nie chciałam mieć pracownicy cyborga. Marzyłam o kimś, z kim mogłabym się pośmiać.

Pod koniec dnia musiałam jej przypomnieć, że czas iść do domu.

- Dziękuję za cudowny dzień. - Uśmiechnęła się szeroko, wkładając płaszcz. - Bardzo mi się podobało.

- To ja ci dziękuję. Jutro będzie łatwiej. Nie będziemy już musiały siedzieć przy jednym biurku. A może skoczymy na drinka? - zaproponowałam.

Heidi nagle spoważniała.

- Firma nie wypracowała jeszcze własnej polityki dotyczącej alkoholu? - spytała.

Zaśmiałam się, choć czułam lekki niepokój na myśl, że nie żartuje.

- Jak dotąd nie. Dlaczego pytasz? Jaka powinna być według ciebie polityka firmowa w kwestii alkoholu?

- Szybki drink powinien być obowiązkowy.

Resztę wieczoru spędziłyśmy na wesołej pogawędce. Opowiadałyśmy sobie o poprzedniej pracy i o sprawach sercowych (okazało się, że obie mamy w tej dziedzinie okropne doświadczenia).

Tak się ma sprawa z Heidi. Ta dziewczyna umie zaskakiwać.

Rozdział 4

Nie wiem, czy to zasługa Heidi, która przygotowała grunt, ale moja prezentacja bardzo się podoba.

- Dobra robota, pani Rogers - mówi Boris Keppelhammer, wspólnik Letitii, którego dziwne nazwisko kłóci się z jego bardzo zwyczajną aparycją. - Musimy omówić pani propozycję ze wspólnikami, ale ponieważ reprezentuje pani ostatnią agencję, z którą rozmawiamy, z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że jesteśmy pod wrażeniem.

Uśmiecham się czarująco, uważając, by nie przesadzić, a tak naprawdę mam ochotę paść na obtarte kolana i obsypać jego stopy pocałunkami.

- Dziękuję za miłe słowa, panie Keppelhammer - odpowiadam. W drzwiach ściskam na pożegnanie jego dłoni. - Będę z niecierpliwością czekała na odpowiedź.

Jeszcze przed powrotem do biura odbieram telefon z informacją, że mamy ten kontrakt.

Jak widać, to działa, choć świadomość, że to robię i nawet mi się udaje, jest dla mnie źródłem nieustającego zdziwienia. Bez względu na to, jak wielki bałagan panuje w innych sferach mojego życia, w pracy prezentuję spójny profesjonalny wizerunek: staję się opanowaną, pewną siebie i kompetentną Abby. Taką Abby, z którą ludzie chcą robić interesy.

Muszę stale przypominać sobie, ilu klientów zdobyłam, odkąd prowadzę własną firmę. W przeciwnym wypadku miewam jedną z tych „chwil”, gdy paraliżuje mnie myśl o odpowiedzialności za klientów, za troje pracowników i obrotach rzędu stu siedemdziesięciu tysięcy funtów rocznie.

Chociaż daleko mi do Alana Sugara", ludzie znający się na rzeczy zapewniają mnie, że to dobre tempo jak na firmę w pierwszym roku jej istnienia. Choć na razie osiągam minimalne zyski, słyszę z różnych stron, że w mojej firmie tkwi olbrzymi potencjał. Zwłaszcza teraz, gdy udało mi się zdobyć paru naprawdę prestiżowych klientów. Wśród tej śmietanki jest krajowa sieć centrów ogrodniczych o nazwie Diggles.

Uwielbiam Diggles, chciałabym mieć z nimi dzieci. Kiedy zdobyłam ten kontrakt, wracałam do domu w podskokach, zupełnie jakbym odziedziczyła sieć ekskluzywnych sklepów obuwniczych albo poznała gwiazdora filmowego.

- Cześć, Abby - rzuca mi na powitanie Priya, moja młodsza graficzka.

- Ty ciągle tutaj? Już po wpół do siódmej.

- Zaraz wychodzę do Cross Keys - wyjaśnia.

- Na spotkanie z tym... jak mu tam? Karl?

- Ten „jak mu tam” mnie rzucił.

- O nie. Bardzo mi przykro, Priyo - mówię zakłopotana. Chociaż przyznaję, że coraz łatwiej mi to przychodzi, ponieważ Priya jest porzucana mniej więcej raz w miesiącu, czasem dwa, dając mnie i reszcie współpracowników okazję do częstego wyrażania współczucia.

Nie tylko mnie zastanawia, dlaczego tak się dzieje. Przecież Priya, moja najmłodsza pracownica, jest urocza. Ma mnóstwo entuzjazmu, nietuzinkową osobowość i ciekawą urodę.

Od lat poddaje swoje włosy dziwnym eksperymentom. Teraz paraduje z odblaskowym różem na głowie. Na okładkę „Vogue'a” raczej nie trafi, ale podczas ostatniej awarii prądu jej fryzura okazała się bardzo pożyteczna, bo odkryliśmy, że świeci w ciemności. Dzięki niej odnaleźliśmy drogę do wyjścia awaryjnego. Priya nosi swój róż w sposób niedościgniony.

Inni nie są równie otwarci na jej ekstrawagancję. Zanim przyjąłem ją do zespołu, sześć firm odrzuciło jej kandydaturę z powodu kolczyka w nosie i fryzury. Nie wiedzą, co stracili. Priya ma zaledwie dwadzieścia lat, ale jest jednym z najlepszych grafików komputerowych, jakich znam:

*** Alan Sugar - brytyjski biznesmen, gwiazda programu BBC *The Apprentice*.**

szybka, pomysłowa i niezwykle oryginalna. Jej życie uczuciowe jest tak skomplikowane, jak traktat lizboński, ale to zupełnie inna historia.

- Czekaj, póki nie zobaczysz listu od administratora budynku.

- Brzmi intrygująco. - Opadam na krzesło. Priya chrząka i zaczyna:

- Cytuję: *Dotarły do nas informacje, że Niektóre Firmy mieszczące się w naszym Budynku nie przestrzegają obowiązujących tu restrykcyjnych Przepisów Bezpieczeństwa...*

- To chyba jakaś poważna sprawa - zauważam, z trudem powstrzymując uśmiech.

Priya kontynuuje:

- *Dysponujemy niezbitymi dowodami (m.in. informacjami od świadka, który należy jednocześnie do ścisłego grona osób zarządzających budynkiem) świadczącymi o tym, że głównym winowajcą jest Pewna Firma -której nazwy tu nie wymienimy - zajmująca lokal na czwartym piętrze.*

- Sądziś, że chodzi o nas? - pytam.

- Tak przypuszczam. Posłuchaj, co piszą dalej. Robi się groźnie. *Rzeczona Firma używa Nieautoryzowanego Tostera w przestrzeni biurowej, zamiast korzystać z Tostera Ogólnodostępnego, który za zgodą administracji budynku został umieszczony na czwartym piętrze w części wydzielonej dla celów kuchenno-konsumpcyjnych. To kwestia bardzo poważna, ponieważ dotyczy Zdrowia i Bezpieczeństwa, Naruszenia Obowiązujących Przepisów i poważnego naruszenia Porządku. Proszę o natychmiastowe zaprzestanie używania Nieautoryzowanego Tostera, w przeciwnym wypadku Podejmiemy Stosowne Kroki. Podpisano: Zarządca Budynku.*

- Powiem krótko: o rany! - rzuca Matt Przystojniak. Priya jęczy i przewraca oczami.

- Nie bój się, nic nam nie zrobią - mówię.

Matt zyskał swój przydomek dzięki Brendzie, barmance z pobliskiego baru, która - choć nie pierwszej młodości - wykorzystuje każdą okazję, by rzucić kilka pochlebnych uwag na temat jego kształtnego tyłka. Ksywka przykleiła się do niego głównie dzięki Priyi, która rozpuściła pogłoski, że

Mattowi schlebia bycie „Przystojniakiem”, choć głośno nigdy się do tego nie przyzna.

Trudno uznać Matta za klasycznego przystojniaka. Nie imponuje obwodem bicepsa ani szeroką klatką piersiową. Jest jednak na swój sposób uroczy. Wysoki okularnik o łagodnym głosie, który lubi dopasowane dzinsy i podkoszulki od najlepszych projektantów, i upiera się przy noszeniu modnej grzywki włożącej mu do oczu, gdy nachyla się nad klawiaturą komputera.

- Jak poszła prezentacja? - pyta Priya.

- Nieźle - odpowiadam spokojnie, sprawdzając pocztę. - Całkiem nieźle.

- Kiedy poznamy decyzję?

Nie umiem powstrzymać drgania kącików ust. Byłabym fatalną tajną agentką.

- Już ją znam. - Ico?

- I... mamy ten kontrakt!

- Hura! - Priya rzuca mi się na szyję. - Czy to znaczy, że dzisiaj ty stawiasz drinki?

- Nie przepuścisz żadnej okazji. - Cmokam z udawanym niezadowoleniem. - Chyba nie mam wyjścia. Chociaż Bóg jeden wie, co na to mój księgowy. Przy każdej nowej umowie przepuszczam połowę pierwszej płatności na opijanie sukcesu.

Otwieram skrzynkę z wiadomościami. Przytłacza mnie liczba nie-przeczytanych e-maili. Z braku czasu mogę tylko pobieżnie rzucić na nie okiem.

Do biura wchodzi Heidi. Wygląda dziś wyjątkowo szykownie w garsonce a la Jackie Kennedy i w ślicznych zielonkawoniebieskich pantofelkach.

- Heidi, jestem ci winna drinka - zagajam. - Nie wiem, co powiedziałaś ludziom w Max Crane, ale zadziałało.

- Pozyskałaś ich jako klientów? Brawo, świetna robota. - Heidi uśmiecha się niewyraźnie, z roztargnieniem. Kolejny raz w ciągu paru tygodni

zauważam, że jej reakcje są bardziej powściągliwe niż zwykle, choć Heidi nigdy nie dorównywała Priyi poziomem spontaniczności. Zresztą Priyi nikt by nie dorównał, chyba że po dopalaczach.

Bez względu na wszystko ani przez chwilę nie wątpiłam, że Heidi jest najlepszą rzeczniczką naszej firmy. Nasza konkurencja chętnie by ją podkupiła. Często się zastanawiam, czy pewnego dnia nie skusi jej perspektywa kariery i wysokich zarobków w dużej firmie.

- Wszystko w porządku? - pytam.

Kręci głową, jakby nagle obudziła się z drzemki.

- Tak, Abby. Przepraszam. Przygotowałam komunikat prasowy o swoim sukcesie? Jeśli nie, zaraz coś napiszę.

- To nie jest mój sukces, Heidi, lecz nasz.

- Skoro tak mówisz... - Heidi się uśmiecha. - Ale i tak to ciebie będą cytowali. Znajdziesz pięć minut, żeby pogadać o potencjalnym kliencie? To nowa klinika chirurgii plastycznej. Specjalizują się w botoksie. Rozmawiałam wstępnie z właścicielką. Jeśli ją przyciśniesz, będzie nasza.

Właśnie do takiej Heidi przywykłam. Energicznej, entuzjastycznej i zawsze krok przed innymi.

- Kończę o szesnastej - mówię, kasując wiadomości. - Pójdiesz z nami na drinka?

- Raczej nie. Chcę się wcześniej położyć, padam ze zmęczenia. Wypij jednego za moje zdrowie. I - Heidi puszcza do mnie oko - postaraj się, żeby Brenda trzymała ręce z dala od tyłka Matta, dobrze?

Rozdział 5

Tylko jedna rzecz poprawia mi samopoczucie w towarzystwie wysportowanych ludzi: solidny kit kat.

Wracam z holu centrum sportu z batonikiem w jednej ręce i dietetyczną colą w drugiej i dołączam do mojej najlepszej przyjaciółki, która stoi za linią boiska do piłki halowej.

- Dawaj, Jamie! - szepcze przejęta, gdy jej czteroletni syn przymierza się do strzału. - Brawo! - Klaszcze podekscytowana tym, że trafił.

Po wznowieniu gry podaje grzechotkę dziewięciomiesięcznej Loli, która reaguje radosnym szczebiotem.

- Pilnuj, żebym nie zamieniła się w przesadnie ambitną matkę, dobrze? - prosi Jess.

- Niebezpiecznie zbliżasz się do tego modelu macierzyństwa - dogryzam jej i wbijam zęby w kit kata.

- Ja to jeszcze nic - mówi Jess, wyjmując z torebki jabłko. - W Dniu Sportu siedziałam obok matki, która instruowała swoją dopiero uczącą się chodzić córeczkę jak, nie przymierzając, Fabio Capello*.

Przyjaźnię się z Jess od niepamiętnych czasów. Mamy wspólne zainteresowania, od miłości do książek po uwielbienie dla włoskich mężczyzn. Różnimy się tylko pod jednym względem, co doskonale ilustruje wybór przekąsek.

Jess reprezentuje typ, który moja babcia określiłaby mianem „fana-tyczki aktywności fizycznej”. Jest wręcz nieprzyzwoicie wysportowana.

*** Fabio Capello - włoski trener piłkarski, uważany za jednego z najlepszych trenerów wszech czasów.**

W szkole była kapitanem drużyny netballa i rounders", reprezentowała hrabstwo w biegach przełajowych, w roku 1991 i 1992 zdobyła tytuł mistrzyni w biegu przez płotki w kategorii juniorek, a swoim ścięciem znad siatki mogła pozbawić widzów głowy.

Podczas gdy inne zbliżające się do trzydziestki kobiety stopniowo traciły sportowy impet w wirze pracy, macierzyństwa i życia towarzyskiego, Jess przerzuciła się na bieganie w maratonach i triathlon. Wziąwszy pod uwagę jej sportowe zacięcie, drobną budowę, błękitne oczy i naturalny wdzięk, powinnam jej nienawidzić. Na szczęście jest cudowną przyjaciółką i potrafi mnie rozśmieszyć jak nikt inny, dlatego mogę jej wybaczyć te „wady”.

Jeśli o mnie chodzi, to nie uważam się za łamagę. Nie jestem chorobliwie otyła, nie cierpię na trądzik wywołany fatalną dietą, nie mam innych oczywistych objawów. Zwykle wchodzę w rozmiar czternasty (w Wallis nawet w dwunastkę - niech ich Bóg błogosławi), mimo różnych grzeszków. Jednego dnia objadam się ponad miarę, drugiego nie jem nic. Za dużo piję. Nie umiem odmówić sobie kieliszka, czasem trzech kieliszków wina pod koniec ciężkiego dnia.

Nie zawsze tak było. Tak jak Jess grałam w szkolnej drużynie rounders (choć większość czasu spędzałam za czwartą bazą w nadziei, że piłka nigdy do mnie nie dotrze). W zeszłym roku chodziłam do fitness klubu na step i jeździłam na rowerze, gdy naszła mnie ochota, chociaż, szczerze mówiąc, nie zdarzało się to zbyt często.

Odkąd mam własną firmę, moje zdrowie i forma zeszły na dalszy plan. Gdybym teraz wybrała się na siłownię, mięśnie brzucha szybko ogłosiłyby strajk.

- Biegasz dzisiaj? - pytam.

- Jasne. - Jess się uśmiecha, wiedząc, jak dziwi mnie to, że należy do Klubu Biegacza.

- Nie masz wolnego dnia? - dociekam, choć znam odpowiedź.

- Nie spotykamy się codziennie. Biegamy kilka razy w tygodniu.

*** Rounders - gra podobna do baseballu, odmiana palanta.**

- Ale ty biegasz codziennie.

- W Boże Narodzenie nie biegam. Chociaż w zeszłym roku udało mi się zrobić pięć kilometrów, gdy Adam obierał brukselkę. - Puszczą do mnie oko. - Jak sprawa z motocyklistą?

- Ach, to... - Przewracam oczami. - Wysłałam mu e-mail, czekam na odpowiedź, żeby podać mu dane dla ubezpieczyciela. Dziwne, że jeszcze się nie odezwał. Był taki zły, że spodziewałam się rachunku jeszcze tego samego dnia.

- O jejku.

- Boję się tego, Jess. To będzie mnie kosztować majątek. Stałam się praktycznie nieubezpieczalna.

- To była wyłącznie twoja wina?

- Obawiam się, że tak, chociaż strasznie mnie korci, żeby zwalić winę na tego zrzędlivego sukinsyna.

- Mówiłaś, że jest niesamowicie przystojny.

- Jedno nie wyklucza drugiego.

- O mało go nie zabiłaś. Krzywię się na te słowa.

- Wcale nie.

- Tak mi powiedziałaś.

- Naprawdę? Och... Zaznaczam, że nie tak brzmi moja oficjalna wersja zdarzenia.

Jess chichocze. Wyjmuje chusteczki dla niemowląt i usiłuje wytrzeć Loli nos.

- Jak się czujesz przed powrotem do pracy? - pytam, zastanawiając się jednocześnie, czy wystarczy mi drobnych na paczkę czipsów z automatu.

- Dobrze. - Jess robi minę, jakby zaskoczyła samą siebie. W przyszłym tygodniu wraca po urlopie macierzyńskim na wyższe stanowisko kierownicze w firmie telekomunikacyjnej. - Będę musiała na nowo się wdrożyć, ale wreszcie wyrwę się z domu.

- Założę się, że dziwnie ci będzie bez dzieci.

- Jestem na to gotowa. W tym tygodniu zamiast do Tesco, do którego mam dwie minuty drogi, wypuściłam się do Sainsburys na drugim końcu miasta. Dla odmiany. Człowiek musi mieć jakieś nowe bodźce.

Lola upuszcza grzechotkę i zaczyna popłakiwać. Podnoszę zabawkę i wkładam ją Loli do rączki. Mała obdarza mnie promiennym uśmiechem. Nie mogę oprzeć się pokusie, wypinam Lolę z szelek, biorę ją na ręce i przytulam.

- Co to za ślicznotka? - zagaduję, muskając nosem jej brzusek. Lola zanosi się śmiechem.

- Czyżby obudził się w tobie instynkt macierzyński? - Jess unosi brwi.

- Daj mi cztery, pięć lat. Ty dorobiłaś się męża i dzieci przed trzydziestką, ale niektóre kobiety mają wolniejsze tempo. Poza tym z trudem godzę pracę z życiem prywatnym, a troszczę się na razie tylko o siebie.

- Kiedy spotkasz odpowiedniego faceta, nic cię nie powstrzyma. - Jess przybiera mentorski ton.

- To już inna para kaloszy - wzdycham. Jess rzuca mi z ukosa znaczące spojrzenie.

- Poszukiwania tego właściwego niedługo się skończą. Przyrzekam ci to jako twoja przyjaciółka. Dzisiejszy wieczór będzie twoim triumfem. Czuję to przez skórę.

Mimo jej entuzjazmu pozostaję sceptyczna.

- Czulaś to przez skórę przed każdą z trzech randek w ciemno, na które mnie umówiłaś. I każda z nich okazała się totalną katastrofą.

Jess postanowiła, że choćby nie wiem co, znajdzie mi faceta. W rezultacie zafundowała mi paradę kolegów z pracy Adama, swojego męża. Wszyscy byli w porządku, żadnemu niczego nie brakowało, tyle że ani jeden mi się nie spodobał. To utwierdziło Jess w przekonaniu, że jestem chorobliwie wybredna.

Dzisiaj wieczorem czeka mnie odmiana. Zamiast kumpla Adama na kolacji zjawi się facet z Klubu Biegacza. Jess bardzo zależy, żeby to spotkanie było początkiem pięknego związku, który zaowocuje ślubem, dziećmi i wypadami do wiosek wypoczynkowych Center Parcs.

- Może i tak - przyznaje samokrytycznie - ale Oliver jest Włochem. A na pewno jego dziadek jest Włochem. Przynajmniej w jednej czwartej. Mniej więcej.

- W takim razie ja jestem bardziej Włoszką niż on Włochem - stwierdzam.

- Właśnie objął funkcję kapitana zespołu - ciągnie Jess, ignorując moją kąśliwą uwagę - bo poprzedni nabawił się kontuzji. Nie znam go zbyt dobrze, zjawił się parę miesięcy temu, ale jestem pewna, że ci się spodoba. Jest bardzo przystojny, i co ważniejsze, bardzo miły.

- Skoro tak, to dlaczego najpierw swatałaś mnie z trzema innymi, zamiast od razu umówić mnie z nim?

- Przedtem nie był sam. Właśnie rozstał się z jakąś kobietą.

- Ach, więc dźwiga bagaż doświadczeń?

- Tak jakbyś ty go nie miała.

Nie ma dobrej odpowiedzi na takie dictum. Kit kat i dietetyczna cola już się skończyły.

Wyjmuję z kieszeni pięćdziesiąt pensów. Mam straszną ochotę na chipsy.

Rozdział 6

Tak między nami, to nie mam nadbagażu doświadczeń. W porównaniu z historiami niektórych ludzi, historia moich romantycznych uniesień jest bardzo zwyczajna. A może naoglądałam się za dużo talk show Jeremyego Kylea?

Jako szczęśliwa mężatka z sześcioletnim stażem Jess ma wypaczone wyobrażenie o życiu miłosnym wolnej kobiety przed trzydziestką.

Nie zaprzeczam, że miałam wzloty i upadki, lecz któż ich nie ma? Byłam w dwóch stałych związkach, raz facet złamał mi serce. Przeżyłam długi okres celibatu (który nadal trwa). I wakacyjny romans (cudowne doświadczenie, póki nie dowiedziałam się, że mój wybranek ma żonę). Dotąd jednak nie umiałam sobie wyobrazić, że miałabym zestarzeć się u boku któregoś z moich dotychczasowych partnerów. W minionym, wyjątkowo szalonym roku, w ogóle nie miałam głowy do szukania Tego Jedyne. W rezultacie od ponad roku w moim życiu uczuciowym panuje zastój. Jakim cudem do tego doszło, nie mam pojęcia.

W taki wieczór jak dziś, gdy po pracy zmywam z włosów wszystkie problemy związane z firmą i zastępuję je chmurą lakieru, przypominam sobie, że życie to coś więcej niż zdobywanie klientów. To też flirt, zabawa, nieplanowane wyjścia z domu i zuchwałe patrzenie w oczy.

Tak powinien wyglądać wieczór i sprawiać, że człowiek znów nabierze ochoty na życie towarzyskie.

Nie wiem, czego dokładnie spodziewałam się po OHverze, którego dziadek jest w jednej czwartej Włochem, ale na pewno nie tego, że okaże się twardo stąpającym po ziemi, skromnym i niesamowicie atrakcyjnym

facetem z uśmiechem tak oślepiającym, że mógłby zasilić krajową sieć energetyczną.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że taki z niego przystojniak? - syczę do Jess odcedzającej ziemniaki.

- Nie mówiłam? - pyta niewinnie. - Byłam pewna, że tak. Na pewno powiedziałam, że jest miły. - Jess wykłada ziemniaki na półmisek i posypuje je solą.

- To tak jakby skonstatować, że Barack Obama ma niezłą pracę. Oliver jest idealny. Jest...

- ...w jadalni i rozmawia z moim mężem zamiast z tobą - wchodzi mi w słowo Jess. - Wracaj tam, ale już.

- Dobrze, zaraz. - Opieram się o szafkę kuchenną, by zebrać się w sobie.

Uwielbiam kuchnię Jess. Uwielbiam cały jej dom, ale kuchnię najbardziej. Jednocześnie klasyczna i nowoczesna, są w niej ciepłe meble z drewna czereśniowego z lśniącymi blatami. Zaczęła jako eleganckie pomieszczenie, które bez trudu trafiłoby na łamy każdego magazynu wnętrzarskiego, ale z czasem obrosła w osobliwości - od kolekcji dziecięcych rysunków na drzwiach lodówki po olbrzymi regał na książki pod jedną ze ścian.

- Nigdy nie chodziłam z lekarzem - mamrocę, sącąc wino. Wspominałam już, że Oliver jest kardiologiem z siedmioletnią praktyką?

Zjawił się półtorej godziny temu z butelką włoskiego wina Valpolicella i kwiatami dla Jess. I wydaje się, że umiera ze wstydu za każdym razem, gdy przyłapuję go na wpatrywaniu się w mój dekolt. Szczerze mówiąc, to bardzo poprawia mi nastrój.

- Cóż, Doktor Ciacho może być pierwszy - mówi Jess. - Ale do niczego nie dojdzie, jeśli będziesz tu sterczała.

Moja przyjaciółka ma oczywiście rację. Nawet jeśli chcę opóźnić tę chwilę, powinnam przyjść z odsieczą Oliverowi, który - osaczony przez Adama - jak dotąd mężnie radzi sobie z jego politycznymi tyradami - lecz Bóg jeden wie, jak długo jeszcze wytrzyma.

- Szkoda, że nie przygotowałam się lepiej - wzdycham. - Spójrz na moje paznokcie, Jess. Można się przerazić tych odprysków lakieru. Na dodatek nie miałam czasu ogolić nóg.

- I co z tego, przecież masz spodnie. - Jess podaje mi półmisek parujących ziemniaków.

- Nie o to chodzi.

- A o co? Masz zamiar je zdjąć?

- Nie mówiłam ci, że po cichu liczę na wieczorną partyjkę rozbieranego pokera? - Uśmiecham się szelmowsko.

Nagle słyszę ciche kasłanie. Odwracam głowę. W drzwiach stoi Oliver. Na jego twarzy maluje się osłupienie. Oblewam się rumieńcem.

- Chodzi o... Wcale nie miałam na myśli... - bąkam.

- Jak się bawisz, Oliverze? - Jess ratuje mnie z opresji.

- Uhm, dobrze, dzięki - odpowiada Oliver, na ułamek sekundy zatrzymując na mnie spojrzenie, po czym spogląda gdzieś w bok. - Przyszedłem sprawdzić, czy może potrzebujesz pomocy.

- Wszystko pod kontrolą - zapewnia spokojnie Jess.

Oliver znów kieruje spojrzenie na mnie. Nie odwracam wzroku. Po chwili podchodzi do korkowej tablicy.

- Masz śliczne dzieci - mówi do Jess, patrząc na zdjęcia. - Już śpią? Odwracam głowę w stronę Jess, czekając na jej odpowiedź, i zdziwiona zauważam, że moja przyjaciółka wskazuje na swoje oczy, wykonując przy tym jakieś dziwne ruchy palcami.

- Słucham? - Dopiero po chwili dociera do niej znaczenie pytania Olivera. - A tak, chodzą spać o dziewiętnastej. Uśpienie ich to wyższa szkoła jazdy.

- Uwielbiam dzieci - ciągnie Oliver - nie mogę się doczekać swoich. Niedawno zostałem wujkiem.

- O, cudownie - mówi Jess z roztargnieniem, nie przestając wskazywać oczu. Kręcę głową z niedowierzaniem. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle Jess zachciało się szarad.

- Moja siostra ma synka Jonah. Wspaniałe dzieciaki.

- Ile ma lat? - pytam.

Kiedy Oliver odwraca się w moją stronę, Jess łapie mnie za łokieć i okręca, jakby chciała porwać mnie do flamenco.

- Chyba cztery miesiące. Już raczkuje.

- To bardzo wcześnie. - Jess kaszle. - Dzieci zwykle zaczynają raczkować w ósmym miesiącu życia. - Chcę się odwrócić, ale Jess znów łapie mnie za ramię i gwałtownie wyjmuję mi z rąk półmisek. - Przepraszam, że zawracam ci głowę, Oliverze, ale czy możesz zanieść to do jadalni, zanim wystygnie?

- Z przyjemnością - odpowiada Oliver, Jess tymczasem zaciska palce na moim ramieniu z taką siłą, że boję się, co będzie dalej.

- Co ty wyprawiasz? Zaczęłaś trenować dzudzitsu? - pytam, kiedy Oliver znika za drzwiami. Jess bez słowa otwiera szufladę, wyjmując z niej lusterko i podtyka mi pod nos. Para z ziemniaków sprawiła, że tusz do rzęs spłynął mi po policzkach, tworząc zacieki podobne do plam ropy na Morzu Północnym.

- Pięknie, tego tylko brakowało.

- Nie martw się, nie zauważył. Masz chusteczkę, wytrzyj się. A potem idź do jadalni i flirtuj, jakby od tego zależało twoje życie.

Adama niełatwo wybić z rytmu. Nie reaguje, gdy Jess stara się skierować rozmowę na inne tory.

- W tym kraju obojętność na sprawy Europy jest niewiarygodna - peroruje po przełknięciu kawałka marchewki. - Unia liczy trzysta siedemdziesiąt pięć milionów obywateli, a mało kto docenia wpływ, jaki ma na nasze życie Parlament Europejski. Budżet, jakim dysponuje, jest bardzo wysoki, a mimo to...

Nagle odzywa się elektroniczna niania. Słyszymy płacz Loli. Czekamy przez chwilę, aż się uspokoi. Po kilku sekundach staje się jasne, że sytuacja wymaga interwencji.

- Ja pójdę. - Adam odsuwa krzesło i wstaje od stołu. Siłą powstrzymuję się przed głośnym westchnieniem ulgi.

- Oliverze, co sądzisz o półmaratonie w przyszłym tygodniu? - zagaja Jess, napełniając winem mój kieliszek. - Zamierzasz pobić swój życiowy rekord?

- Spróbuję - odpowiada Oliver. - Zwykle dwa tygodnie przed biegiem nie piję. Dziś złamałem tę zasadę. - Uśmiecha się, patrząc na mnie. Dopiero teraz zauważam dołeczki w jego policzkach. Są bardzo seksowne, z czego on najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy.

- Właśnie znalazłam kolejny powód, żeby wymigać się od biegania - rzucam niedbale.

Jess chichocze. Zerkam na Olivera i przychodzi mi do głowy myśl, że to niezbyt rozsądna taktyka, jeśli chcę go sobą zainteresować. Nie mogę hodować sadła.

- Nie lubisz biegać, Abby? - Oliver uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Mimo życzliwości w jego oczach coś powstrzymuje mnie przed posmarowaniem bułeczki masłem. Kuszące puszyste ciasto przeliczam na kalorie.

- Kiedyś regularnie ćwiczyłam - mówię, a Jess zagryza wargi i odwraca wzrok.

- Tak? - odpowiada Oliver, a ja chłonę widok jego przedramion. Jak cały Oliver są szczupłe i umięśnione, bez śladu tłuszczu.

- Uhm. Głównie jeździłam na rowerze. I dużo pływałam. Zawsze to lubiłam.

- To dobrze. To sporty akurat dla ciebie.

- Abby jest tak zajęta swoją firmą, że nie ma czasu na rekreację - przychodzi mi z pomocą Jess. Co dwie głowy to nie jedna, gdy na gwałt trzeba szukać jakichś żalonych wymówek.

- Wiem, że każdy tak się usprawiedliwia, ale w moim przypadku to prawda - zapewniam, ostentacyjnie podając dalej półmisek ziemniaków i nakładając sobie bogatą w błonnik fasolkę szparagową.

- Och, daj spokój. - Oliver się śmieje, znów pokazując urocze dołeczki. - Nikt nie jest tak zajęty, żeby nie wygospodarować wolnej godziny kilka razy w tygodniu. Nawet ty, Abby - dodaje z żartobliwym błyskiem w oku, choć nie mam wątpliwości, że mówi poważnie.

Ośmielona trzema kieliszkami wina, wytrzymuję jego spojrzenie dłużej, niż zrobiłabym to bez wsparcia alkoholu. Odwracam wzrok, kiedy czuję, że policzki zaczynają mi płonąć.

- Skoro tak mówisz, to chyba nigdy nie spotkałeś nikogo, kto właśnie wystartował z własną firmą - zaczynam.

- Może i masz rację - przyznaje. Boże, jaki on słodki. - Czym zajmuje się twoja firma? Jess wspominała, że działasz w branży internetowej.

- Projektujemy strony internetowe. Działamy od półtora roku.

- W tak niedługim czasie Abby dostała już nagrodę branżową i zdobyła ważnych klientów - dodaje Jess.

- Brawo, gratuluję. - Oliver patrzy mi w oczy. Pierwszy raz tego wieczoru czuję, że mu się podobam. Widzę wyraźnie, że nie jest urodzonym flirciarzem. Jest na to zbyt szczerzy, reprezentuje typ chłopaka z sąsiedztwa, co czyni go jeszcze bardziej pociągającym.

- Idę zrobić porządek z naczyniami. - Jess wstaje od stołu, usatysfakcjonowana rozwojem sytuacji. - Oliverze, ty zostań. - Opiera mu ręce na ramionach z siłą prasy hydraulicznej. - I zabawiaj Abby rozmową.

Kiedy Jess znika za drzwiami, Oliver i ja zakłopotani rozglądamy się po pokoju, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Ładna bransoletka - mówi w końcu Oliver. Czuję, że chce dobrze wypaść, ponieważ mu się podobam, ale nie ma zbyt dużej wprawy w słownych gierkach. - Wygląda jak pamiątka z jakiegoś egzotycznego wyjazdu.

Kupiona w Claire's Accessories za jedyne siedem dziewięćdziesiąt dziewięć, dopowiadam w myślach, ale ty nie musisz tego wiedzieć.

- Dziękuję - mówię speszona. Oliver sięga po wino. Kiedy muska przedramieniem moją rękę, czuję narastającą treść.

Nasze spojrzenia znów się spotykają. Z wrażenia robi mi się słabo.

- Skoro twoja firma działa od półtora roku - zaczyna Oliver z namysłem - najwyższy czas, żebyś zrobiła coś tylko dla siebie.

Moje serce bije coraz szybciej.

- Może masz rację. A o czym konkretnie myślisz? Odchyła się na krześle.

- Dołącz do Klubu Biegacza - proponuje.

Po tych nieoczekiwanych słowach uśmiech zamiera mi na ustach.

- To chyba nie moja bajka - odpowiadam.

- Naprawdę? Jeśli kiedyś dużo i regularnie pływałaś, szybko odzyskasz kondycję. - Po jego minie widzę, że wierzy w to, co mówi.

- Sama nie wiem. Pomyślę o tym - kłamię.

- Nie musisz, jeśli nie chcesz. - Olivier wygląda jednocześnie uroczo i seksownie. - Ale byłoby wspaniale, gdybyś się zdecydowała.

Wstrzymuję oddech. W tej samej chwili w drzwiach staje Adam.

- Lola jest strasznie zakatarzona - mówi, siadając do stołu. - Dałem jej calpol, ale... O, gdzie Jess?

- W kuchni, nakłada następne danie - informuję, licząc w duchu, że Adam pójdzie jej pomóc. - Aha. Nie lubi, kiedy się wtrącam. Na czym skończyliśmy naszą rozmowę, Oliverze? A tak, referendum.

Opadam na oparcie krzesła.

- Właśnie rozmawialiśmy z Abby o Klubie Biegacza - oznajmia Oliver. - Abby zastanawia się nad dołączeniem do nas.

- Naprawdę, Abby? - Jess, która właśnie weszła do pokoju, wydaje stłumiony okrzyk. Stawia talerze na stole i dolewa mi wina. - To cudownie! Spodoba ci się.

- Wcale nie mówiłam, że się przyłączę - oponuję.

- Abby, jeśli zaczniesz trenować powoli, nawet nie zauważysz, kiedy zbudujesz formę - tłumaczy zaaferowana Jess, nie przyjmując do wiadomości moich protestów. Sięgam po kieliszek i upijam łyk wina.

- Spotykamy się prawie co wieczór, ale tobie na początek wystarczą trzy treningi w tygodniu - stwierdza Oliver.

Z wrażenia o mało nie krztuszę się winem.

Rozdział 7

Podczas cotygodniowych zakupów bardzo sobie pofolgowałam, nawet jak moje standardy: czteropak wykwintnych białych magnum, monstrualna paczka Tortilla Chips, dwie butelki Pinot Grigio i Wyborne Przekąski Serowe. Tak wyborne, że nie mogłam powstrzymać się od splądrowania pudełka jeszcze przed dotarciem do domu. Spoglądam na swoje łupy i nagle dopada mnie poczucie winy. Po takiej ilości przyswojonego tłuszczu krew w moich tętnicach będzie płynąć równie wolno, jak strumień aut na londyńskiej obwodnicy w dni wolne od pracy.

Dzwoni moja komórka. Przyciskam ją ramieniem do ucha, otwieram paczkę pianek i wrzucam jedną do ust, słuchając wyводу Jess. Odzywam się dopiero wtedy, gdy moja przyjaciółka robi krótką przerwę, by nabrać powietrza.

- Jess, to doskonały pomysł. Nie tylko dlatego, że Doktor Ciacho jest kapitanem.

- Pełni obowiązki kapitana - poprawia mnie Jess. - Nadal ci się podoba?

- Jest boski.

- Więc wstąp do Klubu Biegacza.

- Mam bardzo poważny powód, żeby tego nie zrobić. - Wzdycham ciężko.

- Jaki znowu powód?

Wyjmuję kolejną piankę i przyglądam jej się uważnie.

- Mogę umrzeć - odpowiadam. Jess wybucha śmiechem.

- Nie żartuję - zapewniam niewinnie. - Po prostu znam swoje ograniczenia.

Szczerze mówiąc, rozważałam wczorajszą propozycję Olivera. Jest kusząca, boję się jednak, że przy najmniejszych oznakach entuzjazmu z mojej strony Jess nie da mi spokoju. Dlatego zachowuję rezerwę.

- Może i masz rację - przyznaje niechętnie - ale jest na to sposób. Pochodź przez kilka tygodni do fitness klubu, dojdź do jako takiej formy i potem się przyłącz. Przekonasz się, że to nie takie straszne. Nie będziesz zaczynała od zera.

- Hm - mruczę znacznie mniej podekscytowana tą perspektywą niż Jess.

- Abby - mówi Jess tonem, jakim przemawia właściciel pieska chihuahua, gdy chce nauczyć go siadać - wszystkie twoje argumenty przeciw są tak naprawdę argumentami za.

- Słucham?

- Chodzi mi o to, że nie masz kondycji. Jeśli chcesz być w dobrej formie, zapisz się do Klubu Biegacza.

- Gdyby to było takie proste...

- To jest proste! Oliver chce, żebyś przyszła, bo mu się spodobałaś, ale pomysł jest dobry i bez tego. Potrzebujesz trochę ćwiczeń w okresie przejściowym między lenistwem a aktywnością. To nie problem. Jest grupa początkujących. Wszystko będzie w porządku. Zapomnij o swoich uprzedzeniach. Nie jesteśmy bandą fanatyków aktywności fizycznej.

- Jesteście.

- Wcale nie! Jesteśmy wszechstronnymi ludźmi, którzy bieganie uważają za wspaniałą zabawę. - Ja tej opinii nie podzielam.

- Abby, wiele osób zaczyna tak jak ty.

- Czyli jak? Z grubą talią i kartą do fitness klubu, która wygasła w roku powstania Spice Girls?

- Widzę, że to beznadziejna sprawa. Wygrałaś. Nawet gdyby dołączenie do Klubu Biegacza oznaczało początek cudownego związku z Doktorem Ciacho, nie rób tego. Najwyraźniej nie jest ci to pisane.

- To chwyć poniżej pasa, Jess.

- Wiem. Zdziałało? Namysłam się przez chwilę.

- Jeśli naprawdę mu się podobam, dlaczego nie postara się o mój numer telefonu i nie zaprosi mnie na randkę?

- Bo chce, żebyś zaczęła biegać - odpowiada Jess bez namysłu.

- O rany, to nie w porządku - jęczę. - Pomyślę o tym. A teraz jedź nakarmić dzieci i przestań mnie męczyć.

Rozłączam się i spoglądam na swój brzuch. Gdybym przesunęła pasek o jedną dziurkę, przeciąłby mnie na pół. Wrzucam do ust kolejną piankę i wykładam zakupy na kuchenny stół.

Moja kuchnia ma zaledwie jedną czwartą powierzchni kuchni Jess, ale jest urocza i funkcjonalna. Uwielbiam ją, tak jak uwielbiam cały mój niewielki dom. Kupiłam go trzy lata temu. To świeżo odnowiony wiktoriański szeregowiec w okolicy, którą agenci nieruchomości nazywają „zielonym przedmieściem”, choć więcej zieleni znalazłabym na kawałku spleśniałego sera niż w ogródku na tyłach domu.

Przez długie miesiące polowałam na odpowiednie mieszkanie. Kiedy znalazłam ten dom, zakochałam się od pierwszego wejrzenia w jego wysokich sufitach, wykuszowych oknach i oryginalnej obudowie kominka. Miałam romantyczną wizję, że spędzam zimowe wieczory przy ogniu z kubkiem grzanego wina. Tymczasem napaliłam w kominku tylko raz. Zajęło mi to trzy godziny, a kiedy wreszcie dopięłam swego, byłam pokryta pyłem węglowym, a temperatura w domu podniosła się tak bardzo, że o mało nie dostałam udaru ciepłego.

Dopiero teraz, w sobotnie popołudnie, wyjmuję listy ze skrzynki.

Dwa pierwsze listy to typowe reklamowe śmiecie. Jeden informuje mnie, że jestem o krok od wygrania pięciu tysięcy funtów, jeśli tylko zamówię katalog firmy oferującej nieprawdopodobną liczbę rajstop modelujących sylwetkę. Drugi to reklama prywatnej firmy lotniczej. Muszą mieć wyjątkowo kiepską bazę danych, skoro uważaj mnie za potencjalną klientkę.

Trzecia koperta jest szara, dlatego nie mam ochoty do niej zaglądać. Listy w szarych kopertach nigdy nie wróżą niczego dobrego. Otwieram

ją ostrożnie i wyjmuję pierwszy napisany odręcznie list od czasów, gdy moja osiemdziesięcioletnia babcia przysłała mi pięciofuntowy banknot z poleceniem, bym sprawiła sobie nowe ubranie.

Szanowna Pani Rogers!

Optymistyczna część mojej natury próbuje znaleźć istotne powody, dla których nie odpowiedziała Pani na moje trzy e-maile. Oto, do jakiego wniosku doszedłem: pocałowanie mnie na parkingu było tak oszałamiającym doświadczeniem, że z wrażenia podała mi Pani złe namiary. Moje e-maile nie wróciły jednak z adnotacją, że nie udało się ich wysłać. Próbuję więc uciszyć pesymistyczną część mojej natury, która mówi mi, że unika Pani tematu moich roszczeń wobec Pani. Wziąwszy jednak pod uwagę tysiąc funtów, gdyż tyle wyniósł rachunek za naprawę motocykla, tak się dla Pani niefortunnie składa, że nie mam zamiaru rezygnować z dochodzenia swoich praw. Powtarzam po raz czwarty (choć bardzo nie lubię się powtarzać): proszę o przesłanie mi wszystkich danych Pani polisy. Mam nadzieję, że nie jest to dla Pani zadanie ponad siły. Dziękuję. Tom Bronte

Co za tupet. Przecież nawet się ze mną nie skontaktował! Tysiąc funtów? Tyle forsy za naprawę tego przeklętego motocykla? Można by za to kupić samochód. Wprawdzie tylko starego grata, ale zawsze.

Poza tym, o co mu chodzi z tym całowaniem? To przecież on mnie pocałował. Najwyraźniej robi sobie ze mnie jaja, co jeszcze pogarsza sprawę.

Nie godzę się na oskarżanie mnie o coś, czego nie zrobiłam. Wcale nie zignorowałam jego e-maili. A przynajmniej... tak mi się wydaje.

Ogarnięta niepokojem, idę do gabinetu i włączam laptop. Czekać, aż zastartuje, nerwowo bębnię palcami w blat biurka. Sprawdzam skrzynkę. Z ulgą widzę, że nie mam żadnych nieprzeczytanych wiadomości prócz kilku tych, które wysłano w piątek wieczorem już po moim wyjściu z biura.

- I co, panie Tomie - mówię głośno z nieskrywaną satysfakcją - „Tysiąc Funtów za Marne Wgniecenie” Bronte? Gdzie twoje e-maile?

W tej samej chwili serce podchodzi mi do gardła. Na wizytówce, którą dostałam po wypadku, facet podpisał się tylko imieniem. Dlaczego więc jego nazwisko brzmi znajomo?

Klikam na „kosz”. Przebiegam wzrokiem dziesiątki nieprzeczytanych e-maili, które tam umieściłam, i zatrzymuję się na trzech, wysłanych z adresu tbronte@caroandco.com.

- O cholera. - Widziałam je w dniu, kiedy usuwałam mnóstwo e-maili, nie mając czasu ich czytać. Z jakiegoś powodu byłam przekonana, że Caro & Co. to firma próbująca wcisnąć mi oranżerię do ogródka za domem.

Sięgam po kolejną piankę i zaczynam czytać. Nie sposób nie zauważyć zmiany tonu: od pogodnego w pierwszym e-mailu po suchy i rzeczowy w trzecim. Jakaś częśćka mnie rozumie niepokój wywołany moim milczeniem. Mimo to nie akceptuję tonu jego listu. Ani horrendalnej kwoty tysiąca funtów. Czy naprawa dwukołowego pojazdu może kosztować aż tyle?

Zaczynam pisać:

Szanowny Panie Bronte!

Dziękuję za korespondencję. Przeczytałam Pański list i zapewniam, że nie użyłabym słów „oszałamiające doświadczenie” na określenie naszego „pocałunku”.

Ponadto przypominam Panu, że to nasze firmy ubezpieczeniowe ostatecznie zdecydują, po czyjej stronie leży wina, dlatego nie zamierzam uprzedzać faktów, godząc się już teraz na pokrycie zdumiewająco wysokich kosztów naprawy Pańskiego motocykla. A skoro o tym mowa, to choć przyznaję, że nie znam się na motocyklach, nie daje mi spokoju pytanie, czy w tej kwocie nie zawiera się przypadkiem usługą połączenia błotnika.

Uśmiecham się do siebie. Kusi mnie, by wysłać tego uszczypliwego e-maila od razu.

Może jednak powinnam trochę złagodzić ton i ograniczyć się do podania swoich danych oraz uprzejmego: *Mam nadzieję, że uda nam się szybko rozwiązać problem.*

Zapisuję e-mail w kopiach roboczych i kieruję myśli na przyjemniejsze tory: wyobrażam sobie, że Doktor Ciacho obsypuje pocałunkami mój pępek.

Cudowna chwila. Leżymy spleceni w uścisku w kącie stodoły, przenikające do środka ciepłe promienie słońca ślizgają się po jego ciele. I kiedy robi mi się coraz przyjemniej, on podnosi głowę i wtedy zamiast Doktora Ciacho widzę... Toma Bronte.

Na miłość boską!

Zaciskam powieki i odpędzam tę wizję.

Moje wysiłki na nic się zdają. Tom Bronte znowu się pojawia. Otwieram oczy, odnajduję w komputerze kopię roboczą e-maila do nieznośnego motocyklisty i wciskam „wyślij”.

Znów zamykam oczy i wracam na stóg siana. Nieważne, że gdybym naprawdę się tam znalazła, kichałabym seriami jak karabin maszynowy. Najważniejsze, że w moich objęciach leży Doktor Ciacho.

Tym razem to rzeczywiście on. Zalewa mnie fala pożądania, gdy doktorek całuje mnie i pieści, łaskocze i kusi. Dotyk jego języka na moim sprężystym i płaskim brzuchu jest...

Zaraz, zaraz.

Otwieram oczy i spoglądam na swój brzuch. Pod wpływem tego nieprzyjemnego widoku marzenia pryskają niczym bańka mydlana.

Sprężysty i płaski brzuch? Mój jest płaski jak, nie przymierzając, Matterhorn.

Przygnębiona wrzucam do ust kolejną piankę. Tym razem nie sprawia mi przyjemności jej oblepiająca zęby słodycz. Stanowczym gestem biorę paczkę z resztką pianek, wstaję, idę do kuchni i wyrzucam ją do kosza. Potem biorę telefon i wybieram numer Jess.

- Lepiej usiądź, kochana, bo właśnie postanowiłam wejść w ten cyrk z bieganiami - oznajmiam.

Rozdział 8

Przez następne dwa dni przygotowuję się psychicznie na dołączenie do Klubu Biegacza. Jak na złość Jess - która przecież sama mnie namawiała do tego - upiera się, żebym najpierw popracowała nad kondycją.

Na szczęście, co zresztą sama zauważyła, są w klubie zajęcia dla początkujących. A skoro już zdecydowałam się na bieganie, nie chcę tego odkładać. Bo jaki jest sens w odkładaniu spotkania z Doktorem Ciachem? Kiedy ja przez dwa miesiące będę pracowała nad kondycją w fitness klubie, on może znaleźć sobie dziewczynę. Wolę nie ryzykować.

Poza tym aktywność fizyczna to doskonały sposób na rozładowanie stresu. Właśnie tego mi trzeba. Zwłaszcza po ostatniej odpowiedzi od mojego „przyjaciela” Toma Bronte, którą dostałam wczoraj. *Droga Abigail*, napisał, a ja zagotowałam się ze złości. Kto dał mu zielone światło do wejścia na ten stopień zażyłości?

Dzięki za informacje w sprawie polisy. Masz rację - to firmy ubezpieczeniowe zdecydują, kto ponosi winę za wypadek. Jeśli osoby zajmujące się tą sprawą będą tak stuknięte, jak mój motocykl, jest szansa, że uznają cię za niewinną. Pozdrawiam serdecznie, Tom

PS. Przykro mi, że dla Ciebie nasz pocałunek nic nie znaczył. Mnie się nawet podobał.

Spokojnie, Abby, tylko spokojnie, nie daj się sprowokować. Ale to postscriptum! O co mu chodzi?

Kręcę głową. Teraz muszę myśleć o zbliżającym się wieczorze.

Nie mogę się doczekać. Główną atrakcją jest oczywiście Doktor Ciacho. Poza tym przeanalizowałam argumenty Jess o popracowaniu nad kondycją. Może stanę się jedną z tych osób, którym ćwiczenia naprawdę sprawiają przyjemność? Pod warunkiem, że zmienię nastawienie. Przecież nie mogę być aż tak zgnuśniała. Żyję i pracuję w ciągłym pędzie. I chociaż to nie to samo, co ćwiczenia w fitness klubie, gdybym miała krokومتر, uległby samozapłonowi, gdyby próbował za mną nadążyć.

Posłuchałam też rady Jess i zadbałam o to, by pić odpowiednią ilość płynów. Tym sposobem zafundowałam sobie częste wizyty w toalecie. Żałuję tylko, że nie zatroszczyłam się wcześniej o strój sportowy. Po szalonym dniu w pracy wpadłam do domu jak burza, a muszę być u Jess za dwadzieścia minut.

Jedyne adidas, jakie udaje mi się znaleźć, leżą pod schodami od półtora roku, zasiedlone przez dwa pająki i rozkładającego się chrząszcza. Jeśli chodzi o strój, sytuacja przedstawia się równie fatalnie. Mam do wyboru szare poplamione farbą spodnie od dresu albo czerwone legginsy z lycry, które nie dodawały mi urody, nawet gdy nosiłam ubrania o dwa rozmiary mniejsze. Wkładam je pełna nadziei, ale tracę ją bezpowrotnie, gdy widzę w lustrze swoje nogi. Przypominają dwie gigantyczne kiełbasy wciśnięte w kondomy o smaku truskawkowym.

Nie mam wyjścia. Pozostają mi spodnie od dresu. Farba ma kolor magnolii, nikt nie zobaczy plamek, chyba że przyjrzy się uważniej. Poza tym, jeśli zjawię się w zupełnie nowym stroju, będę nie tylko wyglądała jak przebrana oferma, ale zdradzę też, że nie robiłam nic dla swojej kondycji od czasów, gdy Cheryl i Ashleja Cole'ów' uważano za idealną parę. Spodnie od dresu nie są idealne, sprawiają jednak wrażenie, że były bardzo intensywnie używane.

*** Ona piosenkarka, on piłkarz - rozwiedli się w 2010 roku.**

- Przestań panikować, Abby - upomina mnie Jess w drodze do klubu. Jest bardzo gorąco, według mnie zdecydowanie za gorąco na ćwiczenia, ale Jess ani myśli zawracać.

- Nie panikuję. - Oddycham głęboko.

- I dobrze. Kogo obchodzi, co masz na sobie?

- Mnie. Nie miałam pojęcia, że będziesz taka... szykowna. Jak ty to robisz? W sportowym stroju? To nie fair.

- Mam ten top od dawna - zbywa mnie Jess.

To dla mnie żadne pocieszenie. Nie wiem, czy Jess jest tego świadoma, czy nie, ale wygląda jak kobieta z reklamy Nike. Dotąd sądziłam, że wszystkie modelki poprawia się w Photoshopie. Na przykładzie Jess widzę, że można nosić szorty i modny różowy top, nie strasząc fałdami tłuszczu.

- Mam ten strój dlatego, że bieganie to moje hobby i poświęcam mu mnóstwo czasu. Poza tym od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku dostaję w prezencie gwiazdkowym takie topy od różnych osób. Jeśli ci się spodoba, zafundujesz sobie ubranko treningowe. Wierz mi, Abby, nie wyglądasz tak źle, jak ci się wydaje.

Wybacz Jess, ale ci nie wierzę.

W workowatych spodniach dresowych, które upodabniają mnie do postaci tłuściochów z rysunków Beryl Cook, i obszernym podkoszulku mogącym służyć za poszwę na kołdrę, nie wierzę ci nic a nic.

W duchu nakazuję sobie spokój. Jeśli Doktor Ciacho jest tak płytki, że zauważy tylko mój strój, nie warto się nim przejmować. Och, Abby... Kogo ty chcesz oszukać?

- Jak ci minęły dwa pierwsze dni po powrocie do pracy? - pytam Jess, gdy po zaparkowaniu auta zmierzamy do centrum sportu.

- Jestem wykończona, ale szczęśliwa. - Jess uśmiecha się szeroko.

- Więc cieszysz się, że znów jesteś pracującą mamą?

- To dopiero początek. - Wzrusza ramionami. - Ale zespół jest fantastyczny. Oczywiście połowy tych, których znałam, nie ma już w firmie, ale nowi wydają się całkiem mili. Uwielbiam tę pracę. To tutaj.

Otwiera drzwi. Wchodzimy do holu, mijamy kolejkę do recepcji i idziemy do szatni. Wkładam torbę do szafki i rozglądam się dyskretnie. Widok kobiet w różnym wieku reprezentujących wszelkie kształty i rozmiary nieco mnie uspokaja.

- Tędy - mówi Jess, prowadząc mnie do sali na końcu boisk do squasha.

Wszystkie trzy grupy biegaczy - początkująca, średnio zaawansowana i zaawansowana - na początku treningu zbierają się razem, by omówić jego przebieg. Jess należy do grupy zaawansowanej. Jest jedną z trzech kobiet w tej grupie, choć zapewnia mnie, że często przenosi się też do średnio zaawansowanej.

- O, jednak się zdecydowałaś. - Wstrzymuję oddech na widok Olivera i jego niewiarygodnie uroczego uśmiechu. - Cieszę się, że nasze namowy odniosły skutek.

Wprawdzie jego czerwony podkoszulek nie jest koszulą i bryczesami pana Darcy ego, w które ubierałam go w swoich fantazjach, ale i tak wygląda w nim rewelacyjnie. Najważniejsze, że podkreśla jego szczupłą sylwetkę.

Oliver pochyla się i całuje mnie w policzek. Jest śmielszy i bardziej pewny siebie niż podczas naszego pierwszego spotkania. To pomieszanie chłopięcości i męskiego seksapilu sprawia, że moje serce bije szybciej.

- Która grupa bardziej ci odpowiada: wolna czy średnia? Odpowiedź może być tylko jedna. To chyba jasne, że dołączę do grupy wolnej.

Tyle że po pytaniu Doktora Ciacha nagle zaczynam gardzić słowem „wolna” i wszystkim, co niesie: amatorstwem w wydaniu żalonych oferm. Przyznanie, że należę do tej grupy, godzi w moją ambicję.

- Hm, mówiłam ci, że dużo pływałam... - mamroczę. Jess odwraca głowę w moją stronę tak gwałtownie, że obawiam się o jej kręgi szyjne. -...więc może grupa średnia?

- Jesteś pewna? - pyta moja przyjaciółka. Posyłam jej miazdzące spojrzenie.

- Co za ambicja - chwali mnie Oliver. - Ale nawet jeśli dużo pływałaś i masz doskonałą kondycję, bieganie to zupełnie inna dyscyplina. Chyba że już kiedyś biegałaś.

- Trochę. - Szczerzę zęby, ukrywając zakłopotanie. Jess spogląda na mnie jak na potencjalną pacjentkę szpitala psychiatrycznego.

- To się nazywa duch walki. - Oliver uśmiecha się życzliwie, a w moim sercu wzbiera tęsknota. - Zobaczymy, jak sobie poradzisz. Zawsze można coś zmienić przy następnym treningu.

Po tych słowach Oliver wychodzi na środek sali i próbuje przyciągnąć uwagę grupy. Dopiero po dłuższej chwili uczestnicy zajęć orientują się, że chce coś powiedzieć. Dziwne, bo mnie wystarczy, że Oliver otwiera usta.

- W zeszłym tygodniu trenowaliśmy podbiegi, dzisiaj czas na miarowy bieg - oznajmia.

„Miarowy bieg”. W moich uszach brzmi to zupełnie niegroźnie. Nic męczącego. Odwracam głowę i napotykam spojrzenie Jess, którą ciągle dziwi moja decyzja.

Doktor Ciacho omawia wagę łączenia różnych typów biegania - podbiegów, biegu w miarowym tempie oraz treningu szybkościowego - koniecznych do poprawienia formy. A przynajmniej tak mi się wydaje, ponieważ tonąc w jego oczach, nie zwracam uwagi na szczegóły.

Wreszcie ruszamy na bieżnię, gdzie Oliver funduje nam serię forsownych ćwiczeń, które okazują się, o zgrozo, rozgrzewką. Przysiady, rozciąganie, skłony, wykroki - tyle tego, że pod koniec moja czerwona twarz lśni od potu bardziej, niż się spodziewałam.

Jess łapie mnie za ramię.

- Co ty robisz w średniej grupie, na miłość boską? Wyrrywam rękę z jej uścisku.

- Chcesz mnie upokorzyć?

- Jasne, że nie - odpowiada wściekła. - Jeszcze możesz przejść do początkujących. W średniej grupie są ludzie, którzy biegają od lat.

- Nic mi nie będzie - cedzę przez zęby. Jess wzdycha zrezygnowana.

- Jak chcesz. Maureen będzie miała na ciebie oko. Dobrze, Mau? Dużo słyszałam o Maureen. Jej wiek okrywa tajemnica równie głęboka, jak sekret pochodzenia czarnej materii. Na pewno jednak ma więcej

lat niż przeciętny uczestnik treningu. I wyróżnia się wyglądem. Ma na sobie obcisły zielony kombinezon z lycry, fryzurę a la Stephanie Powers z serialu *Państwo Hart* i tyle biżuterii, że przy każdym ruchu pobrzękuje niczym duch z *Opowieści wigilijnej*. Cieszyłabym się nawet dzisiaj, mając takie ciało jak ona, a co dopiero za trzydzieści lat.

- Zwykle trenuję w wolnej grupie, kochana - mówi Mau - ale ostatnio popełniłam błąd. Przez kilka tygodni biegałam trochę za szybko i uroczy Oliver uparł się, żebym przeszła do grupy średniej. Ustąpię mu na tydzień, choć szczerze mówiąc, w moim wieku wołałabym już nie sapać i nie dyszeć, przynajmniej nie podczas biegu. - Puszczą do mnie oko.

Dzielimy się na grupy. Przyglądam się moim towarzyszom z grupy średnio zaawansowanej. Jest nas dwanaścioro: osiem kobiet i czterech mężczyzn. Niestety, mam na sobie więcej tłuszczu niż oni wszyscy razem wzięci.

Ustawiam się za nimi. W tej samej chwili powietrze przecina ryk motocykla. Na widok znajomej niebieskiej karoserii moje serce zamiera. Wrażenie jeszcze się pogłębia, gdy właściciel pojazdu zdejmując kask i szybkim krokiem rusza do wejścia. Po chwili zaczyna biec, zarzucając torbę na nieprawdopodobnie muskularne ramię opięte czarnym podkoszulkiem.

Szybko odwracam głowę i wbijam wzrok w plecy kobiety przede mną. Staram się wyrównać oddech i skupić na zadaniu. Wiedziałam, że dzisiejszego wieczoru czeka mnie wiele wyzwań. Nie sądziłam, że Tom Bronte będzie jednym z nich.

Rozdział 9

- Słyszeliście trenera, dzisiaj biegamy w jednym tempie - zwraca się Mau do reszty grupy. - Żadnego ścigania się, żadnych popisów. Pamiętajcie, że jestem starszą kobietą.

- Która ma lepszą kondycję niż większość dwudziestolatek - dopowiada z uśmiechem moja na oko czterdziestopięcioletnia ciemnowłosa sąsiadka o krótko ostrzyżonych włosach i najbardziej kusych szortach, jakie widziałam od czasów zabawy lalkami Barbie. Robi wrażenie na tyle otwartej i życzliwej, że postanawiam zadać jej ważne dla mnie pytanie.

- Ten facet na motocyklu - zaczynam obojętnym tonem - też należy do klubu?

- Tom? Tak. Cudowny, prawda? - szepcze z szelmowskim uśmiechem, zasłaniając dłonią usta. - Ach, ten jego uśmiech...

- Niestety, jest już zajęty - dodaje Mau, która słyszy tę wymianę zdań. - Wielka szkoda. Nie tracę nadziei, że pewnego dnia zwróci uwagę na Szykowną Babcie.

Grupa szybko biegnie na wzniesienie. Oliver prowadzi, stawkę zamyka Jess. Na jej kształtnych udach nie widać śladu cellulitu. Kątem oka dostrzegam biegnącego Toma Bronte. Goni grupę Jess płynnym krokiem, bez wysiłku.

Kolej na nas.

Niezdarnie stawiam pierwsze kroki. Zupełnie jakbym wychodziła ze stanu hibernacji po długiej zimie spędzonej w syberyjskiej tundrze. Ku mojemu zdziwieniu dość szybko odnajduję swój rytm. Kielkuje mi w głowie nieśmiała myśl, że może całe to bieganie nie jest takie straszne,

jak mi się wydawało. Fakt, biegniemy dopiero od trzech minut, najlepsi są już daleko przed nami, tempo większości jest jednak wolniejsze, niż się spodziewałam.

Puszczam wodze fantazji i wyobrażam sobie, że należę do grupy, że Jess i ja jesteśmy ulepione z tej samej gliny. Uwielbiam ćwiczyć, tyle że uświadomiłam to sobie o wiele później niż moja przyjaciółka.

Wciągam głęboko powietrze. Krew żywiej krąży mi w żyłach. Czuję przyływ pozytywnej energii. Życie jest piękne!

Piętnaście minut później staram się nie rzeźić jak w agonii, chociaż mam wrażenie, jakby ktoś oblał moje płuca benzyną i podpalił miotaczem ognia.

Na domiar złego życzliwi biegacze wcale nie zostawili mnie z tyłu. Przybiegają do mnie, towarzyszą mi przez chwilę, potem odwracają się i ruszają przed siebie pełnym gazem, by znów powtórzyć ten cykl.

Chciałabym im powiedzieć, że nie muszą tego robić, że mogą mnie zostawić. Niestety, z wysiłku odjęło mi mowę. W rezultacie uczestniczę w scenie rodem z łzawego filmu wojennego, w którym garstka dzielnych żołnierzy naraża życie, ratując ofermę z urwanymi przez minę nogami. W tej chwili bez trudu utożsamiam się z ratowanym.

- Dobrze się czujesz, skarbie? - pyta Mau. Przebiegłszy już kilka kilometrów równym tempem bez przystanków, mówi to bez wysiłku, zupełnie jakby leżała na kanapie z kieliszkiem szampana i pudełkiem drażetek czekoladowych pod ręką.

- Uhm - wyrzucam z siebie zamiast: „Dobrze, daj mi spokój”. Mau rzuca mi zatroskane spojrzenie.

- Może zwolnimy? - proponuje, biegnąc obok mnie.

- Nie... nie... nie... musisz... - Poddaję się w połowie zdania.

- Jeśli chcesz stanąć, możesz to zrobić. Nie musisz biec z nami przez całą godzinę.

Po tych słowach uginają się pode mną nogi. Schylam się, opieram dłonie na udach, opuszczam głowę i dyszę ciężko, z trudem łapiąc powietrze.

- Godzinę? - pytam w końcu. - Biegacie przez godzinę? Jakim cudem?
Po twarzy Mau przemyka ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Dzisiaj biegamy tylko przez czterdzieści pięć minut. Reszta treningu to rozgrzewka przed biegiem i rozciąganie po. Zostało tylko pół godziny. Dobrze ci idzie.

- Naprawdę? - jęczę. Spogląda na mnie współczująco.

- Może skrócimy sobie drogę?

- Nie, nie chcę cię wstrzymywać. Biegnij dalej.

- Mnie wszystko jedno. Jutro znowu przychodzę na trening. Daj sobie spokój, póki masz jeszcze siłę.

- Skąd wiesz, że mam? - mamroczę pod nosem. Na trzęsących się jak galareta nogach biegnę za Mau jej „skrót”. Maureen zapewnia, że to trucht, choć mnie się wydaje, że sprint. Docieramy na metę dokładnie za dziesięć ósma - jak na złość jednocześnie z pozostałymi trenującymi - i nagle zyskuję pewność, że następne trzy minuty są ostatnimi minutami w moim życiu.

Podbiega do mnie Jess.

- Rany, Abby, wszystko w porządku?

- Uhm, uhm, uh... uh... - dyszę.

- Chcesz usiąść?

Kręcę głową i z impetem ląduję tyłkiem na bieżni.

- Napij się. - Jess przytka mi do ust butelkę wody. Wypijam ją łapczywie, łykając przy okazji powietrze. - Cholera jasna - mamrocze Jess - mówiłam, że nie jesteś gotowa na bieganie w tej grupie. Po urodzeniu Loli dopiero teraz wróciłam do grupy szybkiej, a przecież biegam od lat. Padło ci na mózg, Abby?

- Uh, uh, uhm - dyszę.

- Rusz się, wstawaj - popędza mnie.

- Uhm? - Patrzę na nią jak na wariatkę.

- Mięśnie odmówią ci posłuszeństwa, jeśli ich nie rozciągniesz.

- Szansa, że... nie odmówią... posłuszeństwa jest ... bliska zeru - nadal dyszę. Mimo mojego oporu Jess stawia mnie na nogi. Kuśtykam,

by dołączyć do biegaczy, którzy połączyli się w jedną grupę na ćwiczenia rozciągające po biegu.

Patrzę na ich twarze. Kobiety mają zaróżowione policzki i czoła lekko błyszczące od potu. Wyglądają na ożywione i szczęśliwe, odurzone adrenaliną.

Ze mną jest inaczej. Mokre od potu strąki kleją mi się do twarzy. Nie potrzebuję lustra, by wiedzieć, że moje policzki pałają purpurą. I mimo zbyt luźnej koszulki mam pod pachami plamy potu wielkości jeziora Windermere.

- Stanę z tyłu - szepczę do Jess.

- Dobrze. - Wzrusza ramionami.

Rozciągam się tylko dlatego, by nie zwracać na siebie uwagi, ale każdy ruch to dla mnie tortura. Na samą myśl o jutrzejszym bólu ud chce mi się wyc.

Co gorsza, z każdą chwilą coraz bardziej zbiera mi się na wymioty. Zupełnie jakby moje ciało brało odwet za piekło, jakie mu zafundowałam.

- Koniec na dzisiaj! - woła Oliver. Grupa powoli się rozchodzi. Czuję nagły skurcz żołądka. Nie wytrzymam ani chwili dłużej.

- Chodźmy stąd - syczę, coraz bardziej zaniepokojona rewolucją w moich trzewiach. Łapię Jess za ramię i wtedy widzę, że zmierza ku nam Oliver.

- Abby, jak ci poszło? Czy... - Urywa w połowie zdania, patrząc na mnie jak na przejechanego kota.

- Dobrze - odpowiadam, czując kolejny kurcz żołądka, którego zawartość podchodzi mi do przełyku. - Uhm... świetnie.

- Miło mi to słyszeć. - Kiwa głową. Na jego twarzy maluje się troska. Albo przerażenie. A może jedno i drugie. - Przyjdiesz na następny trening?

Jess unosi brwi w oczekiwaniu. Na szczęście dla mnie w tej samej chwili rozlega się sygnał jej komórki, uniemożliwiając usłyszenie mojej odpowiedzi.

- Och... nie wiem. - Mój żołądek wyprawia dzikie harce. Zupełnie jakbym miała w brzuchu kręcącą się betoniarę. - Muszę się... hm... w tym tygodniu mam mnóstwo pracy.

- No tak - mówi Oliver. - Może następnym razem. Wstrzymuję oddech. Przez chwilę wydaje mi się, że odcięcie dopływu

tlenu do płuc przynajmniej oddaliło atak mdłości. Jedyne problem polega na tym, że nie mogę w nieskończoność wstrzymywać oddechu. Kiedy wciągam powietrze nosem, uczucie chwilowej ulgi mija. Mój zbuntowany żołądek znów daje o sobie znać jeszcze energiczniej.

W gardle czuję mieszankę częściowo przetrawionego pączka, chipsów serowych i trzech czekoladek Cadbury, które wcześniej buchnęłam Priyi.

- Ja... - Zastaniam usta. Oliver patrzy na mnie przestraszony. Z braku lepszych pomysłów robię jedyną możliwą rzecz: odwracam się na pięcie i ruszam pędem przed siebie. To moje najszybsze tempo podczas dzisiejszego treningu.

Nieświadoma sytuacji Jess rozmawia przez telefon. Działam odruchowo. Za węglem budynku zginam się wpół i wymiotuję do studzienki ściekowej.

Kiedy się prostuję, wyczuwam za plecami czyjaś obecność. Jestem pewna, że to Jess. Dzięki ci Boże, że tylko ona widziała moje upokorzenie. Ścierając z ust cierpki smak, odwracam się i nieruchomieję.

To nie Jess. To cholerny Tom Bronte.

Rozdział 10

Gorzej już być nie może.

Stoję nad ściekiem na parkingu, ledwo żywa, z załzawionymi oczami, mając przed sobą ucieleśnienie ideału męskiej urody. Fakt, że w e-mailach okazał się kompletnym dupkiem, jest niewielkim pocieszeniem.

Atrakcyjni mężczyźni zawsze wprawiają mnie w zakłopotanie. Ich uroda potwornie mnie onieśmiela. W obecności Toma Bronte czuję się podwójnie onieśmielona. Ma tak ujmującą powierzchowność, jest tak oszałamiająco przystojny, że nie umiem patrzeć na niego bez zawstydzenia. I to jeszcze zanim poruszymy kłopotliwy temat.

- Wszystko w porządku? - pyta. Nie przypatruję się uważnie jego twarzy, ale w tonie jego głosu słyszę autentyczny niepokój. Odsuwam się od studzienki.

- Uhm - mamrocę. - Chyba zaszkodziło mi... jakieś jedzenie. Podnoszę na chwilę wzrok i widzę, że przygląda mi się w napięciu.

Uświadamiam sobie, że dopiero teraz mnie poznał. Policzki płoną mi ze wstydu.

- Boże, to ty. - Unosi brwi. - Wyglądasz zupełnie inaczej.

- Tak olśniewająco, że mnie nie poznałeś? - pytam zaczepnie. Mimo niezręcznej sytuacji nie mogę oprzeć się myśli, jak doskonale

Tom Bronte pasuje do biegaczy. Imponująco umięśnione ramiona lśnią, krótko ostrzyżone włosy błyszczą od potu. Nie sprawia wrażenia zmęczonego. Zupełnie jak żołnierz piechoty morskiej, który na rozgrzewkę przed podwójnym maratonem robi sobie dziesięciokilometrową przebieżkę. Za to jeszcze bardziej go nie lubię.

- Chcesz się czegoś napić? - Podaje mi wodę, jego twarz łagodnieje. Umieram z pragnienia, ale myśl, że paskudny smak, jaki mam w ustach, przeniosę na jego butelkę, każe mi odmówić. - Nie, dzięki.

- Potrzebujesz ręcznika?

- Nie, dzięki - powtarzam, uświadamiając sobie, że stoimy za blisko ścieku. Pospiesznie ruszam w stronę hali. Tom Bronte dogania mnie dwoma susami.

- Dlaczego jesteś taki miły? - pytam. - Dręczy cię poczucie winy, że próbowałeś zrobić mnie w zapłatę rachunku, który samego Billa Gatesa przyprawiłby o ból głowy?

- Ani trochę - odpowiada. - A ciebie dręczy poczucie winy, że poważnie uszkodziłaś mój nowy motocykl?

- Jeszcze nie ustalono, kto jest winny - odparowuję.

- Skoro tak twierdzisz. - Po jego minie widzę, że ta rozmowa zaczyna go bawić.

- Właśnie - prychem. - Motocykle są niebezpieczne - dodaję po chwili.

- Tak jak beznadziejni kierowcy.

Posyłam mu mordercze spojrzenie. Nie reaguje. Zamiast tego pyta:

- Co masz przeciwko motocyklom?

- Po prostu ich nie lubię.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Nie mam ochoty ciągnąć tego tematu. - Stanowią zbyt duże zagrożenie na drodze. - Oburzenie na jego twarzy każe mi mówić dalej: - Zastanawiam się, jaki typ ludzi wybiera coś takiego zamiast samochodu.

- Jechałaś kiedyś na motocyklu? - pyta.

- Nie. I nie mam zamiaru. Dzięki.

- Skoro tak, to nie masz prawa wydawać sądów.

- Bzdura.

- Wygłaszasz pochopne opinie o motocyklach, a nigdy na żadnym nie siedziałaś. Gdybyś siedziała, rozumiałabyś, na czym polega ich magia.

- Nie muszę nikogo zamordować, by się przekonać, że nie chcę być seryjną zabójczynią - oponuję.

- To nieadekwatne porównanie. Mrużę oczy.

- Zaprzeczasz, że statystycznie motocykle są bardziej niebezpieczne niż cokolwiek innego na drodze?

- Pozwól, że o coś spytam. Ile razy w ciągu ostatnich pięciu lat rozbiłaś auto?

Nieruchomieję.

- Parę razy. W granicach średniej krajowej. Tom Bronte uśmiecha się z satysfakcją.

- No widzisz, a ja jeżdżę motocyklem od dziewiętnastego roku życia i nigdy nie miałem nawet stłuczki. Póki ty o mało mnie nie zabiłaś.

- Przesadzasz, nic ci się nie stało - pryham.

Nagle dostrzegam Jess. Idzie w moją stronę z zatroskaną miną. Odwracam się do Toma. Na jego twarzy ciągle widać triumfujący uśmiezek.

- Muszę już iść. Do widzenia - rzucam szorstko i ruszam na spotkanie Jess.

- Do zobaczenia na następnym treningu! - woła za mną z udawaną radością.

- Nie będzie następnego treningu! - odkrzykuję, oglądając się przez ramię. - Przynajmniej dla mnie.

- Naprawdę? Jaka szkoda! Nikt przedtem u nas nie wymiotował. Od dawna nie mieliśmy tu żadnych atrakcji.

Rozdział 11

Buty mojego księgowego straszą wytartym brązowym zamszem, zdeptanymi noskami i sznurowadłami, które wyglądają jak przeżute przez chomika.

Nie mam nic przeciwko ludziom swobodnie korzystającym z prawa do noszenia zniszczonych butów. Sama trzymam w szafce stare japonki, z którymi nie mogę się rozstać. Towarzyszyły mi wszędzie, od plaż Goa po ogródek mojego dziadka. Jednak buty, w których paraduje Egor Brown z ACA uruchamiają w mojej głowie dzwonek alarmowy. Czy dobrzy księgowi nie powinni spać na pieniądzach i nosić najlepszych butów na świecie? Na usprawiedliwienie Egora powiem, że dopiero w zeszłym roku zrobił dyplom. Może za pięć lat zobaczę go w butach od Gucciego.

Sięgam po herbatnika i krzywię się z bólu. Od treningu w klubie minęły już trzy dni, a ja ciągle chodzę połamana. Uda mam sztywne jak kołki.

- Sprawy mają się dobrze, Abby - mówi Egor, poprawiając okulary. Siedzimy w wynajętej salce konferencyjnej na ostatnim piętrze naszego budynku. Nie uchodzi mojej uwadze, że - w przeciwieństwie do naszego biura - była odnawiana całkiem niedawno.

- Miałaś do odzyskania wysokie koszty początkowe, a teraz masz na liście płac czterech pracowników. Rośnie liczba klientów i rosną obroty twojej firmy.

- Dzięki, Egorze. To wspaniałe wieści.

- Biznesplan, jaki przygotowaliśmy na początku roku, nie wymaga żadnej korekty. Jeśli utrzymasz dotychczasowe tempo, na koniec roku będziesz miała około dwustu tysięcy obrotu i zysk wysokości siedmiu tysięcy.

- Siedem tysięcy funtów zysku - powtarzam rozmarzona. - Kiedy mogę się spodziewać zasłużonej emerytury na Bahamach?

W moim głosie pobrzmiewa nutka sarkazmu, ale siedem tysięcy funtów - z pozoru niezbyt imponująca kwota - to dla mnie wielka sprawa, ponieważ oznacza zysk, czyli moje pieniądze, chociaż będę się musiała podzielić nimi z fiskusem. Myśl o tej nieprzyjemnej powinności na razie do siebie odsuwam.

- Na to musisz jeszcze trochę poczekać - śmieje się Egor. - Ale wypracowanie zysku na tak wczesnym etapie działania firmy to sukces, Abby. Na razie nie dzielimy skóry na niedźwiedziu, dobrze?

Pomijając buty, Egor jest uroczy. I mówię tak nie tylko dlatego, że dzięki niemu nie muszę zajmować się cyferkami, od dokumentów dotyczących zwrotu podatku VAT po przygotowanie bilansu kwartalnego, czego szczerze nie znoszę.

Już na początku działalności postanowiłam zatrudnić pracującego na własny rachunek księgowego oraz agencję pilnującą regularnych wypłat. W przeciwnym wypadku nikt nie otrzymałby wynagrodzenia, ze mną włącznie.

- Miło mi to słyszeć - mówię - ponieważ poziom przekroczenia stanu konta budzi moje przerażenie.

- Dziesięć tysięcy funtów to zupełnie normalna kwota dla takiej firmy jak twoja - pociesza mnie Egor. - Firmy rozpoczynające działalność nie mogą funkcjonować bez przekroczenia stanu konta. Przez większość miesiąca utrzymujesz się na plusie. Debet powstaje pod koniec miesiąca, gdy trzeba zapłacić pracownikom, a czekamy na płatności od klientów. To zupełnie normalne.

Dzwoni moja komórka. Przepraszam Egora, wyjmuję telefon z torebki i rzucam okiem na numer.

- O nie - jęczę, a potem wciskam przycisk „odrzuć”.

Poznaję ten numer. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dzwonili do mnie trzy razy i zostawili dwie wiadomości. Moja firma ubezpieczeniowa. Byłam zbyt zajęta, żeby oddzwonić.

- Wziąwszy pod uwagę moje nastawienie do tej strony biznesu, nasze dzisiejsze spotkanie było bezbolesne. Dziękuję ci, Egorze. - Wstaję z krzesła.

- Jeszcze chwila, Abby.

Nieruchomieję na chwilę i siadam, analizując zmieniony wyraz twarzy Egora. Podskórnym wyczuwam jakiś problem.

- Wiem, że nie lubisz papierkowej roboty - zaczyna ostrożnie - ale pewnych rzeczy nie możesz uniknąć. Musisz pilnować swoich faktur.

- Wysyłam je na czas - oponuję słabo.

- Problem w tym, że nie wszyscy płacą na czas, prawda? Spójrz na firmę Preciseco, tych od mechaniki precyzyjnej. Nigdy nie płacą wcześniej niż sześć dni po przesłaniu im faktury.

- Mnie też to denerwuje - mówię.

- Nie chcę nikogo atakować, po prostu uczulam cię na tę sprawę. Opóźnione płatności to dopust boży dla małego biznesu. Musisz pilnować każdego rachunku. Jeśli klient spóźnia się z należnością choćby jeden dzień, wyślij mu uprzejme przypomnienie. To zwykle działa. Jeśli nie zadziała, znów im przypomnij. I rób to do skutku, póki nie zapłacą.

- Dobrze, będę to robiła. Chociaż zaznaczam, że nie wszyscy moi klienci spóźniają się z płatnościami. Diggles na przykład zawsze płacą w ciągu siedmiu dni.

- Ach tak, twoja ukochana sieć sklepów ogrodniczych. Są świetni. Jeśli nawiążesz współpracę z siedmioma takimi sieciami, które płacą przed terminem, już w przyszłym roku zostaniesz milionerką. A na razie wypróbuj moją metodę.

- Czasem straszny z ciebie despota, Egorze - wzdycham. - A ja się łudziłam, że jesteś inny niż reszta księgowych.

- Jestem taki sam jak oni, Abby. - Sięga po ostatnie ciasteczko i zjada je z apetytem. - Pyszne. Mam nadzieję, że nie były drogie.

Rozdział 12

Gdyby nie to, że po treningu poruszam się krokiem przepracowanej aktorki filmów porno, wbiegłabym do biura w podskokach. Egor nie powiedział niczego, czego sama bym nie wiedziała, jednak miło słyszeć, że moja firma ma się dobrze.

- Dzień dobry, Abby. - Priya się uśmiecha. - jak leci?

- Dobrze, dzięki. A co u ciebie? Jak nastrój po rozstaniu z ... jak mu tam?

- Karl. Nastrój? Bardzo dobry. Poznałam kogoś.

- Szybka jesteś - wtrąca Matt. Priya rzuca w niego bloczkiem karteczek samoprzylepnych.

- Ma na imię Richard, i jest bardzo miły - oznajmia dumnie. - Pracuje jako przedstawiciel handlowy.

- Sprzedaje szczoteczki do zębów - informuje Matt. Priya mruży oczy.

- Masz coś przeciwko szczoteczkom do zębów?

- Absolutnie nic. Wszyscy ich potrzebują. Wszyscy potrzebują zębów.

- Właśnie!

- Założę się, że randka będzie bardzo higieniczna - dodaje Matt.

- Twoje kalambury śmieszą mnie coraz mniej - wzdygam. - Lepiej powiedz, nad czym teraz pracujesz.

- Nad nową stroną dla Spring - informuje Matt. Spring to sieć modnych delikatesów, nasz najnowszy klient. - Co o niej sądzisz?

Podchodzę do biurka i zaglądam Mattowi przez ramię.

- Fantastyczne, bardzo mi się podoba, chociaż wybrałabym inną czcionkę. Może ta... - Pochylam się i klikam parę razy myszką. Nagle coś zwraca moją uwagę. - A gdzie Heidi? - pytam.

- Dzwoniła, że jest chora - mówi Priya. - Wysłała ci e-mail. Myślała, że odbierzesz go na swoim smartfonie.

- Dostaję za dużo e-maili, żeby je czytać, kiedy jestem na spotkaniach. Smartfon się marnuje, ale w przeciwnym wypadku nie mogłabym się od niego odkleić przez cały dzień.

Siadam i przeglądam pocztę. Wreszcie widzę e-mail wysłany z prywatnego adresu Heidi.

Cześć, Abby

Wiem, że późno Cię o to proszę, ale czy znajdziesz dziś czas na kawę ze mną? Priya zajrzała do biurowego terminarza i powiedziała, że o 15:00 masz okienko. Możemy się spotkać w Delifonseca? Heidi

Jęczę głośno, bez skrępowania. Moi pracownicy przyzwyczaili się do moich spontanicznych reakcji podczas czytania e-maili i dopisywania nowych pozycji do listy spraw do załatwienia, dlatego w ogóle nie reagują.

Rzeczywiście mam dziś okienko (jedyne) o piętnastej, tyle że po rozmowie z Egorem chciałam je wykorzystać na ponaglenie klientów spóźniających się z zapłatą. Mam złe przeczucia co do spotkania z Heidi. Moje obawy, że skusi ją inna firma, nagle zyskują realny wymiar.

Już mam odejść od komputera, gdy pojawia się kolejny e-mail. Na widok adresu tom.bronte@caroandco.com czuję ucisk w żołądku. Zaczynam czytać.

Abby

(cmokam z niezadowoleniem, spodziewając się jakichś poufałości)
Postscriptum do naszego wypadku: mam pełne ubezpieczenie, więc firma zgodziła się pokryć rachunek za naprawę motocykla. Jest tylko jedno

ale: za pośrednictwem infolinii rozmawiałem z przemiłą, lecz udręczoną kobietą o imieniu Joan. Joan za miesiąc odchodzi na emeryturę, by pomóc w opiece nad swoją niedawno narodzoną wnuczką Lexi, której nigdy nie widziałem, a o której wiem wszystko, począwszy od pory ostatniego karmienia po metodę jej matki na uśmierzenie bólu porodowego.

Uśmiecham się pod nosem.

Joan przepracowała w tej firmie czterdzieści lat i pragnie zakończyć karierę zawodową pozytywnym akcentem. Niestety, na przeszkodzie temu stoi moja sprawa. Wygląda na to, że kiedy winę ponosi ktoś inny niż właściciel polisy, firma będzie się domagać zwrotu kosztów szkody od firmy, w której sprawca szkody ma polisę.

Jest jednak pewien problem: twoja firma ubezpieczeniowa twierdzi, że nie dotarła do niej żadna informacja o wypadku i że nie udało im się z tobą skontaktować. W związku z tym Joan znalazła się na skraju załamania nerwowego, a ja pójdę w jej ślady, jeśli nie przestanie do mnie wydzwaniać. Oboje będziemy Ci bardzo wdzięczni, jeśli odezwiesz się do swojego ubezpieczyciela.

Mam nadzieję, że przemyślałaś sprawę powrotu do Klubu Biegacza.

Uwaga o wymiotowaniu to był żart. To się zdarza ciągle.

Tom

Krew odpływa mi z twarzy. Mój agent ubezpieczeniowy zostawił mi mnóstwo wiadomości. Nie miałam czasu, żeby do niego oddzwonić. Spoglądam na zegarek i wciskam klawisz „odpowiedz”.

Drogi Tomie,

Skontaktuję się w moim agentem, poinformuj więc Joan, że wkrótce będzie mogła zamknąć tę sprawę i resztę życia poświęcić małej Lucy czy jak jej tam.

Nie oznacza to jednak, że przyznaję się do spowodowania wypadku. Powtarzam jeszcze raz: to nasi ubezpieczyciele zdecydują o winie i jeśli

po decyzji korzystnej dla mnie, Joan z powodu załamania nerwowego wyląduje w klinice Priory, to bardzo mi przykro, ale nic na to nie poradzę.

Nie zmieniłam zdania w sprawie Klubu Biegacza. Są ludzie, którzy po prostu nie nadają się do takich wyczynów i ja się do nich zaliczam. Tylko bym wam przeszkadzała. Poza tym wiem, że kłamałeś w kwestii wymiotowania. Abby

Przed piętnastą jestem już wykończona bieganiną ze spotkania na spotkaniu. Nie miałam czasu na złapanie oddechu, nie mówiąc o odpowiadaniu na telefony (włączywszy kolejny telefon z firmy ubezpieczeniowej).

Drobna korekta. Słowo „bieganina” niezbyt precyzyjnie oddaje naturę mojego ruchu, który przypomina raczej szaleńczo szybkie kuśtykanie. Przypuszczam, że po mojej nieudanej próbie treningu biegowego miną trzy tygodnie, zanim będę mogła bez bólu założyć skarpetki.

Kiedy docieram do kafejki, Heidi już tam czeka. Siedzi w rogu z filiżanką herbaty w ręku. Choć w e-mailu nie wspomniała o wolnym dniu z powodu złego samopoczucia, uderza mnie jej mizerny wygląd. Z dwojga złego lepsze to niż ulotnienie się z firmy z powodu lepszej oferty.

- Cześć, Heidi - mówię, wyciszając telefon. - Dobrze się czujesz? Podnosi wzrok i potakuje, potem otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale milczy.

- Co się stało? - pytam zakłopotana. - Ulewa cię złapała? Po przyjeździe do pracy Priya wyglądała jak zmokła kura. Taka pogoda powinna być w lipcu zakazana.

- Nie - odpowiada z trudem.

Czekam, dając jej możliwość wyjaśnienia, po co mnie tu ściągnęła. W tej pełnej napięcia chwili kotłują mi się w głowie rozmaite myśli. Zbliżający się wielkimi krokami termin złożenia oferty dla NHS, nowa strona internetowa dla Spring, cztery zaległe faktury, o których pamiętam od rozmowy z Egorem.

- O czym chciałaś ze mną rozmawiać, Heidi?

Dopiero teraz dostrzegam, że ma zaczerwienione oczy. Chyba już wiem, co usłyszę. Heidi chce odejść. Stracę moją pierwszą pracownicę.

Przez ułamek sekundy miotają mną sprzeczne uczucia. Niby dlaczego Heidi miałyby nadal chcieć dla mnie pracować? Z drugiej strony, coś się we mnie burzy. Niech odchodzi, mnie to nie rusza!

- Jestem chora - oznajmia Heidi.

- A tak, Priya mówiła, że dzwoniłaś w tej sprawie. Co ci jest? - Nagle zadaję sobie w duchu pytanie, czy jest jakaś mało znana europejska ustawa, która zabrania mi - jako pracodawcy Heidi - wściubiania nosa w takie sprawy. - Nie musisz mówisz, jeśli nie chcesz - dodaję przezornie.

- Wiesz co, Abby? Nie znoszę chorować, nienawidzę nawet zwykłego przeziębienia - mówi z dziwnym, poważnym uśmiechem. - Wściekam się, kiedy muszę kichnąć. Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż chorowanie. Rozumiesz mnie, prawda?

- Oczywiście. - Zgadzam się z Heidi całkowicie. Nie dziwi mnie, że ktoś tak ambitny jak ona ma takie podejście. Niepokoi mnie jednak sposób, w jaki o tym mówi.

- Tyle że to coś więcej niż przeziębienie - dodaje, głośno przetykając ślinę.

Te słowa mrożą mi krew w żyłach. Nie mam pojęcia, co usłyszę, lecz coś w jej twarzy i głosie mówi mi, że nie będą to dobre wiadomości.

- Ostatecznie potwierdziło się wczoraj - ciągnie beznamyślnie Heidi -choć mój lekarz i ja podejrzewaliśmy to od jakiegoś czasu.

- Co? - pytam szeptem.

- Wybacz, że tak nieskładnie gadam.

- Heidi - ponagliam ją, choć przestało mi się spieszyć.

Patrzy mi w oczy i przetyka ślinę, jakby coś utkwilo jej w gardle.

- Mam stwardnienie rozsiane.

Rozdział 13

Żyjemy w czasach, w których mało co szokuje. Nowinki zasłyszane w kiosku na rogu nie przekładają się na nagłówki w gazetach, a słowa, które prowokowały nasze babcie do omdleń, nie robią na nas wrażenia.

Siedzę naprzeciwko Heidi i próbuję przetrwać to, co przed chwilą powiedziała. Świat wokół przestaje istnieć, widzę tylko jej ładną twarz. I jestem wstrząśnięta.

- Stwardnienie rozsiane? - powtarzam. Heidi upija łyk herbaty.

- Nie spodziewałaś się tego, prawda? W milczeniu kręcę głową.

- Nie przejmuj się, nie ty jedna. Kiedy masz dwadzieścia trzy lata i mówisz ludziom, że jesteś chora, dlaczego mieliby spodziewać się czegoś gorszego niż grypa? - Prawie się uśmiecha. - Teraz nie miałabym nic przeciwko grypie, wierz mi.

Pojawia się kelnerka i zabiera pustą filiżankę.

- Przepraszam, nie zaproponowałam ci kawy. Masz ochotę na cappuccino? - pyta Heidi, wstając z krzesła. Łapię ją za łokieć i łagodnie popycham, by usiadła.

- Mów do mnie, Heidi - proszę.

Kiwa głową, bawiąc się pustym opakowaniem po słodziku.

- Wiesz, co to jest stwardnienie rozsiane, Abby?

- Uhm, niezupełnie. - Odchrząkuję. Coś wiem, przyjaciel moich rodziców na to chorował. Chodził o kulach... Dawno go nie widziałam.

To prawda, nie widziałam Damiana od piętnastu lat. Już wtedy był w złym stanie. Słyszałam, że od tamtego czasu bardzo mu się pogorszyło. Nie może już poruszać się bez kul, a jego mowa stała się zupełnie niezrozumiała. Jako dwudziestokilkulatek był zapalonym piłkarzem i nauczycielem. Nie mówię tego głośno, lecz z miny Heidi wnioskuję, że wie, o czym myślę.

- Stwardnienie rozsiane to choroba autoimmunologiczna atakująca system nerwowy - wyjaśnia spokojnie i rzeczowo. Tak samo zachowywała się podczas ważnych prezentacji, na które zabierałam ją jako wsparcie. -Najczęściej zapadają na nią kobiety między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Jak ja.

- Na ile to poważna choroba?

- Nie jest śmiertelna. Na ogół. Przez kilka lat po diagnozie ludzie prowadzą względnie normalne życie. Na przykład pracują. Przynajmniej na początku.

- To dobrze - mówię, czepiając się tych słów - ponieważ nie mogę sobie pozwolić na utratę kogoś tak utalentowanego jak ty.

Heidi zagryza wargi.

- Mogą pojawić się różne objawy, które... ujmując to delikatnie, nie są zbyt przyjemne. Spastyczność, ból, problemy ze wzrokiem, problemy z przyswajaniem informacji, zmęczenie. To tylko kilka z nich.

- Ale nie wszyscy je mają?

- Każdy przypadek stwardnienia jest inny. Nie sposób przewidzieć, jakie wystąpią objawy. To raczej niespotykane, żeby u jednego człowieka pojawiły się wszystkie. Pewne jest tylko to, że z czasem stan się pogarsza.

- Można to leczyć?

- Są leki spowalniające rozwój choroby i pozwalające ją kontrolować. Koszmar polega na tym, że stwardnienia rozsianego nie można wyleczyć.

Czuję, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak czuła się Heidi, gdy się o tym dowiedziała.

- U niektórych choroba przebiega łagodniej. Czepiam się tej myśli jak koła ratunkowego. Staram się jak cholera. Tyle że lekarze nie potrafią

przewidzieć, jak to się wszystko rozwinie. Nie wiem, czy skończę na wózku inwalidzkim, czy z lekkim niedowładem lewej stopy.

Rzucam okiem na jej palce, którymi powoli składa i rozkłada puste opakowanie po słodziku. - Wydajesz się niewiarygodnie spokojna, Heidi.

Oddycha głęboko.

- Mimo że dopiero co potwierdzili diagnozę, kłopoty zaczęły się wcześniej. Miałam czas, by oswoić się z tą myślą.

- Od kiedy to trwa?

- Parę lat temu straciłam czucie w stopie. Minęło, ale po jakimś czasie wróciło razem z zaburzeniami widzenia. Znowu minęło i wróciło, tym razem z mrowieniem w nodze. Od początku zeszłego roku przechodziłam badania, ale stwardnienie rozsiane trudno zdiagnozować.

- To musiało być straszne.

- Dziwne, ale wiedząc, co mi jest, czuję ulgę. Brzmi niedorzecznie, prawda? Być nieuleczalnie chorą i czuć ulgę. Pierwszy raz od dawna nie muszę gubić się w domysłach. Wreszcie wiem, czego się trzymać.

Heidi nie dramatyzuje, jest rzeczowa i opanowana. Imponuje mi. I wtedy widzę, jak drży jej warga, a w jej oczach pojawiają się łzy.

- Co ja zrobię, Abby? - pyta. - Nie jestem na to gotowa. Jestem za młoda. Co ja zrobię?

- Heidi, tak mi przykro - szepczę i czuję, że mnie też pieką oczy. - Nie jesteś sama, pomożemy ci.

Nie brzmi to specjalnie przekonująco. Co ja, Abby Rogers, wiem o prawdziwych problemach? Czy permanentny stres, w jakim żyję, można porównać z takim dramatem?

Heidi podnosi wzrok. Jest blada jak ściana.

- Boję się, Abby.

Ściskam jej rękę i szukam odpowiednich słów. Ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Rozdział 14

Moje kłopoty z autem bledną w porównaniu z wieściami od Heidi. Wszystko blednie w obliczu jej dramatu.

Kiedy więc w sobotę rano zbieram się w sobie, by skontaktować się z firmą ubezpieczeniową i wreszcie położyć kres cierpieniom Toma, Joan i małej Lydii - czy jak jej tam - jestem spokojna.

Potem czekam na ich opinię. Przekazuje mi ją Jimmy z telefonicznego centrum obsługi klienta. Jego akcent zdradza pochodzenie z okolic Newcastle. Jimmy jest przyjacielski i uprzejmy, chociaż musiałby mieć umiejętności oratorskie samego Cycerona, by złagodzić cios. Jeśli ubezpieczyciel Toma wykaże, że to ja zawiniłam, wysokość mojej przyszłorocznej składki ubezpieczeniowej wzrośnie tak bardzo, że pozostaną mi jedynie publiczne środki transportu. Wprawdzie skorzysta na tym nasze środowisko, lecz dla mnie będzie to równie niepraktyczne, jak klapki zamiast butów narciarskich.

Brnę przez błotniste pole ku Jess i jej dzieciom. Docieram akurat w chwili, w której potężny koń pociągowy z hałasem wydała stosowną do swoich gabarytów zawartość jelit.

Jesteśmy na farmie. Fascynujące miejsce, pod warunkiem, że ma się kilka lat. Powietrze jest przesiąknięte zapachem kóz. Przez ostatnie półtorej godziny mżyło.

- Co to za choroba to stwardnienie rozsiane? - pyta Jess, pchając przez błoto wózek z Lolą. - Właściwie nic o niej nie wiem.

Od rozmowy z Heidi minęły trzy dni, a ja ciągle nie mogę się otrząsnąć. Dwudziestotrzyletnie kobiety nie powinny zapadać na nieuleczalne choroby. Czasem jednak los decyduje inaczej.

- To rozpad osłonki włókien nerwowych - wyjaśniam. Przez półtora dnia przeczytałam o tym tyle, że mogłabym zostać redaktorką „Neurology Weekly”. - Upośledza przepływ impulsów z mózgu do innych części ciała. U większości chorych są okresy zaostrzeń i poprawy. Z wiekiem symptomy się nasilają, ale u każdego przebiega to inaczej. U niektórych łagodniej, u innych ostrzej. Nie sposób tego przewidzieć. To kwestia szczęścia.

Mijamy krowę, która ryczy donośnie. Przerażona Lola jest bliska płaczu.

- Nie bój się, skarbie - uspokaja ją Jess, wkładając jej smoczek do buzi. - Więc nie wiadomo, czy Heidi ma łagodną czy ostrą postać choroby?

- Jeszcze nie. Chociaż jest jedna dobra wiadomość: ludzie z mniejszymi zmianami w mózgu mają się lepiej. Jak dotąd u Heidi wykryto tylko jedną zmianę, ale nie ma żadnej pewności, że nie pojawią się następne.

Zmierzamy do kawiarenki. Zbliża się południe, trzeba nakarmić Lolę. Jeśli mała nie zje punktualnie lunchu, dostanie takiego napadu złości, że sama Mariah Carey może się schować. Dla Jamiego jest kanapka, a ja nie mogę oprzeć się pokusie i kupuję dla naszej czwórki czekoladowe babeczki z kolorowymi smarties.

- To ciastka dla dzieci - uśmiecha się Jess, siadając przy stoliku.

- Wracam do beztróskich czasów dzieciństwa. Co u Adama? - Od lat tym pytaniem o męża Jess sprawiam wrażenie, że darzę go sympatią.

- Wszystko w porządku - odpowiada moja przyjaciółka ze smutną miną, wyjmując Lolę z wózka i sadzając ją na wysokim krzeselku. - Jak zwykle. Ściągam brwi. Wyczuwam, że coś jest nie tak.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic - odpowiada z niewinną miną. - Absolutnie nic. Adam ma się... dobrze. To wszystko.

- Mamusiu - mówi Jamie po pierwszym kęsie kanapki - ja tego nie chcę. Smakuje jak szynka.

- Bo to jest szynka - informuje go Jess.

- Ja nie lubię szynki.

- Od kiedy? Zawsze lubiłeś.

- Teraz lubię kurczaka.

- Mieli kanapki z kurczakiem, ale ty wybrałaś z szynką. Wybrałaś szynkę, bo ją lubisz.

- Już nie.

- Obawiam się, że będziesz musiał to zjeść, Jamie. Mnóstwo dzieci na świecie głoduje, a ty wybrzydzasz.

Jamie spogląda na nią smutnymi oczami.

- Mogą wziąć moją kanapkę.

Przez dziesięć następnych minut Jamie rozkłada swój lunch na czynniki pierwsze, poddając jego składniki szczegółowej analizie. W końcu Jess kapituluje i pozwala mu pobiec na boisko, a sama kończy karmić Lolę.

- Co miałaś na myśli, mówiąc o Adamie? - pytam, gdy Jamie nie może nas już usłyszeć. - Jakoś dziwnie to zabrzmiało.

- Tak to odebrałaś? - Jess wyciera Loli buzię. - Nie miałam na myśli niczego szczególnego. Naprawdę.

Rzucam jej gniewne spojrzenie.

- Niech ci będzie - poddaję się.

- Hm... mogę cię o coś zapytać?

- Wal - odpowiadam, wrzucając do ust kawałek ciastka.

- Czy uważasz Adama i mnie za dobraną parę? Krztuszę się okruciami i zaczynam kasłać.

- Oczywiście - udaje mi się wykrztusić.

- Nie jesteś zbyt przekonująca - mówi urażona Jess.

- Naprawdę - zapewniam ją. Jess zawsze była zagorzałą rzeczniczką Adama, przekonując wszystkich, że to najbardziej inteligentny, dowcipny i dobry mężczyzna, jakiego zna. Ja w nim tych cech nie dostrzegam, ale są rzeczy, których nie mówi się nawet najlepszej przyjaciółce.

Mimo tak otwartego wychwalania męża, Jess pozostaje skryta i nie mówi o tym, co czuje. Nie mam wątpliwości, że to jedna z wielu konsekwencji jej poplątanego dzieciństwa.

Jess i jej młodszą siostrę Sarah wychowywała surowa matka, która nigdy nie okazywała córkom czułości, podczas gdy ich bardziej wylewny

ojciec wiecznie uciekał w swoje ulubione zajęcie: uganianie się za spódniczkami.

Mimo jego łajdactw, jakaś cząstka Jess uwielbiała ojca. Pod pewnym względem Jess jest jego dokładną kopią.

Zanim spotkała Adama, miała ogromne trudności z zaangażowaniem się w stały związek. Marzyła o nim, lecz nic z tego nie wychodziło. Każda relacja z mężczyzną kończyła się zawsze tak samo - Jess go zdradzała.

Gdy matka zmarła na raka piersi, Jess podjęła niezłomne postanowienie, że zmieni swoje postępowanie. Kochała ojca, ale nie chciała być do niego podobna. Pragnęła stabilizacji, monogamii i rodziny. I Adam jej to wszystko dał.

Nadal jednak nie daje mi spokoju myśl, że wybrała go bardziej ze względu na to niż dlatego, że szczerze go pokochała. Umocniłam się w tym przekonaniu, gdy kilka lat temu podczas wieczoru na mieście wyjawiała mi po kilku drinkach, że nigdy nie wyznała Adamowi miłości.

Teraz przygląda mi się uważnie, jakby czytała w moich myślach.

- Wcale nie uważasz nas za dobraną parę, prawda? - pyta.

- To zależy, co masz na myśli, mówiąc „dobrana para” - zaczynam dyplomatycznie. - Pod pewnymi względami się różnicie, ale wielu ludzi sądzi, że różnice są czymś pozytywnym. No wiesz, przeciwieństwa się przyciągają.

- Jesteśmy przeciwieństwami? - pyta, jakby to była dla niej nowość.

- Hm, ty jesteś inteligentna, towarzyska i pełna życia, a Adam...

- Co Adam?

- Adam jest inteligentny i... - Odgryzam kęs ciastka. Jess postanawia zmienić temat:

- Rozważałaś powrót do Klubu Biegacza? O mało się nie dławię.

- Jess, chyba oszalałaś. Pojawiłam się tam ubrana jak żebraczka, wlokłam się na końcu, a potem zwymiotowałam na oczach członka klubu, z którym, jakby tego było mało, toczę spór o ubezpieczenie.

Jess wybucha śmiechem.

- Czasem masz skłonność do przesady. Nie jest tak źle, jak to przedstawiasz. Przynajmniej nie zwymiotowałaś przy Doktorze Ciachu.

- Jeśli tylko tyle dobrego możesz powiedzieć o całej sytuacji, to strzeż mnie Panie Boże. Czy Doktorek mówił coś o mnie?

- Uhm... tak.

- Kłamczucha.

- Nie kłamię. Pytał, czy wracasz do klubu. Powiedziałam, że raczej nie.

- Dlaczego tak powiedziałaś?

Jess patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Bo przez pięć dni ciągle to od ciebie słyszałam. Zagryzam wargi.

- W porządku. Chciałabym jeszcze go zobaczyć, ale nie chcę, żeby trzeba było z tej okazji biegać. Nie możesz znów urządzić jakiejś kolacyjki?

- Przykro mi, ale przez kilka następnych miesięcy mamy zajęte weekendy. Nie urwij mi za to głowy, ale dlaczego nie posłuchasz mojej poprzedniej sugestii? Popraw trochę kondycję i wtedy dołącz do klubu. Dla ciebie ten poniedziałek był katastrofą, ponieważ dołączyłaś do ludzi bardziej wytrenowanych od ciebie. Byłaś wykończona, a to przecież żaden wstyd. Członkowie klubu biegają od lat.

- No i dobrze! A ja po powrocie do domu postanowiłam zamówić samobieżny fotelik do wchodzenia po schodach.

- Daj spokój, Abby. Zaczynij jeszcze raz. Tym razem pobiegnij w grupie wolnej. Poza tym - dodaje znacząco - jestem pewna, że jeśli ładnie poprosisz, Doktor Ciacho pomoże ci w rozgrzewce.

Jess wie, jak mnie przekonać. W drodze do domu myślę tylko o doktorku i jego sprężystym ciele w stroju do biegania. Odsuwam od siebie tę myśl, siadając przed komputerem. Z ociąganiem piszę e-mail.

Drogi Tomie,

w trosce o resztki zdrowia psychicznego Joan mam pewną propozycję. O ile to nadal nie oznacza, że biorę na siebie całą winę za nasz mały wypadek, o tyle nie mam wątpliwości, że sprawy bardzo się skomplikują, jeśli włączą się w to nasze firmy ubezpieczeniowe.

Dlatego chciałabym zachować się honorowo i zapłacić za szkodę, jeśli nie jest jeszcze za późno. Czy mógłbyś zadzwonić do Joan i poinformować ją, że Twoja sprawa o odszkodowanie jest już nieaktualna? Jeśli podasz mi swój adres, prześlę Ci czek. Dziękuję.
Abby

Wciskając klawisz „wyślij”, czuję ucisk w gardle. Tysiąc funtów. Wchodzę na swoje konto internetowe i sprawdzam stan oszczędności, które na własny użytek nazywam funduszem australijskim.

Przez lata odkładałam pieniądze na podróż do Sydney do cioci Steph. Nie widziałam młodszej siostry mamy od bardzo dawna, ale regularnie pisze do mnie e-maile i zaprasza do siebie.

Mama nigdy nie była z nią blisko. Nic dziwnego, skoro od początku bardzo się różniły. Wystarczy obejrzyć stare zdjęcia.

Na jednym z nich siostry stoją przed swoim szeregowcem w Anfield. Mama umalowana szminką i owinięta pierzastym boa, podczas gdy mała Steph - wtedy siedmioletnia - patrzy poważnie w obiektyw szeroko otwartymi oczami. Można odnieść wrażenie, że już wtedy zaakceptowała swoje przeznaczenie, czyli życie w cieniu mamy.

To jeden z powodów, dla których zawsze chciałam odwiedzić ciocię Steph. Nie założyła rodziny, nigdy nie wyszła za mąż. Można było odnieść wrażenie, że stała się kimś nieistotnym w naszym życiu. Mama nie doprowadziła do tego specjalnie, mimo to cała sytuacja wydaje się niezręczna.

Ciągle powtarzałam sobie, że jeśli poczucie atmosfery plaży Bondi oznacza konieczność sięgnięcia po bikini, to tym lepiej. Tyle że dziś ta perspektywa oddali się ode mnie na długo.

Klikam na „saldo” i widzę kwotę: tysiąc trzydzieści sześć funtów.

- Świetnie - mruczę. Po zapłaceniu Tomowi zostanie mi trzydzieści sześć funtów.

Przy takim tempie gromadzenia środków na podróż nie będę już potrzebowała bikini na plażę Bondi, ponieważ wystąpię w kostiumie kąpielowym z katalogu dla kobiet pięćdziesiąt plus.

Rozdział 15

- Administracja budynku znów przystąpiła do ofensywy - oznajmia Heidi, podnosząc najnowsze pismo wrzucone do naszego biura przez otwór w drzwiach.

- Co znowu nabroiliśmy? - pyta Matt. - Chyba nic nie przebije toster? Heidi odchrząkuje i zaczyna czytać:

Dyrektor Administracyjny Budynku zwrócił uwagę, że Niektórzy Pracownicy Pewnych Firm notorycznie zapominają o przynoszeniu do pracy swoich Kart Magnetycznych i oczekują, że mimo to zostaną wpuszczeni do budynku. Administracja przypomina Pracownikom Wszystkich Firm mających siedzibę w budynku, że Nikt nie wejdzie do środka bez ważnej Karty Magnetycznej. Nie należy oczekiwać od pracowników Administracji Budynku, że będą wpuszczali do środka zapominalskich, ponieważ w zakres ich obowiązków wchodzi o wiele ważniejsze sprawy. W tym procederze celuje Pewna Firma z Czwartego Piętra. Podpisano - Dyrektor Administracyjny Budynku.

- Ale z nas rozrabiaki - mówię.

- I ty nazywasz się szefową firmy? Nawet nie potwierdziłaś ważności naszych kart magnetycznych - komentuje żartobliwie Heidi.

Nie wiem, czego się spodziewałam po Heidi tydzień po naszej rozmowie o jej chorobie, pierwszego dnia po jej powrocie do pracy, ale na pewno nie tego. Nie ma łez, nie ma tragedii. Heidi jest tą samą dziewczyną, jaką była przed diagnozą.

- Czuję się zupełnie normalnie - informuje Priyę i mnie w piątek w damskiej łazience w porze lunchu. - Nie mam żadnych objawów,

przynajmniej w tej chwili. Poza tym ulżyło mi, kiedy powiedziałam wam o chorobie. Okazaliście mi większe wsparcie, niż się spodziewałam.

- W takim razie miałaś niewielkie oczekiwania - zauważam, a ona wybucha śmiechem.

Nie potrafimy z Priyą powiedzieć, czy to tylko maska i czy Heidi po prostu dobrze ukrywa swoje przerażenie. W tej chwili wszyscy wydają się bardziej przerażeni od niej, zerkają na nią co chwila, sprawdzając, czy nie dzieje się nic złego, i uważnie dobierają słowa.

Chociaż w tym tygodniu nie wydarzyło się w firmie nic nowego, czuję potrzebę zaproszenia zespołu na drinka. Punktualnie o siedemnastej odrywam ich od komputerów i jako szefowa nakazuję wyjście do nowego eleganckiego hotelu, który otwarto w pobliżu naszego biura.

Porządkowanie spraw przed wyjściem zajmuje mi pół godziny. Siadam przed komputerem, pochłaniając gigantyczną kanapkę, którą zapomniałam zjeść na lunch. Kiedy wyrzucam puste opakowanie do kosza, dostrzegam jego wstydliwą zawartość: puste torebki po czipsach, papierki po czekoladkach i trójkątne opakowania po kanapkach w liczbie wystarczającej do wzniesienia plastikowej repliki Luwru.

Wracam do poczty. Wśród e-maili jest jeden od Toma, wysłany dziś rano.

Droga Abby,

przepraszam, że odpisuję z opóźnieniem, ale przez ostatnie dni byłem na wyjeździe służbowym za granicą. To po pierwsze. Po drugie, chcę ci pogratulować. Dokonałaś rzeczy niemożliwej, wpędziłaś mnie w poczucie winy w związku z motocyklem. Zważywszy okoliczności, nie mam pojęcia, jak ci się to udało. Jeśli rzeczywiście nie chcesz obciążać swojego towarzystwa ubezpieczeniowego i postanowiłaś sama ponieść koszty naprawy, to nie mam nic przeciwko temu. Zadzwońię do Joan i przekażę jej dobre wieści. Nie wątpię, że postanowi uczyć tę okazję ekskluzywnym - choć w rozsądnej cenie - winem gruszkowym, które trzyma na okoliczność odejścia z firmy na zasłużoną emeryturę. Serdecznie pozdrawiam.

Tom

Wyłączam komputer i idę do łazienki popracować nad wyglądem, a tam natykam się na stojące przed lustrem trzy dziewczyny z kancelarii adwokackiej mającej siedzibę piętro wyżej. Nastawiały przy urny walkach tyle kosmetyków do makijażu i do włosów, że zamieniły ponure szare wnętrza w salon kosmetyczny.

Wciskam się w szczelinę przy suszarce do rąk, która reaguje na ruch i uruchamia się z hałasem porównywalnym do ryku silników promu kosmicznego startującego z przylądka Canaveral, choć na plecach czuję zaledwie lekki strumień chłodnego powietrza.

Patrzę krytycznie na swoje odbicie w lustrze, potem na dziewczyny obok mnie, na ich ułożone lokówkami włosy, nieskazitelny makijaż i rzęsy przypominające stwory, które wypełzły z gniazda tarantuli.

To nie był dobry tydzień dla mojego wyglądu. Szczerze mówiąc, to nie był dobry rok. Odkąd założyłam firmę, dbanie o fryzurę i figurę zeszło na drugi plan. Jeśli w najbliższym czasie nie zajmę się odrostami, upodobnię się do pasiatego kolorowego lizaka.

Z zakłopotaniem wyjmuję puderniczkę i pudruję świecący nos. Kiedy jednak dziewczyna stojąca przy drugim końcu lustra zaczyna depilować sobie plastrami kolana, uświadamiam sobie daremność swoich wysiłków. Pędem wracam do biura i pospiesznie otwieram szufladę, którą Matt nazywa „Tajemniczą Szufladą”.

- Tutaj - powiedziałam mu kiedyś - leży najważniejszy sprzęt w naszym biurze.

Wyjmuję wałki do włosów, suszarkę i lakier.

Pół godziny później na ulicy przed biurem słyszę czyjeś wołanie:

- Hej, stój!

O Boże, to na pewno ten przeklęty Dyrektor Administracyjny! W piątek po południu. Litości! Nie mam zamiaru wdawać się teraz w dyskusję o kartach magnetycznych. Przechodzę przez ulicę najszybciej jak mogę, siłą woli powstrzymując się od galopu.

- Zaczekaj!

Przyspieszam kroku i dopadam do obrotowych drzwi hotelu. Przechodzę przez nie tak energicznie, że obrywam nimi w tyłek. Wybita z rytmu,

potykam się, po chwili odzyskuję równowagę i pędzę przez hol, by zniknąć w barze, zanim facet mnie dopadnie. Dzięki bujającemu w obłokach bagażowemu pchającemu wieszak z okryciami po śliskiej posadzce, udaje mi się zyskać przewagę.

- Abby! - woła za mną mój prześladowca. Przed skręceniem za róg zerkam przez ramię. Upewniwszy się, że zdołałam go zmylić, zwalniam i wolnym krokiem zmierzam do baru, gdzie czekają na mnie moi pracownicy. I wtedy czuję łagodne szarpnięcie za włosy.

Obracam się na pięcie i staję oko w oko nie z Dyrektorem Administracyjnym Budynku, lecz z Tomem. W garniturze.

Z jednej strony zupełnie mi ten garnitur do niego nie pasuje, z drugiej - od razu dostrzegam, jak doskonale na nim leży. Dotąd widziałam Toma albo w stroju motocyklisty, albo w stroju biegacza. Ten drugi eksponował jego muskulaturę. W garniturze Tom mógłby wyglądać sztywno i nienaturalnie, tymczasem wcale tak nie jest. Błękitna szarość marynarki nadaje jego oczom głębszą i ciemniejszą barwę, a śnieżnobiały kołnierzyk odcina się wyraźnie od opalonej skóry szyi.

- Ach, to ty. - Pąsowieję z wrażenia. Choć Tom w ogóle nie jest w moim typie, nie potrafię ukryć skrępowania jego męskim urokiem.

- Co za powitanie. - Uśmiecha się. - Wiem, że masz mi niedługo przekazać tysiąc funtów, ale chyba na takie traktowanie sobie nie zasłużyłem.

- Myślałam, że goni mnie administrator budynku - wyjaśniam.

- W porządku. - Kąciki jego ust unoszą się lekko. To bardzo denerwujące, że ciągle dostrzega we mnie coś zabawnego. - Chciałem ci tylko powiedzieć o tym.

Wyciąga rękę i pokazuje mi wałek najeżony tyłoma rozdwojonymi końcówkami, jakby został użyty do poskramiania sierści collie. Czuję, że uginają się pode mną kolana.

- Skąd to masz?

- Był przyklejony do twoich pleców. Biegłem za tobą od połowy Dale Street, żeby ci o tym powiedzieć.

Moje policzki płoną.

- Och! Nie musiałeś tego robić - mówię słabo.

- Tak się składa, że też szedłem do tego hotelu. Zerkam na wałek.

- Uhm, co za zbieg okoliczności - mówię najswobodniej jak potrafię.

-Skąd to się wzięło na moich plecach? Nie używam takich rzeczy.

Wyrywam mu wałek z ręki i wpycham do torebki tak energicznie, że wypadają z niej dwa pozostałe wałki, które wrzuciłam tam na wszelki wypadek, gdyby trzeba było poprawić objętość fryzury podczas wieczoru. Toczą się po podłodze, a ja mam ochotę zapaść się pod ziemię.

- To znaczy, uhm... zwykle ich nie używam.

Schylam się po wałki i w tej samej chwili zderzam się czołem z Tomem, który też chciał je podnieść.

- Boże, przepraszam - bąkam zakłopotana.

- Nic się nie stało. - Tom rozciera czoło. - Słuchaj, w sumie dobrze, że na ciebie wpadłem. Zapomniałem podać ci adres.

Czuję przyspieszone bicie serca.

- Po co chciałeś dać mi swój adres?

- Do czeku.

- Ach tak, oczywiście. - Wyjmuję z torebki wizytówkę i długopis. Tom bierze je ode mnie i zapisuje adres. Oddając mi wizytówkę, rzuca na nią okiem.

- Twoja firma projektuje strony internetowe? -Tak.

- Znam firmę, która chce zmienić swoją stronę.

- Twoja?

- Nie, znajomego. Biuro rachunkowe. Mogę wysłać ci szczegóły e-mailem.

- To miłe z twojej strony. Dzięki. - Patrzę na niego i uśmiecham się, nie mogę jednak wytrzymać jego wzroku nawet przez chwilę wymaganą dla zachowania pozorów uprzejmości.

- Tu jesteś!

Głos rozlega się znienacka. Spoglądam na jego właścicielkę.

Znacie te francuskie aktorki o wielkich oczach, drobnych i kruchych sylwetkach i wydatnych wargach? Kobieta, która właśnie bierze Toma pod rękę, przyćmiłaby urodą je wszystkie.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Uśmiecha się, ściskając Toma mocniej. - Jestem Geraldine. - Jej akcent zdradza pochodzenie z hrabstwa Lancashire, Geraldine zdecydowanie nie jest więc Francuzką.

- To Abby - Tom przedstawia mnie Geraldine. - Dołączyła do Klubu Biegacza.

- Naprawdę? - Geraldine uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Ale właśnie zrezygnowała z treningów - dodaje Tom. - Chyba że zmienisz jeszcze zdanie - zwraca się do mnie.

- O nie! - Wybucham śmiechem.

- Powinnaś wrócić - mówi Geraldine entuzjastycznie. - Byłoby super mieć jedną dziewczynę więcej w grupie.

O Boże, Geraldine jest jedną z nich. Mogłam się domyślić.

- Bieganie nie było dla mnie...

- Polubiłabyś to - przekonuje, święcie wierząc w swoje słowa. - Daj się przekonać, wróć do klubu. Szukamy kobiet do grupy trenującej przed biegiem na dziesięć kilometrów. A na ambitnych czeka półmaraton.

- Nie jestem aż tak ambitna - mówię uprzejmie. - Zostanę przy zajęciach ze stepu. - W wyobraźni, dodaję w myślach.

Geraldine wzrusza ramionami. Uśmiech nie schodzi jej z ust. Zupełnie jakby tylko taki wyraz twarzy miała w repertuarze.

- Widzę, że mój dar przekonywania na ciebie nie działa. Trudno. Tom, stolik jest zamówiony na wpół do ósmej. Miło było cię poznać, Abby - wypowiada wreszcie grzecznościową formułkę.

- Do zobaczenia, Abby - rzuca Tom na odchodnym.

- Do zobaczenia. Czek prześlę pocztą.

Ogląda się przez ramię z tym samym rozbawieniem w oczach.

Powtarzam sobie, że to tylko spojrzenie, które niekoniecznie oznacza, że popełniłam faux pas. Potem spoglądam na trzy kolorowe wałki, które trzymam w rękę, i szybkim krokiem ruszam w przeciwnym kierunku.

Rozdział 16

O wpeł do dziesiątej Matta Przystojniaka otacza wianuszek wielbicielek jego autoironicznego humoru, nieśmiałego uśmiechu i legendarnej już kształtnej pupy. Nie odstraszaają ich nawet jego kiepskie dowcipy.

- Nie wiem, jak on to robi - mówi Priya, spoglądając przez ramię na Matta gawędzącego przy barze z trzema dziewczynami. - To nie fair, on się nawet nie stara. Przez połowę wieczoru robiłam słodkie oczy do jednego faceta, a on wyszedł z blond lalunią z cyckami jak piłki plażowe. Żeby było jasne, nie mam nic przeciwko blondynkom. Ani piłkom plażowym - zaznaczam.

- Myślałam, że dobrze ci się układa z tym... jak mu tam?

- Richard. Było dobrze. A potem mnie rzucił.

- Och, tak mi przykro, Priyo.

- Myślisz, że to przez ten róż? - pyta, nawijając na palec kosmyk farbowanych włosów.

Wzruszam ramionami.

- Mnie się podoba. Pasuje do ciebie. Nie ulegaj konwenansom.

- Moja mama by się ucieszyła - mówi Priya i milknie na chwilę.

-Chociaż wydaje mi się, że ten wstrząs mógłby ją zabić.

Rodzice Priyi byli zmuszeni pogodzić się z faktem, że ich córka nie pójdzie w ślady swojego brata Adnana, który ochoczo zaakceptował małżeństwo, jakie zaplanowali dla niego już w dzieciństwie.

Priya nie tylko kategorycznie odmówiła jakichkolwiek rozmów na ten temat, ale też pojechała za Simonem, kolegą z klasy, na uniwersytet Johna Moorea do Liverpoolu. Simon wkrótce zostawił ją dla

kierowniczkę sieci warzywniaków. Rzuciła naukę i od tamtego czasu nie tknęła kiwi.

- Teraz ja stawiam. Kto ma ochotę na tequila? - Heidi chwiejnie sięga po torebkę i wyjmuję z niej portfel. Dopiero teraz zauważam, jak bardzo jest pijana. Priya rzuca mi znaczące spojrzenie.

- Ja pójdę, Heidi. - Łagodnie dotykam jej ramienia. - Może jakiś napój bezalkoholowy? Jeszcze trochę tu posiedzimy.

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

- Do diabła z bezalkoholowymi drinkami, Abby Rogers! - Uśmiecha się szeroko.

Heidi nigdy nie przeklina. Priya robi zmartwioną minę.

- O ile pamiętam, miałaś ochotę na karaoke. - Chcę odwrócić uwagę Heidi od tequila. - Chodźmy. Tam się czegoś napijemy.

Odciągamy Matta od jego wielbicielki i idziemy do baru karaoke. Nie mam pojęcia, jak się nazywa. Może nawet nie ma nazwy. Wiem tylko, że na trzeźwo nigdy tam nie pójdę. Wciśnięty między biuro maklerów ubezpieczeniowych a kiosk z gazetami, mieści się w podziemiach. Po pokonaniu wyjątkowo stromych schodków ląduje się w labiryncie pomieszczeń, w których uwija się stado obłąkańczo roześmianych kelnerów. Poziom hałas jest zmienny, zależy od wykonywanej piosenki.

Matt i Priya wpisują się na listę wykonawców z piosenką *I Got You Babe*. Widziałam ten duet co najmniej sześć razy. Postępy są znikome.

Znajdujemy wolny boks i siadamy w chwili, w której trzech dwudziestoparoletnich facetów w pogniecionych koszulkach zaczyna śpiewać - całkiem przyzwoicie - *Sweet Caroline*.

- Wracasz do Klubu Biegacza? - pyta Matt.

- No nie, ty też - jęczę, upijając spory łyk wina. - Zmówiliście się? Odpowiedź brzmi „nie”. Nie przeżyłabym tego.

- Potrzebujesz jakiejś motywacji - orzeka Priya, jakby nie słyszała moich słów. - Rok przed ślubem moja przyjaciółka zaczęła trenować do triathlonu. Inaczej nigdy nie wcisnęłaby się w suknię ślubną.

- W moim przypadku ta motywacja nie zadziała. Prawdopodobieństwo ślubu w najbliższej przyszłości jest bliskie zeru - zauważam. - Od zeszłego roku nie byłam na randce. Jestem zbyt zajęta.

Boże, to brzmi mało przekonująco.

To smutne, ale prawdziwe. Prawdziwe tak bardzo, że odczuwam coraz większą potrzebę, by zmienić tę sytuację. Może działam pod wpływem poznania Doktora Ciacha. Gdyby tylko istniał sposób na spotkanie z nim bez bólu i upokorzenia, jakiego doznałam w Klubie Biegacza.

- To tylko przykład - ciągnie niestrudzona Priya. - Motywem może być cokolwiek. Czy zbliżają się twoje przełomowe urodziny?

- Pod koniec września kończę dwadzieścia dziewięć lat.

- No i jest motyw! - wykrzykuje Matt.

- Dwadzieścia dziewięć lat to nie przełom. - Cmokam z niezadowoleniem. - Nie czuję inspiracji do ćwiczeń ani z tego powodu, ani z żadnego innego.

- To może bieganie charytatywne? Żeby zebrać pieniądze na jakiś cel? - podsuwa Priya.

- Moglibyśmy zbierać na badania nad stwardnieniem rozsianym - odzywa się Heidi. Po raz pierwszy od pięciu minut. - Potrzebują funduszy - ciągnie, popijając przez słomkę wódkę z tonikiem. Potem spogląda na mnie i milknie. - Przepraszam, nie chciałam postawić cię w niezręcznej sytuacji.

Już mam odpowiedzieć, gdy konferansjer anonsuje piosenkę Matta i Priyi.

- Jeśli nie ma chętnych na *I Got You Babe*, sam zaśpiewam...

Matt zrywa się na równe nogi, bierze Priyę za rękę i ciągnie ją na scenę. Rozlegają się pierwsze takty piosenki. Matt fałszuje, lecz w porównaniu z Priyą śpiewa jak Justin Timberlake.

- Chodzi o to, że nie jestem fanką biegania, Heidi - wyznaję. Heidi spuszcza wzrok.

- Jasne. Nie przejmuj się - mówi niewyraźnie. Uświadamiam sobie, że jutro rano być może nie będzie nawet pamiętała tej rozmowy.

- Po pierwszym podejściu o mało nie padłam trupem - dodaję.

- Wiem, Abby, nie przejmuj się.

- I z czasem krucho - ciągnę.

- Wiem, wiem. Jesteś bardzo zajęta.

- Nie chodzi o znalezienie wolnej chwili na samo bieganie. Gdybym miała zbierać pieniądze, potrzebowałabym więcej czasu. W tej chwili muszę w stu procentach poświęcić się firmie i...

Heidi intensywnie wpatruje się w swój kieliszek.

- Zapomnij o tym - rzuca.

Spoglądam na swoje wino, po czym przenoszę wzrok na Heidi i zalewa mnie fala wstydu. Siedzę obok tej pięknej, młodej, inteligentnej kobiety -ja, jeszcze nie trzydziestolatka, z idealnie zdrowym ciałem, o które nie dbam - podczas gdy Heidi, sześć lat ode mnie młodsza, nie wie nawet, czy za dziesięć lat będzie w stanie chodzić, nie mówiąc o bieganiu.

- I GOT YOU... BAAABE! - Głosy Matta i Priyi osiągnęły szczytowe natężenie. Kieliszki drżą, widownia dostaje zbiorowej migreny.

- Heidi - zaczynam - bardzo mi przykro. Przepraszam cię. Patrzy na mnie przestraszona.

- Za co?

- Za moje negatywne nastawienie. Za to, że taka ze mnie żałosna oferma.

- Daj spokój, Abby. Nie jesteś żalosną oferumą - oponuje. - Wręcz przeciwnie. Uważam, że...

- Nic nie mów - wchodzę jej w słowo.

- Dobrze. - Patrzy na mnie z jeszcze większym przestachem. A potem ściąga brwi. - Dlaczego mam nie mówić?

- Bo się zastanawiam. Wracam do Klubu Biegacza.

- Nie rób tego ze względu na mnie! Rzuciłam tę sugestię ot, tak sobie. To było głupie i...

- Nie było głupie. To doskonały pomysł. Zacznę trenować, Heidi. Do półmaratonu. Za jednym zamachem poprawię kondycję i zbiorę pieniądze na badania nad stwardnieniem rozsianym.

- Nie mów nic, czego byś potem żałowała - ostrzega mnie.
- Nie będę żałowała - zapewniam stanowczo. - Zrobię to.
- Naprawdę? - Heidi czeka.
- Naprawdę - powtarzam, dopijając wino. Niczego w życiu nie byłam bardziej pewna.

Rozdział 17

- W co ja się wpakowałam?

Nie poznaję swojego głosu. Brzmi, jakbym nałykała się trocin. Przez okno wdziera się ostre słońce. Trzymam w rękach kubek z mocną kawą, która smakuje na przemian jak ambrozja i azbest.

Pół godziny temu obudził mnie telefon od Jess, która pytała, czy wybiorę się z nią i dziećmi na zakupy. Zgodziłam się tylko po to, by udowodnić sobie i jej, że jestem w stanie to zrobić. Teraz żałuję.

Zaciskam powieki. Usiłuję przypomnieć sobie, kiedy i jak wróciłam do domu. Wiem, że było to między pierwszą w nocy a szóstą rano. Nie potrafię powiedzieć, o której dokładnie.

Obiecawszy Heidi, że stanę się żywą reklamą zdrowego trybu życia i będę zbierała fundusze na badania nad stwardnieniem rozsianym, postanowiłam zaszaleć po raz ostatni.

Urznęłam się, obcałowałam gościa, który zaśpiewał *I'm Too Sexy* grupy Right Said Fred (swego czasu uważałam tę piosenkę za bardzo finezyjną) i, sądząc po opakowaniu, o które potknęłam się rano w salonie, zjadłam kurczaka tikka masala i placek naan wielkości śpiwora. A przynajmniej sporą jego część. Reszta wylądowała między moimi stopami.

Wstaję i ruszam do łazienki. Wchodzę pod prysznic. W takim stanie nawet otwarcie butelki z szamponem wymaga ogromnego wysiłku. Zamykam oczy i unoszę głowę. Gorąca woda spływa mi po twarzy. Stoję bez ruchu, aż para utrudnia mi oddychanie. Zakręcam wodę, wychodzę spod prysznica i wycieram ręcznikiem zaparowane lustro. Widzę w nim swoje

odbicie. Resztki niezmytego tuszu do rzęs tworzą na policzkach zacieki barwy lukrecyjnych karmelków.

- Abigail Rogers, jesteś żałosna.

Pozwalam lustru znów pokryć się parą, by nie musieć oglądać swojej twarzy w trakcie zmywania makijażu. Wkładam czyste dzinsy i najwygodniejszą koszulkę i idę do kuchni po szklankę wody z nadzieją, że ugaszę potworne pragnienie. Moje wysiłki można porównać do prób nawodnienia mumii Tutenchamona. Do przyjazdu Jess zostało dziesięć minut. Pokonując chęć kłapięcia na sofę, idę do gabinetu, włączam komputer i wpisuję w wyszukiwarce dwa słowa: „stwardnienie rozsiane”.

Jess spóźnia się dwadzieścia minut. Ma udręczoną minę.

- Wyglądasz okropnie - mówi. Musi być naprawdę źle, skoro zwykle próbuje mnie przekonać, że jest inaczej. - Gotowa? Dzieci są w samochodzie.

Wyłączam komputer, biorę torebkę i wychodzę.

- Cześć, dzieciaki. - Uśmiecham się na powitanie, usiłując wykrzesać z siebie choćby udawaną radość życia. Jamie patrzy na mnie, jakby zobaczył Fin Niezapominajkę i jej przyjaciół w rynsztoku z butelką wódki.

- Ciociu Abby, wyglądasz strasznie. Posyłam Jess mordercze spojrzenie.

- Wcale nie kazałam mu tego mówić! - zarzeka się. Ze smutkiem konstatuje, że moja przyjaciółka nie kłamie.

Czy przeżyliście kiedyś chwilę olśnienia, która na zawsze zmieniła wasze życie?

Moje olśnienie następuje o trzynastej piętnaście trzydziestego pierwszego lipca w kolejce w Costa Coffee. Zza szklanej witryny kuszą babeczki czekoladowe, babeczki migdałowe, babeczki cytrynowe, babeczki pomarańczowe, wielkie kawałki ciasta marchewkowego. Kłują w oczy. I właśnie po takie smakołyki bez wahania sięgałam w sobotnie popołudnia.

- Babeczki wyglądają apetycznie, prawda? - mówi Jess.

- Uhm - mruczę i znikam na parę sekund.

- Którą wybierasz dzisiaj?

- Wybieram to - mówię, stawiając na tacy pucharek z sałatką owocową. Jess spogląda na nią z miną człowieka, który stanął oko w oko z ufoludkiem.

- Co to?

- Owoce - odpowiadam.

- Wiem, że owoce. Zastanawiam się, dlaczego postawiłaś to na tacy. Zupełnie jakbyś miała zamiar kupić tę sałatkę i ją zjeść.

- Właśnie to zrobię: kupię i zjem. -Ty?

-Ja.

- W Costa Coffee? -Tak.

- Przecież nigdy nie kupujesz owoców w Costa Coffee.

Jestem tak samo zaskoczona jak Jess. Nie żebym nie lubiła owoców. Rzadko jednak zdarza mi się jeść je pięć razy dziennie. Pięć razy w tygodniu to już dobry wynik. Co więcej, dla mnie sensem Costa Coffee są ciastka. Nie ma Costa Coffee bez słodkości.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczynam, gdy sadowimy się przy stoliku. Jamie z apetytem rzuca się na kanapkę z kurczakiem. Jess sadza Lolę w wysokim krzeselku.

- Zamieniam się w słuch.

- Wczoraj wieczorem podjęłam zobowiązanie, z którego nijak nie mogę się teraz wycofać.

Jess zajmuje swoje miejsce. -Tak?

- Przechodzę na dietę. Zaczynam pracować nad kondycją.

- Tak? - powtarza roztargniona.

- Tym razem na poważnie. Jess w milczeniu pije kawę.

- Wezmę udział w półmaratonie - oznajmiam.

Moja przyjaciółka krztusi się kawą i wyrzuca ją z siebie niczym hydrant, opryskując mnie, dzieci i eleganckiego starszego pana przy sąsiednim stoliku.

- Ojej, bardzo przepraszam. - Zrywa się z krzesła i podaje mi serwetkę. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Kiedy starszy pan zapewnia ją, że nic się nie stało, Jess siada naprzeciwko mnie.

- Nie mówisz poważnie. - Przygląda mi się badawczo. Tym razem jednak jestem śmiertelnie poważna.

Kiedy mija pierwszy szok, Jess jest coraz bardziej zachwycona tą nowiną. Tak bardzo, że usilnie namawia mnie, bym przyszła do klubu już w najbliższy poniedziałek.

- Jeszcze za wcześnie - oponuję, gdy przemierzamy centrum miasta. - Miałaś rację. Daję sobie miesiąc na dojście do jako takiej formy. Nie pokażę się w klubie, póki nie będę w stanie przebiec pięciu kilometrów bez utraty przytomności.

Jess ściąga brwi.

- Co zamierzasz?

- Przejdę na dietę. Zmniejszę... nie, zrezygnuję z alkoholu. Zaczę biegać i ćwiczyć na własną rękę. Jutro jest - sprawdzam datę na ekranie komórki - pierwszy sierpnia. Wrócę do klubu pierwszego września.

- Brzmi nieźle. To dobry plan. - Jess uśmiecha się z aprobatą.

- Jednego błędu nie powtórzę. Muszę się zaopatrzyć w sportowe ciuchy.

- No to idziemy. Znam sklep, w którym kupisz wszystko, co trzeba. Jess jest tak wytrawną biegaczką, że nie prowadzi mnie do typowego sklepu sportowego, lecz kieruje się prosto do specjalistycznego sklepu dla biegaczy. Okazuje się, że to duża różnica.

Ku mojemu zaskoczeniu w środku kłębi się spory tłumek klientów. Nie do wiary, ilu ludzi czuje kompulsywny przymus biegania. Gdybym nie znała Jess, myśl o bieganiu nigdy nie powstałaby mi w głowie.

- Najpierw zajmiemy się twoją pupą. Te są najlepsze. - Jess pokazuje mi niebieskie legginsy, tak małe, że nie wcisnęłyby się w nie nawet siedmiolatka.

- Są z lycry - zauważam.

-1 właśnie o to chodzi. W czasie biegu lepiej, gdy nic nie fruwa wokół ud.

- Wokół moich ud fruwa już cellulit. Dodatkowy element im nie zaszkodzi.

- Posłuchaj mojej rady. Właśnie takich legginsów potrzebujesz.

- Lycra to dzieło szatana. Nie włożyłabym tego, nawet gdybym nosiła ósemkę. Muszę zamaskować tyłek.

W końcu decyduję się na model Capri, spodnie do połowy łydki, które nie podkreślają każdej wypukłości. Rewelacyjnie nie wyglądają, jednak mniej żałośnie niż reszta. Ta sama procedura powtarza się przy górze stroju. Każda koszulka wygląda pięknie, póki jej nie włożę. Równie przekonująca jako biegaczka byłaby Betty z *Coronation Street*.

- Teraz buty - zarządza Jess.

Ruszam w stronę półek z butami w nadziei, że któreś wpadną mi w oko.

- Czekaj, najpierw trzeba zrobić analizę twojego biegu - mówi Jess stanowczo.

-Co?

- Analizę biegu. Wchodzisz na bieżnię, a jeden ze sprzedawców ogląda twoje stopy podczas biegu.

- To perwersja.

Jess ignoruje moją uwagę.

- Wszystko po to, żeby wiedzieć, jak stawiasz stopę. Dobiorą ci buty z podparciem dla odpowiedniej części stopy.

Zakładam buty i podwijam džinsy. Przy moim obecnym braku kondycji niezbyt mnie cieszy ta próba na bieżni.

- Proszę biec swoim tempem - mówi sprzedawca.

Gryzę się w język, by go nie poinformować, że moim tempem byłby całkowity jego brak.

Chłopak siada na krześle i spogląda na ekran, na którym za chwilę nastąpi filmowy debiut moich stóp. Postanawiam biec wolno, żeby się nie spocić i nie zrobić z siebie widowiska. Wskaźniki na liczniku dochodzą do siedmiu i dwóch dziesiątych kilometra na godzinę.

Wiem, że to niezbyt szybko, ale dla mnie wystarczy. Gdyby w klubie biegali tylko w takim tempie, nie miałabym problemów. Przynajmniej przez pierwszych dziesięć minut. Kątem oka dostrzegam, że mam widownię. Odwracam się i piorunuję wzrokiem czterech chłopców w wieku od siedmiu do jedenastu lat. Stoją skupieni niczym rodzina von Trappów* przed rozpoczęciem kolejnej piosenki.

- Wolna jest, nie? - zwraca się jeden z chłopców do Jamiego, syna Jess, z którego miny można wyczytać, że wstydzi się znajomości ze mną.
- Moja mama robiła ten test w zeszłym tygodniu i biegła dwanaście kilometrów na godzinę.

Moje ego cierpi, ale w duchu nakazuję sobie spokój. Po chwili zmieniam zdanie. Przyciskam guziki, aż na wyświetlaczu pokazuje się wartość trzynastu kilometrów na godzinę. Chcę dać Jamiemu powód do dumy.

Daję radę tylko przez pół sekundy. Macham rękami i przebieram nogami coraz szybciej, moje serce i płuca pracują na najwyższych obrotach. Czuję się jak w pułapce.

Muszę zatrzymać bieżnię jak najszybciej, ale jestem już tak zmęczona i tak oddaliłam się od deski rozdzielczej, że nie sięgam do czerwonego przycisku.

Postanawiam zacisnąć zęby, wbić wzrok w lustro naprzeciwko i spróbować przysunąć się do deski. Staję oko w oko z purpurową zasapaną kobietą hipopotamem, uciekającą przed falą przyływu, i ten widok jest tak deprymujący, że moja determinacja w jednej chwili wyparowuje.

Nagle pot na moim czole staje się lodowaty, a przed oczami migają czarne plamy.

*** Rodzina von Trappów - austriacka śpiewająca rodzina, która w 1938 r. uciekła z okupowanej Austrii do USA, gdzie przez kilkanaście lat z powodzeniem występowała.**

- Co się stało? - pytam. Czuję intensywne pulsowanie w głowie, w oczy razi mnie światło silnych lamp. Leżę i nie wiem, gdzie jestem.

- Abby! Boże, odzyskałaś przytomność. Rozpoznaję głos Jess. Chyba jestem w szpitalu.

- Jess, moja kochana Jess. - Słowa z trudem przechodzą mi przez ściśnięte gardło. Czuję łzy napływające do oczu i walenie serca.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnia Jess, ściskając mnie za rękę. Przypominam sobie scenę z filmu, który oglądałam w zeszłym roku na kanale True Movies. W obecności swojej najlepszej przyjaciółki kobieta budzi się z trwającej dwa lata śpiączki.

Zamykam na chwilę oczy i poruszam palcami prawej dłoni. Czuję, że od dawna ich nie używałam. Mam zeszywniałe mięśnie.

- Długo tak leżę? - szepczę. - Nieprzytomna? - Jestem pewna, że kilka dni, może nawet tygodni.

- Jakies cztery sekundy. - Jess pomaga mi się podnieść. - Przebiegłaś pięć kilometrów i zasłałaś. Musiałaś być odwodniona. Gdzie spędziłaś wczorajszy wieczór?

Siadam i się rozglądam. Jestem w sklepie dla biegaczy. Boli mnie tyłek.

- Auuu - jęczę, dotykając pośladków.

- Masz szczęście, że wylądowałaś na pupie - mówi Jess.

- Naprawdę boli.

Widzę, że mali von Trappowie nie ruszyli się z miejsca.

- Słucham? - syczę. - Czym mogę służyć?

Dziewięciolatek ignoruje moje pytanie i odwraca się do starszego brata.

- Nie umarła - stwierdza zawiedziony.

Rozdział 18

W sierpniu pracuję nad poprawą kondycji.

Właściwie powinnam powiedzieć inaczej. W sierpniu muszę osiągnąć taki poziom sprawności fizycznej, który zbliży mnie do wyników, jakie może osiągnąć przeciętna dwudziestoosmioletnia kobieta. Dopiero wtedy będę mogła dotrzymać kroku najwolniejszej grupie w Klubie Biegacza.

Miesiąc upływa dość monotennie. Zdobywam nowego klienta - walczącą z recesją firmę deweloperską budującą eleganckie apartamenty w dokach - i z powodzeniem upominam się o kilka zaległych płatności, ku niezmiernemu zadowoleniu Egora. Dzięki temu zwiększa się nasza płynność finansowa. Zespół ma co robić, choć zdarzały się już bardziej pracowite okresy. Heidi radzi sobie doskonale, zupełnie jakby wyrzuciła z głowy myśli o chorobie. Idąc za jej przykładem, my też zaczynamy zachowywać się tak, jakbyśmy nigdy nie słyszeli o diagnozie.

Priya i Heidi wpadają na pomysł urządzenia balu charytatywnego. Cel - zbiórka funduszy na badania nad stwardnieniem rozsianym. Z całego serca popieram tę ideę. Widzę entuzjazm Heidi i wiem, że udział w przygotowaniach da jej napęd do życia. Jest tylko jedno ale: muszę to jakoś pogodzić z treningiem do półmaratonu.

Spędzam sporo czasu na rozmyślaniach o Doktorze Ciachu i marzeniach o następnym spotkaniu. Tę obsesję podsycza Jess nowinami z klubu. Coś, co jej wydaje się nieistotne, w moich oczach urasta do rangi sensacji.

W drugim tygodniu sierpnia dostaję od Toma e-mail, po którym zaczynam myśleć o nim nieco cieplej niż w chwili wysyłania czeku na tysiąc funtów.

Droga Abby,
spóźnione, ale szczerze podziękowania za czek. Od prawie dwóch tygodni nie rozmawiałem z Joan, co składam na karb jej babcinych obowiązków. Doczekaliśmy wreszcie szczęśliwego zakończenia całej tej historii. Po naprawie mój motocykl jeździ jak marzenie (choć wiem, że tego nie docenisz).

Miałem Ci podać namiary na biuro rachunkowe, które szuka projektanta stron internetowych. Nazywa się Gellings, mieści się przy Victoria Street. Skontaktuj się z Ianem Bondem. Czekaj na Twój telefon. Pozdrawiam, Tom

Natychmiast dzwonię do Iana Bonda, ale nawet mnie zaskakuje szybki rozwój wydarzeń. Umawiam się z nim na koniec tygodnia. Już po niespełna dwudziestu minutach rozmowy mam zgodę na umowę próbną. Zaraz po spotkaniu piszę do Toma.

Drogi Tomie,
River Web Design ma umowę próbną z Gellings. Bardzo Ci dziękuję
za ten kontakt. Jeśli zdobędziemy stałe zlecenie, być może uznaję, że

Twoja nieostrożność na parkingu i nasza kolizja były tego warte...

Żartowałam!

Jeszcze raz dziękuję,

Abby

To niewielkie zwycięstwo nie osładza faktu, że przechodzę przez jeden z najtrudniejszych okresów w życiu. Codziennie - nie, co godzinę - zadaję sobie pytanie, dlaczego zgodziłam się na tę hecę z bieganiami. Akurat ja.

Nie byłam na diecie od tak dawna, że zapomniałam, jaka to monotonna i wymagająca procedura. Zaczynam od diety opartej na koktajlach mlecznych. Już pierwszego dnia łapię się na tym, że wypijam

oba - ten na śniadanie i ten na lunch - przed dziesiątą rano, o wpół do jedenastej jem dwie „zdrowe przekąski”, a przez resztę dnia wyjadam resztki po innych.

Wtedy trafiam na artykuł w „Grazii” o nowej metodzie przestrzegania diety. Polega ona na fotografowaniu wszystkiego, co wrzucamy do ust. Dzięki temu wiemy, ile naprawdę zjedliśmy, i bardziej nad sobą panujemy. Pierwszego dnia nowa metoda nie nastęcza trudności.

Drugiego dnia jem służbowy lunch z Bobem McHarrie, dyrektorem naczelnym firmy marketingowej z siedzibą w Manchesterze. Na dobrą sprawę są naszą konkurencją, ale odkąd założyłam własną firmę, pozostajemy w przyjaznych stosunkach. Podrzucali mi nawet niektóre zlecenia, gdy brakowało im mocy przerobowych. Przekonana, że pogrążony w rozmowie z kelnerem Bob nie zwróci na mnie uwagi, chyłkiem wyjęłam canona i zrobiłam szybkie zdjęcie.

Udałoby mi się, gdyby nie flesz.

Po nagłym rozbłysku Bob i kelner gwałtownie odwrócili głowy w moją stronę. Na ich twarzach malowało się zdumienie pomieszane z szokiem. Zaczęłam bąkać coś nieskładnie o aparacie babci (która zresztą nie żyje) i fleszu, niechcący uruchomionym przy zmianie baterii. Nie muszę chyba dodawać, że nie kupili moich wyjaśnień.

Podczas lunchu Bob przyglądał mi się spod półprzymkniętych powiek niczym podwójnej agentce, która próbuje zdobyć jakieś poufne informacje o jego firmie, fotografując... coś. Tyle że nie miał pojęcia co. Nie potrafiłam przyznać się, że muszę udokumentować sałatkę Cezara.

Zostałam członkinią lokalnego Klubu Pogromców Nadwagi. Fascynujące doświadczenie. Klubem kieruje Bernie, niska i - delikatnie mówiąc - niezbyt szczupła pani po pięćdziesiątce. Nosi kwieciste sukienki

i pastelowe kardigany. Z ich powodu w pierwszej chwili uznałam ją za konserwatystkę, ale zmieniłam zdanie, zauważywszy na jej kostce niewielki tatuaż przedstawiający papugę. Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Poza tym Bernie jest nieprawdopodobną gadułą.

Potrafi wziąć na tapetę temat, na który, wydawałoby się, nie można dyskutować dłużej niż trzydzieści sekund, i rozciąga go do rozmiarów trzydziestominutowego wykładu. Przykład z ubiegłego tygodnia: pasta.

Przez ponad pół godziny Bernie demonstrowała znaczącą różnicę między rozmiarami pięćdziesięciu gramów spaghetti a taką samą porcją fusilli, czyli świderków.

Pomagała sobie tablicami, wykresami i zdumiewającą liczbą rekwi-zytów. Przemówiła do naszej wyobraźni, pokazując, jak wygląda na wadze dziesięć gramów suchego spaghetti, potem dwadzieścia pięć gramów i w końcu pięćdziesiąt. Po dwudziestu minutach myślałam, że wyczerpała temat, a ona tymczasem zaproponowała grupie psychodramę.

Trudno mi jednoznacznie stwierdzić, czy Bernie to największą mówczyni od czasów Martina Luthera Kinga, czy najnudniejsza kobieta, z jaką miałam do czynienia.

Mimo tych wątpliwości metoda działa. Chudnę. Na razie zrzuciłam tylko dwa kilogramy. Okazuje się, że alkohol, tłuszcz i cukier, pochłaniane dotąd w nielimitowanych ilościach, tylko mi szkodziły. Zwiększenie ilości warzyw w diecie i ograniczenie niezdrowych potraw przynosi wymierne rezultaty.

Z ćwiczeniami jest nieco inaczej.

Po niemiłym doświadczeniu na bieżni postanawiam urozmaicić trening. Idąc za sugestią Bernie, zamówiłam hula-hop. Uwierzyłam jej zapewnieniom, że w tydzień straciła ponad dwa kilogramy, kręcąc hula-hop i jednocześnie prasując. Niemożliwe. Chyba że zajmowała się prasowaniem dla hotelu z pięciuset pokojami albo miała zwinność akrobatki fikającej na trapezie.

Według podręcznika z ćwiczeniami, dla ludzi z nadwagą hula-hop jest ćwiczeniem idealnym, ponieważ rozwija poczucie równowagi, poprawia gibkość, rzeźbi uda, pośladki i ramiona, co bardzo mi się podoba.

Przeczytawszy, że godzina ćwiczeń z hula-hop to spalanie trzystu sześciu kalorii, zamówiłam obręcz przez Internet i patrzyłam podekscytowana, jak listonosz wyciągał ją z auta, a potem toczył ścieżką pod moje drzwi.

Oczywiście w tych trzystu sześciu kaloriach jest pewien haczyk. Aby je spalić, trzeba ćwiczyć przez godzinę. Nie umiem wprawić obręczy w ruch choćby na pięć sekund. Z moich obliczeń wynika, że spalam mniej niż pół kalorii przy każdej próbie.

Uznawszy, że hula-hop to pomyłka, przerzuciłam się na pływanie, za którym, szczerze mówiąc, nigdy nie przepadałam.

Latem dzieci skaczą z trampoliny, wyławiają z dna basenu różne przedmioty i z okrzykiem radości rzucają się do wody. Ja nigdy tego nie robiłam. Nawet jako dwunastolatka prezentowałam styl klasyczny starszej pani. Trzymałam głowę wysoko niczym dumny pudel, choć w przeciwieństwie do pań po pięćdziesiątce nie chroniłam włosów przed zamoczeniem. Bałam się, że napiję się wody. Byłam i jestem przewrażliwiona na punkcie czystości publicznych basenów. Próbując zapanować nad obrzydzeniem, nie umiałam zapomnieć, że w gruncie rzeczy pływam w saganie pełnym plastrów z opatrunkiem i siuszków.

Nie wykluczam innych form aktywności fizycznej i pozostaję otwarta na sugestie - nawet te od Bernie - postanowiłam jednak wrócić do biegania. Moim celem jest przecież ukończenie półmaratonu, chociaż jeszcze nie wiem kiedy i gdzie.

Nie było tak źle. Wolne bieganie na niezbyt długich dystansach zaczęło sprawiać mi przyjemność.

W miarę zbliżania się terminu powrotu do klubu, czuję coraz większy niepokój. Przez chwilę rozważałam nawet wycofanie się. Tydzień przed wielkim dniem w mojej skrzynce ląduje krótki e-mail.

Abby,

Jess mówi, że wracasz do klubu w poniedziałek. Świetna robota!

Uprzedzam, że tam będę.

Z papierowymi torebkami w pogotowiu.

Tom

Zgrzytając zębami, piszę odpowiedź.

Tom,

dziękuję za słowa wsparcia. Zapewniam, że torebki się nie przydadzą. Tym razem będę w najwolniejszej grupie. Mam nadzieję, że nawet przy mojej obecnej kondycji sprostam temu wyzwaniu. Abby

Klikam „wyślij” i przygryzam kciuk. Stało się, Abby. Właśnie złożyłaś oświadczenie woli. Nie możesz się już wycofać.

Rozdział 19

Gdy pierwszy raz szłam na zajęcia do Klubu Biegacza, miałam mieszane uczucia. W dniu powrotu mój nastrój to mieszanka strachu i ekscytacji w proporcjach dziewięćdziesiąt do dziesięciu. Sami zgadnijcie, ile jest strachu, a ile ekscytacji.

Po miesiącu codziennego porannego joggingu w pobliżu domu w ogóle nie wyglądałam jak miłośniczka sportu, za jaką chciałabym uchodzić, i nie czuję się przygotowana do spotkania z członkami klubu i Doktorem Ciachem, wokół którego krążą dziś moje myśli.

Nie mogę się jednak wycofać. Klamka zapadła. W chwilach zwątpienia przypominam sobie o Heidi i tysiącach ludzi chorych na stwardnienie rozsiane.

- Jesteś pewna co do tego półmaratonu, Abby? - pyta mnie Heidi, gdy w porze lunchu zmierzamy na spotkanie biznesowe.

- Absolutnie pewna - mówię. - Naprawdę. Nie mam cienia wątpliwości. Przez dwadzieścia trzy godziny na dobę - dodaję.

Heidi wybucha śmiechem, po chwili jednak milknie. Widocznie zastanawia się nad właściwym doбором słów.

- Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem wzruszona. Oczywiście uważam, że to szaleństwo, ale nie zmienia to faktu, że jestem wzruszona.

- Dziękuję. - Posyłam jej uśmiech.

Tego wieczoru w drodze do centrum sportu uświadamiam sobie, że napędza mnie nie tylko sympatia dla Heidi i chęć pomocy. Z całego serca pragnę udowodnić, że nie jestem beznadziejnym przypadkiem. Nie lubiąc

sportu, też mogę prowadzić zdrowy tryb życia, jeśli tylko taki cel sobie postawię.

- Abby, co za niespodzianka! - Dołeczki w policzkach Olivera i jego nieśmiały uśmiech nieodmiennie robią na mnie piorunujące wrażenie. Nagle „Doktor Ciacho” wydaje się zbyt skromnym przydomkiem dla takiego przystojniaka. - Bardzo miła niespodzianka - dodaje.

Widzę, że te odważne słowa przychodzą mu z trudem. Najwyraźniej nie przywykł do słownych gier, choćby nieco zbliżonych do flirtu. Fakt, że się przełamał, odnosi natychmiastowy skutek.

- Dzięki, Oliverze - odpowiadam, pąsowiejąc jak pensjonarka. - Nie mam talentu do sportu, ale... - urywam i przywołuję się w duchu do porządku - mam nadzieję, że treningi przyniosą efekt.

- Oto prawdziwy duch walki - mówi Oliver, spoglądając mi w oczy. Moje serce skacze z radości.

Wychodzimy na dwór na rozgrzewkę przed treningiem szybkościowym.

- Mam nadzieję, że pójdziesz ci gładko - zagaduje Jess.

- Niby dlaczego miałyby być inaczej?

- Niektórzy nie lubią treningu szybkościowego. - Jess wzrusza ramionami. - Nawet ja za nim nie przepadam.

- Świetnie. Zaczynam od treningu, z którym nawet superwoman sobie nie radzi.

- Nie powiedziałam, że sobie nie radzę. To po prostu nie jest mój ulubiony typ treningu. Dasz radę. Tylko nie zapomnij o oddychaniu.

Rzucam jej urażone spojrzenie.

- Nie miałam najmniejszego zamiaru zapomnieć.

Jess sumiennie towarzyszy mi w rozgrzewce. W grupie zaawansowanej dostrzegam Toma. Odwraca się i macha do mnie. Już mam odmachnąć, gdy obok pojawia się Geraldine.

- Zmieniłaś zdanie. - Uśmiecha się do mnie. Porusza się z wdziękiem baletnicy. Uważałam, że Jess doskonale wygląda w lycrze, ale Geraldine przyćmiewa nawet ją. Jest małą boginią w krótkich spodenkach

odslaniających szczupłe brązowe uda. - Z tego, co pamiętam, mówiłaś, że nie wracasz do klubu.

Czyżbym wyczuwała w jej głosie nutkę zawodu?

- Bo tak było - przyznaję.

- Ogromnie się cieszę, że zmieniłaś zdanie. - Geraldine się rozpromienia. - Nie forsuj się tylko, dobrze?

- Oczywiście.

- Poradzisz sobie. - Dotyka mojego ramienia. - Nie powtarzaj nikomu, ale ledwo przeżyłam pierwszy trening. Dochodziłam do siebie przez tydzień.

Równie dobrze łyżwiarka Jayne Torvill mogłaby mnie przekonywać, że jeszcze tydzień przed zimową olimpiadą w 1984 roku, kiedy to zdobyła złoty medal, podczas treningów co chwila lądowała na tyłku. Mimo wszystko jestem wdzięczna Geraldine za próbę pocieszenia.

- Tom wspominał, że podpisałaś umowę z Gellings. Gratuluję. Prowadzenie własnej firmy musi być wielkim wyzwaniem.

Jestem zdumiona. Nie sądziłam, że Tom o mnie rozmawia.

- To prawda, ale uwielbiam to robić. Czym ty się zajmujesz?

- Jestem inżynierem budownictwa - odpowiada radośnie.

- O! - Tylko tyle umiem z siebie wykrzesać. Geraldine uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Praca przy rewitalizacji niektórych części miasta była fascynującym doświadczeniem. Teraz jestem gotowa na nowe wyzwanie.

- Jakże?

Rozgląda się na boki, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

- Dzieci - szepcze konfidentycznie. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że wygląda na starszą ode mnie. Ma trzydzieści dwa, może trzydzieści trzy lata. - Tylko nie mów Tomowi. To dla niego drażliwy temat.

- Oczywiście. - Uśmiecham się z zakłopotaniem.

- Nie żebyśmy się starali - zastrzega się Geraldine. - Tom nie czuje się gotowy do roli ojca i męża. Jeszcze nie. Ale dojrzeje do tego. Jesteśmy razem od trzech lat. Z moimi siostrzeńcami radzi sobie wspaniale.

Wyobrażam sobie, jakie śliczne dzieci mieliby Tom i Geraldine. Te rozmyślenia bezceremonialnie przerywa mi Jess. Łapie mnie za rękę i ciągnie do najwolniejszej grupy.

W tej samej chwili widzę, że dałam się nabrać. Cała ósemka wygląda na modelowych biegaczy. Niemożliwe, żeby byli „najwolniejsi”.

- O, wróciłaś! - słyszę za plecami czyjś głos. Obracam się na pięcie i staję oko w oko z roześmianą Mau. - Widzę, że tym razem wybrałaś wolniejsze tempo.

- Tak jest najrozsądniej - odpowiadam.

- Też tak uważam. Dwa tygodnie temu uznałam, że cały ten wysiłek w grupie średniej to zabawa nie dla mnie. Po każdym treningu miałam oklapnięte włosy.

- Jak wygląda trening szybkościowy? - pytam lekko zaniepokojona.

- Najpierw biegiesz równym tempem, potem maksymalnie przyspieszasz i pokonujesz określony dystans najszybciej, jak potrafisz, a potem zwalniasz do truchtu, żeby odpocząć.

- Rozumiem - mówię z wahaniem.

- Bieg szybki i wolny powtarza się naprzemiennie. Specjaliści twierdzą, że to najlepsza metoda pracy nad kondycją. Nie martw się. Jeśli będziemy miały dość, możemy znów posunąć się do drobnego oszustwa.

- Mau się uśmiecha. - Zapewniam cię, że nie mam w związku z tym żadnych wyrzutów sumienia.

Zdenerwowana czekającym mnie biegiem i przejęta obecnością Doktora Ciacha zajmuję miejsce na końcu grupy. Dzisiejsze spotkanie z nim podsyca moje zauroczenie. Poza tym utwierdza mnie w przekonaniu, że powrót do klubu jest słuszną decyzją.

Zdaję sobie sprawę, że przyjdzie mi za to zapłacić. To tylko kwestia czasu, gdy poczuję w płucach pieczenie, jakiego doświadczyłam na pierwszym treningu. Nagle opadają mnie wątpliwości. Tymczasem po kilku minutach biegu nie mogę się nadziwić, że moje płuca ciągle pracują normalnie.

To pozytywne zdziwienie towarzyszy mi jeszcze tylko przez kilka sekund. Po chwili grupa bez uprzedzenia rusza sprintem. Już rozumiem,

dlatego dzisiejszy trening nazywany jest treningiem szybkościowym. Pracuję rękami i przebieram nogami w tempie dla siebie niewyobrażalnym, chyba że uciekałabym przed szaleńcem wymachującym tasakiem. Gdy wydaje mi się, że padnę trupem, grupa zwalnia. Powoli wyrównuję oddech. Czuję się w miarę dobrze. W miarę.

Dla innych to może niewiele. Niektórzy opisaliby swoje samopoczucie słowami „ożywienie”, „nagły przyływ energii” czy „upojenie”. Mnie wystarczy „w miarę dobrze”. To i tak cud.

Skłamałabym, mówiąc po treningu, że nie jestem wykończona. Kiedy Jess podbiega do mnie i pyta o wrażenia, odpowiadam bez parkosyzmów mdłości:

- Jest w porządku.

Jess z trudem ukrywa zaskoczenie.

- W przeciwnym wypadku nie biegalibyśmy! - komentuje.

W trakcie ćwiczeń rozciągających spływa na mnie to tajemnicze doznanie, o którym mówią biegacze: zaczyna mnie to rajcować. Niewiarygodne.

Gdy rozciągam ścięgno podkolanowe, czuję, że ktoś lekko klepie mnie w ramię. Odwracam się i widzę przed sobą muskularną klatkę piersiową w prostym granatowym podkoszulku.

- Wyglądasz lepiej niż ostatnio - stwierdza Tom. - Uznałem, że powinienem ci to powiedzieć.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- O to nietrudno - zauważam.

Nawet się nie spocił przez ostatnią godzinę. Kiedy unosi ramię, by je rozciągnąć, czuję zapach delikatnie korzennej wody po goleniu.

- Geraldine nie odpuści. Będzie cię chciała wciągnąć do żeńskiej ekipy na dziesięć kilometrów.

- Wątpię. Chyba że szuka kogoś do noszenia za nią torby.

Rozdział 20

Jess zapala silnik, a ja wyrzucam z siebie potok pensjonarskich zachwyków:

- Oliver jest jeszcze przystojniejszy, niż pamiętałam. Po prostu boski! Nie sądziłam, że będzie mi się chciało pocić i dyszeć, ale dla niego warto.

Jedziemy do domu Jess, by wziąć szybki prysznic przed wyjściem do pubu na plotki i bezalkoholowego drinka. Tak, oczy was nie mylą. Pub i napój bezalkoholowy. Słowa, które nie funkcjonowały razem w moim słowniku, odkąd skończyłam jedenaście lat.

- Ciągle jesteś na niego napalona?

- To aż tak widać? - pytam przekornie. - Mam wrażenie, że on też jest zainteresowany. Zwykle tego nie zauważam, ale tym razem czuję, że próbuje ze mną flirtować. Jestem wręcz pewna. A jednocześnie go to męczy, bo jako prostolinijny facet nie lubi takich gier. Czy to ma sens?

- Uhm - mruczy Jess skoncentrowana na prowadzeniu. Mrużę oczy.

- Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? Czy Oliver się z kimś spotyka?

- Nie popadaj w paranoję! - upomina mnie Jess. - Nie sądzę, żeby z kimś chodził. Jaki masz plan? Chcesz czekać, aż zaprosi cię na randkę?

Zakłopotana wiercę się na siedzeniu.

- W dzisiejszych czasach to się rzadko zdarza.

- Co to znaczy „w dzisiejszych czasach”? - Jess robi nadaśaną minę. - Chodziłam na randki nie tak znowu dawno temu.

- Naprawdę? A ja myślałam, że ty i Adam randkowaliście w latach trzydziestych - dogryzam jej. - Mam wrażenie, że Oliver nie jest typem

faceta, który śmiało zaprosi mnie na randkę. Potrzebuję pretekstu, żeby gdzieś z nim wyjść. Masz jakiś pomysł?

- Muszę wysilić szare komórki.

Kiedy docieramy do domu Jess, dzieci już śpią, a Adam w kapciach przegląda „Economista”.

- Co u ciebie, Adamie? - rzucam, siadając przy stole.

- Wszystko dobrze. Dziękuję, Abby - odpowiada i wsadza nos w gazetę. Uroczy rozmówca, jak zwykle.

- Jak minął wieczór? - pyta Jess, gdy Adam całuje ją w policzek.

- Całkiem spokojnie, skarbie. Jamie trochę dokazywał, uparł się, że nie położy się spać, póki nie wrócisz. Udało mi się go poskromić. Lola zasnęła od razu. A przedtem wypła całą butelkę.

- Dobrze. Nie obrazisz się, jeśli jeszcze wyjdę z Abby?

- Jasne, że nie.

- Świetnie. Wezmę szybki prysznic, a Abby dotrzyma ci towarzystwa. Adam wydaje się równie wniebowzięty tą perspektywą, co ja. Kręci się niespokojnie, gdy siadam naprzeciwko niego.

- Zbliża się wasza rocznica ślubu, prawda? - zagaduję. Adam krztusi się i podnosi oczy znad gazety.

- Uhm, tak. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie, bez powodu. Szykujesz coś specjalnego? Zanim Adam odpowiada, rozlega się dzwonek jego komórki.

- Przepraszam, muszę odebrać - mówi, wstając. Zarządza papierami wartościowymi. Mam nieodparte wrażenie, że ta praca polega na ciągłych rozmowach przez telefon. Idzie na drugi koniec salonu i wdaje się w fachową wymianę zdań, która toczy się aż do powrotu Jess. Ubrana w szlafrok, wyciera włosy ręcznikiem.

- Prysznic wolny, Abby - oznajmia. Adam odkłada telefon.

- Wracam za dziesięć minut - mówię, wychodząc z salonu.

- To dużo szybciej niż moja żona. - Adam się uśmiecha. Wtedy zauważam, że mąż mojej przyjaciółki, jeśli chce, umie się rozluźnić.

Rozdział 21

Przekonana, że drugi trening w Klubie Biegacza wyszedł mi fuksem, umieram ze strachu przed trzecim. I czwartym. Przed piątym i szóstym też. Tymczasem po kilku tygodniach dokonuje się we mnie nieoczekiwana przemiana: zaczynam odczuwać swego rodzaju... zapał.

Przyznaję otwarcie, że nie mogę przypisać tego zapału jedynie przyjemności odnalezionej w ćwiczeniach fizycznych. Seksualne napięcie między Doktorem Ciachem a mną narasta, a brak okazji do pchnięcia sprawy naprzód - w połączeniu z nieodpartym urokiem i nieśmiałością Olivera - tylko podsycą moje pożądanie.

Trening przynosi efekty. Czuję się sprawniejsza, szczuplejsza, rozpira mnie energia. Bez względu na to, czy będzie ze mnie biegaczka, czy nie, jedno mogę stwierdzić z absolutną pewnością: bieganie wychodzi mi o wiele lepiej niż kręcenie hula-hop.

Za namową Bernie z Klubu Pogromców Wagi postanowiłam dołożyć sobie jeszcze jeden trening biegowy w tygodniu. Według podręcznika odchudzania przy dodatkowych trzydziestu minutach ćwiczeń w tygodniu, o intensywności pozwalającej spalić ponad dwieście pięćdziesiąt kalorii w ciągu godziny, można sobie pozwolić na dodatkowe paliwo: równowartość połowy batonika Mars. Należałby mi się cały kontener marsów, lecz my, Pogromcy Wagi, frajdę sprawiamy sobie w ściśle kontrolowanym zakresie.

Biegnę szczęśliwa w ciepły wieczór babiego lata przez Sefton Park. Pozwoliłam sobie na lekkie niechlujstwo i zrezygnowałam z pracochłonnego naturalnego makijażu, niezbędnego w obecności Doktora Ciacha.

Bawię się udawaniem jednej z tych, które znajdują w tym radość. Kiedy moje stopy dotykają chodnika na ulicy skąpanej w czerwonej poświacie, widzę się jako modelka w reklamie strojów sportowych. Znacie ten typ: szczupła i atrakcyjna, biegnie z prędkością i zwinnością pantery ku zachodzącemu słońcu, zwykle w rytm transowej muzyki.

Nie mając w odtwarzaczu żadnej transowej muzyki, znalazłam w iTunes album zatytułowany *Najlepsze piosenki na wieczorne bieganie* czy jakoś podobnie.

Doskonały wybór. Zastanawiam się, czy puszczać te utwory w biurze. Nie sposób słuchać *Lustfor life* Iggyego Poppa, *Igotlafeeling* BlackEyed Peas czy *Toca's miracle* Fragmy bez podkręcenia tempa.

Biegnę już prawie trzydzieści minut, czuję się jak zahipnotyzowana. Przede mną jeszcze około pół kilometra, gdy słyszę w słuchawkach *Footloose* Kennyego Logginsa. Piosenka jest do kitu, głupia i kiczowata, ale jest... rewelacyjna!

Brakuje mi tchu, ale jakaś siła sprawia, że bezgłośnie powtarzam: *Kick offyo' Sunday shoes...*

Wyznaczam sobie wirtualną linię mety. Rytmicznie strzelam palcami w takt muzyki, wyobrażam sobie wiwatujący tłum. Heidi - wyimaginowana Heidi - stoi za linią boczną i krzyczy, ile sił w płucach. Przy niej Jess z dziećmi, moi rodzice i - och, tylko spokojnie! - Doktor Ciacho. Patrzy na mnie pożądliwie, gotów wziąć mnie w objęcia i obsypać pocałunkami, które wywołują małe trzęsienie ziemi.

Kiedy kiczowatość piosenki wraz z rytmem osiąga apogeum, a Kenny zmusza swoje struny głosowe do maksymalnego wysiłku, zalewa mnie fala adrenaliny. Przekraczam wyimaginowaną linię mety.

Ostatnie takty przepływają przeze mnie z całą mocą bajecznych lat osiemdziesiątych. Podskakuję, unoszę ręce, i wyrzucam z siebie triumfalne: „TAK!”.

Zamykam oczy i staram się uspokoić oddech. Nagle rozumiem radość sportowców po sukcesie. Czuję to każdą cząstką ciała. Radość pomieszana z bólem i...

- Co jej się stało?

Otwieram oczy i widzę twarz mężczyzny, brązową i pomarszczoną jak orzech włoski, uśmiechniętą, lecz zaskoczoną. Zupełnie jakby opieka społeczna zaserwowała mu podsmażaną zebkę.

Już mam go zapewnić, że wszystko ze mną w porządku, gdy ktoś mnie uprzedza.

- Na pewno nic jej nie jest, dziadku.

Nie po raz pierwszy od poznania Toma Bronte mam ochotę zapaść się pod ziemię.

Rozdział 22

- Widzę, że bieg był udany - komentuje Tom. Znów robi tę minę. Coś między udawaną powagą a rozbawieniem. To potwornie irytujące, choć w tej chwili bardziej irytuje mnie myśl, że widział mnie podskakującą jak dworski błazen po LSD.

- Uhm, tak. Chyba pobiłam życiowy rekord - mówię. Znów się ośmieszam. Zupełnie jakbym utożsamiała się z Linfordem Christie*.

- Brawo. Wygląda na to, że złapałaś bakcyła.

- Naprawdę? - Staram się mówić jak najbardziej obojętnie.

- Niech zgadnę. Masz w iPodzie *Kolekcję stu dwóch piosenek do biegania*.

- Skąd wiesz?

- Poznałbym te dynamiczne wymachy ramion na końcu świata. Tylko nie słuchaj *Eye of the tiger*, kiedy inni patrzą, bo narazisz się na aresztowanie.

- Wiesz, że kogoś mi przypominasz? - zwraca się do mnie towarzyszący Tomowi starszy mężczyzna. Ma ciepły łagodny głos. Mógłby być lektorem w reklamie Werthers Originals.

- Kogo, dziadku? - pyta Tom.

- Twoją ciocię Reeny. Toma lekko się uśmiecha.

- To samo mówiłeś wczoraj o kasjerce w Tesco. I o kobiecie, która robiła ci pedikiur we wtorek. I o dziewczynie, która...

* **Linford Christie** - jamajski sprinter reprezentujący Wielką Brytanię, mistrz olimpijski (Barcelona 1992).

- Dobrze już, dobrze. Zmylił mnie ten zwyczajny wygląd - oponuje dziadek. - To znaczy... nie zwyczajny, ale wyjątkowy. Bardzo miły dla oka. Naszej Reeny nigdy nie brakowało adoratorów - zapewnia mnie skwapliwie, jakby bał się, że po uwadze o zwyczajnym wyglądzie będę potrzebowała psychoterapii.

- Dziadku, pozwól, że przedstawię ci Abby. To koleżanka z Klubu Biegacza.

Wyciągam rękę na powitanie. Ku mojemu zaskoczeniu staruszek niemal miażdży mi dłoń w żelaznym uścisku.

- Bardzo miło mi pana poznać.

- Mnie też.

- Dziadek mieszka po drugiej stronie - wyjaśnia Tom, wskazując niewielkie, lecz eleganckie szeregowce.

- Ładne domy - mówię.

- Nieźle. - Dziadek się uśmiecha. - Przez lata poczyniłem w środku trochę zmian. Jesteś na Twitterze?

Unoszę brwi.

- Uhm, tak. A pan?

- O tak. Poszukam cię. O ile ci to nie przeszkadza. Mam prawie pięciuset czytelników.

Spoglądam pytająco na Toma.

- Dziadek nie żartuje - zapewnia.

- Jak masz na imię, dziewczyno? Tom, zapisz mi tutaj.

- Dobrze, dziadku, zapiszę.

Nagle zdaję sobie sprawę, że nie wyglądam zbyt ponętnie. Równie dobrze mogłabym mieć na sobie kombinezon chroniący przed promieniowaniem jądrowym.

- Lepiej już pójdę. Miło było cię spotkać, Tom. I pana też. Przepraszam, ale nie dosłyszałam pana imienia.

Staruszek uśmiecha się szeroko.

- Dziadek.

Rozdział 23

Jess nigdy nie była obżartuchem. W porównaniu ze mną ma apetyt polnej myszy owładniętej obsesją liczenia kalorii. Przedtem nigdy mi to nie przeszkadzało. Akceptowałam fakt, że jestem żarłokiem, a Jess należy do tych dziwadeł, które z radością opuszczają posiłek, twierdząc, że „zapomnieli zjeść”. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak to możliwe. Jeśli przed trzynastą nie uzupełnię zapasu paliwa, grozi mi przemiana w Hulka.

Kiedy siedzimy wieczorem w restauracji (Adam zabrał dzieci na noc do babci), Jess prawie nic nie je. Przez pół godziny przesuwając szparaga po talerzu, jakby uczyła go pływania synchronicznego. Powoli tracę cierpliwość. Jeszcze chwila i wybuchnę.

- Jess, zjedz tego szparaga, bo sprzątnę ci go z talerza. Podnosi na mnie roztargniony wzrok.

- Przepraszam, zamyśliłam się - mówi, nadziewając warzywo na widelec.

Moje jedzenie - niskotłuszczowe, bez sosu - już dawno zniknęło. Jeszcze przed zachodem słońca.

- Coś się stało?

- Dlaczego pytasz? - Jess upija łyk wina.

- Jesteś jakaś nieobecna, zdenerwowana.

Odkłada sztucę. Wydaje się, że dokończenie kolacji jest ponad jej siły.

- Tak? To nic takiego. Myślałam o pracy. Nie wyobrażasz sobie, jakie mamy w firmie szaleństwo. Czasem się zastanawiam, po co tam wróciłam.

Kelner zabiera nasze talerze i proponuje deser. Obydwie odmawiamy. Ja ze zdecydowanie większym żalem niż Jess.

- To wszystko?

- Tak. Dlaczego pytasz? Widzisz w moim zachowaniu coś podejrzanego?

- Czuję się, jakbym siedziała w czytelni z nieboszczykiem. Jess rozkłada serwetkę.

- Nic się nie dzieje. Naprawdę. Kiwam głową bez przekonania.

- Gdzie byłaś wczoraj wieczorem? Nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

- Służbowa kolacja z klientem. Nieważne. Pogadajmy o twoich urodzinach. Naprawdę nie planujesz żadnej imprezy?

Chwileczkę... Ależ jestem głupia! Jess na pewno szykuje mi jakąś niespodziankę.

Dwudzieste dziewiąte urodziny to wprawdzie żaden kamień milowy, lecz Jess ma hopla na punkcie urodzin. Robi wokół nich mnóstwo szumu. Od tygodnia rzuca aluzje, które zrozumiałam dopiero teraz. Oznajmiłam wszystkim, że nie urządzam żadnej imprezy, najwyżej zaproszę ich na drinka, lecz moja przyjaciółka ma najwyraźniej inne plany i niezbyt dobrze je ukrywa.

- Może coś kameralnego - odpowiadam, próbując zapanować nad drganiem kącików ust.

- W porządku. Kilka drinków po pracy. Będzie, jak sobie życzysz - mówi niewinnie Jess.

Nie umie kłamać. Wyobraźnia podsuwa mi różne scenariusze. Co Jess mogła dla mnie zaplanować? Przyjęcie w gronie najbliższych? Kolację z przyjaciółmi? Och! Może z Oliverem?

Ta myśl sprawia, że czuję przyjemne podniecenie.

Jeśli Doktor Ciacho ma wziąć w tym udział, muszę się przygotować. Potrzebuję opaleniźny w sprayu. Nowej fryzury. Może nawet pedikiuru, chociaż to nie moje stopy mają być przedmiotem jego zainteresowania przez cały wieczór.

- Pasuje ci to? - pytam, uważnie obserwując jej reakcję. - Kameralne przyjęcie urodzinowe?

Patrzy mi w oczy i odgrywa scenę wartą Oscara.

- Miałabym przygotować to przyjęcie dla ciebie? Oczywiście. Och...
Ściągam brwi.

- Co znaczy to „och”?

- Abby, czy chciałabyś, żebym zorganizowała dla ciebie coś specjalnego?

Z takim tekstem nie zdobyłaby roli w szkolnym przedstawieniu.

- Nie, nie - zapewniam. - Jasne, że nie. Masz wystarczająco dużo na głowie. Ja też jestem zajęta.

- Tak właśnie myślałam. - Jess upija łyk wina. - Ruszyłeś ze zbiórką funduszy na badania nad stwardnieniem rozsianym?

- Nie. Muszę się niedługo do tego zabrać. I podjąć decyzję w sprawie biegu.

- Myślisz o półmaratonie?

- Wątpię, czy dam radę przebiec dziesięć kilometrów, a ty pytasz o pół-maraton.

Jess stuka palcami w stół, jakby chciała przywołać mnie do porządku.

- Potrzebujesz bodźca, który zmusi cię do wysiłku. Słyszałam o półmaratonie w Liverpoolu pod koniec stycznia. To za cztery i pół miesiąca. Mówią, że jeśli człowiek ma jako taką kondycję, potrzebuje czterech miesięcy na przygotowanie się do tego biegu. Poradzisz sobie.

- Co każe ci sądzić, że mam kondycję? - pytam z szeroko otwartymi oczami.

- Pamiętaj, że nikt nie każe ci przebiec tego dystansu szybko. - Uśmiecha się. - Musisz po prostu zacząć poważne przygotowania. Zadaj sobie pytanie: jestem w stanie przejść tyle kilometrów? Jeśli tak, to przebiec też.

- I to ma mnie uspokoić? Nie mam pojęcia, czy przejdę taki kawał drogi. Przypuszczam, że zajmie mi to cztery i pół dnia. Ale masz rację co do zbiórki funduszy. Jutro mam trochę luzu, więc mogę zacząć od razu.

Jess sięga po torebkę i wstaje od stolika, by pójść do toalety. Nagle nieruchomieje.

- Ciągłe jesteś napalona na Olivera?

- To facet z moich snów - wzdycham. - Bardzo bezecnych snów.
Dlaczego pytasz?

Spogląda mi w oczy.

- Tak sobie, bez powodu.

Jeśli dotąd miałam wątpliwości co do udziału OHvera w moich urodzinach, w tej chwili się ich pozbyłam.

Wracam do domu późnym wieczorem, włączam komputer i sprawdzam pocztę. Na Twitterze mam wiadomość od @billybronte. Klikam i po chwili widzę szeroki uśmiech i serdeczne spojrzenie dziadka Toma, a pod nim następujące słowa: *To była kobieta w sklepie Asda, która wygląda dokładnie jak Reeny - chłopak nie wie, o czym mówi!*

Uśmiecham się do siebie i wpisuję do wyszukiwarki hasło „półmaraton w Liverpoolu”.

Oglądam zdjęcia z ubiegłego roku, patrzę na muskularne uda uczestników biegu. Żaden nie wygląda na wykończonego. Czy przez cztery i pół miesiąca zdołam przygotować się kondycyjnie do tego wyczynu? Najeżdżam myszką na napis „wejdź tutaj” i klikam.

Cóż, Abby, wygląda na to, że nie masz wyjścia.

Rozdział 24

Recepcjonistka jest piękną i elegancką profesjonalistką, zimną jak zad niedźwiedzia polarnego.

- Pani Garrison ma dziś mnóstwo obowiązków i nikogo nie przyjmuje.

Jest chyba moją rówieśnicą, a patrzy na mnie jak na bezczelną nastolatkę, która wymyśliła sobie spotkanie z szefową Calice w sprawie tak błahej, jak zbiórka funduszy na cele charytatywne.

- W takim razie na kiedy mogę się z nią umówić? - pytam grzecznie.

Firma Calice jest importerem włoskiego szkła i ceramiki dla ekskluzywnych domów handlowych. Ma siedzibę w Liverpoolu, ponieważ właśnie tutaj urodziła się Gili Garrison, jej założycielka i dyrektorka generalna, lecz działa na terenie całego Zjednoczonego Królestwa i poza jego granicami. W ciągu ostatnich pięciu lat zanotowała bardzo dobre wyniki, i to wbrew panującemu kryzysowi. Prasa fachowa przypisuje ten sukces niezwyklej skuteczności szefowej firmy.

To jeden z powodów, dla których pani Garrison jest ulubienicą pism ekonomicznych. Drugi powód to jej droga „od biedy do bogactwa”, choćby i ubarwiona (odkąd to nie do końca otynkowany trzypokojowy domek z zabudowaną kuchnią klasyfikuje się jako „biedę“?).

Karierę zawodową rozpoczęła jako ekspedientka w dobrze prosperującym sklepie dyskontowym. Szybko awansowała na kierowniczkę piętra w domu towarowym w Manchesterze.

Jak wyglądały kolejne etapy jej kariery - od odejścia z domu towarowego i założenia niewielkiej firmy importowej z biurem w domu, zajmowanym z mężem i córką, do potężnej firmy, jaką teraz kieruje - wie

tylko ona. Wystarczy powiedzieć, że teraz śpi na pieniądzach i dlatego jest doskonałą adresatką prośby o wsparcie finansowe.

- Nie wiem, czy pani Garrison znajdzie czas na spotkanie w tej sprawie - cedzi recepcjonistka. Podnosi do ust piękną turkusową szklankę z najnowszej kolekcji Calice i upija łyk wody.

- Jeśli pozna nasz szczytny cel, na pewno chętnie mnie wysłucha -przekonuję grzecznie. - Nie zabiorę jej więcej niż dwadzieścia minut.

Kobieta wystudiowanym gestem odstawia szklankę i piorunuje mnie wzrokiem.

- Dziesięć minut? - modyfikuję propozycję. Oczy recepcjonistki nie przestają miotać błyskawic.

- Mogę poczekać. Jeśli pani Garrison ma wolną chwilę w przyszłym tygodniu, niech będzie przyszły tydzień.

- W przyszłym tygodniu pani Garrison też nie ma czasu - informuje mnie recepcjonistka - ale nie o to tu chodzi. Nie mogę umówić spotkania, jeśli nie wiem, czy szefowa sobie tego życzy. Proszę przysłać e-mail z wyjaśnieniem, a ja prześlę go pani Garrison. Jeśli sprawa ją zainteresuje, skontaktuje się z panią. Muszę jednak uprzedzić, że pani Garrison już wspiera wiele inicjatyw.

- Tak? A jakich?

- Z dziedziny sztuki. Głęboko wierzy, że należy ją promować i dbać o jej zachowanie dla przyszłych pokoleń.

- Na pewno?

- Tak - odpowiada chłodno kobieta. - A teraz proszę wyjść. Nic więcej nie mogę zrobić. Niech pani napisze e-mail...

Obok niej otwierają się wielkie drzwi z drewna czereśniowego i z sali konferencyjnej wysypuje się grupa elegancko ubranych ludzi.

- Bill, umowa stoi.

Szczupła właścicielka głosu zwraca uwagę szykownym strojem i zabójczo wysokimi obcasami. Z lśniąco-czarnymi kasztanowymi włosami i zniewalającym uśmiechem wygląda młodziej, niż wskazywałaby metryka (ma pięćdziesiąt cztery lata). Bill, kimkolwiek jest, sprawia wrażenie oszołomionego.

- Prześlij mi e-mail ze wszystkimi danymi, wtedy ustalimy szczegóły - mówi zdecydowanym tonem pani Garrison, podczas gdy Bill całuje ją w policzek.

- Zrobię to zaraz po powrocie. - Akcent zdradza Amerykanina ze Wschodniego Wybrzeża. - Interesy z tobą to przyjemność.

Gili Garrison posyła mu zniewalający uśmiech. Bill i reszta uczestników rozmów wsiada do windy. W holu zostajemy we trzy - Gili Garrison, recepcjonistka i ja.

- Hm, ta pani właśnie wychodzi - oznajmia recepcjonistka i nerwowym gestem sięga po szklanke.

- Abby! - Jej szefowa rusza ku mnie z szeroko otwartymi ramionami.

- Cześć, mamó - mówię. Recepcjonistka o mało nie krztusi się wodą.

Każdy, obserwujący moją matkę rozmawiającą z Billem Jakimś Tam z Nowego Jorku, byłby pod wrażeniem jej elegancji, pewności siebie i wyrafinowania.

Po chwili Gili Garrison - Garrison to jej panieńskie nazwisko - zamyka drzwi swojego przestronnego gabinetu, podchodzi do biurka, zrzuca buty i otwiera szufladę.

- Jammie Dogger? - proponuje, wyjmując paczkę herbatników. - Mam jeszcze żelki, oranżadę w proszku, colę i makaroniki truskawkowe. Na co masz ochotę?

- Na nic, dziękuję. Domyślam się, że Billa z Nowego Jorku nie poczęstowałaś swoimi ukrytymi zapasami?

- Nie, skąd. Przez pół godziny popijałam herbatkę ziołową i udawałam, że się nią delektuję. A skoro o tym mowa...

Mama podnosi słuchawkę.

- Isabello, zostały jeszcze napoje owocowe? Możesz przynieść porzeczkowy? Chcesz coś? - zwraca się do mnie. Kręcę głową. - To wszystko, dziękuję.

- Twojej recepcjonistce przydałoby się kilka lekcji dobrych manier -informuję.

- Naprawdę? - Mama otwiera opakowanie żelków. - Zaczęła w zeszłym tygodniu. Spodobała mi się. Wyglądała na piekielnie skuteczną.

- Na pewno się sprawdzi - mówię, nie chcąc narażać dziewczyny na kłopoty. - Nie przyznałam jej się, że jestem twoją córką. To było nie fair z mojej strony. Chciałam się przekonać, jak zostanie potraktowana, jeśli przyjdę wprost z ulicy. Czy dostanę się przed twoje oblicze, czy nie.

Mama unosi brew.

- Poniosłam klęskę - przyznaję.

- Więc Isabella ma u mnie plus. - Mama się śmieje. - Nie chcę, żeby przychodzili do mnie ludzie z ulicy. Zwłaszcza jeśli czegoś chcą.

- Skąd wiesz, że czegoś chcą? - pytam oburzona.

- To jasne jak słońce. Mam tu biuro od ponad czterech lat. W tym czasie wpadłaś do mnie tylko raz na piętnaście minut. Dobrze, że nie jestem przewrażliwiona na tym punkcie.

Wzruszam ramionami.

- Wolę widywać się z tobą w domu. Moim czy twoim, wszystko jedno. Jak normalni ludzie. Bez wcześniejszego ustalania terminu.

- Dzisiaj się przekonałaś, że to niepotrzebne.

- Isabella o mało mnie nie wyrzuciła - przypominam. - Poza tym wiesz, dlaczego nie rozgłaszam, że jesteś moją matką. Ludzie mogliby myśleć, że wystartowałam z własną firmą dzięki twojemu wsparciu. Co gorsza, sama mogłabym tak myśleć, a tego nie chcę. Do wszystkiego zamierzam dojść sama. Co wcale nie znaczy, że nie jestem z ciebie dumna.

- Wiem. - Mama wygląda na lekko urażoną.

Ta kwestia jest kością niezgody między nami. Mama uważa, że powinna być dyrektorką-konsultantką w River Web Design i służyć firmie swoim doświadczeniem. Moim zdaniem chce się po prostu wtrącać.

Dotąd skutecznie trzymałam ją z daleka od mojej firmy. Nie dlatego, że jej nie cenię. Korzystanie z jej pomocy byłoby po prostu oszustwem. Mama założyła firmę i doprowadziła ją do rozkwitu bez rodzinnego anioła stróża. Ja chcę dokonać tego samego.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zaglądała darowanemu koniowi w zęby.

Przewracam oczami.

- Chciałam tylko, żeby ktoś zerknął na naszą stronę internetową -ciągnie mama. - To na pewno nie jest wbrew twoim zasadom.

- Zerknąć, ale po co? - pytam.

- Dobrze jest od czasu do czasu sprawdzać takie rzeczy. - Wzrusza ramionami.

- Red Box to bardzo dobra firma, mamó - zapewniam. Red Box jest administratorem strony internetowej Calice. - Nie podbiorę im pracy tylko dlatego, że ciebie i mnie łączy pula genów.

Mama wydyma usta.

- Ciągle dbasz o formę? - zmienia temat. -Tak.

Na jej twarzy niedowierzenie miesza się z rozbawieniem.

- Teraz widzę, że naprawdę dobrze wyglądasz.

- Właśnie dlatego tu jestem.

- Przyszłaś po wskazówki z boksu? - Zaciska pięści i robi kilka podskoków i uników. - Ćwiczę dwa razy w tygodniu.

- Mam sprawę zupełnie nie związaną z interesami.

- O czym mówisz? - Mama ściąga brwi.

- Potrzebuję pieniędzy. Całkiem sporej sumy.

Rozdział 25

- Jesteś w ciąży! Moja córeczka jest w ciąży!

Mama rzuca się na mnie i zamyka w stalowym uścisku, a potem ujmuję moją twarz w dłonie niczym kociaka uratowanego przed utonięciem w rzece.

- Przejdziemy przez to razem - deklaruje z teatralną emfazą. Odsuwam ją od siebie.

- Nie jestem w ciąży.

Mama nerwowym gestem wygładza żakiet.

- Ach tak - mamrocze wyraźnie zawiedziona.

- Nie musisz tak ostentacyjnie okazywać rozczarowania. Pociąga głośno nosem.

- Racja. W takim razie, jaką masz do mnie sprawę?

Kiedy mówię jej o Heidi, zbiorce funduszy na wsparcie badań i moim udziale w półmaratonie, widzę na jej twarzy cień zawodu. Mimo to wyjmuję książeczkę czekową.

- Ile chcesz? - pyta.

- Tysiąc? - rzucam z niepewnym uśmiechem. Mama zaczyna wypisywać czek.

- To ci dopiero niespodzianka - mówi pod nosem.

- Że nie jestem aż taką łamagą?

- Nie to miałam na myśli. - Wrywa czek z książeczki i kładzie go na biurku. - Dotąd byłaś nieprzejednana i nigdy nie prosiłaś mnie o pomoc.

- Te pieniądze nie są dla mnie. Chodzi o szczytny cel. Mama sięga po czek i gładzi się nim po policzku.

- Jedyne, czego od ciebie oczekuję, to wysłuchanie paru wskazówek na temat firmy i...

- To szantaż? - Spoglądam na nią spod zmrużonych powiek.

- Od razu „szantaż” - obrusza się mama. - Inni byliby...

- ... zachwyceni, że mają cię w kierownictwie. Wiem. Wybacz, ale to wykluczone.

Mama wykrzywia usta.

- Byłabym na tym stanowisku nie do pobicia - zapewnia.

- Właśnie to mnie martwi.

- Cieszę się, że pracujesz nad kondycją. Po naszym ostatnim spotkaniu zaczęłam się o ciebie martwić.

- To ty trzymasz w szufladzie smakołyki dla dzieci.

- Pozwalam sobie na jeden dziennie, nie więcej - zaznacza mama. - I nie zmieniaj tematu. Pijesz o wiele za dużo jak na swój wiek.

- Piłam - poprawiam ją.

-**1** te tłuszcze nasycone - ciągnie. - Wolę sobie nie wyobrażać, co one robią z twoimi tętnicami.

- Robiły.

- Posłuchałaś mnie i zrobiłaś sobie domowy test na zawartość cukru we krwi?

-Nie.

- Dlaczego? - Mama wygląda na coraz bardziej zdenerwowaną.

- Gdybym potrzebowała takiego testu, mój lekarz wysłałby mnie na badanie.

- Niech ci będzie. - Mama wzrusza ramionami. - Tylko nie przybiegaj do mnie, jeśli dostaniesz ataku z powodu podwyższonego poziomu cukru.

Próbuję zachować spokój.

- Jak twoje bóle głowy? - dopytuje się mama.

- Jakie bóle?

- Kiedy widziałyśmy się ostatnio, bolała cię głowa.

- Nie pamiętam - przyznaję. - Może to był kac.

- Nie, to był wtorek. Jeśli bóle wrócą, idź do lekarza, dobrze?

- Oczywiście - kłamię.

- Naprawdę sądzisz, że jestem aż tak naiwna? - Rzuca mi miazdzące spojrzenie.

Dzwoni telefon. Mama podnosi słuchawkę. Nie rozumiem, dlaczego Isabella nie może ruszyć tyłka i wetknąć głowy przez drzwi, zamiast dzwonić.

- Zaraz go przyjmę - mówi mama i odkłada słuchawkę.

- Jak myślisz, warto prosić resztę rodziny o dotację? - pytam.

- Jeśli to zrobisz, nie przyjmuj od babci Vickie więcej niż dziesięć funtów, dobrze?

- Dobrze. A co z ciocią Steph? - Wiem, że ciocia nie jest tak bogata, jak mama, ale nie wątpię, że chętnie pomoże w miarę swoich możliwości.

- Nie widziałaś jej od lat - zauważa mama.

- Ciocia jest w gronie moich znajomych na Facebooku.

- Jednym ze stu siedemnastu - przypomina mama z przekąsem.

- Nie o to chodzi. Ciocia Steph należy do rodziny.

- Nie jest zamożna.

- Wiem, ale teraz pracuje jako kierowniczką średniego szczebla w infolinii, więc chyba stać ją na wpłatę trzydziestu funtów.

- W porządku.

- Może w końcu uda mi się pojechać do Australii.

- Może. Chociaż ja raczej z tobą nie polecę. Unoszę brwi.

- Dlaczego między tobą i ciocią Steph nigdy się nie układało? - pytam.

- Układało się. I układa. Jesteśmy bardzo różne, to wszystko. Nic więcej się za tym nie kryje.

Znów rozlega się brzęczyk.

- Musisz już zmykać - mówi mama. - Przyjdiesz w niedzielę na obiad?

- Dobrze. Mogę przyprowadzić tatę? Widzę, że mamie drga kącik ust.

- Na pewno jest zajęty. Jego zespół ćwiczy w niedzielę, prawda?

Nie chcę wdawać się w dyskusję. Nie warto. Mama odeszła od taty szesnaście lat temu. Już dawno przestałam namawiać ją, by zmieniła zdanie. Odprowadza mnie do drzwi, całuje na pożegnanie i wręcza czek. Oglądam go dopiero w windzie. Nie wierzę własnym oczom. Czytam jeszcze raz. Czek opiewa na trzy tysiące funtów.

Rozdział 26

We wtorek Heidi idzie do neurologa. Chcę jej towarzyszyć, ale ona twierdzi, że to niepotrzebne. Swojej mamie, najlepszej przyjaciółce Julie, bratu Tomowi i kuzynce Caron powiedziała to samo. Zapewniła, że to rutynowa wizyta, podczas której lekarz skontroluje jej stan. Żadna wielka sprawa.

Po powrocie Heidi dostrzegam w jej zachowaniu pewną zmianę. Od razu biorę ją na bok.

- Jak poszło? - pytam. W jej oczach dostrzegam strach przed przyszłością. Podświadomie boję się odpowiedzi.

- Dobrze. Wziąwszy pod uwagę okoliczności - mówi.

- Coś cię jednak martwi.

Heidi uspokajającym gestem kładzie mi rękę na ramieniu.

- Zapewniam cię, Abby, że nie wydarzyło się nic przykrego. Wręcz przeciwnie, lekarz dodawał mi otuchy. - Milknie na chwilę, po czym nabiera powietrza. - Przypuszczam, że sam pobyt w szpitalu przypomni mi o chorobie. W fazie remisji potrafię o niej zapomnieć. Jakby nic się nie stało. Dzisiejszy dzień był przypomnieniem, że tak nie jest.

- Och, Heidi. - Obejmuję ją mocno. - Jeśli będziesz chciała wziąć wolne, daj mi znać.

Wysuwa się w mojego uścisku.

- Dzięki, Abby, ale nie potrzebuję wolnego. - Uśmiecha się. - Wiesz, że uwielbiam to, co robię. Straszny ze mnie pracuś. Poza tym, gdybym siedziała teraz w domu, użalałabym się nad sobą, a to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę.

- Na pewno?

- Tak, Abby. Wybacz, ale nie możesz trzymać mnie z dala od firmy. Nie dość, że mamy mnóstwo pracy, to jeszcze czeka nas zbiórka funduszy, prawda?

Racja, zbiórka funduszy. Dopiero od jutra ruszy pełną parą.

Wiem, że nie każdy będzie tak hojny, jak mama. Ale czek na trzy tysiące funtów w tylnej kieszeni spodni przyprawia mnie o zawrót głowy i każe mierzyć wyżej niż do tej pory.

Głównym adresatem mojej prośby będą ludzie, których poznałam na gruncie zawodowym. Jest ich całkiem sporo. Kiedy zaczynałam pracować na własny rachunek, myślałam, że jeśli podpiszę kontrakt z jedną piątą tych, z którymi piłam, jadłam lunch i kolację, moja firma nie zginie.

Skończyło się na mniej niż jednej piątej. Biorąc pod uwagę, że jadłam i piłam z dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami wszystkich, których warto znać, wynik jest całkiem niezły. To również wyjaśnia, dlaczego na początku tego roku moja talia woła o ratunek.

Poza tym sił dodaje mi przekonanie o słuszności sprawy. Im więcej czytam o stwardnieniu rozsianym, tym większą mam ochotę działać. I tym głębszą mam wiarę, że inni też zechcą pomóc. Jak to możliwe, że wciąż nie ma lekarstwa na chorobę, na którą cierpi osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi w Wielkiej Brytanii, a dwa i pół miliona na całym świecie? Co gorsza, spada ona na ludzi w pełni sił - między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia - a medycyna nadal nie zna jej przyczyn.

Pierwszy krok to ustalenie priorytetów. Sporządzam listę dziesięciu dużych firm, do których zwrócę się w pierwszej kolejności. Potem układam e-mail z prośbą o dotację. Szlifuję go, aż jestem zadowolona z efektu. Zawiera podstawowe informacje o stwardnieniu rozsianym oraz o wyzwaniu, jakiego się podjęłam w imię zebrania funduszy na badania - o moim udziale w treningu do styczniowego półmaratonu.

Pierwszy raz robię coś więcej w imię dobroczynności niż kupienie od bezdomnego egzemplarza „The Big Issue” czy wrzucanie drobnych do skrzynki na datki. Z jednej strony czuję dumę i chcę działać, z drugiej zastanawiam się, dlaczego tak długo zwlekałam.

- Jak myślisz, ile uda się zebrać? - pyta Priya. Tryska energią, mimo że właśnie rzucił ją niejaki Barry, agent nieruchomości. Wrócił do byłej dziewczyny, która powiększyła sobie piersi, co wywołało u niej znaczne obniżenie jej środka ciężkości. - Wyznaczyłaś już kwotę docelową?

Priya ma włosy bardziej różowe niż zwykle, a grzywkę nastroszoną jak pompon przy domowych pantoflach, które Joan Collins mogłaby założyć na piżamowe przyjęcie.

- Jeszcze nie - odpowiadam wymijająco. - Wiem, że trzeba to zrobić, ale jeszcze nie wiem, jaka suma będzie realistyczna.

Matt Przystojniak podnosi wzrok znad komputera.

- Już masz trzy tysiące, prawda?

- Tak, od jednej firmy. - Unikam konkretów, nie chcąc wspominać o mamie. - Wątpię, by inni okazali się równie hojni. Jestem pewna, że nie będą.

- No nie wiem. - Priya się uśmiecha. - Umiesz być przekonująca, kiedy ci na czymś zależy. Powinnaś celować w... - błądzi wzrokiem po biurze - co najmniej dziesięć tysięcy. - Mówi tak, jakby wykrzykiwała kolejny numer w bingo.

- Co? Nie zapominaj, że mam jeszcze na głowie firmę.

- No to pięć tysięcy - mówi Heidi.

- Siedem! - krzyczy Priya.

- Osiem! - wrzeszczy Matt.

- Co to, licytacja? Do roboty, moi drodzy! Wyznaczę kwotę, kiedy się zorientuję, ile osób zechce sięgnąć do portfela.

Pierwszą połowę dnia spędzam, czekając na odpowiedzi. Bębnię palcami w biurko, jakbym trenowała do *Mam talent*. Dopiero o wpół do piątej nadchodzi e-mail od jednego z potencjalnych donatorów. Nadawcą jest Jane Lodge z Savage & Co. Investments. Otwieram go z duszą na ramieniu.

Droga Abby,
dziękuję za informację o przygotowaniach do półmaratonu. Wyznaczyłaś sobie szczytny cel. Gratuluję zapału. Nie wiem, skąd bierzesz czas i siły na to wszystko.

- Ja też nie - mruczę do siebie. Tak czy owak, początek listu brzmi obiecująco.

Jak zapewne wiesz, Lodge, Savage & Co. od lat zajmuje się działalnością charytatywną. Jednakże w dobie kryzysu ekonomicznego naszym obowiązkiem wobec akcjonariuszy i pracowników jest redukcja wydatków firmy do niezbędnego minimum. Nie pozostało nam więc nic innego, jak ograniczyć w tym roku wysokość dotacji na cele charytatywne. Mamy nadzieję, że tymczasowo. Fundusze wygospodarowane na działalność dobroczynną w całości kierujemy do NSPCC, organizacji charytatywnej, którą od dawna wspieramy.

Jęczę jak delfin trafiony harpunem. Priya rzuca mi niespokojne spojrzenie.

- Coś się stało? - pyta.

- Nie - odpowiadam. Trudno przyznać się do porażki już na samym początku.

Osobiście Jestem pełna podziwu dla Twojej inicjatywy. A ponieważ praca z Tobą była dla mnie prawdziwą przyjemnością, postanowiłam wesprzeć Cię prywatnym datkiem poprzez Twoją stronę internetową. Powodzenia, Abby! Jane Lodge

Ten e-mail powoduje u mnie huśtawkę emocji - od nadziei po rozczarowanie i znów do nadziei. Nie jest tak źle. A może być bardzo dobrze. Sama firma na pewno sypnęłaby szmałem, ale skoro Jane Lodge zdecydowała się na dotację w swoim imieniu, to kto wie...

Dzwoni telefon. Błyskawicznie podnoszę słuchawkę, licząc, że zgłasza się kolejna firma z listy dziesięciu najważniejszych.

- Cześć, Abby.
- O, Egor - rzucam zniechęcona.
- Czym sobie zasłużyłem na takie powitanie?
- Wybacz. Z czym dzwonisz?

Egor prosi o przesunięcie terminu naszego spotkania, ale ja wciągam go w rozmowę o sytuacji w firmie. To nie fair z mojej strony. Zupełnie jakbym zmuszała biedaka do wcześniejszego zdawania egzaminu, gdy według planu przed nim jeszcze parę dni zakuwania.

Na szczęście mam dla niego głównie dobre wiadomości. Po ponagleniach maruderzy uregulowali zaległe należności, o ciągły ból głowy przyprawia nas tylko Preciseco, firma specjalizująca się w mechanice precyzyjnej. Ścigani przeze mnie od tygodni, w końcu zapłacili, ale tylko połowę, z powodu - jak to określili - „technicznego niedopatrzenia”.

- Takie rzeczy się zdarzają - przyznaje Egor. - Musisz po prostu...
- Regularnie przypominać im o zaległości, wiem - dopowiadam.
- Reszta płaci w terminie?
- Nikt nie dorównuje Diggles Gardens, ale ogólnie jest nieźle.
- Pojawili się jacyś nowi klienci?
- Są szanse. Jutro mam spotkanie w biurze architektonicznym. Jeszcze nie wiem, jakim budżetem dysponują.

To kolejna podpowiedź od Toma. Jego firma, Caro & Co. chce odświeżyć swoją stronę internetową. Dwa tygodnie temu złożyłam ofertę. River Web Design znalazła się w gronie trzech finalistek rywalizujących o zlecenie.

Po rozmowie z Egorem podekscytowana loguję się na stronę utworzoną specjalnie na potrzeby zbiórki.

- Uwaga, uwaga, nasza pierwsza dotacja online - anonsuję. Zespół gromadzi się wokół mojego biurka. W napięciu patrzą na ekran komputera, jakby czekali na wiadomość od Akademii Filmowej o zdobyciu Oscara.

Klikam w nazwisko Jane Lodge i czekam.

- Coś się rozkręca - mówi Matt Przystojniak. - Na razie masz odpowiedź na jeden z dziesięciu e-maili. Jeśli Jane Lodge przelała na konto kwotę trzy, może nawet czterocyfrową, to bardzo dobre otwarcie. Jest bogata, prawda?

- Zaraz się przekonamy - odpowiadam. Przy nazwisku Jane pojawia się suma.

- Pięć tysięcy funtów! - uradowana Priya wydaje okrzyk przechodzący w wycie wygłodniałej hieny. Podskakuje z radości, ściska Heidi, potem Matta i znów Heidi. - Niewiarygodne, Abby!

Upływa dłuższa chwila, zanim udaje mi się ją uspokoić i osuszyć faktury zalane przez nią colą.

- To nie jest pięć tysięcy - mówię.

- Co? - pyta zdezorientowana.

- To... pięć funtów.

- Co? - powtarza.

- Pięć nędznych funtów.

- Skąpa krowa - prycha Priya.

- Mówisz o jednej z naszych klientek - upominam ją, choć w duchu przyznaję jej rację.

Rozdział 27

- Nie takiego początku się spodziewałam - mówię Tomowi podczas rozgrzewki. - Najpierw wysłałam e-mail tylko do dziesięciu firm. To był błąd. Dopiero potem rozszerzyłam listę adresatów do stu.

Rozmowa z Tomem przychodzi mi łatwiej niż kiedyś. Jego wygląd wciąż robi na mnie wrażenie - trudno, żeby było inaczej, skoro Tom jest nieziemsko przystojny - ale już się z nim oswoiłam i nie czuję się tak zakłopotana. Na dodatek, gdy nasz spór o ubezpieczenie został rozstrzygnięty, Tom okazał się nie tylko przyzwoitym facetem, ale także pożytecznym źródłem biznesowych kontaktów.

- Wpłacę datek na wasze konto - zapewnia mnie, rozciągając ramię.

- Naprawdę? - pytam zachwycona, jakby zaoferował mi własną nerkę.

- Jasne. Skoro stawka minimalna wynosi pięć funtów, mogę wpłacić dwa razy tyle. - Posyła mi szelmowski uśmiech.

Od mojego powrotu do Klubu Biegacza minął miesiąc. Trenuję do październikowego biegu na pięć kilometrów. To moje pierwsze zawody. Zostało tylko parę tygodni, a ja czuję się lepiej przygotowana do misji kosmicznej Apollo niż do tego startu.

- Nie bądź dla siebie taka surowa - ciągnie Tom. - Zbiórka funduszy na cele dobroczynne to dla niektórych zajęcie na pełny etat.

- Właśnie to mnie martwi. I bez tego ledwo się wyrabiam. Ale nie mogę zawieść Heidi.

Tom pochyla się, by rozciągnąć mięśnie uda. Zauważam spojrzenia kilku kobiet. Nie mogą oderwać od niego wzroku. Dobrze, że obiektem

moich uczuć jest Oliver, a nie ktoś taki jak Tom. Geraldine musi chyba nieustannie odpierać ataki konkurencji.

- Nie znam się na zbiórce funduszy, ale w obecnej sytuacji ekonomicznej nie dziwi mnie, że to niełatwe. Twoja koleżanka na pewno będzie ci wdzięczna za każdego funta na koncie.

- Nie o to chodzi. Skoro już biorę udział w tej biegowej szopce - nie mogę się powstrzymać od zgryźliwości - to niech to będzie cierpienie w słusznej sprawie.

- W biegowej szopce? - Tom się śmieje. - Coś mi się wydaje, że jeszcze nie złapałaś bakcyła.

- Nazywasz to bakcylem? Czasem mam z tego tyle przyjemności, ile z infekcji wirusowej.

- Koniec rozgrzewki, ruszamy! - zarządza Oliver. Moje spojrzenie wędruje ku jego szczupłym udom. Chłonę ich kształt, widok mięśni grających pod skórą. I wtedy czuję na sobie wzrok Toma. Zażenowana odwracam się i dołączam do grupy.

Moje dzisiejsze dokonania na treningu są odzwierciedleniem moich osiągnięć w gromadzeniu funduszy. Jest bezwietrzny wieczór, temperatura optymalna jak na tę porę roku, a ja mozolnie pokonuję kolejne metry biegni, bezskutecznie usiłując wykrzesać z siebie odrobinę energii.

Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Nie jestem ani chora, ani bardziej zmęczona niż podczas wcześniejszych treningów, a jednak po biegu mam ochotę paść na kanapę w zaciemnionym pokoju, najchętniej ze szklaneczką dzinu z tonikiem w ręku.

Kiedy wchodzę do szatni, dołączają do mnie Geraldine i Jess. Z nienagannymi fryzurami. Świeże i bez widocznych oznak tego, że się spocily. Patrzę na nie z zazdrością i karcę się w duchu. Nie mogę mieć im tego za złe.

- Cześć, Abby - rzuca Geraldine na powitanie. - Jess wspominała, że masz jutro urodziny. Ile lat kończysz?

- Dwadzieścia dziewięć.

- Nie wyglądasz na tyle. - Uśmiecha się do mnie promiennie. - Dałabym ci najwyższej dwadzieścia pięć.

- Jesteś dla mnie zbyt łaskawa, Geraldine. To miłe słowa, choć mało przekonujące.

- Zazdroszczę ci - przyznaje. - Chciałabym mieć ciągle dwadzieścia dziewięć lat.

- Nie masz dużo więcej. Pochyla się ku mnie.

- Mam trzydzieści trzy lata - wyznaje konspiracyjnym szeptem. - Nie przejmowałabym się tym, gdyby nie mój biologiczny zegar, który tyka jak oszałały. - Wali drobną pięścią w metalowe drzwiczki szarki. Mam wrażenie, że echo uderzenia niesie się po całym budynku.

Od pierwszego spotkania z Geraldine wiem, że żadna rozmowa z nią nie obędzie się bez poruszenia tematu małżeństwa, dzieci i ilości plemników w spermie Toma.

Z nim o tym nie rozmawia, bo nie chce go spłoszyć. Gorączkowym pragnieniem usidlenia Toma i zaciągnięcia go przed ołtarz dzieli się ze znajomymi kobietami przy każdej sposobności. Z jednej strony szkoda mi Geraldine, z drugiej mam ochotę poradzić jej, żeby wyluzowała. Tom jest w niej zakochany, nie mam co do tego wątpliwości, więc prędzej czy później dojrzeje do tej decyzji. Wiem jednak, że moje słowa na nic się zdadzą.

- Ciągle nie dostałaś pierścionka, złociutka? - pyta Mau, która usłyszała ostatnie słowa Geraldine.

- Mau, zanim Tom się zdeklaruje, moja macica zamieni się w suszoną śliwkę.

- Geraldine! - strofuje ją Jess. - Niedawno urodziła dziecko kobieta po sześćdziesiątce. Nie twierdzę, że powinnaś czekać tak długo, ale moim zdaniem wyolbrzymiasz problem.

- Gdyby naprawdę mnie kochał...

- Tom świata poza tobą nie widzi - zapewnia Jess. Geraldine wydaje się usatysfakcjonowana tym stwierdzeniem.

- Boże, jakim cudem znowu zeszliśmy na ten temat? Abby, chciałam tylko złożyć ci życzenia urodzinowe. Nie mogę pójść z wami, muszę przygotować raport, mam jeszcze mnóstwo pracy.

Jess upuszcza torbę.

- Och, Geraldine, nic jeszcze Abby nie mówiłam.

Nareszcie się dowiem, co Jess przygotowała na moje urodziny. Prostuję się, czekając na jej odpowiedź.

- O czym? - pytam.

- To nic szczególnego. - Jess wzrusza ramionami. - Nie chciałaś żadnej wielkiej fety, więc wymyśliłam, że pójdziemy na drinka w niewielkim gronie.

- Świetnie! - Staram się udawać zaskoczoną.

Wiedziałam, że Jess mnie nie zawiedzie i zaprosi na jutro parę osób z klubu - w tym Olivera. Wiedziałam, i dlatego w domu czekają już moje cudne dzinsy i nowy top od Teda Bakera, a dzisiejszy wieczór zarezerwowałam na zabiegi kosmetyczne, których rozpaczliwie potrzebuję.

- Czułam, że ten pomysł ci się spodoba. - Jess się uśmiecha. - Weźmiemy szybki prysznic i idziemy do Rose.

-Co?

- Weźmiemy tu prysznic i...

- To ma być dzisiaj? Teraz?

- Uhm, tak.

- Ale urodziny mam jutro.

- Wiem. Tylko że jutro piątek, a w piątki nie ma treningów. Dlatego pomyślałam, że fajnie byłoby skoczyć na drinka dzisiaj z ludźmi z klubu. Jutro możesz pójść ze swoimi pracownikami.

Myślę o dzinsach wiszących w domu na wieszaku, tęskniących za taką okazją. Myślę o nieogolonych nogach, o samoopalaczu, którego nie nałożyłam, o zaniedbanych stopach wołających o pedikiur, o brwiach wymagających regulacji i o wszystkich innych zabiegach, które zaplanowałam na dzisiejszy wieczór.

Potem patrzę na Jess i w duchu zadaję sobie pytanie, dlaczego się waham.

- Dobrze - mówię - niech będzie. Idziemy.

Rozdział 28

Mydłem w płynie próbuję usunąć z dzinsów plamę po soku owocowym, paznokciami skubię brwi, układam włosy suszarką, która siłą wydmuchu dorównuje dwulatкови gaszącemu świeczki na urodzinowym torcie.

- Wolałaś jutrzejszy termin, prawda? - pyta Jess. - Głupio mi, że o tym nie pomyślałam. Przepraszam cię, Abs.

- W porządku - odpowiadam, malując usta błyszczkiem. - To naprawdę świetny pomysł. Ważne, że będzie Doktor Ciacho. Pożyczysz mi podkład?

Jess podaje mi kosmetyczkę. Krytycznie badam odcień podkładu. Mam inną karnację niż Jess, ale z braku swoich kosmetyków muszę się zadowolić tym, co mam do dyspozycji. Mieszam odrobinę z kremem nawilżającym i nakładam na twarz.

- Oliver ciągle ci się podoba? - pyta Jess, nie przerywając pudrowania czoła.

- Tak. Z każdym spotkaniem coraz bardziej. Dlaczego pytasz? Czyżbym ostatnio za mało o nim gadała?

- Tylko sprawdzam - mówi Jess, zamykając kosmetyczkę.

- Myślisz, że ja mu się nie podobam? - Nagle opadają mnie wątpliwości. - Flirtuje ze mną. A przynajmniej próbuje. To jeden z powodów, dla których tak bardzo mi się podoba. Flirtowanie nie przychodzi mu łatwo. Jego zakłopotanie jest urocze.

Poprawiam niesforne kosmyki i spoglądam w lustro. Wyglądam znacznie lepiej niż dziesięć minut temu, ale nadal tylko znośnie.

W drzwiach staje Mau. Ma na sobie obcisłe jasnoniebieskie džinsy i wydekoltowany top, a w uszach koła tak wielkie, że można by ich użyć do układu z obręczą w gimnastyce artystycznej.

- Gotowe? Chłopcy już są w pubie - oznajmia.

- Chyba tak. - Jess zarzuca torbę na ramię.

- Abby mam nadzieję, że pozwolisz sobie na drinka, skoro to twoje urodziny - pyta Mau.

- Może dam się przekonać - odpowiadam - chociaż nie obiecuję. Urodziny mam dopiero jutro. Zważywszy, że od tygodni nie piłam, mogę się wstawić szklanką piwa z lemoniadą.

- Urodziny bez drinka? Niesłychane! - woła Mau z udawanym oburzeniem.

Wybucham śmiechem, ale jestem zdecydowana.

- Jedyna rzecz, której bym sobie nie życzyła, to upić się i napleść bzdur, których rano będę żałowała.

Rozdział 29

- Wiesz, że nazywamy cię Doktor Ciacho?

Próbuję oprzeć łokieć o blat stołu i pochylić się zalotnie w stronę Olivera. Niestety, nie trafiam i gwałtownym manewrem ratuję się przed utratą równowagi.

Oliver usiłuje zachować niewzruszoną minę, jakby codziennie słuchał takich wynurzeń. Nie udaje mu się. Widzę, że jest w siódmym niebie. Bardzo mu z tym do twarzy.

- Naprawdę? My, czyli kto?

- Och, ja i... tak naprawdę to ja.

Wybuch śmiechem. Wtóruję mu. Zerkam na Toma siedzącego po drugiej stronie stołu, lecz on odwraca wzrok. Mam wrażenie, że coś go gryzie.

- Oliverze, chyba nigdy nie spytałam, w jakim szpitalu pracujesz.

- W Royal - odpowiada. Pod wpływem tych słów doprawionych seksownym i uroczym w swej nieśmiałości spojrzeniem Olivera miękną mi kolana.

- Naprawdę? Byłam tam kiedyś. - Upijam łyk wina, patrząc mu w oczy o wiele dłużej, niż patrzyłabym na trzeźwo.

To dopiero mój trzeci kieliszek, a już jestem wstawiona. Kiedyś potrzebowałam mnóstwa alkoholu, żeby się upić. Po wielu tygodniach na herbacie wystarczy tylko odrobina czegoś mocniejszego. Ktoś, kto zaprasza mnie na drinka, nie musi bać się bankructwa.

- Tak? - Oliver się uśmiecha. - Mam nadzieję, że to nie było nic poważnego.

W jego twarzy jest coś naturalnie uroczego. Nie wiem, czy to ten błysk w oku, czy sposób, w jaki się uśmiecha. Wiem jedno - nie można mu się oprzeć. Straciłam dla niego głowę.

- Złamałam nadgarstek. - Wyciągam rękę. - Kontuzja podczas treningu.

Mijam się z prawdą. Nie mogę jednak przyznać, że przewróciłam się, wysiadając z taksówki. Nie chcę zrobić na nim złego wrażenia.

- Naprawdę? - Odwraca się tyłem do reszty, z wahaniem bierze mnie za rękę i ogląda miejsce złamania. Nie mam odwagi dodać, że od tamtego wypadku minęło już sześć lat. Dotyk palców Olivera na moim nadgarstku przypomina mi o dreszcz, choć jestem już nieco znieczulona działaniem wina. - Brzmi paskudnie. Kość zrosła się prawidłowo? Wszystko wróciło do normy?

Oliver mówi tonem lekarza zatroskanego o stan pacjenta, robiąc na mnie jeszcze bardziej piorunujące wrażenie. Nigdy dotąd nie spotkałam równie atrakcyjnego faceta.

- Uhm, chyba tak. - Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. -Dlaczego pytasz? Czy masz dla mnie jakieś zalecenia?

Uśmiecha się nieśmiało.

- Nie przesadzaj z tenisem - mówi i powoli cofa dłoń. Odwraca się do reszty grupy, wkładając rękę do kieszeni. - Kto reflektuje na następną kolejkę?

Spoglądam na mój pusty kieliszek.

- Proszę o jeszcze jedno wino. Pomóc ci przynieść drinki do stolika?

- Dzięki, poradzę sobie - odpowiada i rusza w stronę baru.

W oczekiwaniu na powrót Olivera wdaję się w pogawędkę z resztą grupy, choć siedzę jak na szpilkach. Nagle ktoś zajmuje miejsce obok mnie. Odwracam głowę i widzę Toma.

- Nie możesz tu siedzieć - syczę.

- Pomyślałem, że zechcesz mnie wypytać przed jutrzejszym spotkaniem z nami. - Wzrusza ramionami.

Tom ma rację. Powinnam to zrobić. W końcu pracuje w biurze architektonicznym, którego szefów będę jutro przekonywała, by to właśnie ze mną nawiązali współpracę. Bez względu na rozmiary zlecenia, warto je zdobyć.

- Doskonały pomysł - mówię, śledząc spojrzeniem Olivera, który zagaduje Jess siedzącą po drugiej stronie stołu.

- Naprawdę nazywacie go Doktor Ciacho? Mrużę podejrzliwie oczy.
- Skąd o tym wiesz?
- Sama to powiedziałaś.
- Och... - Mam niejasne przeczucie, że te słowa staną się moim przekleństwem, gdy wytrzeźwieję. Na szczęście trwa to tylko chwilę. - Hm, prawda.
- Podoba ci się ? - pyta Tom.
- Jest bardzo atrakcyjny, tyle mogę powiedzieć - odpowiadam chłodno. - Do tego inteligentny. I troskliwy. Jest lekarzem, więc musi być troskliwy.
- Więc... tak?
- A nawet jeśli, to co?
- Nic. - Tom wzrusza ramionami. - Jestem tylko zaskoczony. Nie przypuszczałem, że zainteresujesz się kimś takim jak on.
- Przysiadłeś się, żeby pogadać o jutrzejszym spotkaniu. Kto jeszcze stara się o zlecenie?
- Tego nie mogę zdradzić.
- Dlaczego?
- Bo to byłoby nieprofesjonalne. Zażył mnie tym argumentem.
- Powinam się obawiać?
- Widziałem parę stron internetowych waszego autorstwa. Nie wątpię, że jesteście świetni.
- Uśmiecham się z satysfakcją.
- Mimo to musisz się dobrze przygotować - dodaje Tom.
- Jasne. - Macham ręką, chcąc wrócić do bardziej interesującego mnie tematu. - Co miałeś na myśli, mówiąc „ktoś taki jak on”?
- Nic szczególnego. Nie zrozum mnie źle. Lubię Olivera. Nie jestem tylko pewny, czy chciałbym być jego dziewczyną.
- Na szczęście dla ciebie, Oliver raczej nie gustuje w brunetkach -mówię zjadliwie.

Rozdział 30

Rano budzę się z przemożnym uczuciem, że coś jest nie w porządku. Coś zdecydowanie poszło nie tak. Może powiedziałam coś, czego mówić nie powinnam, albo zrobiłam coś... O, cholera!

Wczorajsza scena wyświetla mi się nagle przed oczami z bolesną ostrością. Zupełnie jak nieprzyjemne migawki z wypadku samochodowego w serwisie informacyjnym.

„Wiesz, że nazywamy cię Doktor Ciacho”?

Niemożliwe, że to powiedziałam. Co za wstyd.

Przy piętnastej powtórcie tej sceny moje słowa brzmią w zwolnionym tempie, jakby wydobywały się z gardła lorda Vadera. Zwlekam się z łóżka i na czworakach leżę do telefonu w korytarzu.

- Jess! - stękam, gdy po kilku sygnałach słyszę w słuchawce jej głos.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

- Błagam cię, Jess, powiedz, że się przed nim nie wygadałam. Błagam.

- Domyślam się, że mówisz o Oliverze - odzywa się po dłuższej chwili. -Tak.

- I o tym, że powiedziałaś mu...

- O nie! Więc jednak to powiedziałam. Cholera, powiedziałam.

- Jeśli cię to pocieszy, to Oliver wyglądał na zadowolonego - mówi Jess. Kładę się na plecach i wbijam wzrok w sufit.

- To żadne pocieszenie, Jess.

- Gdzie ty właściwie jesteś? - pyta.

- W domu, a co?

- To do ciebie niepodobne. O tej porze zawsze jesteś już w pracy. Rzucam okiem na zegarek. Szesnaście po dziesiątej. Wydaję cichy okrzyk przerażenia. Nie dość, że mam potwornego kaca, to jeszcze jestem spóźniona. Zamierzałam poświęcić półtorej godziny na przejrzenie prezentacji, którą przygotowałam dla firmy Toma, ale muszę to sobie darować.

Ogarniam się szybko i wybiegam z domu na spotkanie z klientem w centrum miasta.

Po spotkaniu jadę do firmy. Jestem już niedaleko, gdy dzwoni Priya i pyta, kiedy będę. Ma jakąś bardzo pilną sprawę do omówienia. Gdyby powiedział mi to ktokolwiek inny, poczułabym niepokój, ale Priya zwołuje narady na najwyższym szczeblu nawet wtedy, gdy chodzi o stan kwiatków doniczkowych w biurze.

Po wejściu do biura zostaję trafiona w nos czymś, co po chwili identyfikuję jako papierową bombkę eksplodującą wstążeczkami.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Abby! - krzyczy Priya. - Ojej, przepraszam, źle wycelowałam.

Dopiero teraz zauważam, że biuro jest udekorowane. Właściwie powinnam to sformułować inaczej: nasza kanciapa tonie w ozdobach, których wystarczyłoby do przystrojenia gigantycznego namiotu na imprezę Eltona Johna. Są balony, serpentyny, transparenty, wszystko, co można sobie wyobrazić. Z wrażenia ściska mnie w gardle.

- O rany, ludzie - głos mi drży - nie musieliście.

- To wszystko zasługa Priyi - informuje mnie Matt.

- Zadałaś sobie tyle trudu - mówię osłupiała.

- Nie było tak źle. - Priya wzrusza ramionami. - Wiesz, że mój kuzyn Jez pracuje w Cost-Cuts?

- Hm, nie wiem, ale co to ma do rzeczy?

- Nie mieli chętnych na te dekoracje, więc kupiłam wszystko za półtora funta.

- Półtora funta? - powtarzam.

- Zrobiliśmy zrzutkę - oznajmia radośnie.

Wolałabym, żeby tę ostatnią informację zachowała dla siebie. Liczy się pomysł. A ten jest uroczy. Podchodzę do biurka i spoglądam na urodzinowy balon przywiązany do komputerowej myszki. Różnokolorowy, opasany girlandą z zielonej wstążeczki, przenosi mnie do czasów dzieciństwa. I wtedy rzuca mi się w oczy napis: **WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO Z OKAZJI BAR MICWY.**

W porze lunchu kac zaczyna ustępować. Jestem zawałona robotą. Pojawił się jednak optymistyczny akcent: dostałam dwie odpowiedzi na moje e-maile w sprawie zbiórki pieniędzy. Jedną od cioci Steph z Australii, drugą od Jamesa Ashtona, szefa firmy budowlanej, której wieki temu proponowałam usługi River Web Design. Dwa e-maile i dwa zupełnie różne style.

Witaj, Abby

Cieszę się, że mogę pomóc. Jestem pod wrażeniem twojego biegania -nieodrodna córka swojej matki. Zapisz na swoim koncie sto dolarów ode mnie i daj znać, kiedy miniesz linię mety. Moje zaproszenie na antypody wciąż jest aktualne. Nie mieszkam w luksusach, ale tutejsze słońce jest za darmo!

Ciocia Steph Xxxx

E-mail od Jamesa Ashtona jest bardziej formalny.

Droga Abby,

miło słyszeć, że zbierasz fundusze na badania nad stwardnieniem rozsianym. Sześć lat temu u mojego kuzyna zdiagnozowano tę chorobę, stąd wiem, jak bardzo potrzebne są badania. Chciałbym porozmawiać o ewentualnym wkładzie ze strony naszej firmy. W tej chwili jestem potwornie zajęty, ale może spotkamy się na kawie w listopadzie. Zadzwoń do mojej asystentki Michelle.

James

Bogu dzięki. Odkąd postanowiłam rozesłać mój standardowy e-mail z prośbą o dotację do wszystkich, którzy znaleźli się na liście moich kontaktów, dostałam kilka obiecujących odpowiedzi. Wprawdzie dotacje sączą się powoli, zamiast płynąć szerokim strumieniem - na co po cichu liczyłam - ale na początek dobre i to. E-mail od Jamesa Ashtona wprawia mnie w radosne podniecenie.

Jak dotąd otrzymałam dotacje od osób prywatnych, brak mi natomiast sponsora w postaci dużej firmy, która znacząco wpłynie na stan konta. Firma Jamesa Ashtona mogłaby być pierwsza, zwłaszcza że jej szef ma osobiste powody, by wesprzeć nasze działania. Co za pech, że nie ma teraz czasu na spotkanie.

Dzwonię do jego asystentki, która proponuje mi termin w pierwszym tygodniu grudnia.

- Nie da się wcześniej? - pytam. - To nie musi być lunch. Wystarczy dwadzieścia minut. Będę się streszczała.

- Tak się składa, że spotkanie zapowiedziane na wpół do dwunastej zostało odwołane. Pan Ashton jest na budowie. Jeśli zdąży tam pani dojechać...

- Zdążę - nie daję jej dokończyć zdania. - Już jadę.

Odkładam słuchawkę. Przez krótką jak mgnienie chwilę przelatuje mi przez głowę pytanie, czy przypadkiem się nie pospieszyłam. Do tej pory nie zdążyłam zajrzeć do prezentacji przygotowanej dla Caro & Co. - firmy Toma. Odsuwam od siebie tę myśl. Mam za sobą tyle podobnych prezentacji, że mogłabym je robić obudzona w środku nocy. Oczywiście nie praktykuję tego, jestem jednak pewna, że sobie poradzę. Z drugiej strony, nie mogę przepuścić takiej okazji, jak spotkanie z Jamesem Ashtonem.

Rozdział 31

Nigdy dotąd nie byłam w knajpie o nazwie Garden of Eatn. Musiałabym umierać z głodu i zimna, żeby wejść do środka z własnej woli.

Przysiadam na lepkiem krześle i popijam herbatę barwy siuszków. Powietrze przesiąknięte wonią starego tłuszczu utrudnia oddychanie. Wolę się nie zastanawiać, od jak dawna zalega on w kuchennych rondlach. W menu dominują smażone nóżki.

Mnie i resztę klientów raz po raz owiewają kłęby czarnego dymu wydostające się zza dwuskrzydłowych drzwi. Wtórąje im symfonia siarczastych przekleństw, których źródło - potężny i niechlujny szef kuchni - wyłania się co parę minut z zaplecza z rarytasami pływającymi na talerzach w takiej ilości tłuszczu, że można by je uznać za zupy.

Na jedzących nie robi to wielkiego wrażenia. W knajpce ruch jak w ulu, a wszystko dzięki trwającej obok budowie. Klientów nie odstrasza nawet niezdarna kelnerka Chantelle, która nie radzi sobie z manewrowaniem talerzami.

James Ashton spóźnia się dwadzieścia minut. Ma na sobie garnitur i kask. Prosi Chantelle o „to, co zwykle”.

Pięć minut później, kiedy wszystko idzie po mojej myśli i mój rozmówca deklaruje wsparcie wysokości tysiąca funtów, sprawy w jednej chwili przybierają zły obrót.

Niezdrowa zawartość wielkiego talerza Jamesa Ashtona ląduje na moich kolanach, jeszcze zanim Chantelle wykonuje fatalny manewr. Widzę lawinę zsuwających się z talerza chrząstek i potok starego gorącego oleju, zalewający moją spódnicę od Karen Millen.

Widzę to wszystko i czuję na ułamek sekundy przed urzeczywistnieniem się tego koszmaru, nie mogę jednak powstrzymać katastrofy. A kiedy Chantelle przybiega ze śmierdzącą ścierką do naczyń i próbuje oczyścić mi spódnicę, by naprawić szkody, wiem, że dwadzieścia minut przed wyznaczonym spotkaniem w siedzibie Caro & Co. muszę myśleć bardzo szybko.

- Abby Rogers do Davida Caro - mówię do recepcjonistki. Kobieta jest dobrze po pięćdziesiątce, ma włosy w odcieniu wiśni i lśniące jak wiśnia.

- W sprawie prezentacji strony internetowej? - Uśmiecha się, po czym pyta: - Co to za dziwny zapach?

- Nie mam pojęcia - odpowiadam, zasłaniając poplamioną spódnicę torebką.

W drodze na spotkanie nie wpadłam na żaden sensowny pomysł pozbycia się albo zamaskowania cuchnącej starym tłuszczem plamy. Pozostają zręczne manewry torebką. I nadzieja, że wszyscy szefowie Caro & Co., którym za chwilę przedstawię moją ofertę, mają katar.

- To chyba znowu te rury. Trzeba wezwać fachowców, niech sprawdzą - zwraca się recepcjonistka do siedzącej obok koleżanki. - Ma pani swój sprzęt? - To pytanie kieruje do mnie.

- Mam prezentację na pendrivie. Kobieta nerwowo kiwa głową.

- Hm... Nie powinno być z tym problemów.

- Miałam przywieźć własny laptop? Poinformowano mnie, że komputer będzie na miejscu do dyspozycji.

Recepcjonistka przewraca oczami.

- Sheila to pani mówiła, tak? Cała ona. Urodzona optymistka.

- Słucham?

- Komputery czasem wariują. Ale dwie wcześniejsze prezentacje poszły gładko. Trzymam kciuki.

Po tych słowach prowadzi mnie przez duże pomieszczenie bez ścianek działowych do drzwi, w których staje siwowłosy mężczyzna w eleganckim garniturze. Okazuje się, że to sam David Caro, dyrektor generalny firmy Caro

& Co. Wygląda na faceta, który mimo wieku przedemerytalnego codziennie rano przebiega osiem kilometrów i pije mnóstwo koktajli mlecznych.

- Miło mi panią poznać - mówi z życzliwym uśmiechem i ściska moją dłoń z siłą wystarczającą do uduszenia pterodaktyla.

W tym samym momencie zmienia się na twarzy i marszczy nos jak bohaterka *Czarownicy* w chwili wypowiedzenia zaklęcia ułatwiającego wykonanie wszystkich prac w domu. Rzuca mi nieco podejrzliwe spojrzenie, jakby próbował dociec, czy to właśnie ja roztaczam wkoło woń spalonego mięsa. Prostuję się i uśmiecham zuchowato jak gdyby nigdy nic. Odwzajemnia mój uśmiech, przekonany - przynajmniej chwilowo - że to nie mogę być *moi*. - Przedstawię panią moim kolegom, którzy będą obecni na prezentacji - oznajmia. - To Jim Broadhurst, dyrektor do spraw marketingu.

Wymieniam powitalny uścisk dłoni z poważnym młodym mężczyzną o przerzedzonych włosach. Przypomina Harry'ego Pottera, tyle że nie ma okularów.

- Miło mi. A to Dusty, mój pies przewodnik - mówi. Spoglądam na biskoptowego labradora i dopiero teraz orientuję się, że Jim Broadhurst jest niewidomy.

- Uroczy. - Pochylam się, by pogłaskać Dustyego. Już mam dotknąć jego łba, gdy labrador nieoczekiwanie skacze na mnie radośnie, jakby nasze spotkanie było dla niego najbardziej ekscytującym przeżyciem dzisiejszego dnia.

Zaniepokojony tym psim ekscesem Jim Broadhurst odciąga ode mnie Dustyego.

- Bardzo panią przepraszam. Dusty jest młody, dopiero co przeszedł szkolenie. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Nigdy dotąd tak się nie zachowywał.

David Caro kaszle, dając do zrozumienia, że najwyższy czas przejść do interesów.

- Uznałem, że dobrze będzie przyprowadzić jednego z naszych architektów. To jest...

Odwracam się na pięcie.

- Tom Bronte - kończę za Davida Caro. Widok Toma wytrąca mnie z równowagi. Nie spodziewałam się, że będzie. Mam za sobą setki podobnych prezentacji, ale nigdy w obecności osoby, którą znam prywatnie. Moje zażenowanie rośnie.

Na twarzy Davida Caro maluje się zaskoczenie.

- Znamy się z Abby - wyjaśnia Tom. Wygląda bosko. Zupełnie jak model Ralphi Lauren. Wszystko inne w tej sali blednie w porównaniu z nim. Przesuwam nieco torbę, by dokładnie zasłaniała tłustą plamę, i cofam się o krok.

- Tak, chyba o tym wspominałeś - mówi David Caro. - Zresztą to ty rekomendowałeś River Web Design, prawda?

- Niezupełnie - odpowiada szybko Tom. - Nie widziałem efektów pracy Abby, jestem jednak pewny jej zawodowych kompetencji.

Wielkie dzięki, stary. Wolałabym bardziej przekonujące słowa poparcia.

David Caro wskazuje mi krzesło. Wszyscy siadają w oczekiwaniu na moją piętnastominutową prezentację. Dokładnie mówiąc, siadają tylko ludzie.

Dusty wręcz przeciwnie. Moja obecność wprowadza go w stan najwyższego podniecenia.

Stojąc przy nodze swego pana po przeciwnej stronie stołu, ziają jak oszalały, skamle i skowyczy, szarpie i ciągnie smycz, podczas gdy Jim Broadhurst kręci głową bezgranicznie zdumiony.

- Zanim zaczniemy - zwraca się do mnie, próbując ignorować fakt, że jego pies zachowuje się jakby był po paru tabletkach ekstazy - czy możemy wyjaśnić pewną kwestię, jaka pojawiła się w pani ofercie? Zakładam, że to zwykła pomyłka.

Sztywnieję ze strachu. Najwyższym wysiłkiem zdobywam się jednak na uśmiech i wyjmuję z torby pendrive'a. Nie pamiętam, ile razy posługiwałam się już tym wzorcem oferty. Dotąd wszystko szło gładko.

- Oczywiście, proszę.

- Chodzi o podaną przez panią cenę.

Tu ich boli. Jeszcze nie zaczęliśmy, a on już próbuje coś utargować.

- Napisała pani, że koszt waszej usługi wyniesie tysiąc funtów miesięcznie. - Jim Broadhurst szarpnięciem smyczy przyciąga do siebie Dusty ego.

-Tak.

Kieruje niewidzące oczy w moją stronę. Dusty znów skamle.

- Ale nasz kontrakt opiewa na trzy tysiące funtów miesięcznie. Ta informacja znajduje się w dokumentach przetargowych.

Mrugam. Dwa razy. Czuję ucisk w gardle. Zupełnie jakby boa dusiciel ćwiczył na mojej szyi siłę swoich mięśni.

- Trzy... tysiące - mamroczę niewyraźnie, rozpaczliwie próbując ukryć zaskoczenie. Oczywiście zapoznałam się z dokumentami przetargowymi! Oczywiście wiedziałam, że kontrakt opiewa na trzy tysiące funtów i że jeśli go podpiszę, ta kwota nie tylko zwiększy moje obroty, ale wywinduje je na niebotyczny wręcz poziom.

Czuję się dziwnie. Nie ja jedna. Dusty jest bliski obłądu. Sprawia wrażenie, jakby moja obecność w tym pomieszczeniu była dla niego źródłem fizycznej udręki.

- Trzy tysiące - powtarza Jim Broadhurst, ignorując skomlenie swojego labradora. - O taką kwotę zapewne pani chodziło?

Zerkam na Toma, a on spuszcza oczy. Biorę się w garść.

- Oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Niezbyt udany początek, prawda? - rzucam z lekkim uśmiechem, by ukryć narastający popłoch.

Z pulsem przyspieszającym niczym stado antylop gnu umykających przed drapieżnikiem wkładam pendrive'a do firmowego komputera i czekam, aż się załaduje.

Zamiast tego jednak rozlega się dziwny dźwięk, który narasta stopniowo, stając się serią trzasków i szczęków, jakie mogłyby towarzyszyć katastrofie Tomka, parowozu z bajki dla dzieci.

Domyślając się, że coś poszło nie tak, pospiesznie wyciągam pendrive'a. Komputer rzezi i cichnie.

- Rzeczywiście, niezbyt udany - mruczy pod nosem Jim Broadhurst na tyle wyraźnie, że słyszę każde jego słowo.

Rozdział 32

Mieliście kiedyś koszmary sen, w którym wchodzicie na egzamin z francuskiego, a dostajecie pytania z matematyki? W tej chwili doświadczam tego na własnej skórze. Nigdy nie byłam tak źle przygotowana merytorycznie, tak źle wyposażona w materiały pomocnicze i tak skołowana.

Pewnie na to zasługuję, ale myśl, że z powodu najkoszmarniejszego wystąpienia w życiu właśnie przechodzi mi koło nosa kontrakt wart trzy tysiące funtów miesięcznie, jest wystarczającą karą.

- W ubiegłym roku współpracowałam z wieloma przedstawicielami wolnych zawodów - chwalę się, doskonale zdając sobie sprawę, że wszyscy obecni widzą moją panikę. - Jednym z moich największych klientów była firma...

- Już pani przedstawiła swoje zawodowe kwalifikacje, pani Rogers -przerywa mi David Caro niecierpliwie. - Wiemy, dla kogo pani pracowała. W tej chwili próbujemy się zorientować, na ile pani rozumie specyfikę naszej branży. I nasze potrzeby.

Pot występuje mi na czoło, gdy Dusty, już kilkakrotnie surowo przywołany do porządku, wydaje wyjątkowo żalosny skowyt. Pomijając zawstydzający fakt, że zamiast piękną prezentacją w PowerPointcie posługuję się papierowymi materiałami, nie zebrałam szczegółowych informacji na temat Caro & Co. Bazuję wyłącznie na tym, co usłyszałam od Toma podczas ćwiczeń rozciągających - i to widać. Bardzo wyraźnie.

Rozpaczliwie szukam jakiegoś natchnienia, ale przychodzą mi na myśl jedynie frazesy, za których używanie bezlitośnie krytykuję innych.

- Chcę powiedzieć, że... hm... jestem głęboko przekonana, że... istnieje synergia między waszymi potrzebami a potrzebami klientów, i że...

- Synergia? - pyta drwiąco Jim Broadhurst. Daleko mu do Harryego Pottera. - Oferuje więc pani gotowy produkt? Co się sprawdziło w przypadku kancelarii adwokackiej, zda egzamin i u nas?

- Wcale nie! - oponuję żywo. Oddycham głęboko kilka razy, chcąc odzyskać panowanie nad sobą. - Chodzi mi o to, że z usług kancelarii adwokackich oraz waszej firmy korzystają podobni klienci.

- Zrównuje pani naszych klientów z klientami kancelarii? - Jim Broadhurst nie kryje oburzenia.

- Chcę powiedzieć, że... Chodzi mi o to... - Głos mi się łamie.

Za chwilę się rozplaczę, jeśli spróbuję wykrztusić choćby jedno słowo więcej.

- Chyba wiem, co Abby ma na myśli.

Te słowa wlewają otuchę w moje serce. To pierwsza pozytywna reakcja podczas spotkania. Patrzę na Toma z wdzięcznością. Jest poważny, profesjonalny w każdym calu. I konsekwentnie unika kontaktu wzrokowego.

- Naszym klientem docelowym nie jest przeciętny zjadacz chleba - stwierdza. - Preferujemy model biznes dla biznesu. Dlatego ma sens wykorzystanie elementów, które sprawdziły się w przypadku innych firm, z kancelariami adwokackimi łącznie. O to ci chodziło, Abby? - Wreszcie na mnie spogląda. Jego ciemne oczy nie zdradzają żadnych emocji. - Właśnie tak! - podejmuję, jakby wróciło mi życie. - Co wcale nie oznacza, że nie poświęcimy czasu na bliższe poznanie Caro and Company, jej etosu, celów, kluczowych klientów i zamierzeń - ciągnę, biorąc się w garść. - Nie tylko teraz, ale i potem, w trakcie współpracy. Wymogi firmy są zmienne, płynne. I na tym polega urok projektowania stron internetowych. Można je modyfikować i ulepszać przy minimalnych kosztach.

Twarz Davida Caro nieco łagodnieje. Twarz Jima Broadhursta pozostaje niewzruszona. Przede mną jeszcze długa droga do przekonania nieprzekonanych.

- Dobrze. - Jim Broadhurst przerzuca papiery. - To, o czym dotąd mówiliśmy, dotyczy samej strony internetowej, ale biorąc pod uwagę skalę kontraktu, szukamy czegoś więcej. Co z dodatkowymi oczekiwaniami,

o których mówi nasz dokument przetargowy? W pani ofercie nie znalazłem zbyt dużo na ten temat.

Nie wiem, czy Jim Broadhurst robi to w nagłym odruchu wspaniałości, czy po prostu zapomniał, co umieściłam w ofercie. Szczerze mówiąc, ani jednym zdaniem nie nawiązałam do pozostałych oczekiwań Caro & Co.

- Jak pan słusznie zauważył, chciałam skupić się na fundamentalnym temacie strony internetowej - mój umysł pracuje na najwyższych obrotach - i wykorzystać dzisiejszą rozmowę na doprecyzowanie, co River Web Design może zrobić dla waszej firmy w sprawie... pozostałych oczekiwań.

Spoglądam na nich badawczo, chcąc ocenić, czy kupują moje słowa.

- Proszę to rozwinąć, pani Rogers - ponagla mnie David Caro.

- Oczywiście. - Przelykam ślinę i zaczynam klekony na poczekaniu dziesięciminutowy wywód pełen frazesów i bzdetów. Żadne inne słowa tu nie pasują. Moją jedyną nadzieją jest to, że improwizowanie wychodzi mi lepiej niż innym. Nabyłam tę umiejętność w poprzednim miejscu pracy.

Najbardziej frustruje mnie jedno: gdybym przygotowała się jak należy do tej prezentacji, gdybym dziś rano poświęciła chociaż półtorej godziny na przejrzenie dokumentów, nie musiałabym teraz świecić oczami.

Po prezentacji Jim Broadhurst odprowadza mnie do drzwi.

- Bardzo dziękuję za możliwość przedstawienia mojej oferty, panie Potter - mówię. Na widok jego ściągniętych brwi szybko się poprawiam. - Och, przepraszam, panie Broadhurst, oczywiście.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię.

W tej sytuacji pozostaje mi jedynie czmychnąć stąd jak najszybciej, unikając zamieszania. Nie zapominając o zasłanianiu poplamionej spódnicy torebką, kładę rękę na klamce. W tej samej chwili okazuje się, że to nie koniec mojej kompromitacji. Dusty, który w swoim psim mniemaniu okazał w trakcie spotkania wzorową wstrzemięźliwość, najwyraźniej uznał, że najwyższy czas zainkasować nagrodę.

Rzuca się na mnie niczym pies policyjny, który znalazł się w pomieszczeniu wraz z połową bohaterów filmu *Trainspotting*, i przygwaźdża mnie do ściany. Kiedy zaskoczona upuszczam torebkę, zaczyna lizać - nie, pożerać - brzeg mojej zalanej tłuszczem spódnicy.

Zanim go ode mnie odciągają, ociekam jego śliną. Wychodzę chwiejnym krokiem, a w uszach dźwięczą mi słowa przeprosin. Niewielkie to pocieszenie.

Rozdział 33

Po wczorajszych przeżyciach nie mam najmniejszej ochoty na świętowanie urodzin. Ulegam jednak presji pracowników i chcąc oderwać się od czarnych myśli, znów ląduję w barze. I znów piję. Co gorsza, znowu łamię zasady diety.

W sobotni poranek, mając na sumieniu wszystkie możliwe grzechy przeciwko regulaminowi Klubu Pogromców Wagi, trenuję umysł, by w pysznym czekoladowym batoniku widzieć tylko bombę kaloryczną nafaszerowaną szkodliwymi tłuszczami nasyconymi. Niestety, moje wysiłki idą na marne. Patrząc na batonik, nie mogę się powstrzymać. Rozdzieram opakowanie i łapczywie wbijam zęby w czekoladową masę.

Ten weekend to dietetyczna katastrofa. Nie ćwiczę ani hula-hop, ani napinania i rozluźniania pośladków, ani brzusków, ani biegania. Zamiast tego jem. I jem. I jem.

Słodczyce to zaledwie początek. W sobotę przechodzę do chińszczyzny na wynos, w niedzielę rano na moim stole ląduje smażone jedzenie. Skoro świat nie zawalił się po trzech drinkach, które wypiałam w czwartek po treningu, daję sobie przyzwolenie na picie, jedzenie i weselenie się bez ograniczeń.

W poniedziałek, gdy w Klubie Pogromców Wagi stoję przed obliczem Bernie, radość to ostatnie uczucie, jakie mi towarzyszy. Prawdę mówiąc, jest mi niedobrze. Nie tylko z powodu lunchu, których składał się z dwóch krokietów z mięsem, chipsów i wielkiej babeczki z jagodami.

Stoję w kolejce do wagi z uczuciem nieuzasadnionego optymizmu, jaki towarzyszył mi przez cały weekend. Wiem, że postąpiłam źle, a mimo to liczę, że za sprawą jakiegoś metabolicznego cudu moje weekendowe grzechy ujdą mi płazem.

- Jak minął tydzień? - szczebiocze Bernie, gdy docieram na czoło kolejki. Ma na sobie luźną żółtą sukienkę. Wygląda jak groteskowy efekt eksperymentów naukowych na kanarku.

- Nieźle - oznajmiam beczelnie. - Chociaż czwartek był wyzwaniem. W zeszłym tygodniu miałam urodziny.

Bernie jest nieporuszona.

- Niestety, moja droga, twojemu metabolizmowi wszystko jedno, czy to twoje urodziny, Boże Narodzenie czy wigilia powtórnego przyjścia Mesjasza. Kalorie to kalorie.

- Uhm - chrząkam nerwowo, zdejmując buty. - Staralam się przestrzegać diety, ale to trudne zadanie, gdy je się to, co podadzą inni. - Na przykład jedzenie na wynos z Magie Tiger, dopowiadam w myślach.

- Rozumiem - Bernie uśmiecha się szeroko - ale waga nigdy nie kłamie. Zdejmuję sweter. I skarpetki. Potem kolczyki, wisiołek i pierścionelek.

Przeklinam w duchu, że włożyłam bieliznę. Bernie zaczyna się niecierpliwić.

- Nie jesteś w lokalu ze striptizem. Wskakuj na wagę. Oto chwila prawdy. Zerkam w stronę wyjścia awaryjnego. Kobieta stojąca za mną nie kryje

zniecierpliwienia. Wchodzę na wagę i zamykam oczy. Czekam, aż Bernie poda mi wynik. Tyle że ona milczy. Otwieram oczy.

- Nic się nie stało, moja droga. Coś nie tak z wagą.

- Bogu dzięki. Już myślałam, że zaniemówiłaś z wrażenia, widząc, ile przytyłam - śmieję się. Bernie nadal milczy.

- Bernie, co się dzieje? - pytam zaniepokojona.

- To nie może być prawda. - Kręci głową z niedowierzaniem. - Zaczekaj chwilę.

Pędzi na czoło drugiej kolejki, gdzie rej wodzi jej koleżanka Shirley. Obie wracają do mnie i zaczynają wciskać różne guziki, z każdą chwilą coraz bardziej zdumione. Zupełnie jakby stały przed deską rozdzielczą statku kosmicznego „Enterprise”. Po kilku minutach szeptanek zwracają się ku mnie z poważnymi minami.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, kochana... - zaczyna Bernie. W tej chwili ma w sobie coś z przedsiębiorcy pogrzebowego. - Przytyłaś prawie pięć kilogramów. Przez tydzień.

- Co? - Bardziej udaję, niż czuję zaskoczenie.

- Przestrzegałaś diety, tak? - Shirley patrzy na mnie spod półprzy-mkniętych powiek.

- Bardzo skrupulatnie. Ale akurat mam t e dni - wyjaśniam.

- Naprawdę? Ścisłe przestrzegałaś diety, a mimo to przybrałaś na wadze? - drąży Bernie.

- Uhm. - Kiwam głową.

- Od prawie trzech lat jestem w Klubie Pogromców Wagi i nigdy nie spotkałam się z takim przypadkiem. Brak mi słów.

Mnie też.

Nie zostaję na prelekcji. Nie tylko dlatego, że dotyczy niskotłuszczowych smarowideł do chleba. Nie wierzę, by nawet Billy Connolly, Barack Obama i Winston Churchill razem wzięci potrafili zajmująco mówić na ten temat przez pół godziny.

Już na ulicy uświadamiam sobie, że mam dwa wyjścia. Mogę wyciągnąć się na sofie, otworzyć butelkę wina, włączyć telewizor, obejrzeć *EastEnders* i nigdy więcej nie spotkać Olivera. Mogę też wbić się w strój do biegania i zastosować taktykę przydatną w czasie wojny: zachować spokój i robić swoje.

Do centrum sportu przyjeżdżam spóźniona. Oliver najwyraźniej skończył już teoretyczne wprowadzenie do dzisiejszego treningu, ponieważ wszystkie trzy grupy zmiierzają na miejsce rozgrzewki. Szukam Olivera wzrokiem, niepewna, czy chcę go widzieć. Zamiast niego dostrzegam Jess i Toma. Wychodzą z budynku zajęci rozmową.

- Witaj! - woła na mój widok Jess. - Co słychać? Dwadzieścia dziewięć lat to nie dramat, prawda?

- Wziąwszy pod uwagę moje ostatnie doświadczenia, bardziej mi się podobało, gdy miałam dwadzieścia osiem.

Jess uśmiecha się z wyższością.

- Ożywczy bieg poprawi ci nastrój.

- Pożyjemy zobaczymy. - Unoszę brwi, a potem zerkam na Toma.

-Dzięki. Wiesz, za co. Za pomoc parę dni temu.

- Drobiazg. Chociaż nie jestem pewny, czy moja pomoc na coś się przydała.

- Dlaczego? Ktoś już dostał ten kontrakt?

- Tego nie powiedziałem. Jutro na spotkaniu firmowym podejmiemy ostateczną decyzję.

Wbrew wszystkiemu te słowa budzą we mnie nadzieję. I to chyba widać na mojej twarzy.

- Na twoim miejscu nie podniecałbym się tak - dodaje Tom. Marszczę czoło.

- Dlaczego?

- Musisz przyznać, że twoja prezentacja nie była tak udana, jak powinna.

- Nie była udana? - powtarzam oburzona. Wiem, że daleko mi było do doskonałości, lecz przygana w ustach Toma sprawia, że jestem zła i zawstydzona. Znam tylko jeden sposób radzenia sobie w takiej sytuacji: obronę przez atak.

- Jeśli bardziej zależy wam na formie niż na treści, niech ci będzie. Najważniejsze kwestie omówiłam.

Tom unosi brew.

- Czyżby?

- Oczywiście - mówię z przekonaniem, choć w głębi duszy wiem, że ma rację. - Poza tym moja firma jest najlepsza do tego zadania. Jeśli ty i twoi koledzy tego nie dostrzeżliście, wasza strata.

Tom patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- To normalne, że firma starająca się o kontrakt chce się pokazać z jak najlepszej strony. Nie do nas należy usprawiedliwianie błędów i braków.

- Nie było aż tak źle! - reaguję instynktownie. Nie żebym nie zgadzała się z jego opinią, lecz czuję się dotknięta do żywego.

- Chcę tylko powiedzieć, że firmy Freeman Brown i Vermont Hamilton przedstawiły...

- Freeman Brown i Vermont Hamilton? - Nigdy nie spodziewałabym się takiej konkurencji w rywalizacji o kontrakt wart trzy tysiące funtów miesięcznie.

- Chyba się przesłyszałam. To oni są moją konkurencją?

- Co masz przeciwko nim?

- Od czego mam zacząć? Ci pierwsi są przeszacowani, ci drudzy nie mają żadnego doświadczenia poza branżą turystyczną. A co ważniejsze, jedni i drudzy są beznadziejni.

Może za bardzo daję się ponieść emocjom, ale mówię prawdę.

Na myśl, że prawdopodobnie przegrałam z firmami, które w normalnych warunkach pokonałabym bez wysiłku, krew się we mnie gotuje. Jednak wbrew czarnowidztwu Toma tli się we mnie iskierka nadziei, że jego koledzy przejrzą na oczy.

- Przykro mi, ale z ich prezentacji nie dało się wysnuć takich wniosków.

Postanawiam przyjąć godną postawę.

- Świetnie. Wielkie dzięki, Tom.

Ruszając ku swojej grupie, podnoszę wzrok i widzę Olivera. Oparty o balustradę, patrzy wprost na mnie. Serce mi wali, twarz płonie na wspomnienie mojego wyznania w barze. Oliver nie spuszcza ze mnie wzroku. Co więcej, macha do mnie.

Uśmiecham się i odmachuję. Zalewa mnie fala pożądania pomieszanego z nadzieją, że za tym gestem kryje się coś znaczącego. Widzę Olivera znacznie śmielszego niż w chwili naszego poznania w lipcu. To musi coś znaczyć. Nawet jeśli dotąd nie zdobył się na odwagę, by zaprosić mnie na randkę. Dołączam do reszty grupy. Próbuję skupić się na biegu, przekonana, że uwaga Olivera doda mi skrzydeł.

W teorii brzmi dobrze, lecz w praktyce jest inaczej. Moje ciało ma zupełnie inny pomysł. Uznaje, że po weekendzie pełnym makaronów, czekoladek i jedzenia na wynos nie może gnać z wiatrem w zawody.

Zamiast tego biegnę, jakbym miała wzdęcie. Ciężko, z wysiłkiem i bardzo. .. bardzo... bardzo wolno.

Rozdział 34

Każde nasze spotkanie tata zaczyna od sakramentalnego pytania. Dzisiaj nie jest inaczej.

- Co u mamy? - Spogląda na mnie przelotnie i zakłopotany odwraca wzrok.

- To co zwykle. - Całuję go w policzek. - Wszystko w porządku. Ważniejsze, co u ciebie?

Za późno gryzę się w język. Tata nie znosi, gdy choćby jednym słowem daję do zrozumienia, że się o niego martwię. Mama umie o sobie zatroszczyć, ale tata to zupełnie inna para kaloszy. Niektórych może dziwić, że mówię tak o mężczyźnie, który zarabiał na chleb jako zawodowy żołnierz, chociaż odszedł z armii ponad piętnaście lat temu.

Nie chcę wyolbrzymiać problemu. Tata radzi sobie nieźle, zarabia przyzwoicie i stać go na eleganckie (choć niewielkie) mieszkanie w prestiżowej dzielnicy. Coś jednak stracił. Obawiam się, że bezpowrotnie.

- U mnie wszystko świetnie, skarbie. Napijesz się herbaty?

- Tak. Tylko dobrej i słabej. Ostatnio zaparzyłeś takiego szatana, że czułam go przez tydzień.

Tata wchodzi do małej kuchni przylegającej do studia fotograficznego, a ja oglądam prace, które przybyły od mojej ostatniej wizyty. Widzę, że miał pełne ręce roboty.

Po odejściu z wojska dostał posadę w ochronie. Jednocześnie zapisał się do szkoły wieczorowej na kurs fotografii. Od zawsze chciał, by fotografowanie stało się czymś więcej niż hobby. Mimo niewątpliwego talentu, potrzebował sporo czasu, by zrealizować swój plan.

Tata uwielbia portretować zwykłych ludzi w codziennych sytuacjach: wyraziste twarze rybaków, tancerki rewiowe, robotnicy rolni i setki innych. Niestety, chociaż właśnie te zdjęcia są najlepszą częścią jego pracy, nie one przynoszą mu materialne profity.

Najlepiej zarabia na zdjęciach biznesmenów i biznesmerek do firmowych prospektów i na oficjalne strony internetowe. Nie uważa bynajmniej, że ten rodzaj fotografii uwłacza jego godności. Tata ma umiejętność przedstawiania każdego człowieka - w garniturze czy bez - w jego ludzkim wymiarze. Stąd niezwykle żywe portrety osób uwiecznionych w swoim środowisku pracy. Oglądam je teraz z przyjemnością.

- Proszę, dobra i słaba - oznajmia tata, podając mi filiżankę.

Jego uśmiechnięta twarz jest równie przystojna, jak przed laty, choć bardziej porwana zmarszczkami. Te zmarszczki należy przypisać raczej osobistym przejściom, nie zaś traumatycznym doświadczeniom z pola walki.

- Mniam - mówię z ironią po pierwszym łyku. Tata tłumi śmiech.

- W armii nikt się nie skarżył - zauważa.

- Wziąwszy pod uwagę twoje opowieści o żołnierskiej kuchni, to marny argument.

Wybucha śmiechem. Odstawia filiżankę i wraca do ustawiania trójnoga. Ma duże dłonie, niektórymi pokrętłami trudno mu manipulować.

- Jak idzie zbiórka pieniędzy? - pyta.

- Całkiem nieźle. Wpłaty spływają przez cały czas. Mimo wszystko to trudne zadanie. Prócz rozsyłania e-maili brak mi pomysłów na zdobywanie pieniędzy.

- Wspominałaś, że urządzasz jakąś imprezę? Kiwam głową.

- Priya i Heidi pracują nad organizacją eleganckiego przyjęcia. Przyjdziesz?

- Wiesz, że to nie moja bajka, Abby. - Tata wyraża się bardzo oględnie. Nie cierpiał chodzić z mamą na gale i przyjęcia. Jest o wiele bardziej

powściągliwy w kontaktach z ludźmi niż ona. - Chyba że bardzo ci na tym zależy. Mama idzie?

- Nie, wyjechała w interesach. Nie przejmuj się, wiem, że nienawidzisz takich imprez. Nie musisz przychodzić.

- Na pewno przyjdę na twój bieg. A skoro o tym mowa, to jak przygotowania?

- Eh... - Wzdycham ciężko. Żadna inna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy.

Tata unosi brwi.

- Aż tak dobrze?

- Mam złe i dobre dni. Niestety, ostatnio przeważały te złe. Ale przynajmniej wróciłam do diety. Miałam drobną obsuwę.

- Wszystkim się to czasem zdarza. - Tata wzrusza ramionami, chociaż sam przez lata nie brał alkoholu do ust, a jego brzuch zawsze wyglądał jak z tytanu.

Tata przebiega co najmniej dziesięć kilometrów dziennie i czuje się „nie w sosie” (to jego słowa), jeśli z jakiegoś powodu nie może tego zrobić.

Co za ironia losu, że taki nieruchawy tłuścioch jak ja urodził się ojcu, który biegał po pustyniach, i matce, której przyjemność sprawia ubieranie się jak dzieciaki z musicalu *Fatne* i fikanie nogami w studiu tańca. Zostałabym czarną owcą w rodzinie, gdyby oprócz mnie były w niej jeszcze inne owce.

- Zdecydowałaś się już na start? Muszę zarezerwować sobie czas.

- Tak. Pobiegnę w półmaratonie pod koniec stycznia. Chcesz mi kibicować? - Uśmiecham się.

- Oczywiście. Za nic w świecie nie przepuścimy z Karen takiej okazji.

- Świetnie. - Próbuję wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu.

Chcę, żeby tata był szczęśliwy. Naprawdę. Karen jest pierwszą kobietą, z którą związał się po rozstaniu z mamą.

Tyle że według mnie Karen do niego nie pasuje. I wcale nie chodzi mi o jej wysilony artystyczny wizerunek, wystudiowany telefoniczny głos, jej wiek - jest dziesięć lat młodsza od taty - czy szczególny życiowy spryt.

Odkładając na bok jej liczne dziwactwa, Karen ma jedną, za to fatalną skazę - nie jest mamą.

Szesnaście lat po odejściu mamy wiem, że tata wciąż ma złamane serce, chociaż szanse, że znów się zejdą są już właściwie zerowe.

W pierwszych miesiącach i latach po rozstaniu rodziców stawałam na głowie, żeby przemówić mamie do rozumu. Ze łzami w oczach przekonywałam ją, że są dla siebie stworzeni. Mama pozostawała niewzruszona. Życie „wojskowej wdowy” to koszmar, mówiła. W dniu ślubu nie spodziewała się, że tak źle będzie znosiła ciągły niepokój, czy przypadkiem z kolejnej misji mąż nie wróci do domu w trumnie.

Odejście taty z wojska nie zmieniło jej nastawienia. Upierała się przy swoim, twierdząc, że ona i tata po prostu „oddalili się od siebie”.

Te słowa nadal dźwięczą mi w uszach. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak mama mogła rozbić naszą rodzinę.

„Nie wiesz, jak to jest, Abby” - powtarzała. Z jednej strony ma rację: nie żyłam jej życiem. Ale choć bardzo ją kocham, jednej rzeczy jestem pewna: nigdy jej nie wybaczę, że zostawiła tatę.

Rozdział 35

Wytrwale chodzę na treningi w klubie i zdecydowanie chcę - mimo wielkich (jak dla mnie) przeszkód - wrócić do zdrowego trybu życia. To ciężka praca. Trzymam się klubu z tego samego powodu, dla którego w ogóle zaczęłam biegać: dla OHvera.

Sprawy między nami właściwie nie posunęły się naprzód, odkąd pomachał mi na powitanie. Sama możliwość widzenia go kilka razy w tygodniu wystarczy, by zmotywować mnie do pracy nad kondycją. Nawet za cenę fizycznych tortur.

Rezygnacja nie wchodzi w rachubę. Oznajmiwszy współpracownikom, klientom, przyjaciołom, rodzinie i członkom klubu, że biorę udział w styczniowym półmaratonie, nie mogę pozwolić, by trening ucierpiał z powodu moich alkoholowo-dietetycznych występków.

Popęlniam błąd i wygłaszam to oświadczenie w obecności Jess. Zamiast powiedzieć: „Dobra robota, Abby” i zaproponować mi ostatni kieliszek wina dla uczczenia powrotu na ścieżkę rozsądku, Jess zgłasza mnie na „biegowy weekend” w przyszłym miesiącu i do Biegu Nadmorskiego na pięć kilometrów, który odbędzie się już za dwa tygodnie. Tak wygląda jej pomysł na zmotywowanie mnie do wysiłku. To niezbity dowód na to, że Jess i ja pochodzimy z różnych planet.

Wbrew radosnej nazwie, która nasuwa skojarzenia z lodami, pasiastymi leżakami i kucykami, Bieg Nadmorski nie budzi mojego entuzjazmu, jednak na jego korzyść przemawia kilka rzeczy: jest kameralny i nieoficjalny, pobiegną w nim tylko członkowie klubu, a trasa wiedzie rozkosznie płaską promenadą.

Jest tylko jedno ale: to wyścig. Moje pierwsze zawody. Poważna sprawa. Nie ma odwrotu.

Jess niezmordowanie doradza mi, jak mam się zmobilizować. Niechętnie przyznaję, że jej strategia działa. Jest dodatkowym bodźcem do wysiłku.

Gdyby to samo można było powiedzieć o pracy. Może wyolbrzymiam problem, ale kwestia faktur - a ściślej mówiąc walka, jaką trzeba stoczyć z niektórymi firmami, by wydobyć od nich pieniądze - zaczyna mnie dołować.

Wystarczy, że przez dwa tygodnie nie trzymam ręki na pulsie, a już pojawiają się zaległości. Parę dni wcześniej przeanalizowałam sytuację i kiedy zdałam sobie sprawę, że zdobywam klientów o wiele wolniej niż w zeszłym roku, zaczęłam bać się kolejnego spotkania z Egorem. Te niewesołe rozmyślenia doprowadziły mnie w końcu do ostatniego i najbardziej frustrującego elementu mojej paranoi: Caro & Co.

- Są jakieś wieści od Caro and Company? - pytam Heidi przez telefon w drodze powrotnej z długiego piątkowego spotkania w czasie lunchu.

- Niestety nie - odpowiada Heidi. - Jest tylko faktura z firmy sprzedającej automaty z chłodzoną wodą i informacja od administracji, że ktoś podlał kawą jukkę stojącą przed wejściem. Ten czyn zaszkodził biednej roślinie.

- Na litość boską, to było tylko trochę zimnego latte. Heidi chichocze.

- Dyrektor administracyjny budynku jest botanikiem amatorem. Sprezentuj mu kilka kaktusów, żeby wynagrodzić mu tę stratę. Chociaż jak znam życie, chyba nie będzie to początek pięknej przyjaźni.

- Skąd wiesz?

- Wracając do Caro and Company: szukałam listu, ale nic nie przyszło. Przykro mi, Abby.

Im dłużej czekam na decyzję Caro & Com, tym częściej przypominam sobie swoją prezentację. I tym większą mam ochotę skopać sobie tyłek solidnie podkutym butem. Tajemniczość Toma wcale mi nie pomaga. Umieram z ciekawości, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami gabinetu

w Caro & Co., lecz Tom z oczywistych powodów ogranicza się do informacji, że wciąż się naradzają.

Nazajutrz, tydzień przed Biegiem Nadmorskim, jadę z Jess i jej dziećmi do parku.

- Jak samopoczucie przed biegiem? Czujesz się pewniej? - pyta Jess.

- Zdecydowanie nie.

- Poradzisz sobie.

- Twoja wiara we mnie jest wzruszająca. Naiwna, ale wzruszająca.

Jess zajeżdża przed sklep i zaciąga ręczny hamulec.

- Potrzebuję nawilżanych chusteczek. Zostaniesz z dziećmi? Zaraz wracam.

W chwili, w której trzaskają drzwi, Lola zaczyna zawodzić.

- Co się stało? - pytam najłagodniej, jak umiem. Kiedyś było mi głupio mówić takim głosem, póki nie przekonałam się, że zwracanie się do małych dzieci tym samym tonem, jakim rozmawiam z dyrektorem banku, zupełnie się nie sprawdza.

Lola milknie i patrzy na mnie uważnie.

- Tak lepiej! - szczebioczę wesolutko jak szczygieł.

W odpowiedzi mała znów zaczyna wyć. Nie przesadzam. Takie dźwięki spodziewałabym się usłyszeć przy pełni księżyca, kiedy wilkołaki wyruszają na łowy, a zombie pobrzękują łańcuchami.

- O Boże, przepraszam. Rany... Lola, uhm... nie rób tego! - błagam, a tymczasem Lola wyjmuję z buzi smoczek i w przyпіływie złości rzuca go na podłogę.

Odpinam pasy, pochylam się i rozglądam za smoczkiem. Co za ulga, że upadł gumową częścią do góry. Podnoszę go i wkładam Loli do buzi. Głaszczę jej tłustą nóżkę przy akompaniamencie pieszczotliwych słów. Lola odpowiada wykopem, który byłby jej przepustką do roli w *Kill Bill*, i trafia mnie prosto w nos. Mam wrażenie, że zainkasowałam cios tłuczkiem do mięsa.

- Kochane biedactwo - ciągnę z całą łagodnością, na jaką stać mnie w tej chwili. Lola wyrzuca z siebie kolejną porcję rozdzierających wrzasków, do których dołącza fontanna łez.

- Musisz ją rozśmieszyć - mówi Jamie.
- Jak? - pytam, przekrzykując Lolę.
- Nie wiem. - Jamie wzrusza ramionami. - Mama robi śmieszne miny.
- Dobrze. - Patrzę w stronę sklepu i widzę, że Jess jest szósta w kolejce do kasy. - Niech będą śmieszne miny.

Wykrzywiam twarz na wszystkie możliwe sposoby. Na próżno. Lola płacze teraz co najmniej o dwie oktawy wyżej.

- Możesz zaśpiewać kołysankę - radzi Jamie i demonstracyjnie zatyka uszy.

- Doskonały pomysł, ale nie jestem dobra w śpiewaniu kołysanek. Znasz jakąś?

Jamie patrzy na mnie oburzony.

- Chodzę do szkoły. W szkole nie śpiewamy kołysanek. Kołysanki są dla maluchów.

- Tak, ale może pamiętasz jakąś z czasów, kiedy byłeś mały? Jamie zamyśla się na dłużej.

- Nie - odpowiada w końcu.

- Super. Lola wygląda, jakby miała za chwilę eksplodować.

- Nie musi być kołysanka - podpowiada Jamie. - Może być inna piosenka.

Prezentuję Loli mieszankę złożoną z *Mamma Mia*, *I Like To Move It* oraz *Show Me The Way To Go Home*. Braki warsztatowe pokrywam entuzjazmem. Wykonanie ubarwiam machaniem rąk i nóg, na jakie pozwala przestrzeń dla pasażera w citroenie picasso.

Przy każdej zmianie tonacji Lola uspokaja się na chwilę, patrzy na mnie jak na średnio zabawnego błazna, po czym znów wyje. Ogarnia mnie czarna rozpacz. Lola nabiera powietrza w płuca i krzyczy tak, że smoczek wyskakuje jej z buzi z siłą korka od szampana. Wykazuję się refleksem i łapię go obiema rękami, ku zachwytowi obydwójga dzieci.

Lola milknie, uśmiecha się i... zaczyna chichotać. Zachęcona rezultatem sztuczki ze smoczkiem, wydobywam z gardła gulgoczące dźwięki, zasłaniam oczy, klaszczę i ogólnie robię z siebie idiotkę. Moje

poświęcenie nie idzie na marne, bo nastrój Loli z każdą chwilą się poprawia.

Kiedy obydwójce zanoszą się od śmiechu, wieńczę swój popis numerem ze smoczkiem. Pakuję go sobie do ust, ssę go łapczywie i głośno, jednocześnie kiwając głową. Sądząc z reakcji mojej dwuosobowej publiczności, wspięłam się na szczyty komizmu.

Poprzez dziecięcy śmiech przebija się głośne trzaśnięcie drzwi. Odwracam się i spoglądam przez okno po swojej stronie. Kiedy krzyżuję spojrzenia z kierowcą parkującego obok nas auta, uświadamiam sobie, że tracę ostatnią szansę na kontrakt z Caro & Co.

Nieważne, że czym prędzej wypluwam smoczek i posyłam niewyraźny uśmiech, skoro patrzę na Davida Caro. Jego mina świadczy o tym, że zrobiłam na nim jeszcze gorsze wrażenie niż w trakcie naszego pierwszego spotkania.

W parku Jamie natychmiast pędzi na zjeżdżalnię. Jess raz po raz zerka na niego czujnie, a potem wyjmuję Lolę z wózka i sadza ją na huśtawce.

- Może mnie nie poznał - myślę głośno, wbrew rozsądkowi chwytając się nadziei. - Dzielili nas szyba. Poza tym znaleźliśmy się w innym kontekście sytuacyjnym. Na prezentacji widział mnie w służbowym mundurku, a dziś miałam na sobie podkoszulek i dzinsy. I... cholera! Gryzłam smoczek!

Spoglądam na Jess i orientuję się, że wcale mnie nie słucha.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- Nie - odpowiada automatycznie, po czym budzi się z letargu. - To znaczy tak. Wszystko dobrze. Przepraszam, o czym mówiłaś?

- O... Uhm, nieważne. Mam dość przejmowania się Caro & Co. Mów, co się dzieje.

- Nic się nie dzieje - odpowiada z niewinną miną.

- Coś jest nie tak.

- Wcale nie.

- Jess, od kiedy się znamy?

Stwierdziwszy, że huśtawka Loli prawie się zatrzymała, Jess energicznie wprawia ją w ruch.

- Myślałam o paru sprawach, to wszystko.
- Mów, co ci leży na sercu.
- To nic ważnego.
- Mam wrażenie, że jest inaczej.
- Nie chcę o tym mówić.

Patrzę na nią jak na kogoś bredzącego w malignie. Tylko ten stan usprawiedliwiłaby jej słowa.

- Czuję się urażona. I mam absolutną pewność, że prawdziwą Jess porwali kosmici. Wiem o wszystkim. Od hemoroidów, których nabawiłaś się w ciąży, po dziwne dźwięki, jakie wydaje Adam, kiedy się kochacie.

Jess przewraca oczami.

- I może to właśnie jest częścią problemu.

- Hemoroidy?

- Nie, to... Daj spokój, nieważne.

- Czy coś jest nie tak między tobą i Adamem? Zastanawia się przez moment.

- Nie - mówi. - Tak - poprawia się i milknie na chwilę. - Nie. Obserwuję ją uważnie. Patrzy gdzieś w bok.

- Tak - przyznaje w końcu.

- Co się stało?

Jess pociera ręką czoło.

- Jesteśmy małżeństwem od sześciu lat. Czasem wydaje mi się, że nie ma już między nami tej magii co kiedyś.

- To wszystko?

- Co masz na myśli?

- Takie odczucia są nieuniknione. Szczególnie przy dwójce dzieci i mnóstwie innych obowiązków. Miłosne uniesienia nie mogą trwać wiecznie. Poza tym chyba nigdy nie przepadałaś za ckliwym romantyzmem, prawda?

- Chyba tak - mówi Jess bez przekonania. - Ale ostatnio chodzą mi po głowie różne myśli. Zastanawiam się, jak by to było, gdyby...

- Gdyby co?

- Eh, słuchaj, nie przejmuj się. To takie głupoty. Przedwczesny kryzys wieku średniego - rzuca wesoło.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że chodzi o coś więcej.

Rozdział 36

Rankiem w dniu Biegu Nadmorskiego ściska mnie w żołądku zupełnie jak przed egzaminem na prawo jazdy. Źle to wróży, ponieważ oblałam go trzykrotnie (a wszystko przez kolizję z pojazdem rozwożącym mleko w trakcie manewru zawracania na trzy).

Mimo nieprzespanej nocy jestem pobudzona. Wkładając czysty strój do biegania przygotowany poprzedniego wieczoru, czuję się jak stremowana panna młoda.

Poświęcam mnóstwo czasu wiązaniu sznurowadeł. Jeśli zawiążę je zbyt luźno albo zbyt ciasno, zawalę sprawę. Trzęsącymi się rękami przyczepiam numer startowy (mam trzynastkę - na dobry początek) i przechadzam się po kuchni, próbując myśleć o czymś bardziej ekscytującym niż kolejne - siódme już - pójście do toalety.

Dotarłszy pod latarnię Leasowe, wysiadam z auta i rozglądam się za Jess.

- Jest nasza Paula Radcliffe!

Mama energicznie macha mi na powitanie. Ma na sobie markowe dzinsy, absurdalnie wysokie obcasy i okulary słoneczne od Gucciego.

- Daruj sobie te uwagi. - Posyłam jej miazdzące spojrzenie. - I bez tego ledwo żyję.

- Będzie dobrze - pociesza mnie, po czym uważnie mi się przygląda.
- Mizernie wyglądasz - stwierdza.

Przewracam oczami.

- Serdeczne dzięki. To z nerwów.

- Nerwy są dobre. Dają napęd. Gdzie mam stanąć, żeby cię dopingować?

- Miało cię w ogóle nie być. To tylko próbny bieg.
- Zainwestowałam trzy patyki - odpowiada oburzona. - Muszę się przekonać, w jakiej jesteś formie.
- Nie jestem koniem wyścigowym - pryham.
- Za nic nie przepuściłabym takiej okazji.
- Ja też. - Obracam się na pięcie i widzę tatę rzucającego mamie niespokojne spojrzenie. - Witaj, Gillian.
- Mama nieruchomieje.
- Witaj, Richardzie - odpowiada po chwili.
- Nie wiedziałam, że przyjdiesz, tato. Nie musieliście przychodzić. To tylko bieg próbny.
- Tata wzrusza ramionami.
- Nie miałem nic do roboty, więc pomyślałem sobie, że przyjdę popatrzeć.
- Mama otwiera torebkę, grzebie w niej, wyjmując batonik i odwija z papierka. Tak rzadko widuję ich razem, że robi mi się dziwnie. Jestem coraz bardziej spięta.
- Abby, jesteś gotowa? Jak się czujesz? - pyta tata.
- Możesz sobie wyobrazić. Trzęsę się z nerwów.
- Na tej adrenalinie nie tylko pobiegiesz, ale i pofruniesz. - Tata się uśmiecha.
- To samo jej mówiłam - wtrąca mama, pogryzając batonik. Spogląda przelotnie na tatę, po czym odwraca wzrok. - Sharon nie przyszła?
- Karen - poprawiam ją.
- Nie mogła. Jest na konferencji - wyjaśnia zakłopotany tata. - A co u ciebie, Gillian? Wspaniale wyglądasz.
- Wszystko w porządku - odpowiada mama pogodnie.
- Czytałem, że Calice kwitnie.
- Nie narzekam. Kryzys nas nie dotknął. Co miłe mnie zaskoczyło.
- Oczywiście. Zapada niezręczna cisza.
- Może po biegu zabiorę was obie na lunch? Macie ochotę?

Wbrew rozsądkowi w moje serce wlewa się nadzieja.

- Nie mogę - odpowiada szybko mama. - Kładę nowe fugi w łazience. Powstrzymuję się przed prychnięciem. Mama powinna powiedzieć, że płaci posadzkarzowi za wymianę fug. Chyba że ona, która w życiu nie trzymała w ręku żadnych narzędzi, wyleczyła się ze swojej odwiecznej awersji do prac typu „zrób to sam”.

- Ja pójdę - zwracam się do taty.

- Och, myślałam, że wpadniesz do mnie na lunch - mówi mama.

- Przecież remontujesz łazienkę - przypominam.

- Tak, ale... - mama milknie. - Jak chcesz.

Przy linii startu dostrzegam Jess. Podbiega do nas. Po krótkiej wymianie zdań z moimi rodzicami zwraca się do mnie:

- Chodź już, Abs. Trzeba się przygotować.

Rozgrzewamy się przez piętnaście minut, a potem idziemy na linię startu. Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe. Czarno to widzę. Jeszcze nawet nie zaczęłam biec.

- Nawodniłaś się jak trzeba? - dopytuje się Jess.

- Wychłęptałam wczoraj dwa małe baseny. Jeszcze łyk i nerki odmówią mi posłuszeństwa.

- Zjadłaś porządne śniadanie? - ciągnie niewzruszenie Jess.

- Muesli, jak radziłaś, dokładnie dwie godziny temu.

- Świetnie. Czujesz się dobrze rozgrzana?

- Moje nogi są w doskonałej formie i już nie mogą się doczekać biegu - mówię z udawanym entuzjazmem.

- Doskonale. Ojej, byłabym zapomniała. - Jess przystaje i otwiera torebkę. - Musimy jeszcze łyknąć to. - Pokazuje mi cztery jaskrawonie-bieskie pastylki.

- Jezu, jesteś pewna? - Rozglądam się nerwowo. Czuję, jak pałają mi policzki.

Już kiedyś Jess próbowała namówić mnie na prochy. To było na siedemnastych urodzinach Damiana Bennetta. Zapaliła skręta, żeby zrobić wrażenie na Alexie Khanie, w którym się wtedy podkochiwała. A potem

mi go podała. Nigdy przedtem nie paliłam. Udawałam, że mi smakuje, a tymczasem czułam się tak, jakbym połknęła palącą się zapałkę i chciała zgasić ją benzyną.

Pamiętam tylko dwa pierwsze pociągnięcia. Pięć godzin później obudziłam się pod stosem kurtek z marmurkowego dżinsu, leżących na łóżku rodziców Damiana. Nie rozumiałam, jakim cudem Jess wyszła z tego doświadczenia bez szwanku, póki nie spytała z miną winowajczyni: „Boże, Abby, chyba się nie zaciągałaś?”.

To wspomnienie nie dodaje mi pewności siebie.

- Czy to nie oszustwo? - szepczę nerwowo.

- Wszyscy to robią. Odczujesz lekkiego kopa. - Puszczą do mnie oko.

-Taka „pomocna dłoń”. - Robi wesołą minę i wrzuca do ust dwie pastylki.

- Nie wierzę, że to robisz, Jess. Nie jestem pewna, czy tego chcę. Co będzie, jeśli nas złapią?

- Och, Abby, nie rób z tego afery. Oddycham głęboko.

-Ile?

- Ile chcesz. Trzy, cztery...

Przełykam ślinę. Rozpaczliwie pragnę ukończyć ten bieg. Myślę o rodzicach, którzy będą mi kibicowali. Nie do wiary, że biorę pod uwagę sztuczne wspomaganie.

- Gdybym w ogóle miała je wziąć, to tylko dwie.

Jess robi zniecierpliwioną minę. Czuję się jak idiotka. Nie namyślałam się dłużej. Biorę dwie pastylki, wrzucam je do buzi i połykam.

- Stało się. Chodźmy już i przebiegnijmy tych pięć kilometrów. Idąc na linię startu, czuję pieczenie w piersiach. Jest mi zimno i gorąco jednocześnie. Jess bierze mnie za rękę.

- Umieram ze strachu - przyznaję.

- Poradzisz sobie. - Uśmiecha się szeroko. Puszczą moją rękę, gdy rozlega się strzał oznajmujący start.

Rozdział 37

Mimo rozgrzewki mam sztywne stawy. Zupełnie jakby zabrakło im naturalnego mazidła. Chyba wystartowałam całkiem nieźle. Może nawet za szybko, nie mam jednak czasu na analizę sytuacji. Przyływ adrenaliny sprawia, że chcę się sprawdzić.

Jess jest daleko przede mną. Na pozostałych uczestników biegu nie zwracam uwagi. Koncentruję się na drodze, na głębokich regularnych oddechach, na synchronizacji ruchów rąk i nóg.

Pastylki działają niemal od razu. W każdej komórce ciała czuję przyływ energii. Zupełnie jakby w moich żyłach krążyło paliwo rakietowe, które nadaje mi przyspieszenie.

Biegnę jak w pólśnie. I szybko, jak nigdy dotąd. Już przekroczyłam granicę, poza którą kończy się indywidualny komfort. Wciągam powietrze gwałtownymi haustami, lecz ani przez chwilę nie mam zamiaru zrezygnować z biegu. Bez względu na to, jak mi ciężko, coś pcha mnie naprzód z niepowstrzymaną siłą.

Zbliżając się do końca, słyszę owację dla tych, którzy przybiegli przede mną. Pokonuję ostatni zakręt i wybiegam na prostą wiodącą do mety. Widzę mamę i tatę obok siebie. Rozradowani klaszczą i krzyczą.

Na chwilę pogrążam się w dziecięcych marzeniach o rodzicach, którzy przyszli tu razem. I są razem. Nie odrywam od nich wzroku. Im bliżej jestem, tym większy wydaje mi się entuzjazm mamy.

- Dawaj, dawaj, Abby! - krzyczy Jess, która pewnie finiszowała już wieki temu. Sięgam po rezerwy energii i mimo zmęczenia przyspieszam.

Biegnę szybciej, niż się spodziewałam. Czuję się okropnie i cudownie jednocześnie. Kiedy przekraczam białą linię i zegar wskazuje mój wynik, o mało nie umieram ze szczęścia. Dwadzieścia dziewięć minut i czterdzieści siedem sekund. O ponad minutę poprawiłam czas uzyskany na tym dystansie podczas treningu.

Zamykam oczy i zginam się w pół. Odniosłam sukces. Udało mi się. Naprawdę mi się udało!

Oszalałam ze szczęścia, gdyby nie nagła myśl: to te prochy od Jess. Czy uzyskałabym ten czas bez nich? Moja radość znika w okamgnieniu. To żadne zwycięstwo. Przecież oszukiwałam. Tylko po co?

Jess porywa mnie w objęcia.

- Abby, zesłaś poniżej trzydziestu minut! Jestem z ciebie dumna!

- Naprawdę? - dyszę zniechęcona.

- Jasne. Taki czas w pierwszym starcie to świetny wynik! - Uśmiecha się od ucha do ucha. Dopiero teraz zauważa moją minę.

- Coś się stało?

- Sama mnie wiem, Jess... Wolałabym dokonać tego bez wspomagania. No wiesz, bez tych pastylek. Skrewiłam.

- O jakich pastylkach mówisz?

- O tych, które mi dałaś - wysapuję szeptem.

- Co ty bredzisz, Abs? - Jess drapie się po nosie.

- Mówię o prochach od ciebie - syczę.

Na jej twarzy maluje się błysk zrozumienia.

- Dlaczego się uśmiechasz? - pytam zdezorientowana.

- Abby, jesteś głupia jak but - chichocze Jess. - Albo i bardziej.

- Dlaczego?

- Ponieważ, moja kochana przyjaciółko, naćpałaś się... dwiema drażetkami mćkmsów.

Rozdział 38

Nie mam czasu na dzisiejsze e-mailowe gromy od Dyrektora Administracyjnego Budynku, a mimo to coś ciągnie mnie do lektury niczym do kolejnego odcinka kiepskiej opery mydlanej.

Administracja Budynku stwierdziła, że Pewne Firmy łamią reguły systemu recyklingu wprowadzonego na początku tego roku. Dyrektor Administracyjny Budynku przypomina wszystkim Pracownikom, że zielone pojemniki na plastik służą WYŁĄCZNIE składowaniu tam plastikowych odpadów.

Pewne Firmy z Czwartego piętra lekceważą konieczność usuwania papierowych etykietek z plastikowych butelek na wodę. TAKIE POSTĘPOWANIE JEST NIEDOPUSZCZALNE.

Pracownicy Pewnej Firmy na Czwartym piętrze powinni wziąć sobie to ostrzeżenie do serca. Administracja prosi wszystkie firmy mające swoje siedziby w budynku, by przesyłały do Dyrektora Administracyjnego e-mail potwierdzający, iż przeczytały to ostrzeżenie.

Usuвам list, zanim mózg mi się zagotuje.

Oddycham głęboko i zaglądam do terminarza. Od dnia założenia River Web Design nigdy nie był pusty. Teraz jest tak wypełniony, że zrobiłby wrażenie nawet na przywódcach krajów grupy G8.

- Co to jest Granger and Company, do cholery? - rzucam w przestrzeń pytanie, przeglądając w komputerze plan spotkań.

- Firma dekoratorska. Chcą przekazać kilkaset funtów dotacji - wyjaśnia podekscytowana Priya. - W środę masz z nimi spotkanie.

- Interesuje ich strona internetowa?

- Nie sędzę. - Priya wzrusza ramionami, jakby ta myśl nigdy nie przeszła jej przez głowę. - Już mają przyzwoitą stronę.

Popełniłam błąd. Pozwoliłam pracownikom pomagać w zbiórce pieniędzy - docelową kwotę określiłam na dziesięć tysięcy funtów - jeśli będą mieli w pracy jakieś „przestoje”. Wyraziłam też chęć osobistego spotkania z przedstawicielami firm chcących wpłacić jakąś kwotę. Nie przewidziałam aktywności moich entuzjastów. Umówione rozmowy z ewentualnymi sponsorami nie pozostawiają mi czasu na nic innego.

- Za dużo tych spotkań w sprawie zbiórki funduszy - mruczę zaniepokojona.

- Super, prawda? - cieszy się Priya.

- Tak, ale...

- Będzie jeszcze więcej. Zainteresowanie zbiórką wzrasta. A pomysł uroczystej kolacji jest genialny. Szczególnie, że mój nowy chłopak, Ian, obiecał przyjść. To już trzy tygodnie - dodaje z dumą.

- Gratuluję - mówię w roztargnieniu. - Ta kolacja to pomysł mojego taty, nie mój.

- Przygotowania idą pełną parą - informuje Heidi. Znając jej obrotność, nie jestem zdziwiona. - Zarezerwowałam duży namiot, bilety są w drukarni, skontaktowałam się z niektórymi firmami w sprawie cen rzeczy na aukcji. Nie do wiary, ile osób chce pomóc.

- Poczekaj, aż usłyszysz, co firma jubilerska Smith and Moon przekazała na aukcję - wtrąca Matt.

- Co takiego?

- Brylantowy naszyjnik za dwa i pół tysiąca funtów.

- Poważnie? - Odrywam wzrok od ekranu komputera. Jestem w szoku.

- Dwa i pół tysiąca? Tylko mi nie mów, że będziesz go wiozła taksówką.

- O tym pomyślimy później - mówi Priya.

- Jak dotąd na koncie mamy prawie pięć i pół tysiąca funtów - ciągnie Heidi. - Przewiduję, że po wszystkich spotkaniach, jakie masz w przyszłym tygodniu, zbierzemy dziesięć tysięcy.

Masuję skronie, a mimo to czuję, jakby tykała mi w głowie bomba zegarowa. I wtedy spływa na mnie olśnienie: podział obowiązków!

- A może ty pójdziesz na niektóre spotkania zamiast mnie, Heidi? Heidi robi minę, jakbym kazała jej wyplukać gardło starym olejem z frytkownicy.

- Och... nie.

- Dlaczego nie? Masz za sobą wiele prezentacji. Jesteś w tym doskonała.

- Wolałabym nie, Abby. Czułabym się niezręcznie, mówiąc o swojej chorobie. Rozmawiać o tym z przyjaciółmi to jedno, z obcymi ludźmi to drugie.

- Rozumiem. - Wzdycham. Coś jednak musimy z tym zrobić. - Posłuchajcie, trzeba jakoś „rozzredzić” te spotkania, żeby miałam czas na...

- Na co? - wchodzi mi w słowo Priya.

- Na pracę! - warczę. - Codzienną pracę.

- Ach, to.

- To? - powtarzam wściekła. - Właśnie za „to” płacą nasi klienci. Z „tego” utrzymujemy naszą firmę. Z „tego” są pieniądze na wasze cholerne pensje. Priya i Heidi są wstrząśnięte moim wybuchem. I zawstydzone. Zwykle nie robię takich scen, tym razem jednak musiałam być stanowcza. Kiedy Priya i Heidi zaczynają prześcigać się w przeprosinach, robi mi się głupio.

- Jestem za tym całym sercem, ale nie zdobywam teraz tylu klientów, ilu bym chciała, nie, ilu potrzebuję. Pilnowanie faktur nigdy się nie kończy. Mnóstwo e-maili od dawna czeka na odpowiedź. Do tego jeszcze tyle...

- Nic już nie mów, Abby - przerywa mi Heidi. - Zmienimy terminy tych spotkań. Możemy je odwołać. Wiesz, ile ta firma znaczy dla mnie. Ile znaczy dla nas wszystkich. Nie chcielibyśmy, żeby zbiórka funduszy przesłoniła wszystko inne.

- Wiem. - Zamykam oczy i odchylam się na krześle. - Nie odwołujcie niczego. Jeśli zaczniemy teraz mieszać, zniechęcimy ludzi do pomocy. Trzeba znaleźć równowagę między pracą i dobroczynnością. Muszę mieć czas na prowadzenie firmy. Między zbiórką pieniędzy a treningami...

- Jak bieg? - pyta Matt dyplomatycznie.

- Nieźle. W weekend przebiegłam pięć kilometrów poniżej trzydziestu minut. Biorąc pod uwagę, że moim jedynym stymulatorem był cukier zawarty w paru m&m'sach, mam powody do dumy.

Cała trójka patrzy na mnie beznamiętnie.

- To dobry wynik? - pyta w końcu Priya.

- Dla mnie tak. W moim przypadku pięć kilometrów w trzydzieści minut to jakby przebiec maraton bez jednej nogi i jeszcze zdążyć do domu na herbatkę - wyjaśniam. - Boże, spóźnię się na spotkanie.

Przed wyłączeniem komputera widzę w mojej skrzynce sześć nowych e-maili. Trzy z nich mają wysoki priorytet. Skrzynka odbiorcza pęka od nieprzeczytanych listów. Na biurku leżą trzy samoprzylepne karteczki z przypomnieniem, kto czeka na telefon. W normalnych warunkach zostałabym w pracy dłużej i nadrobiła zaległości, ale dzisiaj wieczorem mam trening, którego za żadne skarby nie chcę opuścić.

- Jak się teraz czujesz, Heidi? - pyta Priya.

- Całkiem dobrze. W zeszłym tygodniu robili mi rezonans magnetyczny. Nie ma żadnych nowych zmian. Grupa wsparcia, do której dołączyłam, jest cudowna. Spotkałam mnóstwo ludzi przechodzących przez to samo. Poza tym wszystko, co robi Abby, dodaje mi sił. - Spogląda na mnie. - Jestem ci bardzo wdzięczna, Abby. Jesteś wielka. I wcale nie mówię tego, żeby podliznąć się szefowej.

Teraz wiem na pewno, że nie mogę opuścić ani charytatywnej zbiórki, ani treningów.

Muszę znaleźć lepszy sposób na pogodzenie tego wszystkiego. Albo kupić sobie więcej czasu. Gdyby udało się zdobyć duży kontrakt, który ustawiłby nas na parę miesięcy, naprawdę duży. Taki jak ten z Caro & Co....

Na myśl o swojej prezentacji dla nich popadam w przygnębienie.

Zarzucam torebkę na ramię i sięgam po kluczyki do auta. I wtedy dzwoni mój telefon. Odbieram.

- Abigail Rogers? - pyta męski głos po drugiej stronie słuchawki. Serce we mnie zamiera. Nie mam czasu!

- Nie, jej koleżanka Priya - piszczy w odpowiedzi, przekonana, że mam talent imitatorski. Po minie Priyi widzę, że ona nie podziela mojego zdania.

- Ach tak. Mówi Jim Broadhurst z Caro and Company. Proszę jej przekazać, że dzwoniłem. Chodzi o kontrakt, o który się starała.

- Uhm, rozumiem. Dobrze. O! Właśnie weszła - mówię trzęsącym się głosem, a Priya sztyletuje mnie wzrokiem.

Odsuwam od siebie telefon, robię trochę hałasu, po czym znów przysuwam go do ucha.

- Abby Rogers - rzucam już swoim, ale nieco wystudiowanym głosem.

- Tu Jim Broadhurst.

- Och, witam! Jaka miła niespodzianka. - Siłę się na uprzejmość, choć w bezpośrednim kontakcie Jim Broadhurst był równie przyjazny, jak wirus Ebola.

- Dzwonię w sprawie kontraktu - mówi o wiele miłszym tonem niż podczas spotkania. Mogłabym nazwać go życzliwym. Może nawet przyjacielskim. Czyżby to oznaczało...

- Kontrakt. Tak - odpowiadam. Świta mi w sercu nadzieja, choć staram się nadać głosowi obojętny ton.

- Zarząd podjął decyzję - ciągnie z wyraźną nutą radości w głosie. -Przede wszystkim chcę pani szczerze podziękować za prezentację. Jesteśmy wymagającym gremium. Dała nam pani dużo do myślenia.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Chociaż pewne elementy pani prezentacji nie wyszły tak, jak by pani sobie tego życzyła, zasadniczo jest pani pierwszorzędną kandydatką do współpracy. Pierwszorzędną - powtarza radośnie.

- Naprawdę? - Głos mi się łamie z wrażenia.

- O tak.

- Uhm... Bardzo się cieszę.

Czyżbym za chwilę miała usłyszeć radosną nowinę? Że chociaż sknociłam prezentację, mój talent dał się zauważyć?

- Jak pani wie, szukaliśmy firmy z udokumentowanym doświadczeniem w dziedzinie B-dwa-B na rynku nowych technologii.

... które ja mam!

- Firmy, która z pełnym zaangażowaniem współpracowałaby ściśle z naszym zespołem.

... tak właśnie bym pracowała!

- A przede wszystkim takiej, która przeniosłaby nas w konkretną sferę rzeczywistości cyfrowej w bardzo krótkim czasie. Bez wątplenia spełnia pani wiele naszych warunków, pani Rogers.

Hurra!

- Decyzja zapadła jednogłośnie - anonsuje wesoło Jim Broadhurst. Niemal widzę go uśmiechniętego od ucha do ucha.

-Tak?

- Przykro mi, ale nie zdobyła pani kontraktu. Nie tym razem.

Rozdział 39

Właściwie nie jestem zaskoczona. Mimo to resztę dnia spędzam na rozmyślaniach, ile znaczyłby dla nas kontrakt z Caro & Co. Jaką zyskalibyśmy pozycję na rynku i jak wzrosłyby nasze obroty. To do mnie niepodobne. Zwykle szybko zapominam o niepowodzeniu, zbieram się w sobie i szukam innych możliwości.

Tym razem jest inaczej. Kontrakt z Caro & Co. miał ogromne znaczenie. Męczy mnie świadomość, że był w moim zasięgu i straciłam go przez własne lenistwo i nonszalancję. Fakt, że przegrałam z firmą Vermont Hamilton, a to Jim Broadhurst i reszta zarządu szybko pożałuje swojej decyzji, jest marnym pocieszeniem. Teraz mogę tylko pluć sobie w brodę.

Poza tym nie dają mi spokoju słowa Jima Broadhursta, że decyzja zapadła jednogłośnie. Nie twierdzę, że jako przyjaciółce Toma należą mi się jakieś względy, ale... No dobrze, przyznaję, przeszło mi to przez myśl. Stałoby się coś, gdyby poparł kandydaturę River Web Design? Sam powiedział, że jesteśmy dobrzy. Moje wystąpienie pozostawiało wiele do życzenia - idiotyczny incydent z Dustym raczej mi nie pomógł - nie było jednak beznadziejne. Wystarczyło nieco perswazji ze strony Toma i wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Tego wieczoru w Klubie Biegacza Tom podchodzi do mnie podczas rozgrzewki. Mózg mi się gotuje od pomysłów na cięte riposty. Lepiej mieć je w zanadrzu, gdy wyskoczy z jakimś przytykiem. Nie spodziewam się wprawdzie żadnych niemiłych uwag, ale on lubi się przekomarzać, a ja nie jestem w nastroju.

- Abby - zwraca się do mnie tonem, który trudno mi zinterpretować.
- Tak? - odpowiadam uprzejmie.
- Przykro mi z powodu kontraktu. Rzucam mu zaskoczone spojrzenie.
- Nieważne, zapomnij o tym - mówię.
- Jeśli chcesz wiedzieć, było blisko. Wszyscy się z tym zgodzili.
- Tak, słyszałam o jednogłośnie decyzji - mruczę pod nosem.
- Nie możesz zdobywać wszystkich kontraktów. - Uśmiecha się. Jego słynny zniewalający uśmiech mnie nie zniewala ani trochę. Budzi jedynie chęć walnięcia Toma w głowę torebką. Najlepiej z kawałkiem cegły w środku.
- Jasne, że nie, ale kontrakt wart trzy patyki miesięcznie przydałoby się zdobyć.
- Tom nieruchomieje. Dopiero teraz zauważa, w jakim jestem nastroju.
- Mam nadzieję, że nie bierzesz tego do siebie.
- Ależ skąd - prychem z sarkazmem, chociaż serce wali mi jak młotem, gdy Tom obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem.
- Nie masz powodów, by się tak zachowywać, Abby.
- Tom, gdybyś prowadził własny biznes, zrozumiałbyś moje rozgoryczenie. - Milknę na chwilę, muszę zapanować nad drżeniem głosu.
- Zwłaszcza że przegrałam z firmą, w której szeregowemu pracownikowi ledwo wystarcza umiejętności, by zawiązać sobie sznurowadła.
- Zaprezentowali się bardzo dobrze - mówi Tom zdecydowanie.
- A na dodatek ktoś, kogo uważałam za przyjaciela, ponosi częściową odpowiedzialność za tę sytuację. - Zdaję sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwa. Gdyby nie Tom, nie miałabym nawet okazji walczyć o ten kontrakt. Nie umiem się jednak powstrzymać. Bez względu na wszystko, Tom mógł bronić mojej pozycji.
- Ja jestem odpowiedzialny? - pyta z niedowierzaniem.
- Powiedziałam „częściowo”. Głosowałeś za Vermont Hamilton, prawda?
- Jako ktoś, kto „prowadzi własny biznes” powinnaś wiedzieć, że to ty ponosisz za to odpowiedzialność, Abby. Sama uznałaś, że prezentacja była okropna.

- Coś ci powiem, Tom. Krytykowanie wyglądu dziewczyny jest krytykowaniem jej rodziców. Tylko ja mogę sobie na to pozwolić.

- Niech ci będzie. - Unosi zirytowany rękę. - Winisz wszystkich prócz siebie.

Gotuję się z oburzenia. W tej samej chwili obok Toma wyrasta Geraldine, nieświadoma napięcia między nami.

- Cześć, skarbie. Jak leci? - Obdarza go promiennym uśmiechem i całuje w policzek.

Tom ucieka spojrzeniem w bok.

- Dobrze. Dzięki.

Geraldine odwraca się do mnie. Uśmiech nie schodzi jej z twarzy.

- Och, Abby, pokażę ci zdjęcie mojego nowego siostrzeńca. - Wyjmuje z torebki breloczek i prezentuje go z dumą. Ostentacyjnie ignorując Toma, patrzę na fotografię niemowlaka o wielkich oczach, grubych nóżkach i z burzą jasnych włosów na głowie.

- Śliczny. Ile ma?

- Trzy tygodnie. Jest cudowny, uwielbiam go. Tym bardziej, że na razie nie mam widoków na własne dziecko - mówi znacząco. Najwyraźniej Tom akceptuje to publiczne nawiązywanie do obsesji na punkcie potomstwa.

Koniec rozgrzewki. Trzy grupy szykują się do biegu. Kiedy dołączam do swojej, spotyka mnie jedyna miła niespodzianka w tym dniu: czuję na sobie czyjś wzrok. Napotykam spojrzenie Olivera.

Jest najbardziej kokieteryjne ze wszystkich spojrzeń, jakimi mnie do tej pory obdarzył. Cudownie bezwstydnym sygnałem zainteresowania. Ogarnia mnie euforia, trwająca dłużej niż nasz krótki kontakt wzrokowy.

Po biegu umieram z chęci ujrzenia go znowu. Rozciągam się sumiennie, wyrównując oddech. I wtedy czuję na karku delikatne dotknięcie.

- Słyszałem, że dobrze ci poszło w niedzielę. - Oliver znów jest nieśmiały. I tak boski, że mogę mu to wybaczyć.

- W porównaniu z innymi biegłam wolno, ale zeszłam poniżej trzydziestu minut, więc się cieszę.

- Gratuluję. - Kiedy się uśmiecha, nie mogę oderwać wzroku od jego dołeczków. - Zasłużyłaś na to.

- No nie wiem. - Na końcu nosa dostrzegam wielką kroplę potu. Ścieram ją ukradkiem. - Muszę nadal pracować nad kondycją.

- Cieszę się. Bez ciebie Klub Biegacza nie byłby już tym samym klubem. Policzki zalewa mi fala gorąca.

- Poradziłyś sobie - mamroczę zakłopotana. - Poza tym nieprędko zrezygnuję. Chcę się porządnie przygotować do półmaratonu.

Oliver spogląda mi w oczy. Widzę, że wraca mu pewność siebie.

- Według mnie jesteś w całkiem dobrej formie.

Rozdział 40

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? - pytam Jess, gdy przeciskamy się między studentami do baru w pubie Willow Tree. - Czy twój przedwczesny kryzys wieku średniego znów daje o sobie znać?

Willow Tree to nietypowy studencki pub. Jest przytulny i dobrze utrzymany. Ściany są pokryte dębowymi panelami, a dystrybutory piwa lśnią tak, że mogą zastąpić lustro, gdy zajdzie potrzeba uregulowania brwi. W tym pubie zyskałam ostateczny dowód, że Jess i ja będziemy przyjaciółkami na zawsze.

Składając dokumenty na wybrane uczelnie, miałyśmy nadzieję, że obie zostaniemy przyjęte na uniwersytet w Glasgow. Tymczasem Jess powięła się nogą na egzaminie końcowym z jednego przedmiotu i z powodu niższej średniej musiała zadowolić się miejscem na uniwersytecie w Reading, który wskazała jako alternatywę dla Glasgow. Na początku studiów dzwoniłyśmy do siebie co wieczór. Niecierpliwie czekałam na każdą rozmowę.

Kiedy zaaklimatyzowałam się na uczelni, zawarłam nowe znajomości i zaczęłam cieszyć się życiem studenckim. Wstyd przyznać, ale wtedy pamiętanie o telefonie do Jess stało się uciążliwym obowiązkiem.

Zanim się spostrzegłam, rozmawiałyśmy raz na dwa tygodnie, potem raz na trzy. W ferworze nauki, imprezowania i spotkań w Stowarzyszeniu Poezji (choć długo w nim nie wytrwałam) doszłam do wniosku, że nasze drogi się rozeszły.

W połowie drugiego semestru zakochałam się na zabój w Kristofferze, norweskim studencie geografii, od którego pocałunków kręciło mi się w głowie.

Któregoś wieczoru niespodziewanie zadzwoniła Jess. Mówiła z trudem, ogólnikami, wyraźnie skrępowana. Nie mogłam się skupić. Stałam przy aparacie telefonicznym w akademiku, a Kristoffer całował moją szyję. Zamiast zorientować się, że u Jess dzieje się coś złego, wróciłam do pokoju, gdzie Kristoffer zerwał ze mnie ubranie, po czym padliśmy na nierówny materac mojego jednoosobowego łóżka. Spędziliśmy pod kołdrą długie tygodnie, z rzadkimi przerwami na pojedyncze wykłady i niezdrowe jedzenie.

Chciałam, żeby to trwało wiecznie. Ale skończyło się - i to gwałtownie - gdy Kristoffer rzucił mnie dwa tygodnie przed egzaminami dla wysokiej studentki socjologii z imponującym rowkiem między piersiami, w którym można by zgubić drobne. Jak było do przewidzenia, oblałam prawie wszystkie egzaminy.

Nie byłam w stanie zostać w Glasgow i tam przygotowywać się do poprawek. Pojechałam do domu. Uczyłam się tak intensywnie, że chwilami mózg mi się przegrzewał.

Wróciłam do Glasgow na same egzaminy. Po ostatniej zdanej poprawce zadzwoniłam do mamy z dworca, tuż przed wejściem do pociągu. Dowiedziałam się, że właśnie rozmawiała z Jess, która pytała, czy będę w Glasgow i czy miałabym ochotę na spotkanie. Ta zbieżność telefonów była czystym przypadkiem. Kiedy tego dnia wieczorem weszłam do Wilków Tree, płakałabym ze szczęścia, gdyby nie pałący wstyd, że tak zaniedbałam naszą przyjaźń.

- Wybacz, że się nie odzywałam - powiedziałam wtedy do Jess.

- Nie przejmuj się - odparła pogodnie. - Daj już spokój. Ciągle lubisz snakebitea?

Nie dała mi chwili do namysłu. Tego wieczoru piłyśmy i nadrabiałyśmy zaległości. Opowiedziałam jej o Glasgow, Kristofferze, dziewczynie z zabójczym rowkiem i oblanych egzaminach. Jess opowiedziała mi o Reading, Ethanie, dziewczynie o zabójczych nogach i prawie oblanych egzaminach.

To było bardzo wzruszające spotkanie. I suto podlane alkoholem. Potwierdziło prawdę, w którą nigdy więcej nie będę wątpiła: bez względu

na wszystko Jess i ja zawsze będziemy przyjaciółkami. I zawsze możemy na siebie liczyć.

Dzisiaj mamy zamiar poprzestać na jednym drinku. Jest środek tygodnia, poza tym w ogóle powinnam unikać alkoholu. Jednak po takim dniu jak dziś potrzebuję czegoś mocniejszego. Sącząc drinki, rozmawiamy o wszystkim i o niczym. Mimo to czuję, że coś wisi w powietrzu. Dopiero po trzeciej kolejce zbieram się na odwagę.

- Jak się mają sprawy między tobą i Adamem? - pytam. Jess wzdycha ciężko.

- Sprawy między mną i Adamem mają się dobrze. - Milknie i zrezygnowana wzrusza ramionami. - Jesteśmy, wedle wszelkich standardów, szczęśliwym małżeństwem. Kochamy nasze dzieci. Tworzymy stabilną rodzinę. Rzadko się kłócimy.

- Wiem. Powiedziałabym nawet, że to trochę nienormalne. Jess poważnieje.

- Też tak sądzę.

- Jess, to był żart!

- Wiem, ale... - Bawi się kieliszkiem. - Przeczytałam kiedyś, że jeśli musisz się zastanawiać, czy nadal kogoś kochasz, to znak, że już przestałaś. Może dlatego zawsze czułam się niezręcznie, mówiąc Adamowi o swoich uczuciach. Nie z powodu oschłości odziedziczonej po mamie, ale dlatego, że już go nie kocham.

- Jess, przecież nigdy nie powiedziałaś Adamowi, że go kochasz, nawet gdy nie wątpiłaś w swojej uczucie do niego. Mnie powiedziałaś, a jemu nie. Zawsze uważałaś, że takie wyznania są idiotyczne.

- Pewnie tak. - Znów wzrusza ramionami.

- A co do zastanawiania się nad swoimi uczuciami, to zupełnie naturalne po tylu wspólnych latach. Wierz mi. Dzisiaj oczekujemy doskonałości, ale nikt nie jest doskonały. Chcemy, żeby ekscytacja, dreszcz emocji i pożądanie odczuwane na początku trwały wiecznie. Ale nie trwają. Nie mogą. To, że po dziesięciu latach nie miękną ci kolana na czyjś widok, nie znaczy, że powinnaś przestać go kochać.

- Tak, ale...

- Weź moich rodziców - nie daję jej dość do słowa. - Te wszystkie bzdury, jakimi karmiła mnie mama. Że ona i tata „oddalili się od siebie”. To cholernie wkurzające! Pary oddalają się od siebie tylko wtedy, jeśli sobie na to pozwolą. W przypadku moich rodziców to mama się oddaliła. Gdyby to zależało od taty, nadal byłiby razem. Powinni być razem. - Milknę i spoglądam na Jess.

- Nie wiem, co między nimi zaszło, mogę mówić tylko za siebie - odzywa się cicho. - Do pewnego stopnia się z tobą zgadzam, ale mówisz to z perspektywy osoby, która była w związku dłużej niż... ile? Dwa lata?

- Nie musisz ciągle mi tego wypominać. Poza tym byłam z Harrym przez dwa lata i trzy miesiące. Prawda, że przez pół roku miał jednocześnie inną dziewczynę, ale zawsze to ponad dwa lata.

- Nie wypominam ci tego. Wiesz, że nie. Dziesięć lat temu przyznałabym ci rację. Nawet rok temu. Ale teraz... Eh, może to tylko przejściowe wahanie. - Mruga szybko. - A może nie - dodaje.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam.

Dopiero teraz zauważam bruzdy na jej czole i zaczerwienione podpuchnięte oczy. Dotykam jej łokcia, zdumiona tak szybką zmianą nastroju.

Patrzy mi w oczy, po czym odwraca wzrok. Wargi jej drżą.

- Chciałabym cofnąć czas - szepcze ze ściśniętym gardłem. Nie mówi do mnie, mówi do siebie.

- Jess, możecie wskrzesić wzajemną fascynację. Może wystarczy kilka romantycznych wieczorów poza domem, jakiś weekendowy wypad albo...

- Nie o to mi chodzi.

- Więc o co?

- Abby. - Jess pociąga nosem i oddycha głęboko, wstrząsana tłumionym szlochem. - Przespałam się z innym mężczyzną.

Rozdział 41

Dopiero po chwili dociera do mnie sens słów Jess.

- Co zrobiłaś? - pytam, choć już wiem, że się nie przesłyszałam.

- Kiedy?

Jess jest roztrzęsiona.

- W dzień przed naszym wyjściem na kolację. Parę tygodni przed twoimi urodzinami - mamrocze. Pamiętam, jak dziwnie zachowywała się tamtego wieczoru. Patrząc na nią, można było pomyśleć, że szparagi na jej talerzu są doprawione arsenikiem. Dopiero teraz rozumiem powód jej zachowania.

- Jak do tego doszło?

- Jak zwykle w takich przypadkach.

- Jess, na miłość boską, jestem twoją najlepszą przyjaciółką. - Ściskam jej dłoń. Jest drobna i zimna od lodu w drinku. - Jeśli nie możesz o tym porozmawiać ze mną, to z kim porozmawiasz?

Jess wierci się na krześle.

- To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje, Abby.

- Na pewno - przyznaję. - Kto to był?

Jess zamyka na chwilę oczy i przełyka ślinę.

- Kolega z pracy. John. Maxwell. Pracuje w dziale sprzedaży.

- Widziałam go kiedyś?

- Wątpię. Przyszedł do firmy, kiedy byłam na urlopie macierzyńskim.

Cisną mi się na usta różne pytania. Pierwsze i najważniejsze zadaję wręcz odruchowo:

- Jest żonaty?

- Nie - odpowiada Jess słabym głosem, jakby mówienie sprawiało jej fizyczny ból. - Nie dopytuj się o szczegóły, Abby. Mogę ci tylko powiedzieć, że... to było chwilowe zauroczenie. Może nadal coś czuję.

- Boże, to ciągle trwa? - syczę przez zaciśnięte zęby, żeby nie podsłuchali nas inni. - Czy to... romans?

- Nie - mówi kategorycznie Jess. - Przespałam się z nim tylko raz. To wszystko. Od tamtego czasu odrzucam jego umizgi. Szczerze mówiąc, to trudne, bo ciągle go widuję.

- Jeden z wielu minusów biurowej przygody - przyznaję.

Od chwili, w której Jess zrzuciła tę bombę, towarzyszą mi mieszane uczucia. Miotam z się od jednej skrajności do drugiej. Adam jest dla mnie nieszkodliwym nudziarzem, równie interesującym jak rozgotowana marchewka, nigdy jednak nie życzyłam mu źle. Żał mi nie tylko jego, żał mi przede wszystkim Jess. Jeśli sądzi, że znajdzie szczęście w ramionach jakiegoś wyszczekanego sprzedawcy, to się grubo myli. Z drugiej strony, budzą się we mnie wątpliwości. Może w końcu znalazła kogoś, kto bardziej do niej pasuje. Kogoś interesującego, z ikrą, osobowością i...

Ale przecież Jess jest mężatką! I ma dzieci! Małe dzieci. Jeśli zostawi Adama, dla dzieci będzie to znacznie trudniejsze niż dla mnie. Byłam znacznie starsza od Jamiego i Loli, gdy moja mama odeszła od taty.

- Czy Adam wie? - pytam.

- Uchowaj Boże. - Jess upija spory łyk. - Najśmieszniejsze, że zanim to się stało, nigdy nie wątpiłam w swoje uczucia do Adama. Nie mam pojęcia, jak się wpakowałam w tę sytuację. A teraz dręczy mnie pytanie, czy nie zrobiłam tego celowo. Musi istnieć jakiś problem, którego sobie nie uświadamiam. Gdyby wszystko było w porządku, nie zrobiłabym tego.

- Ten facet musi mieć zniewalający urok - zgaduję. Jess ogląda swoje dłonie.

- Można tak powiedzieć. W jego towarzystwie czułam się wyjątkowa, seksowna. Czułam, że żyję. Nie umiem tego opisać, Abby. To cudowne uczucie. A jednocześnie okropne. - W jej oczach znów błyszczą łzy. - Nie pochwalasz tego, prawda? Z powodu rodziców.

- Chcę dla ciebie jak najlepiej. Nie zrób czegoś, czego potem będziesz żałowała.

Jess wpatruje się we mnie intensywnie.

- Ale nawet ty uważasz, że Adam i ja do siebie nie pasujemy. Rzucam jej oburzone spojrzenie.

- Co? Adam to świetny facet!

- Nie wygłupiaj się, Abby. Uważasz go za sztywniaka i nudziarza. Można to wyczytać z twojej miny za każdym razem, gdy jesteś w jego towarzystwie.

- Wcale nie! - oponuję.

- Nie przejmuj się. - Jess wzdycha. - Czy ulegałabym urokowi innego mężczyzny, gdybym podskórnie nie czuła, że masz rację?

- Ale ja nie mam racji - przekonuję wbrew logice. - To, że nie nadaję z Adamem na tych samych falach, wcale nie znaczy, że Adam nie jest... interesujący.

Jess doskonale odczytuje moje eufemizmy.

- Nawet gdyby Adam był najnudniejszym człowiekiem na świecie, to nie ma znaczenia. Zdradziłam go. Co gorsza, przygoda się skończyła, a ja ciągle nie mogę przestać myśleć o faciecie, który nie jest moim mężem. Adam na to nie zasługuje. Jest zbyt dobry. - Wybucham płaczem.

- Och, Jess. - Obejmuję ją mocno.

- Nie chodzi tylko o Adama - pociąga nosem. - Zdradziłam kogoś jeszcze.

- Kogo? - Marszczę czoło, bojąc się, że nie powiedziała mi o wszystkim.

- Siebie - mamrocze Jess. - Zdradziłam siebie.

Rozdział 42

Przez następne dni nie wracamy do tego tematu. Wielokrotnie usiłuję nawiązać z Jess rozmowę o zdradzie i skłonić ją do większej otwartości, ale każda próba kończy się tak samo: moja przyjaciółka powtarza, że będzie udawała, jakby to się nigdy nie wydarzyło, i żyła dalej. Mam nadzieję, że jej się uda.

Jeśli o mnie chodzi, to niektóre sprawy mają się coraz lepiej: bieganie, życie uczuciowe i praca.

Bieg Nadmorski dodał mi skrzydeł. Teraz niecierpliwie czekam na każdy kolejny trening nie tylko z powodu Olivera. Zaczynam wierzyć, że jestem w stanie ukończyć półmaraton. A jeszcze niedawno ta perspektywa była równie odległa, jak nominacja do Nagrody Nobla.

Widywanie Olivera trzy razy w tygodniu jest dodatkową korzyścią w morzu innych korzyści. W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że Oliver jeszcze zyska na uroku i atrakcyjności, ale tak właśnie jest.

Coraz odważniej szuka ze mną kontaktu wzrokowego. Co mnie zachwyca. Z drugiej strony, jeśli między nami rzeczywiście ma coś być, trzeba przejść do konkretów. Chyba nie chcę zbyt dużo?

Przemknęło mi przez głowę, że Oliver mnie zwodzi, jednak szybko odsunęłam od siebie tę myśl. Wydało mi się niewyobrażalne, by ktoś tak powściągliwy w kontaktach z kobietami i nieepatujący swoim męskim urokiem mógłby być tak wyrachowany. Oliver po prostu wolno się roz-pala. I chociaż to frustrujące, wiem jedno: warto czekać.

Jedyną rysą na tym obrazie jest dziwne napięcie między mną a Tomem po naszej sprzeczce. Nadal rozmawiamy, ale rzadziej niż kiedyś. Coś się

zmieniło. Jestem rozdarta. Z jednej strony chciałabym powiedzieć wprost: „Tom, zapomnijmy o całej sprawie z kontraktem, zgoda?”. Z drugiej strony jestem za dużym tchórzem, żeby wszczynać z tego powodu zamieszanie.

W pracy jestem tak zawałona obowiązkami, że z trudem się wyrabiam. Zdobyłam paru mniejszych klientów, a nowi klienci plus lojalność obecnych klientów (o Diggles myślę teraz bardziej jak o dobrotliwym wujku niż o kliencie) przekłada się na zadowolenie Egora z tempa i kierunku rozwoju firmy. Przekaz od niego jest jasny: nie zdejmuj nogi z gazu, Abby.

Będę miała więcej czasu po balu charytatywnym. Chociaż Priya i Heidi wzięły na siebie większość spraw organizacyjnych, pomoc w przygotowaniach pochłonęła mnie bardziej, niż to sobie założyłam. Przez miesiąc wszyscy w River Web Design mieliśmy pełne ręce roboty.

Trzeba było znaleźć florystów, zaplanować rozmieszczenie gości przy stołach, zatrudnić odpowiedni zespół muzyczny, porównać oferty firm cateringowych i wybrać najlepszą, nawiązać kontakt z dostawcami szampana. I to równolegle z codziennymi obowiązkami w pracy. Kiedy wreszcie pod koniec października nadchodzi dzień balu, czuję się jak wypluta przez trąbę powietrzną, w której kotłowałam się przez miesiąc.

Chciałam być w domu wcześniej, żeby spokojnie zrobić się na bóstwo. Niestety, mój plan spalił na panewce, w ostatniej chwili pojawia się jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia i problemów do rozwiązania. Na dodatek jestem świadkiem nerwowego załamania Priyi na wieść, że trębacz ma pleśniawki i lekarz pierwszego kontaktu na czas kuracji zalecił mu grę na trójkącie.

- Band z trójkątem? - wścieka się. - Co nas jeszcze czeka? Klawiszowiec walący w łyżeczki?

Priya miota się po biurze we fioletowej atlasowej sukience bez ramiączek, poprawiając stroik nieco zdefasonowany po kąpielii w łazienkowej umywalce. Po telefonie od florystyki w sprawie przywiedłych gerber w geście rozpaczy tak odrzuciła głowę do tyłu, że stroik spadł jej z włosów wprost do kubka Matta z daniem błyskawicznym. Nadal z lekka trąci kurczakiem i grzybami, ale Priya się nie poddaje. Nie po to zapłaciła za

niego dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć, żeby teraz zrezygnować z ozdobienia nim głowy.

Wychodzę z biura przed siedemnastą. Mam tylko godzinę na dojazd do domu, wystrojenie się i dotarcie do Knowsley Hall, żeby zdążyć powitać przybywających na bal gości i przyćmić swoim wyglądem samą Grace Kelly.

Kiedy przebijam się przez zakorkowane ulice, dzwoni komórka. Na wyświetlaczu widzę numer Jess. Będzie dzisiaj na balu, jak większość członków Klubu Biegacza, chociaż usiądzie przy innym stole. Adam przekonał swoich szefów, by zamówili osobny stół, i Jess będzie mu towarzyszyła podczas kolacji z obecnymi, a może i przyszłymi klientami.

- Cześć, Kopciuszkule! Nie możesz się doczekać balu? - zaczynam.

- Kopciuszkule? Zgadłaś - odpowiada przygaszona.

- Co się stało?

- Och, Abby, nie wiem, jak ci to powiedzieć. -Co?!

- Jamie źle się czuje. Ma straszną wysypkę. Z kropek na plecach można by zrobić cały rysunek.

- Co mu jest? - pytam zaniepokojona.

- Podejrzewam ospę wietrzną. Kilkoro dzieci z jego klasy już zachorowało. Rano pójdę z nim do lekarza. A teraz nie chcę go zostawiać z opiekunką.

Wreszcie dociera do mnie ukryty sens tych słów.

- Nie idziesz na bal - bardziej stwierdzam, niż pytam.

- Bardzo mi przykro, Abby. To pewno nic poważnego, ale nie powinnam dziś wychodzić. Chcę mieć Jamiego na oku. Mam nadzieję, że rozumiesz.

- Jasne.

- Adam oczywiście idzie.

- Świetnie! - mówię z udawanym entuzjazmem.

Zajeżdżam pod dom. Zzerają mnie nerwy. Nie tylko z powodu nadchodzącego balu. Wiedząc, że Doktor Ciacho będzie siedział przy stole

obok mnie - czysty przypadek, aczkolwiek starannie wyreżyserowany - poświęciłam mnóstwo czasu na przygotowania. Godzinami włóczyłam się po sklepach w poszukiwaniu zabójczej kreacji, zafundowałam sobie pasemka, a nawet opalanie natryskowe. (Chociaż gdyby ktoś pytał, to opaliłam się, spędzając wolny czas w ogrodzie.)

W maleńkim sklepie w Chester upolowałam niesamowitą sukienkę. Klasyczna, długa do ziemi, przypomina nieco projekty Valentino. Czuję się w niej fantastycznie. Moje podniecenie rośnie po nałożeniu makijażu i uzupełnieniu stroju nowymi butami i nową torebką.

Do przyjazdu taksówki zostało kilka minut. Już gotowa, niecierpliwie czekam w salonie. Sięgam po artykuł wyrwany z czasopisma w salonie fryzjerskim. *Pięć sztuczek, które działają na facetów - efekt murowany!*

Autorką jest Gretchen F. Cassidy, amerykańska specjalistka od związków, której poradnik zatytułowany *Zaklinaczka mężczyzn* jest dostępny w twardej oprawie za jedyne dwanaście dziewięćdziesiąt dziewięć. Tak przynajmniej wynika z reklamy pod artykułem. Podejrzliwie podchodzę do patentu na wzbudzenie w kimś miłości, streszczonym w zaledwie sześciuset pięćdziesięciu słowach, ale w mojej sytuacji każda pomoc jest na wagę złota.

Mowa ciała odpowiada za ponad pięćdziesiąt pięć procent wrażenia, jakie wywieramy na innych. To, co mówimy, to mniej niż dziesięć procent - czytam. Wiele kobiet ma trudności z jasnym sygnalizowaniem zainteresowania - lecz te liczby pokazują, jakie to ważne!

Może właśnie o to rozbija się sprawa z Doktorem Ciachem? Jeden jedyne raz okazałam mu wyraźne zainteresowanie, gdy upiłam się w pubie w przeddzień moich urodzin. Nie zadziałało. Muszę to powtórzyć, tym razem z większym tupetem.

Sednem techniki Gretchen jest „trójkąta flirtu”. Przypomina trochę Trójkąt Bermudzki, gdzie w tajemniczych okolicznościach giną statki, ale mnie to nie przeszkadza. Im dłużej czytam, tym bardziej mi się to podoba.

W towarzystwie nieznanym nam osób - na przykład podczas kontaktów służbowych - nasz wzrok wędruje od jednego oka rozmówcy do

drugiego, prześlizgując się przez nasadę nosa. W towarzystwie przyjaciół nasze spojrzenie wędruje po trójkącie oko-oko-usta. Flirtując, powinniśmy powiększyć ten trójkąt i zejść poniżej ust. Dużo niżej.

Efektywne flirtowanie obejmuje intensywny kontakt wzrokowy, bezpośrednio patrzenie na usta oraz poszerzenie obszaru spojrzeń o mostek, a nawet powędrowanie wzrokiem niżej.

Szczęka mi opada. Perspektywa spoglądania na intymne części ciała Doktora Ciacha bardzo mi się podoba, nie wiem tylko, czy on podzieli moje zdanie. Prócz ostatniej sugestii żadna nie wydaje mi się aż tak trudna, żebym nie mogła jej wypróbować - nawet jeśli flirtowanie przychodzi mi równie łatwo, jak naturalna opalenizna.

Na odgłos dzwonka do drzwi wracam do rzeczywistości. Składam artykuł i wsuwam go do kopertówki. Mam zamiar przestudiować go dokładniej w taksówce. Kiedy zamykam drzwi, mam przeczucie. Właściwie nie jest to przeczucie, ile postanowienie.

Dziś wieczorem, drogi O1iverze, wreszcie będziesz mój.

Rozdział 43

Taksówka przejeżdża przez bramę z piaskowca. Szeroki podjazd wiedzie przez bujny ogród otaczający posiadłość.

Na widok naszego namiotu rozstawionego obok imponującej georgiańskiej rezydencji serce podchodzi mi do gardła. Odpowiedzialność za powodzenie dzisiejszego wieczoru nagle mnie przytłacza. Koszty organizacji balu - wynajęcie miejsca, catering, szampan i zespół - były wysokie. Zwróciły się wprawdzie dzięki sprzedaży biletów, ale dopiero okazała suma na koncie z aukcji i loterii utwierdzi mnie w przekonaniu, że warto było je ponieść.

Płacę taksówkarzowi i ruszam w stronę namiotu. W wejściu wpadam na koordynatorkę dzisiejszego balu. Missy, niewysoka, nieco pulchna brunetka, jest wesoła i piekielnie skuteczna. Jej śmiech brzmi jak syrena strażacka.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- W idealnym! - odpowiada z promiennym uśmiechem.

- Uhm... Czy zespół znalazł kogoś na miejsce trębacza?

- Tak! - potwierdza Missy.

- A co z gerberami? Słyszałam, że był jakiś kłopot.

- Już po kłopotcie, kochana!

- Udało się ustawić w damskiej toalecie małe pojemniki z lakierem do włosów, jak prosiłam? Wiem z doświadczenia, co to za koszmar, kiedy pracownicy ułożona fryzura się rozsypuje i...

- Abby... Abby - mówi do mnie takim tonem, jakby uspokajała furiata próbującego uwolnić się z kaftana bezpieczeństwa - uważaj swoje

zadanie za wykonane. Nam zostaw nadzór nad dzisiejszym wieczorem. Idź i dobrze się baw.

Najchętniej stałabym z notatnikiem w ręku i sama wszystkiego pilnowała, ale na widok pierwszych podjeżdżających gości moje serce przyspiesza.

- Skoro jesteś pewna...

- Jestem, kochana. - Odwraca mnie tyłem do siebie, ewidentnie chcąc się mnie pozbyć. - Idź i pozwól swoim włosom zafalować.

Ostrożnie sięgam po szklanę z sokiem pomarańczowym i ruszam w stronę głównej sali. Heidi stoi obok sceny we fioletowej sukni do ziemi, jakby wyjętej z Hollywood lat pięćdziesiątych. Podchodzi do mnie.

- Wyglądasz zniewalająco - mówi, przypatrując się mojej sukni.

- To samo pomyślałam o tobie.

- Naprawdę? Lepiej, żeby nikt nie podsłuchał, jak sobie kadzimy. Wybucham śmiechem.

- Jesteś podekscytowana? - pytam.

- Trochę - odpowiada, sącząc szampana. - I przerażona. Kilka kieliszków tego szlachetnego napoju temu zaradzi.

Początkowo goście napływają nieregularnie. Z wybiciem w pół do siódmej nie możemy nadażyć z witaniem wszystkich wchodzących.

Serce wzbiera mi wdzięcznością za wsparcie. Wielcy tego miasta są dziś tutaj. Wszyscy prócz mamy, która finalizuje umowę w Szanghaju i nadal jest przekonana, że specjalnie wybrałam taki termin balu, kiedy ona jest o tysiące kilometrów stąd.

Dekoracja głównej sali to zasługa dziewcząt, które dzięki swojej pomysłowości pięknie, elegancko i - co ważne - tanim kosztem przystroiły stoły, co spotkałoby się z uznaniem samego Alana Sugara.

Przekonały wszystkich - od florystów po kaligrafów - by pracowali za darmo lub za niższą stawkę. Sala wygląda imponująco w każdym szczególe - od kwiatnych dekoracji i bukietów po tkaninę zawieszoną u sufitu.

- Jak leci, Abby? - pyta Priya, omiatając wzrokiem otoczenie. - Na pewno jest coś do zrobienia, ale Missy powiedziała, że wszystko jest pod kontrolą.

- Ja usłyszałam od niej to samo. A gdzie ten... jak mu tam? Twój chłopak?

- Ian - odpowiada poważnie. - Rzucił mnie dziś po południu. Mógł chociaż wytrzymać do balu, prawda? Kupiłam ten stroik tylko dlatego, że mu się spodobał.

- Och, Priyo, tak mi przykro. Byliście ze sobą parę tygodni.

- Ponad miesiąc - uściśla Priya. W jej świecie to równoznaczne z rubinowymi godami.

- Pewnego dnia spotkasz swojego przystojnego księcia - wtrąca Matt.

- A na razie napijcie się szampana na poprawę nastroju. - Bierze dwa kieliszki z tacy niesionej przez mijającą nas kelnerkę i nam je wręcza.

- Nigdy nie miałam silnej woli. - Wzruszam ramionami i upijam łyk. Spoglądam w stronę wejścia i nagle serce mi przyspiesza. To Doktor Ciacho. Wygląda jeszcze bardziej ciachowato niż zwykle. O ile to w ogóle możliwe.

- Doskonała robota, Abby. - Geraldine obdarza mnie promiennym uśmiechem, gdy wpadam na nią i Mau w damskiej toalecie.

- Dzięki, ale to nie tylko moja zasługa. Większość pracy wykonały dziewczyny. Poza tym to niezła zabawa. A ty wyglądasz bosko.

To określenie nie oddaje rzeczywistości. Gdyby Geraldine stanęła teraz na czerwonym dywanie, wszyscy inni wyglądaliby jak sprzątacze toalet.

- Dziękuję za miłe słowa - mówi, spoglądając na swoją bladocytryno-wą suknię. - Chciałabym, żeby Tom to zauważył.

- Na pewno widzi - rzucam spontanicznie, zaskoczona jej komentarzem.

- Tak myślisz? - Nie wydaje się przekonana.

- Chodzi o to, że ciągle nie dostała pierścionka zaręczynowego - wyjaśnia Mau współczująco.

Geraldine obejmuje ją w pasie.

- Prędzej ciebie poprosi o rękę, Mau.

Wracamy do namiotu. W wejściu stoję twarzą w twarz z Adamem. W smokingu wygląda jak mąż stanu. Zupełnie jakby uczestniczył w takich uroczystościach każdego wieczoru. Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było.

- Jak się masz, Abby? - W powietrzu musi unosić się coś wyjątkowego, ponieważ wydaje się mniej sztywny niż zwykle.

- Cześć. Doskonale, dzięki. - Spontanicznie całuję go w policzek.
- Mam nadzieję, że Jamie ma się dobrze.

- Na pewno wszystko będzie w porządku - odpowiada, nieco wytrącony z równowagi moim powitalnym pocałunkiem. - Jess jest załamana, że nie mogła przyjść.

- Ja też jestem załamana, że jej tu nie ma. Dzisiejszy wieczór jest dla mnie bardzo stresujący.

- Nie masz powodu do obaw. - Uśmiecha się. - Miejsce jest świetne, wszystko dopięte na ostatni guzik. Pozwól, że kogoś ci przedstawię.

Odwraca się do przysadzistego mężczyzny o rumianych policzkach.

- To Peter, nasz wspólnik zarządzający. A to Debi, jego żona.

Debi jest obwieszona brylantami, ma krzykliwy makijaż i ciemnobrązową opaleniznę.

- A to jest młoda dama, której zawdzięczamy dzisiejsze wydarzenie. Właśnie o niej mówiłem wam po drodze - dodaje Adam.

- Och, cudownie! - mówi zaaferowana Debi. - Biegiesz w maratonie, tak?

- Uhm, w pół...

- Dla koleżanki z białaczką?

- Ze stwardnieniem roz...

- I prowadzisz firmę projektującą wnętrza?

- Strony inter...

- Świetna robota! - huczy Peter. - Cudownie widzieć kogoś w twoim wieku, kto wytycza sobie ambitne cele i je realizuje.

- Petera interesowały kulisy dzisiejszego balu. Na pewno hojnie sypnie pieniędzmi. - Adam puszcza do mnie oko.

Debi klepie go w ramię. Ten gest pozostałby gestem rozbawienia, gdyby nie to, że jej prawy sierpowy rozłożyłby na deski Rickiego Hattona*.

- Ale z ciebie numer! - chichocze.

*** Ricky Hatton - brytyjski bokser; dwukrotny mistrz świata federacji IBF.**

Po chwili cała trójka znika w namiocie.

Missy wymyśliła względnie niezobowiązującą formułę wieczoru. Po drinkach i luźnych rozmowach goście usiądą do pięciodaniowej kolacji, po której - miejmy nadzieję - będą już wystarczająco zalani, żeby wyłożyć spore sumy na licytowane przedmioty. Zgodnie z najlepszą tradycją bali dobroczynnych, aukcja odbędzie się po kolacji.

Próbowałam namówić Heidi, by powiedziała kilka słów do gości, ona jednak scedowała to na mnie. Zawsze doskonale wychodziły jej prezentacje w mniejszym gronie, natomiast paraliżowała ją myśl o wystąpieniach przed dużym audytorium. Jeśli dodać do tego temat przewodni dzisiejszego balu, rozumiem jej opory.

Zamierzam mówić zwięźle. Chociaż moim najważniejszym celem jest zebranie jak największej kwoty, goście nie mogą czuć się przyparci do muru. Mają się przede wszystkim dobrze bawić. Musimy uważać, by nasze działania nie przyniosły efektu przeciwnego do zamierzonego.

- Większość gości już jest - zauważa Missy. - Powiem Ronnyemu, żeby zaczynał. I startujemy.

Ronny jest naszym konferansjerem. Wygląda na sto dziesięć lat i jest mistrzem w swoim fachu. W czerwonym fraku prezentuje się nienagannie. Ma głęboki donośny głos, mogący konkurować z mocą silników bolidów Formuły 1.

- PANIE I PANOWIE... - Gwar głosów cichnie. - PROSZĘ O ZAJĘCIE WYZNACZONYCH MIEJSC.

Może to dziwne, ale moja firma nie ma osobnego stołu. Oczywiście byłoby trzymanie się konwencji, popijania wina z obecnymi klientami i pozyskanie nowych.

Po długim namyśle postanowiłam zrezygnować z firmowego stołu. Musiałabym upchnąć przy nim zbyt dużo osób, a nie chciałam, by ktokolwiek czuł się zaniedbywany. Kontakty mogę przecież nawiązywać po kolacji. Poza tym brak „najważniejszego stołu” wprowadza przyjemnie egalitarny nastrój. No i nie należy zapominać o pewnym drobiazgu. Gdybym nie była „zmuszona” przysiąc się do stołu Klubu Biegacza, nie

siedziałabym obok Olivera. Trudno mi powiedzieć, który argument za brakiem firmowego stolika przeważył.

- Ładne miejsce.

Spoglądam na Toma siedzącego naprzeciwko mnie. Posyła mi uśmiech. W smokingu wygląda tak nieziemsko, że od samego patrzenia na niego kręci mi się w głowie.

- Cieszę się, że ci się podoba - odpowiadam. - Trochę się przy tym napracowaliśmy.

- To widać. - Waha się przez chwilę. - Więc jak, Abby Rogers? Już ze mną rozmawiasz?

- Dlaczego mielibyście z sobą nie rozmawiać? - Geraldine wyrasta jak spod ziemi i siada obok Toma. - Mam nadzieję, że Tom nie zachował się niestosownie, Abby?

- Tom żartuje. - Czuję, że szyja mi purpurowieje. Z najwyższym wysiłkiem biorę się w garść. - Jasne, że z sobą rozmawiamy.

Twarz Toma rozjaśnia szeroki uśmiech.

- Miło mi to słyszeć.

- Lojalnie ostrzegam, że zatrąłam przystawkę - dodaję.

- A ja się zastanawiałem, dlaczego kelnerki wciskały mi vegetariańską wersję dania - odpowiada rozbawiony.

- Grzybki cyjankowe. Specjalność domu.

Czuję czyjaś obecność. Podnoszę głowę i widzę Olivera. Siadając, patrzy mi w oczy. Serce bije mi jak oszalałe. Nie wytrzymuję napięcia i uciekam spojrzeniem w bok.

I wtedy przypominam sobie o artykule przeczytanym w taksówce. Dalej, Abby. Co Gretchen F. Cassidy zrobiłaby w tej sytuacji?

- Jak się masz? - pyta uśmiechnięty.

- Uhm, dobrze. - Milknę i zbieram się w sobie. Jest tylko jeden sposób na Olivera: zachowywać się tak uwodzicielsko, by nie pozostawić żadnych wątpliwości co do swoich uczuć. Jaśniejszą deklarację złożyłabym, siadając mu na kolanach z frędzlami zwieszonymi z sutków. - Bardzo dobrze - mówię najbardziej zmysłowym tonem, na jaki umiem się zdobyć.

Jednocześnie patrzę na prawe oko Olivera, skupiając się na czarnej źrenicy, która rozszerza się pod wpływem mojego spojrzenia. - Dziękuję - mrużę, po czym miękko i łagodnie przechodzę ku lewemu oku. - A ty? - Wbijam wzrok w jego wargi i mrużę oczy. Temperatura wzrasta. Jeszcze chwila, a włączą się czujniki dymu.

Oliver milczy. Znów zaglądam mu w oczy.

- Eee, bardzo dobrze. Dużo dziś zbierzesz? - pyta.

Już mam odpowiedzieć, gdy przypominam sobie słowa Gretchen. Przenosić spojrzenie z jednego oka na drugie. To jest klucz do sukcesu!

- Mam nadzieję - mówię, rozchylając ponętnie usta i zgodnie z radą Gretchen wpatruję się intensywnie w prawe oko Olivera. - Tak sądzę - dodaję i szybko przenoszę wzrok ku jego lewemu oku. - Przynajmniej... taki mam plan. - Teraz moje spojrzenie wędruje na wargi Olivera. Koncentracja na trójkącie flirtu i jednoczesne myślenie, co powiedzieć, to piekielnie trudne zadanie. Oliver znów nie odpowiada. Mrugam i mrużę oczy. - Mówiłeś coś? - pytam z niepokojem.

Oliver jest dziwnie zmieszany. -Nie.

- Och. - Opadają mnie wątpliwości co do obranej taktyki. Skupiam się na sztuccach i nerwowo mnę serwetkę.

Po drugiej stronie stołu Tom i Geraldine śmieją się z jakiegoś dowcipu. Stanowią uderzająco piękną parę. To, że się kochają, emanuje z każdego gestu. Nie mogę się poddać. Ponawiam próbę oczarowania Olivera.

- Powiedz mi - skupiam wzrok na jego prawym oku. Wyraźnie widzę w nim swoje odbicie. Przy okazji zauważam, że moje rzęsy wymagają podmalowania tuszem. - Byłeś już w Knowsley Hall?

- Raz czy dwa razy. Piękne miejsce. - Urywa. Nieoczekiwanie zbiera się na odwagę. - Nie tak piękne jak ty.

Z wrażenia brak mi tchu. Nie tak piękne jak ja? JAK JA?!

Nagle przypominam sobie o zmianie kierunku spojrzenia. Intensywnie wpatrywałam się w prawe oko Olivera - jeszcze pomyśli, że mam zamiar zostać okulistką - a zaniedbałam lewe. Przerzucam się więc na nie.

- Dzięki - mówię omdlewającym głosem. Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe.

Zmuszam się do kontynuowania szybkich ruchów oczu. Nie mogę zepsuć efektu działania teorii Gretchen F. Cassidy tylko dlatego, że zawrócił mi w głowie komplement Olivera. Jak mówi autorka: *Subtelność jest wrogiem mistrzowskiego flirtu.*

Rezygnuję więc z wszelkich subtelności i przystępuję do konkretów. Przerzucam się z jednego oka Olivera na drugie, po czym wędruję niżej. Ktoś mógłby wziąć mnie za członka ekipy poszukiwawczej.

- Co na kolację? - pyta Oliver, sięgając po menu. Czar pryska. - Udziec jagnięcy. Brzmi apetycznie.

Sfrustrowana zagryzam wargi prawie do krwi.

- Fasolka szparagowa - kontynuuje Oliver. - I marchewka w słupki. Pycha.

Dobrze. W porządku. Myśl pozytywnie, Abby. Najwyższy czas na wypróbowanie trzeciego elementu trójkąta flirtu.

- Czytałeś ostatnio jakieś dobre książki? - pytam. Nie jest to inteligentna i dowcipna odzywka, jaką sobie wymarzyłam, ale jak twierdzi Gretchen F. Cassidy, nieważne, co mówisz, ale *jak* to mówisz. Nie spuszczam z niego wzroku. Intensywność mojego spojrzenia sięga zenitu.

Potem przenoszę wzrok na ramiona Olivera. Pamiętam z artykułu, że im większy obszar ogarniamy spojrzeniem, tym większe prawdopodobieństwo sukcesu.

- Nie mam czasu na czytanie - odpowiada Oliver.

- Naprawdę? - mamroczę, znów zmieniając kierunek spojrzenia.

- Jestem zbyt zajęty ratowaniem życia.

Chrzanić trójkąt flirtu. Nie mogę się powstrzymać i patrzę wprost na usta Olivera. Ich kąciaki unoszą się w jawnie prowokującym uśmiechu.

To działa! Gretchen F. Jak-jej-tam jest genialna!

Muszę iść za ciosem i przystąpić do ofensywy. Zaraz podadzą przystawki, a technika ruchliwych spojrzeń jest wystarczająco trudna i bez jedzenia zupy.

Zaglądam najpierw w prawe oko Olivera, potem w lewe, przenoszę wzrok na prawy bark, potem na lewy, wędruję spojrzeniem ku...

- Abby, mogę cię o coś zapytać? - Oliver zniża głos. Boże, zaraz rozpląnę się z zachwyty!

Pochyla się ku mnie i patrzy mi prosto w oczy. Moje tętno przyspiesza.

- Oczywiście.

- To raczej osobiste pytanie.

Sięgam po kieliszek i upijam spory łyk szampana.

- Uwielbiam takie pytania - odpowiadam zachrypniętym głosem.

- Wcześniej tego nie zauważyłem, ale teraz wydaje mi się, że powinnaś iść do lekarza.

Uśmiecham się w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

- Czyżby do ciebie? - pytam zmysłowym półgłosem, unosząc zalotnie brwi.

Oliver marszczy czoło i odsuwa się ode mnie.

- Nie chodzi mi o kardiologa - mówi wyraźnie zdezorientowany. Upijam kolejny łyk szampana. Czując na języku bąbelki, próbuję zrozumieć sens słów Olivera. - Nie ma się czym martwić. Oczopląs jest niegroźny.

- Oczopląs? - powtarzam jak echo.

- Mimowolne szybkie ruchy gałek ocznych - wyjaśnia. Krztuszę się szampanem.

- Nie ma powodu do niepokoju - dodaje pośpiesznie Oliver. - Ludzie dotknięci oczopląsem często nie zdają sobie z tego sprawy. Zwykle cierpią na łagodną formę tego zaburzenia. Powiedz mi, Abby, czy bierzesz jakieś leki?

Rozdział 44

Menu, wina i zespół muzyczny budzą zachwyt. Jedyne, co nie budzi zachwytu, to moja nieudolna próba uwiedzenia Doktora Ciacha. Odpowiedzialność za moją porażkę ponosi wyłącznie doktor Gretchen F. Cassidy. Od dzisiaj litera F w jej inicjałach oznacza dla mnie niecenzuralne słowo, w którym resztę liter zastępują gwiazdki. Ktoś lekko klepie mnie w ramię.

- Abby, chciałybyś dać znak do rozpoczęcia aukcji? - pyta Missy. Przepraszam towarzystwo przy stole - najbardziej hałaśliwym za sprawą bogatego repertuaru sprośnych żartów w wykonaniu Mau - i kieruję się ku podium.

- Panie i panowie - zaczyna Ronny - proszę o serdeczne powitanie organizatorki dzisiejszego balu, pani Abigail Rogers.

Zasycha mi w gardle z emocji, gdy podchodzę do mównicy i czekam, aż oklaski ucichną.

- Dobry wieczór państwu. - Jestem boleśnie świadoma nie tyle spojrzeń wszystkich zgromadzonych, ile spojrzenia samego Olivera. Przypuszczam, że szuka u mnie objawów innych zaburzeń, ale tak czy inaczej patrzy, co mnie krępuje. - Będę mówiła krótko. Chcę wyrazić gorące podziękowania wszystkim, którzy pomogli w organizacji dzisiejszego balu: firmie florystycznej Pink Sky, zespołowi Joela Jonesa, Knowsley Hall, firmie papierniczej Punch, firmie winiarskiej Coranne Scott, a przede wszystkim mojemu małemu, lecz niezawodnemu zespołowi: Heidi, Priyi i Mattowi, którzy dali z siebie wszystko. - Omiatam wzrokiem salę i przełykam ślinę. - Zbieramy dziś fundusze na badania nad stwardnieniem

rozszianym. Tych, którzy niewiele wiedzą o tej chorobie, namawiam do poczytania o niej w Internecie. Stwardnienie rozsiane jest najczęściej występującą chorobą neurologiczną w Zjednoczonym Królestwie. Choruje na nią osiemdziesiąt pięć tysięcy młodych ludzi w naszym kraju. Większość z nich wcześniej wydawała się zupełnie zdrowa, a teraz cierpi z powodu symptomów równie wyniszczających, co nieprzewidywalnych, od mrowienia w kończynach po paraliż i utratę funkcji poznawczych.

Milknę i ze ściśniętym żołądkiem spoglądam na Heidi. Źle się czuję, mówiąc te słowa w jej obecności, chociaż poznała wcześniej treść mojego wystąpienia i zapewniła, że nie ma żadnych uwag. Jak inaczej wytłumaczyć ludziom, dlaczego robimy to, co robimy? - Najgorsze jest to, że na stwardnienie rozsiane nie ma lekarstwa. Z tego powodu nazwano ją chorobą Heinego-Mediny dwudziestego pierwszego wieku. Ciągłe nie ma na nią szczepionki i nieznane są jej przyczyny. Dlatego tak bardzo potrzebne są badania. I dlatego tu dziś jesteśmy: by pomóc w zbiorce właśnie na ten cel. Mam w tym swój osobisty udział, większość z was pewnie już o tym wie. Na początku przyszłego roku pobiegnę w półmaratonie. Ci, którzy znają mój paniczny lęk przed ćwiczeniami wiedzą, jak niecierpliwie czekam na to wydarzenie.

Mimowolnie wędruję spojrzeniem ku Tomowi. Z jego miny wyczytuję akceptację dla mojego wystąpienia. Unosi kąciki ust w lekkim uśmiechu, by dodać mi odwagi. Odnosi efekt odwrotny do zamierzonego. Nogi uginają się pode mną, głos więźnie w gardle.

- Uhm, to jest... - zacinam się i milknę, lecz zaraz biorę się w garść. -To bardzo ważny cel i mam nadzieję, że wspomogą nas państwo w jego realizacji. Dziękuję bardzo.

Rozlegają się oklaski. Chcę zejść z podium, gdy widzę, że Heidi wstaje od stołu i rusza w moim kierunku. Uosobienie pewności siebie i elegancji. Płyne między stołami, słysząc szelest jej przepięknej sukni.

- Zaczekaj - bezgłośnie porusza wargami. Po chwili dołącza do mnie przy mównicy. Odsuwam się nieco i robię jej miejsce. Widzę, jak drżą jej ręce, gdy odchrząkuje i zaczyna mówić.

- Uznałam, że powinnam dodać parę słów od siebie. - Ton jej głosu przyciąga uwagę gości. Oklaski cichną. - Wiem, że nie dla przemówień są państwo z nami, dlatego postaram się mówić jeszcze krócej niż Abby. -Przetyka ślinę, układając w myślach dalszy ciąg. - Abby, moja cudowna szefowa, postanowiła zorganizować tę akcję charytatywną kilka miesięcy temu, kiedy przyszłam do pracy z informacją, że... - głos jej się łamie -zdiagnozowano u mnie stwardnienie rozsiane.

Na sali zapada taka cisza, że nie słyhać nawet brzęku szkła. Czteryście par oczu wpatruje się w nią intensywnie.

- Nikt by się nie domyślił, prawda? - Heidi uśmiecha się lekko. - Przez większość czasu czuję się i wyglądam, przynajmniej na razie, jak przed diagnozą. Jak zdrowi ludzie. Lekarze wykryli u mnie zmiany chorobowe w mózgu, wynikające z rozpadu otoczki mielinowej. Nie chcę zanudzać państwa medycznymi szczegółami, ale wykrycie tych zmian oznacza, że moje życie stało się nieprzewidywalne. Mogę być jednym z tych szczęściarzy, którym zdarza się tylko drzenie albo drętwienie kończyn. Mogę mieć pecha i skończyć na wózku inwalidzkim, wymagając stałej opieki. A to jedna z rzeczy, które najtrudniej byłoby mi znieść. - Heidi urywa i patrzy na twarze gości, by upewnić się, że jej słuchają. Nie musiała tego robić. - Taka diagnoza wymaga od człowieka całkowitej zmiany sposobu myślenia. Trzeba skoncentrować się tylko na tym, co tu i teraz. Dotąd nie bardzo mi się to udawało. Z natury jestem ambitna i mnóstwo czasu poświęcałam snuciu planów na przyszłość. Kto tego nie robi? Planujemy karierę zawodową, planujemy założenie rodziny, planujemy całe życie. Teraz nie mogę tego robić. Z jednego powodu: nie wiem, co czeka za zakrętem. - Głos jej się łamie. Przez chwilę mam wrażenie, że Heidi wybuchnie płaczem. Robię krok do przodu i biorę ją za rękę. Ścisną moją dłoń i posyła mi lekki uśmiech. - Ktoś uświadomił mi, że nie mogę spędzić życia na użalaniu się nad sobą. Nie mogę, ponieważ są ludzie gotowi na wiele, by mi pomóc. -Znów odwraca się do mnie, tłumiąc śmiech. - Abigail Rogers była jedną z najbardziej nieruchawych osób z awersją do wszelkich ćwiczeń fizycznych. Jej pomysł na zdrowe śniadanie to była jedna babeczka jagodowa

zamiast dwóch. - Słuchacze wybuchają śmiechem. - Teraz zmienia swoje zwyczaje i biegnie w półmaratonie. Robi to, żeby pomóc mnie i tysiącu innym ludziom takim jak ja. Albo w znacznie gorszym stanie. Pragnę więc publicznie wyrazić jej swoją wdzięczność. - Spogląda na mnie. Drżą jej wargi, w oczach błyszczą łzy. Ogarnia mnie wzruszenie. Mimo chęci zapanowania nad nim, zbiera mi się na płacz. - Abby, dziękuję - mówi Heidi wprost do mikrofonu. - Dziękuję z całego serca.

Po tych słowach odwraca się do mnie i obejmuje. Sala wybucha oklaskami.

Ściskając ją mocno, czuję, że po policzkach płyną mi łzy. - Zawsze możesz na mnie liczyć, Heidi - mówię z ustami zatopionymi w jej włosach.

Rozdział 45

Po cichu liczyłam, że aukcja się uda, ale po wystąpieniu Heidi rzeczywistość przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Licytator - Mickey Price, prezenter lokalnego radia - jest profesjonalistą w każdym calu. Wcześniej uważałam go za równie zabawnego, jak nagły atak opryszczki. Po dwudziestu minutach szaleńczej licytacji uwielbiam tego faceta.

Każdy licytowany przedmiot idzie za cenę wyższą od rynkowej: bilety lotnicze do Barcelony, kryształowy wazon, kolacja dla dwojga, koszulki z autografami piłkarzy, weekend w spa. Zbliżamy się do gwoźdza licytacji, czyli brylantowego naszyjnika. Cena wywoławcza wynosi tysiąc osiemset funtów. Naszyjnik jest tak piękny, że na pewno pójdzie za więcej.

- Do tej pory zebraliśmy sporą sumę - mówi Mickey do mikrofonu. Goście, zajęci pałaszowaniem wyboru serów, strzygą uszami. - Czas na istne cacko: naszyjnik od firmy Smith and Moon.

Cacko? Mickey powinien powiedzieć o nim coś więcej! Wart prawie dwa tysiące funtów, przypomina ten, który Penelope Cruz założyła na osca-rową ceremonię. Jego zdjęcia znalazły się potem w wielu ilustrowanych magazynach. Każda kobieta na sali powinna pałać chęcią zdobycia go na własność.

- Cena wywoławcza wynosi... zobaczmy... sto osiemdziesiąt funtów. Wpadam w osłupienie. Z niepokojem zerkam na stół, przy którym siedzą przedstawiciele firmy Smith & Moon. Dyrektorka Gemma Crosthorpe wygląda, jakby właśnie połknęła nóż do serów.

- Tysiąc osiemset - syczę do Mickeya. - Tysiąc osiemset!

Jestem za daleko. Na sali tymczasem narasta szmer ożywienia. Przy tak niskiej cenie wywoławczej brylantowe cudeńko jest w zasięgu wszystkich uczestników balu. Zapowiada się ostra licytacja.

- Tak, sto osiemdziesiąt funtów - powtarza Mickey. Mam ochotę walnąć go w twarz. - Kto da więcej?

W powietrze wędruje las rąk. Zrywam się z krzesła i macham szaleńczo, jakbym chciała zacząć meksykańską falę.

- STOP! - wołam.

Mickey posyła mi mordercze spojrzenie.

- Przepraszam, że przerywam - mamroczę do zaskoczonej publiczności, walcząc z własnym zażenowaniem. Wdrapuję się po schodach na podium i łapię Mickeya za ramię. - Cena wywoławcza - cedzę przez zaciśnięte zęby - to tysiąc osiemset funtów.

Mickey baranieje. -Co?!

- Tysiąc osiemset. Nie sto osiemdziesiąt. Tysiąc osiemset - powtarzam. Wpatruje się we mnie osłupiałym wzrokiem.

- Cholera.

- Właśnie.

- Ale jaja.

- Właśnie.

- Ożeż ty w mordę jeża.

Tę frazę pozostawiam bez komentarza.

- Nie możemy zostać przy stu osiemdziesięciu? - pyta Mickey.

- Wykluczone.

- Tego się spodziewałem. Dobra, zostaw to mnie. Jestem zawodowcem. Po tych słowach Mickey rozciąga wargi w tak szatańskim uśmiechu,

że następna rzecz, jaką spodziewam się od niego usłyszeć, to kwestia: „Nadchodzi Johnny!”, żywcem przeniesiona z *Lśnienia*.

- Panie i panowie - zaczyna promiennie - udawajmy, że ostatnich pięciu minut w ogóle nie było.

Ludzie wpatrują się w niego, czekając na puentę.

- Cena wywoławcza wynosi tysiąc osiemset funtów, nie sto osiemdziesiąt. Tysiąc osiemset. Chyba nie sądziliście, że opchniemy brylantowy naszyjnik za sto osiemdziesiąt funtów, prawda? Przecież nie kupiliśmy go w dyskoncie!

Odpowiada mu głucha cisza.

- Naszyjnik kosztuje więcej, niż oczekiwaliście, ale jest wart swojej ceny. Chciałbym mieć chociaż jeden z tych brylantów. Pasowałby mojej pudlicy...

W uszach dzwięczy mi muzyka z filmu *Omen*. Gdyby wzrok mógł zabijać, Mickey padłby trupem.

- Więc... kto da więcej za to kunsztowne dzieło mistrzów jubilerstwa? Tylko posłuchajcie! Z takimi tekstami jak nic znajdę pracę w telewizji zakupowej!

Boże, ratuj!

- Kto da tysiąc osiemset? Kto?

Goście wpatrują się intensywnie w swoje serwetki, kieliszki, wymieniają spojrzenia z sąsiadami. Nikt nie patrzy na Mickeya Pricea. Licytacja, którą próbował ożywić, zamarła.

Nie ma wątpliwości, że cena wywoławcza jest rozsądna. To prawie połowa ceny, jaką trzeba byłoby zapłacić w salonie jubilerskim. Poza tym naszyjnik jest naprawdę zachwycający. Niestety, psychologiczny efekt sytuacji, w której cena przedmiotu - choćby najpiękniejszego - najpierw wynosi tylko sto osiemdziesiąt funtów, by po chwili poszybować do tysiąca ośmiuset, zabija chęć jego posiadania.

Cisza dzwoni mi w uszach. Mam ochotę wejść pod stół i przeczołgać się po podłodze do wyjścia awaryjnego. Nie mogę jednak tego zrobić. Muszę siedzieć i patrzeć na rozgrywający się na moich oczach koszmar z najgorszych snów.

Mickey Price, człowiek, który zarabia na życie pleceniem bzdur przez cały dzień, zapomina języka w gębie. Brak mu pomysłu nawet na głupią odzywkę.

Co gorsza, w zamian za swoją hojność Gemma Crosthorpe ściąga ku sobie zakłopotane spojrzenia połowy sali. Każdy chciałby, by ktoś - ktokolwiek - podjął licytację. Każdy, byle nie on.

- Hm, no cóż... Zastanawiam się, jak wybrnąć z tej sytuacji. - Śmieje się Mickey i luzuje kołnierzyk koszuli.

Rzucam desperackie spojrzenie w stronę stołu Adama w nadziei, że Debi przekona męża, by sięgnął do portfela. Ku mojemu rozczarowaniu Debi uważnie studiuje menu, demonstracyjnie okazując brak zainteresowania.

- No dalej, panowie. Żaden z was nie chce podarować kobiecie swojego życia takiego cudenka? Albo żonie. - Tylko on śmieje się ze swojego żartu.

Zamykam oczy i modłę się, by ta ženada dobiegła końca. Natychmiast.

Sięgam po kieliszek wina. Dotąd się pilnowałam, ale teraz w desperacji wypijam spory łyk. Nagle po drugiej stronie naszego stołu ktoś podnosi rękę.

- Tom! - Geraldine wydaje tłumiony okrzyk. - Boże, nie wierzę! Mickey chwyta się tego jak tonący brzytwy.

- Pan przy stole piętnastym. Tysiąc osiemset funtów - ogłasza triumfalnie. - Brawo! Nie pożałuje pan!

Tom patrzy na mnie.

- Mogę pożałować - bezgłośnie porusza ustami. Kocha Geraldine bardziej, niż myślałam. A już na pewno bardziej, niż myślała ona.

- Tom, nie wierzę. - Geraldine chichocze histerycznie. - Boże, dziękuję ci! - Nagle milknie, mruży oczy i wbija w niego przenikliwe spojrzenie. - To dla mnie, prawda?

- Hm... tak - odpowiada Tom. - Właściwie to o tym nie myślałem. Chciałem tylko zacząć licytację.

Zakrywam ręką usta.

- Oho, mamy następnego chętnego! - woła Mickey.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie sali podnosi rękę. To chyba stół firmy CS Bergman. Tak, to ich dyrektor generalny.

- Tysiąc dziewięćset. Dziękuję panu. Kto da dwa tysiące? Geraldine rzuca Tomowi spojrzenie pełne nadziei. Niestety, Tom najwyraźniej uważa, że wykonał swoje zadanie.

- Stół dziewiętnasty! Brawo dla pani!

Zrezygnowana Geraldine osuwa się na krześle.

Ku mojemu zaskoczeniu - i radości - licytacja trwa. Naszyjnik osiąga cenę dwóch tysięcy dwustu funtów. Wygląda na to, że ta cena zostanie, gdy ktoś z końca sali licytuje na dwa tysiące trzysta.

- Dwa tysiące trzysta po raz pierwszy, dwa tysiące trzysta po raz drugi, dwa tysiące trzysta po raz trzeci i... sprzedane! Gratuluję! - woła Mickey. Sala trzęsie się od oklasków, a Geraldine robi dobrą minę do złej gry.

- Chcę uścisnąć rękę zwycięzcy licytacji - mówi Mickey, zmierzając w stronę stołu, przy którym siedzi tajemniczy kupiec.

Ma rację. Facet uratował jego karierę licytatora na aukcjach charytatywnych.

- Proszę pana, jak się pan nazywa?

- Uhm, Adam Darricot.

Zrywam się na równe nogi. Chyba się nie przesłyszałam. To Adam, mąż Jess. Nie mogę w to uwierzyć.

- Czy ten naszyjnik to prezent dla wyjątkowej kobiety w pana życiu czy dla żony? - Mickey powtarza swój kiepski żart.

- Dla mojej żony - odpowiada Adam z powściągliwym uśmiechem - która jest wyjątkowa pod każdym względem.

Kiedy siadam, myśli kłębią mi się w głowie. Towarzyszą im różne uczucia, z których dominują dwa: poczucie winy i frustracja. Poczucie winy, ponieważ nie doceniłam Adama. Frustracja, ponieważ Jess najwyraźniej też nie.

Rozdział 46

- Jestem ci winna piwo albo dziesięć piw - mówię do Toma.

Kwituje moje słowa śmiechem. Jak dobrze znów widzieć, jak się uśmiecha. Ostatnio zachowywaliśmy się idiotycznie.

- Mówię poważnie, postawię ci te drinki, Tom.

- Nie wygłupiaj się. - Wręcza banknot barmanowi. - W przeciwieństwie do męża Jess nie jestem biedniejszy o dwa tysiące trzysta funtów, chociaż było blisko.

- Wielka szkoda. - Geraldine wyrasta przed nami niespodziewanie. Jest naburmuszona. Wcale jej się nie dziwię.

- Przykro mi, kochanie. - Tom obejmuje ją w pasie i całuje w czubek głowy. - Nie mogłem znieść, że wszyscy siedzą i oglądają się na innych. Ktoś musiał rozkręcić licytację.

- Więc nie miałeś zamiaru kupić mi tego naszyjnika? Tom robi zakłopotaną minę.

- Miałbym problem, gdyby nikt inny nie chciał licytować. Sądząc z wyrazu jej twarzy, nie taką odpowiedź chciała usłyszeć.

- Wynagrodzę ci to - szepcze Tom, ściskając jej dłoń.

- O, w końcu mi się oświadczysz? - pyta Geraldine z sarkazmem.

- Zatańczymy? Geraldine przewraca oczami.

- Dobrze.

Ruszają na parkiet, a ja zostaję przy barze. Zastanawiam się, gdzie jest Doktor Ciacho. Nie muszę zastanawiać się zbyt długo.

- Abby. - Czuję na karku delikatny dotyk. Odwracam się i widzę przed sobą Olivera. Patrzy na mnie z nieśmiałym uśmiechem. - Doskonale ci dziś poszło. Tak sobie myślałem...

O Boże, czyżby chciał zaprosić mnie na randkę?

- Zatańczysz ze mną?

Miękną mi kolana. Nie zdążam wyrazić wdzięczności, że to zaproponował, bo Oliver bierze mnie za rękę i prowadzi na parkiet.

Band, zastępcą trębaczka, niemający infekcji w jamie ustnej, gra *In the mood* Glenna Millera. Czuję jednocześnie skrępowanie i euforię. Dotyk palców Olivera na moich palcach jest tak cudowny, że chcę, by ta chwila trwała wiecznie.

W końcu docieramy na zatłoczony parkiet. Oliver uśmiecha się i patrzy mi w oczy, po czym zaczyna prowadzić mnie w tańcu niczym prawdziwy zawodowiec. Gdyby nie mój zachwyty, umierałabym przerażona tym, jak różnią się nasze umiejętności taneczne. Kiedy Oliver okręca mnie z gracją, ignorując fakt, że szpilkami dziurawię mu buty, jestem w siódmym niebie. I nieważne, że nie otaczają mnie pyzate aniołki z harfami.

- Świetnie tańczysz - kłamie, akurat gdy mijają nas rozbawiona Mau z jednym z młodszych członków klubu.

- Widzę, że dobrze się bawisz - szepcze i porozumiewawczo trąca mnie łokciem w bok.

Udaje mi się przetańczyć z Oliverem trzy tańce. Potem staje przede mną dyrektor generalny Preciseco i tak wpadam w wir kontaktów towarzyskich. Ciągnie mnie do Olivera i reszty członków klubu, którzy dołączyli do niego na parkiecie, ale to niemożliwe. Przy każdej próbie powrotu podchodzi do mnie znajomy, klient lub potencjalny klient. Nie mogę się skarżyć. Pod koniec balu moja torebka pęka od wizytówek.

Kiedy wreszcie udaje mi się wyrwać i zapolować na Olivera, natykam się na niego przy szatni. To plus. Minusem jest to, że gawędzi z długonogą brunetką z rowkiem głębokim niczym Wielki Kanion i opalenizną o wiele bardziej naturalną niż moja.

- Abby! - Uśmiecha się i rusza w moją stronę. Porzucona przez niego brunetka lubieżnie nakłada błyszczący na już lśniący wargi.

- Wychodzisz? - piszczę zawiedziona, przeklinając się w duchu. Na nic moje wysiłki, by mówić chłodno i obojętnie.

- Tak. - Obdarza mnie uśmiechem, którego nie umiem rozszyfrować. - To był cudowny wieczór. Doskonale się bawiłem.

- Potrzebujesz taksówki? - Spoglądam ponad jego ramieniem na towarzyszkę, która niecierpliwie przytupuje niebotycznymi szpilkami.

- Nie, spotkałem Ninę. - Uśmiecham się miło, jakbym podzielała radość z ich spotkania. - Mieszka trzy ulice ode mnie, pojedziemy jedną taksówką - dodaje.

- Aha. To dobrze.

- Coś się stało? - pyta.

- Nie, skąd - zaprzeczam energicznie.

Pochyla się i całuje mnie w policzek. Dotyk jego warg trwa dłużej niż się spodziewałam. Moje ciało przenika przyjemny dreszcz. Tak intensywny, że kiedy Oliver odrywa wargi od mojego policzka, mam ochotę złapać go za kłapy i obsypać pocałunkami, jakby zależało od tego życie moich przyszłych wnuków.

W obecności Niny, klientów i innych osób nie mogę niestety iść za porywem serca.

- To dobrze - mówi łagodnie i spogląda mi w oczy. Potem odwraca się, spokojnym krokiem podchodzi do Niny i podaje jej ramię, po czym razem ruszają do wyjścia.

Jestem bliska płaczu. Oliver nagle przystaje, odwraca się i idzie w moją stronę. Czuję, jak płoną mi policzki, gdy on zakłada mi za ucho kosmyk włosów i szepcze:

- Tak na marginesie, to Nina jest mężatką.

- Och... uhm, dobrze - odpowiadam wytrącona z równowagi.

- Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko. - Nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Chciałem, żebyś wiedziała.

Rozdział 47

Ostatni maruderzy wychodzą przed drugą w nocy. Wracam taksówką z Adamem. Jest trochę wstawiony - pierwszy raz widzę go w takim stanie - ale perspektywa dwudziestominutowej pogawędki z mężem Jess nie przeraża mnie tak jak dawniej. Dziś wieczorem zobaczyłem go w nowym świetle.

- Adamie, dziękuję ci bardzo, że kupiłeś ten naszyjnik - mówię, gdy taksówka gna z prędkością, od której wygładzają się zmarszczki.

- Nie przejmuj się, to na szczytny cel. Zastanawiałem się, jak możemy pomóc.

- Naprawdę? Kiwa wesoło głową.

- Często mam ochotę zrobić coś takiego, ale trudno mi znaleźć czas. W jednej rodzinie nie ma miejsca dla dwóch maniaków fitnessu.

Im dłużej słucham Adama, tym bardziej utwierdzam się w nowej opinii na jego temat. Może dlatego, że nie mam dzieci, nigdy nie zastanawiałam się nad tym, ile czasu Adam poświęca opiece nad Jamiem i Lolą. I jak bardzo je kocha.

- Poza tym - ciągnie - ja i sport nigdy nie tworzyliśmy udanej kombinacji. Moja ostatnia bezpośrednia styczność ze sportem to wyścig z jajkiem na łyżce. Skończył się dla mnie niewesoło. Rozkwaśnięcie sobie nos.

Wybucham śmiechem.

- Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata i zdecydowanie nie powinienem blokować tamtego sześciolatka.

Kolejne zaskoczenie. Adam ma poczucie humoru. Nie wiem, jakim cudem dotąd tego nie widziałam. Miałam o nim tak ugruntowaną opinię, że pewnie nie chciałam widzieć niczego, co by ją zaburzyło.

- Kiedy chcesz podarować Jess ten naszyjnik? - pytam, czując, że pąsowieję. Boję się, że zdradzę coś, co wiem o ich związku, a czego nie wie Adam.

- Zrobię jej niespodziankę na rocznicę ślubu w przyszłym miesiącu. Przekażesz reszcie grupy w klubie, żeby nie wspominali o aukcji? Rozmawiałem z większością z nich i prosiłem, żeby trzymali język za zębami. Byłbym wdzięczny, gdybyś im o tym przypomniała.

- Jasne - obiecuję.

- Myślisz, że jej się spodoba?

- A mógłby się nie spodobać?

- Mam nadzieję, że będzie zadowolona. Wypiłem trochę za dużo piwa i pewnie tylko dlatego ci to powiem: jestem szczęśliwy, że ją mam.

- Naprawdę?

- O tak, bardzo. - Śmieje się. - Kiedy poznałem Jess, w najśmielszych snach nie przypuszczałem, że zainteresuje się takim facetem jak ja. Poza tym znasz ją, jest powściągliwa w okazywaniu uczuć. Nawet teraz.

Krzywię się na myśl, że Adam nigdy nie usłyszał od Jess wyznania miłości, i pewnie nigdy nie usłyszy.

- Nie jestem ekstrawertykiem. Ludzie, którzy mnie nie znają, uważają mnie za nudziarza.

- Och, na pewno nie! - oponuję, czerwieniąc się jeszcze bardziej. Adam wzrusza ramionami.

- Tak się dzieje, kiedy człowiek jest trochę nieśmiały.

- Jesteś trochę nieśmiały? - powtarzam z niedowierzaniem. Nie przypuszczałam, że ktoś na tak prestiżowym stanowisku może mieć z tym problem.

- Nie opowiadam o tym wszystkim - przyznaje - ale czuję się tak nawet w towarzystwie osób, które znam od lat. Ty jesteś jedną z nich.

-Ja?!

- Pewnie masz mnie za potwornego sztywniaka...

- Wcale nie!

- Nie przejmuj się, Abby - ciągnie Adam łagodnie. - Chcę powiedzieć, że chociaż znamy się już tak długo, ciągle czuję się nieswojo w twojej obecności. Mój tata i brat mieli ten sam problem. Na szczęście Jess dostrzegła to, co jest pod skorupą. Dziś kocham ją bardziej niż w dniu ślubu.

Szukam odpowiednich słów. Drżą mi wargi, nie wiem, co powiedzieć.

- Wszystko w porządku? - pyta Adam.

- Tak - głos mi się łamie. Udaję nagły atak kaszlu. - Trochę się wstawiłam, to wszystko.

- Nie mów jej nic o naszyjniku, dobrze? Chcę, żeby miała niespodziankę.

Skręca mnie z chęci powiedzenia Jess o naszyjniku i o wszystkim, co się z nim wiąże. Chcę, by wiedziała, że nie uważam jej męża za nudziarza i sztywniaka, że zmieniłam zdanie na jego temat. A przede wszystkim skręca mnie, żeby jej powiedzieć, jak bardzo Adam ją kocha.

- Abby? Obiecuj, że nic jej nie powiesz.

- Obiecuję. Adam mruży oczy.

- Na pewno?

- Na pewno - odpowiadam.

- Mogę ci ufać?

- Nie powiem jej, Adamie. Nie bój się - mówię szczerze. - Daję słowo.

Rozdział 48

Dwa dni później, upojona sukcesem balu, postanawiam zrobić kolejny krok w przygotowaniach do półmaratonu.

- Naprawdę chcesz pobiec na dziesięć kilometrów w tym tygodniu?
-pyta Jess, gdy mówię jej o tym w samochodzie w drodze do klubu.

- Uważasz, że to niedorzeczny pomysł? Pięć kilometrów przebiegłam gładko. Sama mówiłaś, że dobrze mi idzie.

- Bo rzeczywiście dobrze ci idzie - potwierdza Jess. - Tyle że dotąd nawet na treningu nie przebiegłaś dziesięciu kilometrów.

- Przebiegłam siedem. Łyknę kilka m&m'sów i przebiegnę jeszcze trzy. - Puszczam do niej oko.

- Dlaczego tak się przy tym upierasz?

- Pomyślałam, że to będzie niezły trening. Ambitny cel. Poza tym mogę to potraktować jak przygotowanie do biegowego weekendu.

- No... dobrze - mówi Jess z wahaniem.

- Jeszcze jedno - dodaję zakłopotana. - Może to naiwne, ale jeśli dobrze pobiegnę, zyskam w oczach Doktora Ciacha... - Głos więźnie mi w gardle.

- Naprawdę tak myślisz? Uśmiecham się szeroko.

- Wpadłam po uszy.

Jess robi kwaśną minę. Odkąd jej związek z Adamem kuleje, niezbyt chętnie porusza tematy damsko-męskie. Dlatego ucieszę się, kiedy Adam podaruje jej naszyjnik. Po pierwsze, mam szczerą nadzieję, że odrodzi się w niej uczucie do Adama. Po drugie, wreszcie będę mogła mówić o całej

sprawie. Zawsze miałam kłopot z utrzymaniem czegoś w sekrecie. Tym razem muszę wytrwać, choć język świerzbi mnie niemiłosiernie.

- To ty twierdziłaś, że powinnam być ambitna - przypominam. Jess wzrusza ramionami.

- W porządku. Dasz radę, jeśli wyznaczysz sobie odpowiednie tempo.

- Wjeżdża na parking.

- Jak stoją sprawy? - pytam z wahaniem, kiedy wysiadamy z auta.

- Sprawy? - powtarza beznamietnie. - Sprawy mają się dobrze. Staram się udawać, że tamto nigdy się nie wydarzyło.

- Z powodzeniem?

- Nie bardzo. - Jess wzdycha ciężko.

Dzisiaj na treningu przebiegamy osiem kilometrów równym tempem. Przyznaję, że to niełatwe. Szczerze mówiąc, cholernie trudne. Nie jestem tym jednak zaniepokojona. Podczas zawodów przyływ adrenaliny na pewno pomoże mi biec. Poza tym na przygotowanie mam jeszcze kilka dni.

Następnego wieczoru przebiegam osiem i pół kilometra. We wtorek dziewięć. Nie udaje mi się przebiec dziesięciu kilometrów na treningu, ponieważ Jess mówi, że w piątek i sobotę powinnam odpoczywać. Ta rada brzmi jak najpiękniejsza muzyka.

Problem polega w tym, że kiedy nadchodzi piątek, odpoczynek właściwie jest niemożliwy. Czeka mnie mnóstwo spotkań, telefonów i fakturowania, a także ponaglanie wiecznie spóźniającego się z płatnością Preciseco, którego dyrektor usłyszał ode mnie podczas balu kilka niezbyt subtelnych aluzji na ten temat.

W piątek dzwoni do mnie szef działu marketingu mojego ukochanego centrum ogrodniczego z informacją, że w poniedziałek Diggles ogłasza zakup innej firmy. Powiększenie wiąże się z operacją zmiany marki, co dla River Web Design oznacza dwa razy więcej pracy.

Podeksytowana odkładam telefon. Dla nas to awans do wyższej ligi. Będę musiała zatrudnić dodatkowego pracownika, ale wysokie przychody

pozwolą na opłacenie jego pensji. Piszę roboczą wersję ogłoszenia o pracy, które zamieszczę w Internecie.

Cieszy mnie taki obrót spraw, choć o piątkowym relaksie przed biegiem mogę zapomnieć. Dlatego sobotę postanawiam poświęcić wyłącznie domowej krzątaninie.

Uwielbiam to słowo. Krzątanina jest czymś tak wyjątkowym w moim zabieganym życiu, że kiedy wreszcie mogę sobie na nią pozwolić, robię to z wielką radością. Podleвам zaniedbane kwiaty. Na nowo układam książki na półkach. Porządkuję nawet płyty CD. Nie mogę się oprzeć pokusie i urządzam jednoosobową dyskotekę. Przerywam, gdy w połowie ścieżki dźwiękowej musicalu *Chicago* listonosz przyłapuje mnie na fikaniu nogami do piosenki *Razzle Dazzle*.

Po południu sięgam po książkę i wtedy przypominam sobie o czymś, do czego od roku nie mogę się zabrać. Otwieram szufladę, w której trzymam bieliznę. Krytycznym spojrzeniem obrzucam jej zawartość. Dopiero teraz widzę, że powinnam była zrobić to dawno temu.

Co za bałagan!

Gdyby ktoś włamał się do mnie i przeszukał tę szufladę, moje oburzenie na dewianta przegrałoby ze wstydem, co w niej odkrył.

Majtki są w opłakanym stanie. Nie mam kompletów bielizny z delikatnej koronki. Tylko dwa, na szczególne okazje - niczym salon u mojej babci - należą do bieliźniarskiej ekstraklasy. Reszta to kłęb elastiku i wystrzępionego trykotu w beznadziejne wzorki i w kolorze wyblakłego różu.

Wywalam wszystko na podłogę w sypialni i szukam pasujących do siebie elementów. Niepotrzebnie się wysilam. Prócz wspomnianych dwóch kompletów właściwie nic do siebie nie pasuje.

Jedynym lekarstwem jest zdecydowane działanie. Odkładam na bok w miarę porządne sztuki, resztę wkładam do dużej torby na śmieci, wiozę na lokalne wysypisko, gdzie wrzucam do kontenera pełnego stęchłych materacy i rozpadających się pluszowych zabawek.

Ta czystka daje mi mnóstwo satysfakcji. Wracam do domu jako szczęśliwa kobieta.

Resztę wieczoru poświęcam na pochłonięcie talerza makaronu (idąc za kolejną wskazówką Jess) i picie wody w niewyobrażalnych dla mnie ilościach. Tak często biegam potem do toalety, że nie mogę znieść jej widoku. O wpół do dziesiątej leżę już w łóżku wypoczęta, nieprzyzwoicie nawodniona i pełna węglowodanów. Spokojnie zapadam w głęboki sen. Przygotowałam się do wielkiego biegu najlepiej, jak mogłam. Kiedy wstanę jutro rano o wpół do dziewiątej, będę gotowa podjąć wyzwanie.

Budzę się nagle o wpół do drugiej pod wpływem bardzo przyjemnego snu, w którym występowałam w *Tańcu z gwiazdami*, a jako partnera dostałam Doktora Ciacho. Kiedy podczas widowiskowego pasu dobie nasze uda się stykają, a żabot prześwitującej koszuli Doktora Ciacha łaskocze mnie w nos, poraża mnie nagła myśl: co włożę pod spodenki do biegania?

Zasoby mojej bielizny skurczyły się do trzech par czarnych koronkowych stringów.

Przekonuję sama siebie, że czarne koronkowe stringi są całkiem dobrą bielizną dla biegaczki. Kłopot w tym, że jest środek nocy, a ja nie śpię, tylko szeroko otwartymi oczami wpatruję się w sufit. Spoglądam na zegarek. Potem na ścianę. Znow na sufit. I na zegarek. Ta męka trwa kilka godzin. W końcu dochodzę do wniosku, że już nie zasnę. Sięgam po książkę. Po godzinie lektury, gdy zegarek wskazuje dwadzieścia siedem minut po ósmej, oczy mi się zamykają. Wreszcie zasypiam.

Trzy minuty później wyrywa mnie ze snu świdrujący dźwięk budzika.

Zwlekam się z łóżka nieprzytomna ze zmęczenia. Zataczając się, człapię do łazienki. Jakim cudem zdołam pokonać dziesięciokilometrową pętlę?

Rozdział 49

Bieg zaczyna się o jedenastej w parku Sefton, oazie zieleni w południowej części Liverpoolu.

- Nie musisz przychodzić na takie biegi - mówię mamie, gdy idziemy na miejsce wskazane przez organizatora.

- Nie rozumiem, skąd w tobie ta nagła nieśmiałość. - Mama cmoka z niezadowoleniem.

- Nie chodzi o nieśmiałość. Ten bieg nie jest ważny. Ważny jest pół-maraton w styczniu. Zachowaj energię na styczeń.

Dostrzegam Jess stojącą obok trzykondygnacyjnej wiktoriańskiej oranżerii pełnej egzotycznych roślin. Wpadam nie tylko na nią. Mimo ponad tysiąca zawodników niemal natychmiast zauważam zajętego rozgrzewką Toma. Jego dziadek siedzi na ławce i przegląda nowy numer „New Scientist”.

Gdy podchodzimy do niego z Tomem podnosi wzrok.

- Czy wiedzieliście, że jeśli powie się ludziom, iż oglądają telewizję w wysokiej rozdzielczości, to uznają obraz za wyraźniejszy niż w rzeczywistości?

- Naprawdę? - Tom unosi brwi.

- Tak twierdzą ci holenderscy spece - odpowiada dziadek. - Dobrze, że mam tylko przenośny czarno-biały telewizor do oglądania *Loose Women*, prawda, Reeny?

- Abby - uśmiecham się.

- Abby, oczywiście. Przepraszam. Nie pisałaś do mnie zbyt często na Twitterze - mówi z wyrzutem.

- Och, wiem, proszę mi wybaczyć. Nie mam ostatnio zbyt dużo czasu.

- Nie przejmuj się, laptop mi wysiadł. Nie mam pojęcia dlaczego. Najpierw w PC World nie wiedzieli, jak to ugryźć. W końcu Angela się tym zajęła i obiecała, że komputer wróci do mnie w poniedziałek. Ta dziewczyna naprawdę mi kogoś przypomina.

- Niech zgadnę - mówi Tom. - Ciocię Reeny?

- Nie, nie... cioci Reeny nigdy byś nie zobaczył w takiej krótkiej spódniczce.

Tom kręci głową.

- Musimy się rozgrzać, dziadku.

- Idź, chłopcze, idź. Będę ci kibicował.

Ruszamy do strefy rozgrzewki, gdzie są już inni członkowie naszej grupy.

- Ale jestem podekscytowana, Abby! - Geraldine wita mnie promiennym uśmiechem. - Jesteś gotowa na pierwszy w swoim życiu bieg na dziesięć kilometrów?

Prawdę mówiąc, nigdy nie miałam mniejszej ochoty na bieganie. Nie tylko dlatego, że moje czarne koronkowe stringi powodują coraz większy dyskomfort. Jestem zdenerwowana jak przed tamtym biegiem na pięć kilometrów. I zmęczona po kiepsko przespanej nocy. Ta kombinacja przyprawia mnie o mdłości. Łapię się kurczowo nadziei, że wystarczy mi adrenaliny, by pokonać ten dystans w czasie, który nie przyniesie mi wstydu.

Jestem gotowa przyznać się, w jakim jestem stanie ducha, gdy nagle czuję na ramieniu czyjś dotyk. Odwracam się i staję oko w oko z Oliverem. Pod wpływem ciepła jego dłoni miękną mi kolana.

- Jesteś gotowa, Abby? - A pod wpływem jego uroczego uśmiechu topnieję jak wosk.

- Oczywiście.

- W jaki wynik celujesz?

- Och, nie wiem. Biegnę na próbę. Czas nie jest dla mnie ważny.

- Jest ważny dla twojego treningu - oponuje Oliver. Promienie słońca igrają na jego twarzy, uwydatniając dołeczki. - Właśnie w taki sposób

poprawiasz kondycję. Poza tym potrzebujesz konkretnego celu, żeby się zmobilizować.

- Celu? - pytam, nagle zaniepokojona.

- Każdy wynik poniżej godziny będzie bardzo dobry jak na twój pierwszy bieg na tym dystansie. Powinnaś dać sobie radę. Wierzę w ciebie.

- Uhm... naprawdę?

- Oczywiście - szepcze. W tej samej chwili wiem, że bez względu na wszystko osiągnę linię mety przed wybiciem dwunastej.

Rozdział 50

Na starcie zgromadziło się około dwóch tysięcy zawodników. Tylko garstka z tego grona to elita. Należą do innej ligi niż zwykli śmiertelnicy. Są sportowcami z prawdziwego zdarzenia, dla których bieg jest naturalny jak oddychanie. Choć od mojego pierwszego treningu w klubie upłynęło trzy i pół miesiąca, bieganie nadal kosztuje mnie mnóstwo wysiłku.

Wiem od Jess, że liczba startujących przekłada się na tłok na linii startu. Najlepsi biegacze zajmują miejsce na czele stawki, przy znaku z napisem „30 minut”. Z nieskrywanym zdumieniem odkrywam, że to ich przewidywany wynik. Dla mnie osiągalny tylko helikopterem. Tom i Oliver ustawiają się niedaleko znaku. Obaj liczą na wynik w granicach trzydziestu pięciu minut. Jess celuje w czterdzieści pięć.

- Jeśli stanę z tyłu przy znaku z jedną godziną, będę pokrzywdzona - narzekam. - Tylu ludzi stoi na początku, że przepchanie się przez ten tłum graniczy z cudem.

- Takie obowiązują zasady, Abby. Liczą się głównie biegacze z elity.

- Dla mnie liczę się ja - mówię, próbując nie ślinić się na widok Doktora Ciacha podczas rozgrzewki. I wtedy uderza mnie nagła myśl. - Skąd wiadomo, na jaki wynik cię stać? - pytam.

- Organizatorzy polegają na uczciwości zawodników.

- Co się stanie, jeśli ktoś, kto powinien stać z tyłu, stanie na początku stawki?

- Gdyby wszyscy tak robili, byłoby koszmarnie zamieszanie.

- A gdyby zrobiła to jedna osoba? - szepczę konfidencjonalnie. Jess z trudem powstrzymuje uśmiech.

- Wtedy musiałyby polegać na dyskrecji najlepszej przyjaciółki.

- Od tego są przyjaciółki, prawda? - podpuszczam ją z miną niewiniątka.

- Dobrze. Miałam być przy znaku z czterdziestoma pięcioma minutami, ale obie przepchniemy się bliżej. Módlmy się, żeby nikt znajomy tego nie zobaczył. A tak w ogóle, to jak się czujesz?

- Niewyspana i coraz bardziej zaniepokojona majtkami, które wrzynają mi się w tyłek - odpowiadam.

- Interesująca wymówka. Muszę kiedyś jej użyć - słyszę za plecami znajomy głos. Odwracam się i staję twarzą w twarz z Tomem.

Pod znakiem z czterdziestoma minutami otaczają mnie ludzie wyglądający, jakby czuli się winni, że po zjedzeniu marchewki nie robią serii pompek. Rozgrzewam się biegiem w miejscu i rozluźniam ramiona w sposób podpatrzony w telewizji u amerykańskiego sprintera Michaela Johnsona. Modłę się w duchu o siły na pokonanie całego dystansu.

Wystarczyłoby jedno uważne spojrzenie, by zdemaskować mnie jako uzurpatorkę. Na szczęście biegacze w tej grupie zbyt są skupieni na sobie i nie zwracają uwagi na strach w moich oczach i moje galaretowate pośladki.

W tłumie kibiców dostrzegam mamę. Ma niepewną minę. Po chwili znam powód: obok niej stoi tata. Zegar odmierza czas, powietrze gęstnieje od adrenaliny. Serce wali mi jak młotem, choć nie zrobiłam jeszcze ani jednego kroku. Jess szturcha mnie łokciem w bok trzy sekundy przed sygnałem do startu.

- Powodzenia, kochana. - Uśmiecha się szeroko. Rozlega się wystrzał.

Pierwsza minuta biegu wygląda jak program Davida Attenborough, w którym dzikie konie galopują przez równinę, uśmiercając kopytami mniejsze i słabsze stworzenia.

Trochę przesadzam, przyrównując się do mniejszych stworzeń, skoro większość śmigających obok mnie kobiet to chuchra, które mogłyby

przewrócić silniejszy podmuch wiatru. Pozory mylą. Te chuchra prezentują mistrzowski kunszt w bezpardonowej walce na łokcie.

Wkładam w pierwszy kilometr wszystkie siły, a i tak wyprzedza mnie mnóstwo biegaczy, co działa deprymująco. Przypuszczam, że po tym doświadczeniu będę potrzebowała psychoterapii. Co gorsza, koronka w majtkach coraz bardziej mi przeszkadza. Z każdym krokiem czuję, jak ociera mi ciało parę centymetrów nad pośladkami. W końcu nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Pod koniec drugiego kilometra już wiem na pewno, że nie jestem u szczytu formy. Krew pulsuje mi w skroniach, czuję się jak katorżnik.

Mijam znak „3 km” z uczuciem, jakbym przebiegła trzydzieści. Dystans siedmiu kilometrów, jaki mi pozostał, wydaje się niewyobrażalny. Na szczęście nie mogę się na tym skupić. Zaprzątają mi głowę wyłącznie moje koronkowe majtki i otarta skóra. Już nie jest tylko podrażniona. W tej chwili boli jak diabli.

Po czterech kilometrach nawiedza mnie pozornie niewinna myśl, która odbiera mi resztki pewności siebie. Jess zapomniała o m&m'sach. Niby drobna rzecz, ale dźwięk wydawany przez moje płuca utwierdza mnie w przekonaniu, że bez porcyjki sacharozy nie dam rady.

Po pięciu kilometrach mówię sobie, że to połowa dystansu i że pozostał mi długi finisz. Jest tylko jedno „ale”. Ostatni bieg, w którym brałam udział, kończył się właśnie w tym momencie. Myśl, że muszę zrobić drugi raz to samo, cierpiąc katusze z powodu koronkowych majtek, jest nie do zniesienia.

Pół kilometra dalej próbuję wziąć się w garść. Nie mogę się poddać. Ale piecze mnie w płucach, pieką nogi i stopy. Nic jednak nie może się równać z bólem spowodowanym przez stringi. Czuję, jak płonie mi skóra, drażniona koronką.

Kiedy myślę, że gorzej już być nie może, rozlega się grzmot i zaczyna lać. Biegnę w strugach deszczu, wiatr chłoszcze mnie po twarzy. Spodziewam się, że to skłoni niektórych do wycofania się, tymczasem widzę coś odwrotnego. Biegacze wręcz przyspieszają. Też chcę przyspieszyć. Bóg mi świadkiem, jak bardzo!

Mijając znak z napisem „6 km”, siłą woli powstrzymuję się, by nie paść na ziemię i nie zalać się łzami. Zerkam na zegarek. Biegnę od czterdziestu ośmiu minut. Z braku skrzydeł moje nadzieje na ukończenie zawodów w czasie poniżej jednej godziny właśnie pryskają.

Deszcz zalewa mi twarz. Gdybym przebierała nogami z prędkością wody spływającej mi po nosie, wszystko byłoby dobrze. Parskam śmiechem, chociaż to wcale nie jest śmieszne.

Myślę o Heidi i półmaratonie. Skoro nie jestem w stanie przebiec dziesięciu kilometrów, jak zdołam pokonać dystans dwa razy dłuższy? Co zrobię z pieniędzmi od darczyńców? Oddam?

Potem myślę o OHverze. Jaki widok ujrzy, gdy na chwiejnych nogach minę linię mety, owładnięta chęcią, by zerwać majtki i wytrzeć nos. Oczywiście nie majtkami.

Czuję do siebie taką odrazę, że zbiera mi się na płacz. Łzy spływają mi po policzkach wraz z kroplami deszczu. Jęczę z rozpacz. Nogi mi się płaczą. W końcu staję.

Podbiega do mnie członek ekipy porządkowej.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- Tak. Nie - szlocham.

- Chodź ze mną, kochana. - Obejmuje mnie w pasie i prowadzi na bok.

- Czasem trzeba odpuścić.

Pochlipując, pozwalam się posadzić na pniu drzewa. Mężczyzna odkręca termos, nalewa do plastikowego kubka trochę gorącej kawy i mi podaje. Pod wpływem tego gestu jeszcze bardziej chce mi się płakać. Nie powinnam pić kawy. Powinnam triumfalnie dobiec do mety i wpaść wprost w ramiona Doktora Ciacha. W ciągu dwunastu minut.

Pociągam nosem. I wtedy słyszę warczenie silników. Nagle dociera do mnie, że jestem w miejscu, w którym trasa biegu styka się z drogą. Dysząc ciężko, przypominam sobie przebieg całej trasy. Wstaję i zdecydowanym ruchem oddaję mężczyźnie kawę.

- Ma pan rację - mówię, przestępując z nogi na nogę. - Czasem trzeba odpuścić.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

- Ale nie dzisiaj - dodaję stanowczo.

Patrzy na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby chciał wezwać lekarza. Prostuję się i po kilku krokach dołączam do mijających nas biegaczy. Moje biedne nogi wołają o litość.

- Powodzenia, kochana! - woła za mną mężczyzna, gdy znikam za zakrętem.

Upewniwszy się, że nikt mnie nie widzi, kieruję się w stronę drogi. Na widok pierwszego pomarańczowego światełka podnoszę rękę i wykrzykuję jedno słowo potrzebne, bym mogła triumfalnie finiszować.

- Taxi!

Rozdział 51

Poinstruowany przeze mnie taksówkarz zatrzymuje się w bezpiecznej odległości od trasy poza zasięgiem wzroku biegaczy. Od mety dzieli nas pół kilometra.

- Chyba nie robi pani tego, o czym myślę? - mężczyzna uśmiecha się znacząco, gdy wręczam mu pięćfuntowy banknot.

- Niech mi pan nie wmawia, że inni tego nie robią - mruczę.

- Widzę to pierwszy raz. - Uśmiecha się szeroko. Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.

- Prowadzi pan taksówkę od niedawna? - pytam z nadzieją.

- Kiedy zaczynałem, kochana, koktajl z krewetek był szczytem kulinarnego wyrafinowania. Ale dzisiejszy kurs zapamiętam do końca życia.

Upewniwszy się, że droga wolna, wysiadam z taksówki i skradam się za drzewa. Spoglądam na zegarek. Pięćdziesiąt sześć minut i trzy sekundy. Mam mniej niż cztery minuty na dotarcie do mety.

Przyciągam do siebie gałąź i wyglądam spomiędzy liści na trasę. Zbliża się zwarta grupa biegaczy. Za nimi nie ma nikogo. Jeśli wślizgnę się na koniec stawki, będzie wyglądać, jakbym biegła z nimi przez cały czas. Szykuję się do skoku, gdy za plecami słyszę nagle:

- Robiłaś siku?

Odwracam się i widzę piegowatą dziewczynkę, na oko dziewięcioletnią, w różowej kurtce obszytej sztucznym futerkiem i z lizakiem w buzi. -Co?!

- Pytałam, czy robiłaś siku - powtarza i uśmiecha się od ucha do ucha, odsłaniając szparę między górnymi zębami. Jej język ma barwę atramentu.

- Nie! - syczę.

Dziewczynka milczy przez chwilę. Ssie lizaka, analizując moją odpowiedź.

- Więc robiłaś kupę, tak?

- Nie! - wrzeszczę, manewrując tak, by nie widzieli mnie nadbiegający zawodnicy.

- To dlaczego chowasz się za drzewami?

- Bo... bo... - Milknę, przerażona możliwymi konsekwencjami tego spotkania. A jeśli ta mała domyśli się, że oszukuję i komuś powie? Już sobie wyobrażam to upokorzenie. Mój pierwszy bieg na dziesięć kilometrów kończy się dyskwalifikacją za niedopuszczalne użycie środka transportu za połowę dystansu. - Dobrze, niech ci będzie, masz rację. Robiłam kupę. Zadowolona?

Dziewczynka wzrusza ramionami.

- Nie moja sprawa - mówi.

- A gdzie twoja mama? - pytam czujnie.

- Biegnie. A tata jest tam. - Kiedy wskazuje wysokiego mężczyznę w granatowym skafandrze z kapturem, stojącego w niewielkiej odległości od mojej kryjówki, mija nas biegnąca grupa. Teraz albo nigdy.

Wyskakuję zza drzewa, zostawiając dziewczynkę za sobą. Dołączam do biegaczy i zamykam stawkę. Po kilku krokach serce tłucze mi się w piersi jak szalone, bardziej ze strachu przed zdemaskowaniem niż ze zmęczenia. Opuszczam głowę, rytmicznie pracuję rękami i nogami, kiedy biegnąca na czele wysoka kobieta o muskularnych udach i siwiejących włosach związanych w koński ogon odwraca się i rzuca mi groźne spojrzenie.

- Już niedaleko! - Szczerzę do niej zęby, dysząc jeszcze ciężiej, by rozwiać ewentualne podejrzenia.

Kobieta bez słowa odwraca głowę i kontynuuje bieg. Bułka z masłem. Było łatwiej, niż myślałam. Nikt nie zauważył. Nikt a nikt.

Wszyscy koncentrują się na finiszu i na narastającej wrzawie. Bolące nogi niosą mnie najszybciej, jak potrafią. Nieważne, że skóra nad

pośladkami pali mnie żywym ogniem, pulsują pęcherze na stopach. Najważniejsze to dobiec do mety w czasie poniżej jednej godziny. Mam na to niewiele ponad dwie minuty.

Kiedy wypadam z za ostatniego zakrętu na trasie, widzę metę i wiwatujących ludzi. Większości nie znam. Przyszli tu, by dopingować swoich przyjaciół i bliskich, ale dają moralne wsparcie każdemu uczestnikowi biegu. Wśród okrzyków słyszę nagle moje imię.

- DALEJ, ABBY! DASZ RADE!

Dostrzegam znajome twarze. Są moi rodzice, jest Jess, jest Tom i jego dziadek, który wyrzuca w górę ręce, zagrzewając mnie do walki na ostatnich metrach.

Wbijam wzrok w linię mety. Całą uwagę skupiam teraz na pokonaniu tych kilku metrów. Miałam zamiar spojrzeć na zegar, ale w chwili finiszu mój wzrok wędruje ku Oliverowi. Rozmawia z ładną rudowłosą dziewczyną. Poznają ją. Na starcie stała przede mną pod znakiem „40 minut”. Oliver spogląda na mnie i macha.

Kieruję się w stronę biegaczy, którzy już ukończyli bieg, gdy dopada mnie Jess.

- Jesteś! - woła i zamyka mnie w uścisku. - Pewnie szalejesz ze szczęścia. Żadnych m&m'sów czy innych niedozwolonych substancji, a mimo to zeszłaś poniżej jednej godziny. Abby, jesteś wielka. Nie doceniłam cię. Przepraszam.

- Nic się nie stało - mamrocze niewyraźnie.

- Pięćdziesiąt dziewięć minut i piętnaście sekund! Doskonały wynik. - Jess milknie i obrzuca mnie uważnym spojrzeniem. - Zdajesz sobie sprawę ze swojego osiągnięcia?

- No cóż, twój najlepszy wynik to czterdzieści sześć minut, prawda?

- Od dziś czterdzieści pięć minut i dziewiętnaście sekund - Jess się uśmiecha.

- O! Pobiłaś swój rekord życiowy. Świetna robota.

- Dzięki. Chodźmy teraz po koszulki i medale. Zasłużyłyśmy.

- Och, sama nie wiem... Po co mi to?

- Co? - Jess nie posiada się ze zdumienia. - Jesteś chyba pierwszą debiutantką w historii biegu, która nie chce medalu i koszulki. Wiem, że podkoszulek nie jest ostatnim krzykiem mody, ale można się nim pochwalić. Zasłużyłaś na to.

Ciągnie mnie do stanowiska organizatorów, bierze medal i wiesz mi go na szyi. Kątem oka dostrzegam rodziców zmierzających w moją stronę.

Nigdy w życiu nie czułam się taką oszustką. Nie zniosę więcej ani jednej niezasłużonej pochwały. Przepraszam Jess i rodziców, i tłumacząc się pragnieniem, ruszam po wodę. Wtedy widzę, że Oliver daje mi ręką znak. Kiedy podbiega, puls mi przyspiesza.

- Brawo, Abby. Zeszłaś poniżej jednej godziny. - Całuje mnie w policzek.

- Och. Uhm... Skąd wiesz?

- Obserwowałam cię, oczywiście.

Omiata wzrokiem moją sylwetkę. Pod wpływem jego spojrzenia dostaję gęziej skórki. Nie do wiary, jaki Oliver zrobił się ostatnio zalotny.

- Dzięki.

- Pewnie jesteś w siódmym niebie.

- Uhm... tak. - Patrzę mu w oczy i z wrażenia robi mi się słabo. - Jakie masz plany? Idziesz coś zjeść? - To pytanie z trudem przechodzi mi przez gardło.

- Dzisiaj nie. - Uśmiecha się. - Jestem umówiony.

Na pewno z kobietą. Z trudem ukrywam rozczarowanie.

- Bojler mi się zepsuł. Przychodzi fachowiec od centralnego ogrzewania i będzie go naprawiał - dodaje po chwili.

- Aha. - Staram się nie okazywać radości. - Będziesz na treningu w poniedziałek?

- Oczywiście - mówi, dotykając mojego ramienia. - Jeszcze raz gratuluję. Jestem z ciebie dumny.

Ułamek sekundy, w którym nasze oczy się spotykają, jest najbardziej naładowaną erotyzmem chwilą w całym moim życiu. Pragnę Olivera do bólu. I jestem pewna, że w jego oczach dostrzegam takie samo pragnienie.

- Mamusiu!

Czar chwili pryska pod wpływem znajomego głosu. Obracam się na pięcie i widzę szczerbatą dziewczynkę z granatowym językiem od lizaka i w różowej kurteczce.

- To ona. - Dziewczynka wskazuje mnie palcem, a Oliver patrzy na mnie zdezorientowany. - To ta pani, która robiła kupę w krzakach.

Rozdział 52

Muszę się opanować. Muszę. Właśnie spełnia się moje największe marzenie: kulturalny lunch z rodzicami. Z obojgiem. Razem.

Mimo prawdziwej radości - nawet jeśli zgoda mamy na godzinne przebywanie w towarzystwie taty sprawiła jej fizyczny ból - łapię się na tym, że raz po raz dziabię widelcem sałatkę niczym nadąsana nastolatka.

- Coś się stało, Abby? - pyta tata, gdy mama wychodzi do łazienki. Upijam łyk dietetycznej coli.

- Nie, nic.

- To dla ciebie trudna sytuacja? No wiesz, mama i ja razem...

- Co? Nie! Wcale nie!

W tej kwestii nie muszę kłamać. Mama, która po długich namowach dała się przekonać tacie do uczestnictwa we wspólnym lunchu na moją cześć, zachowuje się bez zarzutu i nawet zaczęła się rozluźniać.

Czego nie można powiedzieć o mnie. Nie mogę się rozluźnić z dwóch powodów. Po pierwsze, jestem bez bielizny. Po kąpieli i zmianie ubrania, mając do wyboru tylko inne koronkowe majtki, zdecydowałam się na wersję bezmajtkową, a nie przywykłam do chodzenia bez bielizny. Po drugie, czuję do siebie obrzydzenie. Nie tylko dlatego, że choć Oliver z galanterią „nie dosłyszał” słów mojej dziewięcioletniej prześladowczyni, jest teraz święcie przekonany, iż podczas biegu użyłam zarośla na trasie.

Moje podłe samopoczucie wynika jeszcze ze świadomości oszustwa, jakiego się dopuściłam. Tym razem nikt mi nie powie, że się pomyliłam, jak wtedy z m&msami. Tym razem oszukałam z rozmysłem. I w imię czego?

Oliver poświęcił mi tylko pół minuty, a innych zawodników zajmowały wyłącznie ich czasy.

Ludzie, których naprawdę interesował mój wynik - przyjaciele i rodzice - sądzą teraz, że jestem lepiej przygotowana do półmaratonu niż w rzeczywistości. Na dodatek moje osiągnięcie robi na nich wrażenie. Dlatego czuję się koszmarnie. Nie przebiegłam dziesięciu kilometrów poniżej godziny. Jestem obrzydliwą oszustką. Oszustką z obolałymi stopami, obolałymi nogami i obolałym tyłkiem.

- Odpicowali ten lokal od mojej ostatniej wizyty - stwierdza mama po powrocie z łazienki. Ma na sobie ciemne obcisłe dżinsy i kamizelkę. Jej jasnobrązowa kopertówka idealnie pasuje do butów na obcasach.

- Kiedy tu przychodziliśmy, Gili, narzekałaś, że buty kleją ci się do podłogi, pamiętasz? - Tata uśmiecha się do wspomnień. To bistro przechodziło różne koleje losu. W czasach ostatniej wspólnej wizyty rodziców było ulubionym miejscem spotkań punków.

Mama wzdryga się z obrzydzeniem.

- Ohyda.

- Nie było tak źle. - Tata wybucha śmiechem. - Wtedy ci się podobało.

- W ciągu trzydziestu lat wiele się zmieniło, prawda? Tata poważnieje.

- Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają - mówi.

- Chcesz zapewne powiedzieć, że niektórzy mężczyźni nigdy się nie zmieniają. - Jej słowa są ciche, wypowiedziane spokojnym głosem, ale trafiają w czuły punkt. Rodzice zerkają na mnie z niepokojem, po czym wracają do swoich dań. Nadziewam na widelec kawałek kurczaka i wkładam go do ust. Czuję narastającą irytację.

Wszystko szło dobrze, póki nie padły te słowa. Ale mama, jak zwykle, nie potrafi ugryźć się w język. Chociaż to ona zostawiła tatę, nie umie powstrzymać się od komentarzy, zupełnie jakby wypominanie mu wad usprawiedliwiało jej zachowanie.

W pewnych sprawach ma rację. Tata zawsze będzie zapominał o urodzinach, zawsze będzie z trudem zwlekał się z łóżka w poniedziałkowe

ranki, zawsze będzie miał kłopoty z terminowym płaceniem rachunków i zakręcaniem pasty do zębów.

Wiele o mamie mówi fakt, że wyolbrzymia te mało znaczące drobiazgi, nie widząc ich we właściwej perspektywie. Przez lata wypominała mu to i wiele innych rzeczy, a tata nie zasługiwał na takie traktowanie ani wtedy, ani dzisiaj.

- Co ci jest? - pyta.

- Nic - odwarkuję.

W poszukiwaniu tematu, który rozładowałby napięcie, mama zwraca się do taty:

- Pamiętasz tamtego barmana, który uważał się za drugiego Sida Viciousa?

- Tak. A ciebie za drugą Nancy.

- Wcale nie!

- Mówię poważnie. Był na ciebie napalony.

- Co ty opowiadasz. Facet był żaloszny. Tata uśmiecha się od ucha do ucha.

- Ciągle powtarzał, że postawi mi piwo, jeśli dam mu cynk o naszym rozstaniu.

Po tych słowach oboje wybuchają śmiechem.

- Może powinieneś być do niego zadzwonić - chichocze mama. Po chwili śmiech zastyga im na wargach.

Zapada niezręczna cisza. Uświadamiam sobie, że minęły co najmniej dwa lata, odkąd rodzice jedli razem posiłek. Było to przyjęcie weselne mojego kuzyna. Nic dziwnego, że rozmowa się nie klei.

- Mama miała niesamowitą fryzurę, gdy przyszedliśmy tu pierwszy raz - mówi do mnie tata.

- Raczej koszmarną - oponuje mama. - Na litość boską, to było przecież w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. Tapirowałam sobie włosy tak mocno, że dawały się rozczesać dopiero po szóstym myciu.

- Mnie się podobała.

- Mówiłeś, że wyglądam jak Siouxsie Sioux.

- To był komplement - wyjaśnia tata.

Musi wyjść wcześniej, by zdążyć po Karen na lotnisko. Zostajemy z mamą. Powoli dopijamy wino.

- Nie było miło znów posiedzieć razem? - zagaduję.

- Dało się wytrzymać, Abby - odpowiada z kamienną twarzą. - Następna okazja nadarzy się pewnie za dwa lata, ale dziś dało się wytrzymać - powtarza.

Mrużę oczy.

- Dlaczego jesteś taka przykra dla taty?

Nieruchomieje z ręką w torebce, do której sięgała po portmonetkę.

- Ponieważ jesteśmy rozwiedzeni. Tylko tyle, Abby.

- Co nie znaczy, że nie możesz zachowywać się uprzejmie. Mama ściąga brwi.

- Niewiele rozwiedzionych par zgodziłoby się zasiąść razem do lunchu. Na wypadek, gdybyś nie wiedziała, informuję cię, że robimy to dla ciebie. Z własnej woli nigdy byśmy się na to nie zdecydowali.

Patrzę przez okno.

- On tak.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dobrze wiesz co. Tata nadal cię kocha. I zawsze będzie. Mama przewraca oczami.

- Znowu to samo. Myślałam, że wyrosłaś z tych rozmów w wieku piętnastu lat.

- Jak mogłam wyrosnąć, skoro to prawda?

- Nieprawda - odpowiada mama cierpko.

- Prawda.

- Nieprawda.

- Właśnie że prawda. -Nie.

- Na litość boską! - Mama energicznie zatrzaskuje torebkę. - Posłuchaj mnie, Abby. Wiem, że bardzo przeżyłaś moje rozstanie z tatą. Przykro mi. Pogódź się z tym wreszcie, kochanie. Wszyscy dawno już to zrobili.

- Nie tata.

Pochyla się w moją stronę.

- Mogę ci coś wyjaśnić?

- Bardzo proszę.

- Tylko dwoje ludzi żyjących w małżeństwie wie, co tak naprawdę się między nimi dzieje.

- Wiem, co się działo, mamó - odpowiadam spokojnie. - Wiem, że tata cię kochał i nadal kocha. Wiem, że kiedyś też go kochałaś. I gdybyś tylko trochę się postarała, ciągle bylibyście razem.

Mama kręci głową.

- Mam rację? - nie ustępuję.

Patrzy w okno, po czym odwraca głowę i mierzy mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Nie, Abby. Nie masz racji.

Rozdział 53

W drodze powrotnej do domu wstępuję do supermarketu po coś na kolację i po awaryjne majtki. Jedyne, jakie widzę w dziale z bielizną, mogłyby straszyć w sennych koszmarach. Sięgające do połowy brzucha majtasy w serduszka mają ohydny odcień różu. Wyglądają o wiele gorzej od tych, które wyrzuciłam, przeglądając zawartość szuflady z bielizną.

Na ich korzyść przemawia tylko jedno: są miękkie i wygodne. O ile w innej sytuacji uznałabym, że od kryterium wygody w doborze bielizny dzielą mnie całe dekady - stąd już prosta droga do nocnych koszul zapinanych pod samą szyję - o tyle dzisiaj robię wyjątek, zważywszy na stan mojej otartej koronką skóry nad pośladkami.

Moje myśli krążą od rozmowy z mamą do oszustwa w dzisiejszym biegu. Nie potrafię powiedzieć, co jest bardziej przygnębiające. Gdy stoję w kolejce do kasy, dociera do mnie bolesna prawda: nie dam rady przebiec półmaratonu. Skoro dziesięć kilometrów o mało mnie nie zabiło, jakim cudem miałabym pokonać dystans o połowę dłuższy?

Kręci mi się w głowie od możliwych konsekwencji: kompromitacja w oczach darczyńców, zawiedzione oczekiwania Heidi, palący wstyd, gdy ogłoszę, że rezygnuję z biegu. Czuję napływające do oczu łzy. Spuszczam głowę. Przesuwam się bliżej kasy, gdy nagle ktoś delikatnie klepie mnie w ramię.

- Co za spotkanie!

Odwracam się i widzę Toma. Sprawia wrażenie, jakby właśnie wyszedł spod prysznic. Jest nieprzytomnie atrakcyjny i w przeciwieństwie do mnie wygląda na zadowolonego.

- Co się stało? - pyta na widok mojej miny.

- Nic takiego. Katar sienny - odpowiadam, kładąc zakupy na taśmie.

- Gratuluję udanego biegu. Musisz być wniebowzięta. Policzki palą mnie ze wstydu.

- Tak, nie posiadam się ze szczęścia.

Kładę na taśmie bakłażana. Spojrzenie Toma wędruje ku ostatniemu artykułowi w moim koszyku: mojej bieliźnie, a raczej najkoszmarniejszym gaciom w historii koszmarnych gaci.

Wiem, że je widział. I on wie, że ja wiem, że je widział. Jestem tak zażenowana jak wtedy, gdy mając czternaście lat, kupowałam tampony i spotkałam Grahama Daveya. Teraz jest jeszcze gorzej. Skoro już Tom ma widzieć, jak kupuję bieliznę, wolałabym, żeby była seksowna. Założę się, że Geraldine paraduje przez cały dzień w kolekcji z La Perli. A ja mam w koszyku majtasy z supermarketu, których ona nie użyłaby nawet do mycia okien.

- To dla... - Gryzę się w język. Po co w ogóle bawię się w wyjaśnienia? Opamiętanie przychodzi za późno. Muszę brnąć dalej. Komu można kupować takie majty? Babci? Mamie? Nieistniejącej siostrze? - ...taty - wyrzucam z siebie.

Doskonale. Właśnie ogłosiłam światu, że mam ojca transwestytę. -Używa tego do... zmiany oleju w samochodzie - ciągnę. Tom wyjmuje swoje zakupy z koszyka i kładzie na taśmie.

- Są bardziej odlotowe niż wszystko, co można znaleźć w Halfords. Płacę w milczeniu. Czuję na plecach jego palący wzrok.

- Do zobaczenia - rzucam przez ramię najbardziej swobodnym tonem, na jaki umiem się zdobyć.

- Zaczekaj chwilę, Abby - prosi Tom, gdy kasjerka zaczyna zakładać nową rolkę taśmy.

- Przykro mi, ale muszę lecieć - kłamię i ruszam do wyjścia.

Już mam przekręcić kluczyk w stacyjce, gdy słyszę pukanie w szybę auta. Tom nie daje mi czasu na reakcję. Otwiera drzwi i sadowi się na siedzeniu pasażera. Bez zakupów.

- Co się dzieje, Abby? - pyta łagodnym tonem, jakiego dotąd u niego nie słyszałam.

Zamykam oczy i pocieram czoło.

- Czuję się jak idiotka.

- Dlaczego?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Przyznanie się do oszustwa nie chce przejść mi przez gardło.

- Nic nie mów. Mieszkam dwa kroki stąd. Zapraszam cię na herbatę. Otwieram oczy. Nieprawdopodobnie przystojna twarz Toma, życzliwość w jego oczach sprawiają, że... niczego innego bardziej nie pragnę.

Intensywność tego pragnienia porusza mnie do głębi. Na dodatek nie umiem określić, czego dokładnie od niego oczekuję. Empatii? Poprawienia nastroju jakimś żartem? A może czegoś więcej?

Natychmiast odsuwam od siebie tę ostatnią myśl. Jej sens napawa mnie lękiem. Ale raz przywołana, nie chce zniknąć. Nagle widzę wszystko wyraźnie. Żołądek podchodzi mi do gardła. Czuję do Toma coś, czego nie powinnam czuć. Coś więcej niż przyjaźń. I chyba - teraz widzę to wyraźnie - poczułam to już w dniu naszego pierwszego spotkania.

Jest tylko jedno „ale”. Nie mogę sobie pozwolić, by cokolwiek do niego czuć.

Tom żyje w związku. W szczęśliwym związku, co czyni go nieosiągalnym.

- Chodź, Abby. - Wyciąga rękę, by dotknąć mojego ramienia. Gwałtownie ją odtrącam, jakby jego palce paliły mnie żywym ogniem. Tom wygląda na dotkniętego moją reakcją.

Nagle poraża mnie kolejna myśl. Z absolutną jasnością widzę coś, czego dotąd nie śmiałam przyznać: jakaś część Toma coś do mnie czuje. Nie wiem jaka. Pewnie on sam tego nie wie. Wiem tylko, że jego spojrzenie - i tak chyba patrzył na mnie od samego początku - nie pozostawia wątpliwości.

Walczą we mnie nadzieja i gniew. Nie mogę podobać się Tomowi. Nie wolno mu ulegać temu uczuciu. Przecież on należy do Geraldine!

Mam ochotę cofnąć czas o cztery miesiące i wzbudzić w Tomie niechęć.

- Wiesz, co dziś zrobiłam? - zaczynam wyzywająco.

- Co takiego? - pyta ostrożnie.

- Oszukałam. Podczas biegu. Mruży oczy.

-Jak?

Przełykam ślinę. Determinacja wygrywa ze wstydem.

- Zeszłam z trasy i podjechałam taksówką. Nie przebiegłam dziesięciu kilometrów poniżej godziny - wyznaję.

Krew szumi mi w uszach. Tom zmienia się na twarzy.

- I co ty na to? - pytam po dłuższej chwili, czując wzbierające w oczach

łzy.

Tom patrzy na mnie uważnie. Serce wali mi jak oszalałe. Po długiej jak wieczność chwili jego twarz rozjaśnia uśmiech.

- Uważam, Abigail Rogers, że jesteś przekomiczna - odpowiada spokojnie. - I że powinnaś przyjąć moje zaproszenie na herbatę.

Rozdział 54

Odmówiłam. Oczywiście, że odmówiłam. Nie chciałam, ale odmówiłam. I postanowiłam, że potraktuję nasze dziwne spotkanie na parkingu przed Tesco tak samo, jak niepowodzenie w biegu na dziesięć kilometrów. Będę udawała, że nigdy się nie wydarzyło.

Nie mam wyjścia. Dla dobra Geraldine, dla dobra Toma, a nade wszystko dla własnego dobra. Przynajmniej do czasu półmaratonu (o ile wcześniej nie padnę), po którym odejdę z klubu i nigdy więcej ich nie zobaczę.

Zanim to nastąpi, czeka mnie kolejne wyzwanie: wyjazd w połowie listopada.

Im bliżej wyjazdu, tym częściej uderza mnie myśl, jak bardzo przywykłam do biegania. Nie mogę powiedzieć, że uwielbiam biegać. Uwielbiam *Seks w wielkim mieście*, Florence and the Machine, moje nowe kozaczki do kolan czy czekoladki z musem orzechowym popijane dużym cappuccino z taką ilością pianki, że wystarczyłoby jej do ogolenia nóg. Moja relacja z bieganiem przypomina raczej tolerancyjny związek bez namiętności.

Sama idea wakacji z bieganiem nadal wydaje mi się trudna do przyjęcia. Albo wakacje, albo bieganie. Trudno mi wyjaśnić dwa pojęcia, które wykluczają się bardziej niż wakacje i bieganie.

Bez względu na wszystko nie mogę jednak nie wziąć udziału w corocznym wypadzie klubowiczów za granicę. Doktor Ciacho jedzie, trzeba korzystać z okazji.

Mimo nieokreślonych uczuć do Toma wiem, że Oliver i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. Po miesiącach wzdychania zaczynam wierzyć, że wreszcie do czegoś między nami dojdzie.

Taką mam przynajmniej nadzieję. Cudownie, że Oliver wreszcie przełamał nieśmiałość i tak jawnie ze mną flirtuje, dla mnie to jednak za mało. Sytuacja między nami musi się w końcu wyklarować, zwłaszcza że tą niepewnością karmi się moje myśli o Tomie.

Rzucam się w wir przygotowań do wyjazdu. Za przywilej katorżniczych treningów w cieplejszym klimacie (Teneryfa) zapłaciłam kilkaset funtów.

Koszty wyjazdu to dopiero początek. Musiałam też skompletować odpowiednio szalową garderobę: od kostiumów kąpielowych uwydatniających rowek między piersiami po sarongi optycznie wydłużające nogi. Liczy się wszystko, co przesłoni rzeczywistość i stworzy apetyczną iluzję.

Wreszcie nadchodzi dzień wyjazdu. Spotykamy się na lotnisku. W ścisku, jaki powstał przy wsiadaniu do samolotu, rozdzielamy się z Jess. Z tyłu napiera na mnie niski grubas, który pachnie pastylkami od bólu gardła i mocną wodą kolońską. Kiedy po tak niemiłym doświadczeniu czuję na plecach czyjś dotyk, odwracam się, gotowa bronić swojej cielesnej nietykalności. I wtedy wyrasta mi przed nosem imponujący biceps.

- Zupełnie jak na szkolnej wycieczce - zauważa Tom. Jestem tak blisko, że czuję nie tylko zapach jego skóry, mogłabym poczuć też jej smak. Odsuwam się na bezpieczną odległość.

- Wolalabym nie. Najdalej byłam z klasą w parku rozrywki Alton Towers. Koszmarne przeżycie - mówię.

- Naprawdę? - pyta z niedowierzaniem. - A to dlaczego?

- Nienawidzę kolejek górskich. Kąciki jego ust unoszą się lekko.

- Nie kręci cię szukanie dreszczyku emocji, prawda?

- Skąd to przekonanie? - burczę urażona.

- No cóż, nie lubisz kolejek górskich, nie lubisz motocykli. Założę się, że ciągle jeździsz na rowerku na czterech kółkach.

- Pudło. Nie używam ich, odkąd skończyłam pięć lat. Jeśli sugerujesz, że niechęć do kolejek górskich, motocykli czy wszelkich ryzykanckich zachowań czyni ze mnie nudziarę, to grubo się mylisz. Moje życie jest niezmiernie ekscytujące.

- Skoro tak twierdzisz...

Docieramy do Jess. Wybrała doskonałe miejsca. Nasze fotele to dobry punkt obserwacyjny i mam Olivera jak na dłoni. Kiedy sadowię się obok niej, widzę, że Jess ma głowę zaprzątniętą zupełnie czymś innym.

Zachowuje się tak od czasu wyznania o zdradzie. W rozmowach nie wraca do tego, ale zbyt długo ją znam, by nie wyczuć, że o tym myśli. Nieustannie. Dlatego delikatnie daję do zrozumienia, że w każdej chwili jestem gotowa jej wysłuchać, jeśli tylko zechce o tym pogadać.

- Jak sprawy z Adamem? - pytam. Podnosi wzrok znad torebki.

- Dobrze. Tak mi się przynajmniej wydaje. - Przygnębienie w jej oczach mówi coś zupełnie innego.

- Wiesz, sporo myślałam o tym, co mówiłaś o moim nastawieniu do Adama - zaczynam.

-Tak?

- Myliłam się. Adam jest świetnym facetem. Naprawdę świetnym. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym głębiej jestem przekonana, że musisz się przełamać.

- Próbuję - mówi Jess bez entuzjazmu. - Dla dobra dzieci i...

- Nie rób tego tylko dla dzieci. Zrób to dla siebie. Adam to dobry człowiek. Bardzo cię kocha. Ty też go kochasz. Bez względu na to, czy mu to wyznasz, czy nie.

Jess obrzuca mnie uważnym spojrzeniem.

- Dlaczego nagle o tym mówisz?

- Bez szczególnego powodu. Po balu powiedziałam ci, że zobaczyłam go w innym świetle. Wystarczyła krótka pogawędka. - Oczywiście nie mogę zdradzić Jess, że głównym powodem jest naszyjnik. - Jeśli dotąd nie byłam dla niego zbyt miła, to mój problem.

- Cieszę się, że zaczęłaś go lubić. Adam jest bardzo miły. To cudowny człowiek. Nie wiem tylko, czy mój szacunek do niego i sympatia wystarczą. - Jess wzdycha ciężko i spogląda przez okno. - Wspominam nasze wspólne lata i nie przestaję zadawać sobie pytania, gdzie w tym wszystkim

romantyzm? Adam jest wspaniały, ale uosabia kaptcie i fajkę, a nie brylanty i szampana. Czy jestem strasznie powierzchowna, skoro pragnę odrobiny tego drugiego?

Na jej twarzy malują się sprzeczne uczucia. Chcę złapać ją za rękę i powiedzieć: „Jess, cierpliwości. Doczekasz się brylantów i szampana”. Nie mogę jednak zepsuć niespodzianki. Poza tym dałam Adamowi słowo, że będę trzymała język za zębami.

- Nigdy nic nie wiadomo. Adam może cię zaskoczyć. Zdaje się, że niedługo macie rocznicę? - mówię. Wysuwając nawet tak zawołowaną sugestię, jestem niebezpiecznie blisko ujawnienia tajemnicy.

- Tak. - Jess uśmiecha się blado. - Już wiem, co dostanę. To samo co zawsze: odnowienie członkostwa w WWF.

- A to niby nieważne?

- Jasne, że ważne. - Jess wzrusza ramionami. - Tyle że takie przyziemne.

- Nie odrzucaj tego, co masz, Jess - proszę. Patrzy mi prosto w oczy.

- A jeśli już go nie kocham?

- A nie kochasz? - pytam po długiej chwili milczenia.

- Nie wiem - odpowiada lekko zirytowana. - Ciągłe chodzi mi po głowie ta ckliwa kwestia: kocham go, ale czy jestem w nim zakochana?
I...

-Ico?

- Nie mogę przestać myśleć o...

- O Johnie? Kiwa głową.

- Znowu z nim spałaś? - pytam.

- Nie - zapewnia. - Tylko dręczą mnie myśli, co by było, gdyby...

-Nagle milknie.

- Gdybyś zostawiła dla niego Adama?

Jess patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- To głupie. Nic dla niego nie znaczyłam. Jestem jedną z wielu.

- Naprawdę? Wcześniej nie mówiłaś, że jest kobieciarzem.

- To wilk w owczej skórze - mówi z goryczą. - Najgorsze, że ciągle muszę go widywać. To częściowo moja wina. Mogłabym odejść, gdybym naprawdę chciała.

- Odejść z pracy? Waha się przez chwilę.

- Szczerze mówiąc, jakaś część mnie wcale tego nie chce. Podoba mi się ta sytuacja pokusy.

Robię głupią minę.

- Wiem, to idiotyczne. W ciągłej gonitwie między pracą a pieluchami niewiele jest miejsca na przyjemności. Dlatego pokusa przypomina mi, jak smakowało kiedyś życie. Jak to było być seksowną.

- Och, Jess, jesteś seksowna, cholernie seksowna. - Uśmiecham się szeroko, próbując poprawić jej nastrój. - Nie musisz niszczyć sobie życia, żeby to wiedzieć.

Moje słowa trafiają w próżnię. Niepocieszona Jess wzrusza ramionami.

- Nie wiesz, jak to jest, Abs. Pokusa ma mnóstwo zalet.

Rozdział 55

Zorganizowane wakacje to dla kobiet takich jak ja słodko-gorzkie doświadczenie. Jest słońce, jest morze, jest piasek, jest alkohol, jest smakowita perspektywa sercowej przygody. I jest też pierwsze wyjście na plażę.

To właśnie wtedy przysadziste i blade przedstawicielki płci żeńskiej czają się za leżakami, po czym nieśmiało zrzucają wierzchnie odzienie, by po jedenastu miesiącach wystawić do słońca swoje żałośnie białe tłuste ciała. Już to jest wystarczająco przygnębiające. A trauma się nasila, jeśli wziąć pod uwagę obecność armii gibkich piękności o oliwkowej cerze i płaskich brzuchach w bikini, na które zużyto mniej tkaniny niż na chusteczkę do nosa dla krasnoludka.

Zanim Jess urodziła dzieci, na wspólnych wakacjach zawsze prowadziłyśmy taką samą rozmowę. „Te młode Włoszki/Francuzki/Hiszpanki są piękne, ale kiedy stuknie im trzydziestka, słońce i makaron/foie gras/ paella zrobią swoje”.

W tym momencie kierowałyśmy wzrok ku grubej wiedźmie po osiemdziesiątce, okrytej od stóp do głów bezkształtnym czarnym worem, niosącej kilkanaście toreb z chlebem.

Teraz wyobraźcie sobie plażę pełną młodych oliwkowych piękności. Co gorsza, niektóre z tych ślicznotek są entuzjastkami biegania, ponieważ do tego samego hotelu zjechali członkowie któregoś z hiszpańskich Klubów Biegacza.

- Skąd mi przyszło do głowy, że to dobry pomysł? - mamroczę do Jess, kiedy wędrujemy plażą przed spotkaniem z opiekunką naszej grupy. - Coś

mnie omamiło. Jak mogę rozebrać się przed Oliverem, skoro mam taką konkurencję?

Jess przewraca oczami.

- Ciągłe masz obsesję na jego punkcie?

- Wiesz, że tak. Dlaczego pytasz? Zbywa mnie wzruszeniem ramion.

- Nie jestem pewna, czy do siebie pasujecie. Tyle czasu minęło i nic -milknie. - Przepraszam. Zapomnij o tym, co powiedziałam.

- Nie mogę. - Ożywa we mnie paranoiczna myśl. - Uważasz, że mierzę za wysoko?

- Nie! Wcale nie! - oponuje żywo Jess. - Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Zapomnij o tym. Nie mierzysz za wysoko. Wyglądasz świetnie.

- Jess, schudłam niecałe siedem kilo, nie siedemdziesiąt. Nadal mam krótkie nogi, tłusty tyłek i białą skórę, chyba że posmaruję się samoopa-laczem, po którym robi się pomarańczowa.

- Bzdura. Wyglądasz cudownie. Zawsze wyglądałaś cudownie, a teraz wyglądasz jeszcze lepiej. Jaki masz pokój?

- Fantastyczny - mówię zgodnie z prawdą. Uroda hotelu zapiera dech w piersiach. Nowoczesne wnętrza, plaża wyłącznie dla gości, białe ściany, skąpane w słońcu tarasy i korty tenisowe. Wchodząc do holu, dostrzegam Olivera wspartego o kontuar i gawędzącego ze śliczną ciemnowłosą recepcjonistką. Na nasz widok przerywa rozmowę i rusza w naszą stronę.

- Cześć, dziewczyny - rzuca i całuje nas obie w policzki. Kiedy jego wargi dotykają mojej skóry, czuję dreszcz. Znow przelatuje mi przez głowę myśl, o ile śmielszy jest teraz Oliver, niż był podczas naszego pierwszego spotkania.

Potem rzucam okiem na jego strój. W lnianych spodniach, skórzanych japonkach i gładkim białym podkoszulku opinającym sprężysty tors wygląda wspaniale.

- Bar jest tam. - Oliver wskazuje w głąb holu. - Chodźmy. Piękne miejsce, prawda? - Obdarza mnie seksownym uśmiechem, od którego mięknią mi kolana.

Reszta grupy już siedzi w barze, czekając na powitalne przemówienie. Od nas jest dziesięć osób. Reszta to kilkunastu hotelowych gości. Siadamy z Geraldine, Tomem i Mau pogrążonymi w rozmowie na temat miejscowego wina. Wygląda na to, że Mau jest ekspertką w tej dziedzinie.

- Ależ tu cudownie! - Geraldine zwraca się do nas szeptem. - Z naszego pokoju mamy widok na morze.

- Rzeczywiście pięknie - przyznaje Jess.

- Może to otoczenie kogoś zainspiruje - ciągnie Geraldine, wskazując głową Toma. - Chociaż prędzej mogę się spodziewać oświadczeń jednego z kelnerów.

Głośne klaskanie zmusza nas do zamilknięcia.

- Uwaga, proszę państwa! - woła drobna kobieta po czterdziestce. Ma suche kręcone włosy, męskie szorty i opalone nogi barwy pieczonego indyka. Brak stylu nadrabia entuzjazmem. - Nazywam się Janice Gonzales. Przez cztery najbliższe dni będę opiekunką waszej grupy. Witam wszystkich bardzo serdecznie!

Urywa, jakby czekała na burzę oklasków. Niezrażona ciszą kontynuuje:

- Mam nadzieję, że zdążyliście odpocząć po podróży, obejrzeć hotel i jego najbliższe otoczenie. Dziś wieczorem macie czas na relaks, poznanie się i skosztowanie naszych lokalnych przysmaków. Ostrzegam lojalnie: nie przejeździecie się, ponieważ jutro o ósmej rano zaczynamy pierwszy trening!

- Hura - rzucam szeptem.

Przemowa Janice trwa w nieskończoność. Znudzona wędruję spojrzeniem ku stopom Doktora Ciacha. Im dłużej na nie patrzę, tym bardziej jestem zachwycona. Brzmi to dziwnie, ale to naprawdę doniosły moment. Zwykle męskie stopy budzą moją odrazę.

Nawet faceci dumni ze swojego wyglądu nie poświęcają uwagi stopom. Zupełnie jakby zapominali, że w ogóle mają taką część ciała. Nie wiem, kiedy dokładnie paradowanie z zaniedbanymi pazurami, stwardniałą skórą i włosami na paluchach (nasuwającymi skojarzenia z owłosieniem łonowym) stało się powszechnie akceptowanym obyczajem. Dla mnie jest on nie do przyjęcia.

Tymczasem stopy Doktora Ciacha są wręcz idealne. Z powodzeniem można by zamieścić ich zdjęcie w katalogu, i to bez obróbki cyfrowej. Opalone, z zadbanymi paznokciami, bez śladu zgrubień, zachwycają mnie tak bardzo, że ledwo udaje mi się zapanować nad chęcią obsypania ich pocałunkami.

- Mam nadzieję, że będziecie wyjeżdżali z naszego hotelu pełni energii i zmotywowani do jeszcze intensywniejszych treningów po powrocie do domu. A jeśli nie... no cóż, zwrotu kosztów dla leniuchów nie przewidujemy! Ha, ha, ha!

Posyłam Jess znaczące spojrzenie. I po raz kolejny od chwili spotkania na lotnisku widzę, że moja przyjaciółka jest nieobecna duchem.

Rozdział 56

Większość grupy idzie wcześniej spać. Doktor Ciacho niestety też. Zamawiam budzenie na piętnaście po siódmej, ale i tak zjawiam się na promenadzie spóźniona.

- Już myślałam, że zaspaaś - rzuca wesoło Mau. Cała na kremowo, przypomina wafel.

- Przepraszam, ale tylko raz w życiu na wakacjach zamawiałam budzenie. Musiałam zdążyć na samolot. To wbrew moim zasadom. - Rozglądam się. - Gdzie Jess? - pytam.

- Nie wiem. Spodziewałam się, że przyjdziecie razem.

- Nie, ale skoro nawet Wzorowa Sportsmenka spóźnia się pierwszego dnia, jest dla nas, maluczkich, nadzieja.

Wolną grupę prowadzi Janice. Kiedy za nią biegniemy, widzę Jess dołączającą do grupy średniej.

- W porządku? - pytam bezgłośnie.

Kiwa głową i rusza z resztą biegaczy w przeciwnym kierunku.

Biegniemy przez złote plaże. Mijamy imponujące formacje skalne, o które z hukiem rozbijają się fale. Nie ma jeszcze dziewiątej, a słońce ogrzewa mi ramiona. W tak pięknej scenerii nawet bieganie staje się przyjemnością.

Po powrocie do hotelu rozpiera mnie duma. Przed dziesiątą rano pierwszego dnia wakacji, zamiast snuć się po bufecie i wybierać między drugim croissantem a zagadkowymi wędlinami, które z taką ochotą pałaszują Holendrzy, ćwiczyłam!

Biorę prysznic i idę nad basen, gdzie już czeka Jess. Rozkładam ręcznik na leżaku i odwiązuję sarong. Ku mojemu zaskoczeniu akt odsłonięcia

ciała jest o wiele mniej stresujący, niż był dotąd. Chociaż nie mogę konkurować z grupką gibkich opalonych ślicznotek po drugiej stronie basenu, czuję się... całkiem znośnie. Nawet więcej niż znośnie. Czuję się cholernie dobrze. I nie boję się do tego przyznać.

Cellulit prawie znikł. Mój brzuch nie jest idealnie płaski, ale nigdy nie wyglądał lepiej. Mięśnie łydek mam twarde jak kamień. Gdybym pół roku temu miała ułożyć listę części ciała, które chciałabym poprawić, łydki nie znalazłyby się w pierwszej trójce. Umieściłabym je na dwudziestym którymś miejscu, tuż przed małżowinami usznymi. Ale żebracy nie mogą grymasić.

Sekret mojego zadowolenia tkwi w tym, że czuję się silniejsza, szczuplejsza i wysportowana, co brzmi jak niezły dowcip, bo przecież mówimy o mnie, zaprzeczeniu sportowego stylu życia!

Czytamy z Jess książki kupione na lotnisku. Raz po raz wymieniamy spostrzeżenia i zamykamy na chwilę oczy, chłonąc słońce. Po godzinie błogiego lenistwa zasypiam. Budzi mnie odgłos czyichś kroków. Otwieram jedno oko i widzę stopy moich marzeń.

- Nie przeszkadzam? - pyta Oliver.

- Ani trochę - mruczę, przewracając się na plecy. Po chwili orientuję się, że to był zły pomysł. Prawą połowę mojego ciała pokrywają miniaturowe ananasy odcisnięte od wzoru na ręczniku.

- O matko - mamroczę, zakrywając nogi.

Oliver posyła mi uśmiech. W tej samej chwili Jess budzi się z drzemki.

- O! Cześć - mówi na widok Olivera. - Idę popływać.

Jestem wdzięczna, że zostawia nas samych. Muszę pamiętać, żeby później jej za to podziękować.

- Jak ci się biegało dziś rano? - pyta Oliver, przysuwając sobie leżak. Staram się wciągnąć brzuch, dlatego nabieram tylko tyle powietrza, ile potrzebuję do wypowiedzenia paru słów.

- Świetnie. Postawiło mnie na nogi. Nie przypuszczałam, że to kiedyś powiem.

- Ach, nasza oporna półmaratonka - rzuca żartobliwie.

- Już nie taka oporna - poprawiam go. - Coraz bardziej mi się ten cyrk z bieganiem podoba.

- Można się uzależnić, prawda?

- Coś w tym jest. Gdyby nie uzależnienie od wina i czekolady, byłabym znakomitą biegaczką.

- W czasie urlopu można sobie pofolgować. Ja na przykład planuję dziś dłuższy wieczór niż wczoraj. - Rzuca mi porozumiewawczy uśmiech.

-Tak?

- Zdecydowanie tak - mówi i robi coś niewyobrażalnego: puszcza do mnie oko. Doktor Ciacho puszcza do mnie oko! Nie wiem, jak zareagować, chichoczę więc nerwowo, tracąc kontrolę nad mięśniami brzucha.

Reszta dnia upływa na leniwych pogawędkach, opalaniu i flirtowaniu.

Odnoszę wrażenie, że Oliver wreszcie odkrył, jak to robić, i teraz żadna siła nie może go powstrzymać. Odgarnia mi włosy z twarzy. Zagląda w oczy. W pewnym momencie proponuje nawet, że posmaruje mi plecy filtrem przeciwsłonecznym. Pod wpływem jego dotyku o mało nie tracę kontaktu z rzeczywistością.

O zachodzie słońca pryskają resztki wątpliwości. Zachowanie Olivera jest tak czytelne, że idąc do pokoju, by przebrać się do kolacji, wiem z całą pewnością, co będzie potem.

Wkładam bawełniane spodnie i bluzkę w etniczne wzory. Czeszę się, gdy słyszę pukanie do drzwi. W progu staje Jess.

- Dzięki, że zostawiłaś mnie z Oliverem - mówię. - Było cudownie. Przez cały dzień ze mną flirtował. Stało się, Jess. Dzisiejszy wieczór jest nasz. Wiem to.

Dopiero teraz zauważam, że ma na sobie dzinsy i bluzę z kapturem. Dotąd nie ubierała się tak do kolacji w hotelu.

- Postanowiłam wrócić do domu - oznajmia cicho. Otwieram szeroko oczy.

- Co? Dlaczego? Skąd ten pomysł? Ze smutną miną siada na łóżku.

- Nie mogę zapomnieć tego, co mówiłaś w samolocie o Adamie.

- Nie twierdziłam, że powinnaś wrócić - oponuję.

- Wiem, ale masz rację co do niego. Świętą rację. - Chowa twarz w dłoniach. - Boże, tylko spójrz, co ja wyprawiam. Bawię się na Teneryfie, a mój wierny mąż opiekuje się naszymi dziećmi.

- Tego nie powiedziałam! Mówiłam tylko, że nie powinnaś go zostawiać. Nie chodziło mi o wyjazd. Adam nie miał nic przeciwko twojemu wypadowi na Teneryfę.

- Ale ja tak. - Podnosi głowę i patrzy mi w oczy. - Wieczorem mam samolot.

Siadam obok Jess i obejmuję ją ramieniem.

- Jasna cholera! Najpierw opowiadasz mi o pokusie i brylantach, a zaraz potem chcesz wskakiwać do samolotu i wracać do męża. To do ciebie niepodobne, Jess. Zostań i przemyśl to. Jesteś daleko od domu. Masz doskonałą okazję, żeby nabrać dystansu.

- Nie potrafię nabrać dystansu.

- Nie rozumiem. Jess wzdycha ciężko.

- Cały czas mam mętlik w głowie. Tutaj czy w domu, nieważne. Od chwili wyjazdu i tak o niczym innym nie myślę.

- Do jakich wniosków doszłaś?

- Że jestem idiotką. I że chcę wrócić do męża.

Rozdział 57

- Wyjechała? Tak po prostu? - dziwi się Geraldine, gdy przed kolacją wpadam na nią i Mau w damskiej łazience.

- Chodzi o Jamiego, jej synka - zmyślam na poczekaniu. - We wrześniu zaczął chodzić do szkoły i jeszcze się w niej nie zaaklimatyzował. Jess miała wyrzuty sumienia, że nie została przy nim.

- Nie wyglądała na zwariowaną mamuszkę - stwierdza Mau. - Zachowywała godny podziwu zdrowy rozsądek. Musiało stać się coś poważnego.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze - dodaje Geraldine.

- Na pewno - odpowiadam. Chciałabym wreszcie zamknąć ten niewygodny temat. - Na szczęście to nie był wypadek.

Wychodzę z łazienki i ruszam do jadalni, gdy orientuję się, że zostawiłam szminkę.

Wracam, otwieram drzwi i wchodząc do środka, słyszę głos Mau. Jest w nim troska i perswazja jednocześnie. Coś każe mi znieruchomieć i słuchać.

- Geraldine, pod żadnym pozorem tego nie rób. Nie wolno ci. Wiem, że jesteś zdesperowana, ale to nie fair. W dzisiejszych czasach ten sposób już nie działa. Mężczyźni przestali żenić się tylko dlatego, że kobieta zaszła w ciążę.

- Tom by się ożenił - odpowiada nadąsana Geraldine.

Chcę wyjść po cichu, ale jeśli znów otworzę drzwi, mogą skrzypnąć, a wtedy Mau i Geraldine mnie usłyszą.

- Takie numery - ciągnie Mau - robiły kobiety w moich czasach. I tkwiły potem w nieudanych małżeństwach, wychowując nieszczęśliwe

dzieci. Jeśli ty i Tom macie być razem, to będziecie. Nie możesz go szantażować swoimi cholernymi jajnikami.

- Coś ci powiem, Mau. Mam trzydzieści trzy lata i potrzebuję dziecka. Będziemy z Tomem dobrymi rodzicami, tyle że do niego to jeszcze nie dociera. Wiem, co by poczuł, gdyby się okazało, że dziecko jest w drodze. Byłby zachwycony. Wszystko doskonale by się ułożyło. Takiego szczęśliwego zakończenia oboje chcemy. Zrozum, Mau - tłumaczy Geraldine łamiącym się głosem.

- Posłuchaj, skarbie - łagodny ton Mau przebija się przez chlipanie Geraldine - przyrzeknij mi, że nie zrobisz żadnego głupstwa. Nie możesz stawiać pod ścianą faceta, którego kochasz. Bo kochasz go, prawda?

- Oczywiście! - zapewnia piskliwie Geraldine. - Jak możesz w to wątpić? Mau milczy. Kiedy odkręca kran, by umyć ręce, korzystam z okazji i wychodzę, rezygnując z odzyskania szminki. Pierwszy raz od naszego poznania zadaję sobie pytanie, czy Tom i Geraldine rzeczywiście są dla siebie stworzeni.

Siedzimy na tarasie zalanym światłem księżyca. Lekka bryza muska mi skórę. Większość grupy złapała pierwszą opaleniznę. Ja też, chociaż moja skóra zawdzięcza swój odcień koszmarnie drogiemu kremowi brązującemu o nazwie „Opalenizna Miami”. Wygląda na to, że używają go wszystkie sławy, choć pewnie w połączeniu z regularnymi podróżami na Barbados, ponieważ sam działa słabiej, niż się spodziewałam, nawet po kilkakrotnym nałożeniu. Zwłaszcza gdy porównuję się z Mau.

Dzisiejszego wieczoru powinnam powstrzymać się od picia. I wcale nie dlatego, że należę do grupy AA, jestem w ciąży czy lecę się z grzybicy i zażywam silne antybiotyki. Powodem wymuszonej abstynencji jest czekający nas jutro bieg - dłuższy niż dzisiejszy - przez co wraca moje uprzedzenie do „wakacji z bieganiem”. Nie oznacza to bynajmniej, że picie jest zakazane. A jednak nikt prócz Toma, który przekornie zamówił dwa piwa, nie sięga po alkohol.

Nie zastanawiam się nad tym, ponieważ mam lepszy temat do rozmyślań, mianowicie Doktora Ciacho. Jeśli po całym dniu flirtowania

na potęgę Oliver nie pójdzie za ciosem, ja pójdę w ślady Jess i wsiądę w następny samolot. Jeden po drugim członkowie naszej grupy wstają od stołu i ruszają do pokojów. Chcą się wyspać przed jutrzejszym wyzwaniem. W końcu zostaje nas troje - ja, Oliver i Tom, który zamawia trzecie piwo.

Patrząc na niego, wcale się nie dziwię, że uległam chwilowemu zawrotowi głowy. Z opalonymi ramionami i ledwo widocznymi piegami na nosie wygląda jeszcze atrakcyjniej niż zwykle.

I właśnie dlatego mam pewność, że to Oliver jest mężczyzną dla mnie. Gdyby stanął obok tego boskiego przystojniaka, nie miałabym wątpliwości, którego z nich wybrać.

Rozmowa schodzi na dziadka Toma, który zgłosił się jako kandydat do przeprowadzania dzieci przez ulicę.

- Jego przyjaciel to zrobił i dostał Order Imperium Brytyjskiego. Przypuszczam, że dziadek mu pozazdrościł, chociaż stanowczo zaprzecza - Tom się śmieje. - Wziąwszy pod uwagę, że niedowidzi, niedosłyszy i bliżej mu do osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki, niech opatrność czuwa nad dziećmiakami.

Oliver wychodzi do łazienki, a ja wykorzystuję tę sposobność i pochylam się do Toma.

- Słuchaj, nie chcę być niegrzeczna, ale... - Wskazuję drzwi.

- O co chodzi?

- Mógłbyś po prostu się ulotnić? - rzucam żartobliwie, choć wcale nie żartuję.

- Czarująca propozycja - odpowiada podobnym tonem, choć widzę, że zaciska szczękę.

- Nie bierz tego do siebie. Poza tym Geraldine na pewno czuje się samotna - mówię bez zastanowienia. Dopiero po chwili przypominam sobie podsłuchaną rozmowę. Może Geraldine sposobi się właśnie do zrealizowania swojego planu.

Mam nadzieję, że Mau wybiła jej ten pomysł z głowy. Nie mogę ostrzec Toma, bo to nie moja sprawa. Chociaż na myśl, że dziewczyna łapie go na

ciężę - najstarszy i najbardziej perfidny numer z kobiecego repertuaru -robi mi się słabo.

Tom patrzy mi w oczy.

- Geraldine już pewnie śpi. Zbiera siły na jutro.

Patrzy mi wyzywająco w oczy. Nie wytrzymuję napięcia i odwracam wzrok. Na szczęście dla mnie Tom wstaje, chociaż z wyraźnym ociąganiem.

- Niech ci będzie. Wyrzucasz mnie, żeby dać się uwieść naszemu przyjacielowi. Ani trochę mnie to nie rusza - zapewnia.

- Daj spokój, nie kłóć się ze mną - proszę, siląc się na żartobliwy ton, który oboje opanowaliśmy do perfekcji.

- Nie martw się, już sobie idę. Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił. - Cierpkość tej uwagi mnie irytuje. Mimo to odprowadzam Toma wzrokiem. Patrząc, jak znika za dwuskrzydłowymi drzwiami, czuję coś, nad czym wolałabym się nie zastanawiać.

Wraca Oliver. Podziwiam jego niedbałą elegancję. Doskonale mu w rozpiętej pod szyją czarnej koszuli i luźnych dżinsach. Opada na krzesło obok mnie i posyła mi uroczy seksowny uśmiech.

- Nareszcie sami - mówi.

Chłonę wyraz jego oczu, chłonę widok jego szczupłych dłoni i miękkiej skóry na szyi, i przypominam sobie, od jak dawna pragnę tego mężczyzny. Myśl, że właśnie nadeszła ta wyczekiwana chwila jest zwodniczo słodka i przesiąknięta erotyzmem. Oliver delikatnie ujmuje moją dłoń, odwraca ją i zaczyna błędzić palcami po jej wnętrzu.

- Tak lepiej, prawda? - Jego wzrok pali mi wnętrze.

- Prawda. - Głos łamie mi się z wrażenia.

- Czy ktoś ci już mówił, że masz oczy jak księżyc z bajki, Abby? - Ten frazes w ustach każdego innego faceta brzmiałby żałośnie, w ustach Olivera brzmi jednak jak najpiękniejsza poezja. Nadzwyczajny postęp jak na nieobeznanego ze sztuką flirtu nieśmiałego mężczyznę, jakim był, gdy się poznaliśmy.

- Ostatnio nie - odpowiadam, gdy muska palcami moje ramię.

- Nie wiem jak ty, ale ja wyczułem między nami chemię. - Widzę figlarny błysk w jego oczach. - A może to coś więcej niż chemia. - Wędruje palcami wyżej. - Może przeznaczenie? Dwoje dorosłych ludzi spotkało się, by robić razem to, co robią dorośli.

Nie słucham go. Koncentruję się wyłącznie na tym, jak blisko mojej piersi są teraz jego palce. Wstrzymuję oddech. Napotykam jego gorące spojrzenie.

- Pozostaje więc pytanie, Abby - Oliver zniża głos do szeptu - czy dziś w nocy będziemy się wreszcie kochali?

Rozdział 58

Seks z nim jest idealny.

Oliver ucieleśnia wszystkie spisane na przestrzeni dziejów ludzkości podręczniki sztuki kochania. Zna techniki i pozycje, przy których *Kama-sutra* to niewinna powiastka dla dzieci. I po mistrzowsku je wykorzystuje.

Po wszystkim leży na plecach z rękami pod głową. Półprzytomna kładę mu rękę na piersi. Kręci mi się w głowie. Wciąż nie wierzę, że to się stało.

I nie mogę wyjść ze zdumienia.

Spodziewałam się, że zachowanie Olivera w łóżku będzie odzwierciedlać jego umiejętność uwodzenia: od powolnej, trochę nieporadnej gry wstępnej po spektakularną kulminację. Nic z tych rzeczy. Oliver jest urodzonym talentem w dziedzinie *ars amandi*, pewnym siebie i zręcznym. Nie bardzo wiem, co o tym sądzić.

- Było cudownie, Oliverze. - Wbrew moim intencjom komplement brzmi, jakbym oceniała układ gimnastyczny.

- Dziękuję. - Uśmiecha się, najwyraźniej niezrażony, i całuje mnie w usta. - Ile razy szczytowałeś?

- Uhm... wystarczająco dużo - odpowiadam tajemniczo. Odpowiedź go zadowala, choć mijam się z prawdą.

Mimo biegłości Olivera, nie miałam orgazmu. Udałam jeden przez uprzejmość. Byłam zbyt zdenerwowana i przejęta, by się rozluźnić i cieszyć chwilą. Dziwne. Pragnąc Olivera od tak dawna, powinnam już w barze odstawić scenę jak Meg Ryan, gdy pierwszy raz dotknął mojej ręki.

Zostaję u niego na noc. Patrzę na jego unoszącą się klatkę piersiową, słucham cichego zgrzytania zębów. Punktualnie o siódmej Oliver budzi się i wyskakuje z łóżka.

Ma doskonałe pośladki. Doskonały tors. Kiedy rozsuwa zasłony i wpuszcza do środka światło dnia, zauważam coś dalekiego od doskonałości: pomarańczowe smugi „Opalenizny Miami”.

Ma je na rękach i nogach, na brzuchu i plecach, co czyni z niego ludzką wersję całunu turyńskiego.

- Ubiorę się i przemknę do siebie - mówię pośpiesznie. - Chyba nie chcemy, żeby reszta się o nas dowiedziała, prawda?

- Jeśli zależy ci na dyskrecji, ja się podporządkuję. - Odwraca się i puszcza do mnie oko. Wtedy widzę pomarańczowy zarys dłoni blisko jego pachwiny.

Przez cały dzień wracają do mnie wspomnienia seksu z Doktorem Ciachem. Wreszcie się doczekałam!

Świadomość, że podobam się Oliverowi na tyle, że chciał się ze mną przespać, otwiera pole niepewności. Wśród wielu pytań, jakie sobie zadaję, na pierwszy plan wysuwa się jedno: czy zechce to powtórzyć?

Ta sprawa zaprzęta moje myśli i wszystko inne schodzi na dalszy plan. Wszystko prócz Toma. Kiedy widzę go, zmierzając na miejsce zbiórki przed porannym biegiem, na chwilę zapominam o dylemacie. Unikam kontaktu wzrokowego, co jest łatwym zadaniem, ponieważ Tom nie patrzy na mnie, zajęty rozgrzewką i pogawędką z hiszpańską instruktorką.

Po biegu biorę prysznic i postanawiam iść na spacer. Oliver siedzi nad basenem. Ma na sobie podkoszulek. Ze skonfundowaną miną wczytuje się w etykietkę na opakowaniu emulsji do opalania. Po chwili widzę, że skrawkiem ręcznika wyciera sobie nogi.

Kiedy podnosi wzrok, czuję przypyływ paniki. Macham do niego, przeklinając się w duchu za brak luzu. Oliver odmachuje ze zdecydowanie mniej głupią miną niż moja. Idę do baru po butelkę wody. Mam nadzieję, że Oliver do mnie dołączy, nawet jeśli w końcu odkryje, kto odpowiada za pomarańczowe smugi na jego ciele.

Nie dołącza.

Po pięciu minutach daremnego oczekiwania nieśpiesznie wracam do hotelu. Mijając basen, widzę, że Oliver zasnął na leżaku. Próbuję nie wyciągać pochopnych wniosków z jego zachowania, ale im bliżej kolacji, tym większy czuję niepokój.

Kolacja jeszcze go potęguje, ponieważ z niewiadomego powodu łądujemy z Oliverem przy dwóch osobnych stolikach. Po posiłku idę na taras i zajmuję to samo miejsce co wczoraj, licząc na powtórkę z poprzedniego wieczoru.

Ku mojemu rozczarowaniu leniwym krokiem wchodzi na taras Mau. Siada obok mnie i zaczyna trajkotać, jak bardzo tęskni za spotkaniami z pojemnikami Tupperware w tle, ponieważ były one doskonałym pretekstem do plotek i picia, a wymagały tylko wydania paru funtów na kiepskie plastikowe pudełka.

W przeciwieństwie do wczorajszego wieczoru, dzisiaj wszyscy postanawiają zostać dłużej i pogawędzić. Tom jest w dobrej formie. Zabawia grupę serią ironicznych powiedzonek. Janice kilkakrotnie krztusi się ze śmiechu bezalkoholowym drinkiem. Tom niewiele się do mnie odzywa. Nie on jeden.

O północy Oliver nadal siedzi dwa stoliki ode mnie i nie zwraca na mnie uwagi.

Jest pogrążony w rozmowie z Geraldine. Pytam sama siebie, czy wczorajsza noc naprawdę się wydarzyła, czy ktoś dosypał mi czegoś do kieliszka i padłam ofiarą halucynacji. Czuję, że tracę grunt pod nogami. Wtedy Oliver odwraca się i patrzy wprost na mnie, po czym puszcza do mnie oko i posyła mi uśmiech. Unosi brew i wskazuje drzwi. Tak czytelny sygnał wprowadza mnie w stan euforii. Co za ulga!

- Wykończyście mnie, kochani - oznajmiam. Wstaję od stołu, ziewając teatralnie. Spoglądam na Olivera. - Idę spać.

Rzuca mi figlarne spojrzenie, po czym wędruje wzrokiem ku wahadłowemu drzwiom.

- Też pójdę się położyć - mówi, co brzmi jak oczywiste zaproszenie. Zmierzając do windy, zastanawiam się, czy Oliver zdąży mnie dogonić, zanim dotrę pod drzwi pokoju.

Rozdział 59

Oliver nie dogania mnie pod drzwiami pokoju. Nie przychodzi też później, gdy przebrana w seksowną jedwabną koszulkę przybieram w łóżku kuszącą pozę.

Z każdą minutą coraz bardziej się niecierpliwię. Stroszę włosy i skaczę po kanałach hiszpańskiej telewizji. Decyduję, że dla Olivera otworzę szampana z minibarku. Walcząc z sennością, wytrzymuję do pierwszej w nocy, gdy na wszystkich kanałach serwują widzom tylko kiepskie soft porno. W końcu dociera do mnie smutna prawda, że Oliver nie zjawi się u mnie z pudełkiem czekoladek, wiedziony przemożnym pragnieniem odtworzenia erotycznych wyczynów z *Napalonych czyścicielek okien VII*.

Zastanawiam się, czy wysłać Oliverowi SMS, czy wrócić do baru pod pozorem, że coś tam zostawiłam. Rezygnuję z jednego i drugiego. Wiele rzeczy można o tobie powiedzieć, Abby Rogers, ale na pewno nie to, że jesteś zdesperowana. Nie w widoczny sposób.

Po niespokojnej, samotnie spędzonej nocy budzę się podenerwowana. Napięcie narasta, gdy wysiadam z windy i zmierzam do jadalni. Natknę się na Olivera? Co od niego usłyszę? I gdzie się podział wczoraj wieczorem?

Przez cały dzień widzę go w przelocie: na plaży, na basenie, w holu. Za każdym razem rozmawia z kobietą. I za każdym razem z inną. Większość jego rozmówczyń to te opalone gibkie ślicznotki znad basenu, których obecność miała być dla mnie lekcją tolerancji.

Napomykam o tym Jess, gdy późnym popołudniem rozmawiamy przez telefon.

- Mówiłam ci, że nie jestem pewna, czy do siebie pasujecie - komentuje moja przyjaciółka.

- To ty nas sobie przedstawiłaś - oburzam się. - Poza tym wcześniej nigdy nie podrywał tylu kobiet. Zaczął dopiero, kiedy się z nim przespałam.

- Abby - mówi Jess z wyraźnym ociąganiem - nie zauważyłaś, jaki z niego flirciarz?

Zbita z tropu pocieram nos.

- Na początku tak się nie zachowywał - bronię go. - Na początku był nieśmiały. Dopiero tutaj zauważyłam, że flirtuje. Myślałam, że tylko ze mną. - Zawstydzona własną naiwnością chcę zmienić temat. - Jak sprawy na froncie domowym?

- Dobrze. Lepiej. Nic szczególnego się nie stało. Po prostu się cieszę, że jestem w domu z Adamem. Pogadamy po twoim powrocie.

Mimo alarmującej treści rozmowy z Jess, siadając do kolacji, kładę torebkę na krześle obok. Zabieram ją na widok wchodzącego Olivera, który kieruje się jednak na przeciwległy koniec stołu i siada przy Mau.

Pałają mnie policzki, gdy odkładam torebkę na krzesło. Niemal natychmiast ktoś ją podnosi.

- Wszystko w porządku? - pyta Tom, kładzie mi torebkę na kolanach i siada obok.

Wzruszam ramionami.

- Tak.

Prawdę mówiąc, umieram ze wstydu. Tom wie, co zaszło między mną a Oliverem, i widzi, co dzieje się teraz. Wzdrygam się na samą myśl o tym.

- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdza.

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Patrzę w jego ciemne oczy i czuję, jak uchodzi ze mnie napięcie. - Ale dzięki za troskę.

Rozmowa z Tomem czyni kolację znośniejszą. Jestem jednak tak przybita z powodu zachowania Olivera, że kiedy wszyscy wstają i ruszają do baru na drinka, rozważam pozorowany atak tajemniczej choroby i pójście spać.

Oliver ściąga mnie wzrokiem. Kiedy przeciągle patrzy mi w oczy, zalewa do mnie fala sprzecznych uczuć. Dezorientacja i niepokój mieszają się z nadzieją. I właśnie ona każe mi - wbrew intuicji - zostać w barze na resztę wieczoru i w narastającym napięciu analizować każde słowo Olivera kierowane do mnie. Stopniowo ludzie z grupy się wykruszają, aż znów zostajemy we troje - Tom, Oliver i ja.

- Teraz ja stawiam. Dla ciebie to samo, Tom? - pyta Oliver, po czym odwraca się, obdarzając mnie najbardziej czarującym z repertuaru swoich uśmiechów. - Abby, nie chcę, żebyś posądzała mnie o chęć upicia, ale... co dla ciebie?

- Och, nie pozostawiasz mi wyjścia. - Śmieję się. - Niech będzie białe wino.

Oliver idzie po drinki. Tom opróżnia szklanekę.

- Domyślam się, że znów będziesz chciała posłać mnie do diabła - mówi.

Obserwuję Olivera, który zamawia drinki u barmanki z kaskadą ciemnych włosów i obfitym biustem, rozpychającym bluzkę z wysokim kołnierzykiem i muszką.

- Uhm, sama nie wiem - odpowiadam z roztargnieniem. W tej chwili mogę się skoncentrować jedynie na spojrzeniach, jakie Oliver rzuca pier-siastej barmance.

- Zdecyduj się - fuka Tom.

Oliver wyglodniałym wzrokiem pożera piersi dziewczyny. Na dodatek za każdym razem, gdy ona podchwytuje jego spojrzenie, udaje zakłopotanego. Zupełnie jak podczas naszego pierwszego spotkania na kolacji u Jess i Adama.

- Co? Przepraszam, nie słyszałam. - Budzę się z letargu.

- Mam sobie pójść? - powtarza Tom.

Znów spoglądam na Olivera. Rzuca barmance swój najbardziej uroczy i uwodzicielski uśmiech, po którym robi minę niewiniątka, mówiącą: nie mam pojęcia, jakie to atrakcyjne. Znam to zachowanie bardzo dobrze.

- Nie - mówię stanowczo, odwracając się do Toma. - Nie idź.

Chichot barmanki niesie się echem po sali. Oliver bierze drinki i zmierza do naszego stolika. Wbija we mnie przenikliwy wzrok.

- To znaczy tak.

- O rany, zdecyduj się, Abby. Oddycham głęboko.

- Nie idź. Albo nie, idź.

Oliver jest już kilka kroków od nas.

- To znaczy nie - rzucam nerwowo. - Zostań. Chcę, żebyś został. Kiedy Oliver siada, na twarzy Toma widzę grymas niezadowolenia.

- Przykro mi, Oliverze, ale sam będziesz musiał wypić to piwo. Ja się poddam, idę spać - mówi i wstaje od stołu.

- Zostań jeszcze na jednego drinka - proszę, starając się ukryć narastającą panikę. - Proszę, cię, Tom. Proszę - powtarzam z naciskiem.

Przeklinam w duchu całą sytuację. Spoglądam Tomowi w oczy i wtedy uderza mnie nagła myśl. Nie po raz pierwszy. Tym razem jednak uderza mnie z siłą tarana.

Mając przed sobą niewiarygodnie przystojną i męską twarz Toma, wiem, że nie chcę zostać sam na sam z Oliverem. Nie tylko dlatego, że na moich oczach flirtuje z inną kobietą i ignorował mnie przez ostatnich czterdzieści osiem godzin.

Główny powód jest inny. Mężczyzna, z którym naprawdę chciałabym zostać sam na sam, właśnie wstaje i zamierza wyjść. Wiem, że nie wolno mi tak myśleć, skoro w pokoju czeka na niego jego dziewczyna.

Boże, Abby!

Tom się waha. Widzę, jak zaciska szczęki.

- Nie, czas na mnie. Życzę wam obojgu dobrej nocy.

Przelotnie spogląda mi w oczy i odwraca wzrok. Ból ściska mi serce lodowatą łapą. Głos rozsądku mówi, że powinnam zdusić rodzące się uczucie do mężczyzny, którego nie mogę mieć.

Po wyjściu Toma Oliver pochyla się ku mnie, bierze mnie za rękę i zagląda w oczy, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości co do swoich

intencji. Nagle zadaje sobie pytanie, czy moje uczucia do niego nie były ucieczką przed Tomem.

Jeśli tak, czy komuś wyrządziłam krzywdę? W przeciwieństwie do Toma Oliver jest sam. Ja jestem sama. Ciągnie nas do siebie bardziej niż trochę. Wniosek powinien być oczywisty.

- Cieszę się, Abby, że znów mam cię dla siebie. Po tamtej nocy nie mieliśmy okazji porozmawiać. Trzeba to natychmiast naprawić.

Po raz drugi w tym tygodniu jestem sama z Doktorem Ciachem. Tyle że teraz nie mam pojęcia, co się wydarzy.

Rozdział 60

Znam odpowiedź, jeszcze zanim Oliver rzuca sponad mojego ramienia słodziutki uśmiech. Robi to odruchowo. Nie wiem, czy sądzi, że tego nie widzę, czy jest mu to obojętne.

Spoglądam za siebie, choć nie muszę. I bez tego zgaduję, kto przykuł jego uwagę. Kelnerka. Oliver ma chociaż tyle przyzwoitości, że robi zmieszana minę, gdy odwracam się do niego.

- Abby, tamta noc - mówi, ignorując swoją wpadkę - była cudowna. Chciałbym ją powtórzyć.

- Naprawdę? - pytam beznamiętnie.

- Oczywiście. Przecież doskonale się bawiliśmy, prawda? Wzruszam ramionami.

- Skoro tak mówisz.

- Chyba wiedziałaś od początku, że nie interesuje mnie stały związek? Uśmiecham się gorzko, coraz bardziej odrętwiała.

- Zabawimy się jeszcze po powrocie do domu?

- Czemu nie? - odpowiadam obojętnie.

Przelatują mi przez głowę myśli o Tomie, o Geraldine. Nie do wiary, że tyle czasu zmarnowałam na mrzonki o Oliverze. Nawet w takiej chwili jego wzrok wędruje ku innej dziewczynie.

- Jest późno, czas spać - mówię zdecydowanie.

Delikatnie klepie mnie po rękę. Po jego minie widać, że nie przejmie się moim odejściem, skoro ma w odwodzie kelnerkę.

- Dobranoc - rzuca.

Zamierzam wyjść, gdy tknięty nagłą myślą Oliver rzuca mi pełne sympatii spojrzenie.

- O co chodzi? - pytam.

- Wiesz - mówi w zamyśleniu - tamta noc naprawdę mi się podobała.

- W porządku. - Zbywam go wzruszeniem ramion.

- To dziwne, bo raczej nie gustuję w dziewczynach takich jak ty.

- Takich jak ja?

Milczy przez chwilę, jakby szukał odpowiednich słów.

- No wiesz, w pulchnych. - Rozpiera się na krześle, najwyraźniej zadowolony z użytego eufemizmu.

-Co?!

- Poważnie - ciągnie beztrosko. - To było dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

Zrzuciłam ponad siedem kilogramów, a facet nadal uważa mnie za pulchną?

- Nie rób takiej smutnej miny. - Śmieje się. - To przecież komplement. Nie każdy jest z natury sprawny fizycznie i szczupły. Poza tym to było trochę... perwersyjne. - Sądząc z błysku w jego oczach, powinnam skakać z radości.

- Perwersyjne? - powtarzam lodowato, niemal czując stalaktyty na migdałkach.

Kręci się na krześle, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że rozmowa przyjęła zły obrót.

- W perwersji nie ma nic złego - tłumaczy bez przekonania, potem pochyła się i całuje mnie w policzek, jednocześnie gładząc moje kolano. Jeszcze niedawno oszalałabym ze szczęścia. Teraz czuję się jak idiotka.

Rozdział 61

Nie mam dowodu, że Oliver wyszedł z kelnerką. A jednak nie trzeba być Jane Tennison, by się domyślić, że „wycieczka”, na którą się dzisiaj zapisał, oznacza zwiedzanie ud i innych części ciała dziewczyny. Wmawiam sobie, że nic mnie to nie obchodzi, ale to nieprawda.

Mimo iż moje uczucia do Olivera są nieco chłodniejsze, jestem upokorzona tym, że bzyka inną w niecałe dwa dni po przespaniu się ze mną.

Mam mętlik w głowie. Myśli o Tomie nie dają mi spokoju. Im bardziej staram się zapanować nad uczuciami, tym bardziej im ulegam. Na zbiórkę przed ostatnim biegiem przychodzę zupełnie rozstrojona.

- Wszystko w porządku? - pyta Tom podczas rozgrzewki. Przez cały ranek nie zdjęłam okularów przeciwsłonecznych. W tej chwili gratuluję sobie tego posunięcia. Tom stoi tak blisko, że z mojego spojrzenia wyczytałby rzeczy, które wolę zachować dla siebie.

- Jasne. - Uśmiecham się bez przekonania.

Przez cały dzień nie zamieniamy ani słowa. Tak zawzięcie walczę z uporczywymi myślami o Tomie, że pod wieczór pęka mi głowa. Kiedy Oliver siada obok mnie przy kolacji i zaczyna otwarcie flirtować - uśmiecha się, dotyka moich włosów, puszcza oko - czuję niemal wdzięczność.

Nasza grupa zachowuje się bardziej hałaśliwie niż dotąd. Jutro nie ma biegu, więc wszyscy dają sobie przyzwolenie na upicie się miejscowym winem. Wszyscy prócz Olivera, który o dziesiątej gdzieś znika. Niezbyt mnie to obchodzi.

Kiedy Geraldine przytula się do Toma coraz mocniej, zaczynam pić na umór. Alkohol przytępia ból patrzenia na szczęśliwą parę i pomaga otrząsnąć się ze wspomnień dwóch minionych wieczorów.

To spotkanie trwa dłużej niż poprzednie. W końcu klubowicze jednak pękają i jeden po drugim zaczynają się wykruszać. I znów zostajemy z Tomem sami. Wiem, że to bardzo niekorzystne dla mojej emocjonalnej i duchowej równowagi, ale w głębi serca cieszę się z tego.

- Twardzi z was zawodnicy - zauważa Mau. Wstaje i zarzuca torebkę na ramię.

- Czasem muszę odreagować, Mau - mówię, unosząc kieliszek z winem. - Poza tym wznawiam treningi natychmiast po powrocie.

- Baw się dobrze, kochana. - Mau uśmiecha się szeroko. - Miłej pogawędki z Tomem. To ci przypomni, że są jeszcze na świecie inni fajni faceci.

- O czym ty mówisz? - pytam. I wtedy uświadamiam sobie, że Mau wie o mnie i Oliverze. Prawdopodobnie wszyscy o nas wiedzą.

- Nie przejmuj się, Abby. - Mau puszcza do mnie oko. - Przynajmniej zakręcił się koło ciebie. Tylko ze mną nie próbował.

Tom i ja gawędzimy, aż bar pustoszeje i prócz nas zostaje tylko kelner polerujący szkło. Padam na nos ze zmęczenia, ale wstanie z krzesła, przejście do windy i położenie się do łóżka jest ponad moje siły. Mam jeszcze jeden powód, by tu tkwić. Od słowa do słowa nasza niezobowiązująca pogawędka o bieganiu i pracy zamienia się w poważną rozmowę.

- Skąd twoja wielka zażyłość z dziadkiem? - pytam nieco bełkotliwie.

- Prócz oczywistego powodu, że jest wspaniały? - Tom się uśmiecha. Pod wpływem tego uśmiechu czuję gwałtowny przyływ pożądania.

- Tak, prócz tego.

Tom spogląda na swoje dłonie.

- Moi rodzice zginęli w wypadku dwa lata temu. - Mówi to tak szybko, że dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie sens tego, co powiedział. - Został mi tylko dziadek.

- To straszne.

- Tak, straszne. - Wzdycha ciężko, wbijając wzrok w butelkę piwa. Kiedy nie odpowiadam, przenosi spojrzenie na mnie. Chyba już rozumiem, dlaczego Tom, zwykle otwarty i bezpośredni, czasem sprawia

wrażenie, że ma i ciemną stronę. Jest pełen sprzeczności - zabawny i serdeczny, lecz w głębi duszy smutny.

- Przepraszam, Tom - szepczę. - Wybacz, że poruszyłam ten temat.

- To ja go poruszyłem - oponuje łamiącym się głosem. Milknie i upija łyk piwa. - Miałem dwadzieścia dziewięć lat. Nie należę do kategorii sierot.

- Co nie oznacza, że ból jest mniejszy. Zaciska szczęki.

- Bardzo mi ich brakuje, to na pewno. Nawet ich kłótni - dodaje po chwili ze śmiechem. - Boże, ależ oni potrafili się kłócić!

Na dźwięk jego śmiechu zaprawionego nutką goryczy przechodzą mnie ciarki.

- A twoi rodzice? - pyta, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

- Są rozwiedzeni. Mama zostawiła tatę. Nigdy nie poznałam powodów. A on ciągle ją kocha.

- Boże! - Tom otwiera szeroko oczy.

- Do dziś nie mogę jej tego wybaczyć. Ale ona powtarza, że tylko ludzie, którzy tworzą związek, wiedzą, co tak naprawdę się w nim dzieje.

- Ma rację - stwierdza poważnie Tom.

- Tak sądzisz? Ja mam wątpliwości.

- Dlaczego?

- Weźmy moją przyjaciółkę... Jane. - Jeśli Tom domyśla się, że pod tym pseudonimem ukrywa się Jess, miłosiernie nie daje tego po sobie poznać. - Ostatnio przechodziła przedwczesny kryzys wieku średniego.

- Tak? - Tom unosi brew.

- I przeżyła chwilową fascynację kolegą z pracy. -Uhm...

- Nie była pewna, czy nadal kocha męża. Potem rozmawiałyśmy o tym i przypomniałam jej, jakim cudownym człowiekiem jest jej mąż. I jak bardzo ją kocha. Jaką wspaniałą tworzą rodzinę. I... Jane zaczęła doceniać to, co ma.

-Hm.

- Widzę, że jesteś sceptyczny - mówię.

- Nie. Jestem pewny, że masz rację. Przynajmniej jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę. Tyle że... no cóż, ludzie są różni. - Zaczyna zdzierać etykietkę butelki. - Weź Geraldine i mnie. - Na dźwięk tego imienia ściska mnie w żołądku. Zupełnie jakby moje ciało buntowało się przeciwko temu, że Tom jest zajęty.

- Tak? - pytam z wahaniem.

- Geraldine jest wspaniała - mówi Tom i znów spogląda mi w oczy. - Naprawdę, Abby. Gdyby nie ona, nie wiem, co bym zrobił po stracie rodziców.

- Pomogła ci przez to przejść?

- Tak. - Marszczy czoło, namyślając się nad następnym zdaniem. - Ma mnóstwo zalet. Jest piękna, inteligentna. Ma lekkiego fioła na punkcie małżeństwa i dzieci, ale trudno uznać to za wadę. - Jego czuły uśmiech sprawia, że czuję ukłucie zazdrości. - Jesteśmy razem od trzech lat. - Mówi wolno i rzeczowo, starannie dobierając słowa. - Nie pozostaje mi nic innego, jak ją kochać. I kocham ją. Nie mogę znieść myśli, że mógłbym ją skrzywdzić.

Zastanawiam się, czy mówi do mnie, czy raczej do siebie.

- Więc w czym problem? - pytam drżącym głosem.

- Nie ma problemu - odpowiada beznamiętnie. Czeka na ciąg dalszy.

Na twarzy Toma malują się sprzeczne uczucia. Mam wrażenie, że próbuje najpierw sam dojść z nimi do ładu. Nie udaje mu się.

- Skoro tak, to dlaczego dotąd jej się nie oświadczyłem, Abby? Dlaczego nie daję jej tego, czego tak bardzo pragnie: dzieci i wspólnego szczęśliwego życia? Dlaczego?

Milczę. Słowa Toma dźwięczą mi w uszach. Obsesja Geraldine na punkcie małżeństwa i dzieci może i wymknęła jej się spod kontroli, ale nie zmienia tego, co Tom właśnie powiedział. Nadal uważam ją za dobrego człowieka. Dowiodła tego, pomagając Tomowi uporać się z bólem po stracie rodziców. Poza tym nie wierzę, że wcieli w życie swój desperacki plan.

- Może... - zaczynam i milknę.

- Może co? - pyta Tom, wbijając we mnie wzrok w oczekiwaniu na olśnienie.

Jest tylko jedna uczciwa odpowiedź, jaką mogę mu dać, choć robię to wbrew sobie.

- Nie wiem, dlaczego dotąd tego nie zrobiłeś, Tom. Ale może powinieneś - mówię, czując narastający żal.

Temat Geraldine to dopiero początek. Potem rozmawiamy o OHverze, Jess, Mau (Tom zastanawia się, czy poznać ją z dziadkiem), mojej firmie, jego motocyklu, naszym dzieciństwem. Gadamy jak najęci do utraty tchu.

- Tom, to obłąd. Wiesz, która godzina? Zerka na zegarek.

- Wpół do piątej - odpowiada. - I co z tego? Myślałem, że masz „ekscytujące życie”.

- Bo mam. Dlatego pójdę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, a potem kładę się spać.

- Idziesz na spacer o wpół do piątej rano? - Tom się uśmiecha.

-Umiesz korzystać z życia.

- Zamknij się. - Wybucham śmiechem. - Idziesz ze mną czy nie?

Rozdział 62

O tej godzinie w ośrodku panuje cisza. Chwiejnym krokiem schodzimy z tarasu. Palą się światła, ale wokoło nie ma żywej duszy. Powietrze jest parne i ciężkie.

- Co sprawia, że baseny nocą tak kuszą? - zastanawia się Tom, gdy zygzakiem wędrujemy po wypiełgnowanych ścieżkach wokół hotelu. Powierzchnia olbrzymiego basenu jest gładka jak stół. Na dnie migoczą lampki.

- Przypominają pierwszy śnieg - mówię. - Jest coś takiego w ludzkiej naturze, co każe człowiekowi wleźć w tę dziewiczą biel i ją spaskudzić.

- A może chodzi o chęć złamania zakazu nocnych kąpieli?

- Naprawdę jest taki zakaz? - Tak.

- Poważnie?

- Poważnie - Tom się uśmiecha.

- Urzędasz potrafią zepsuć każdą zabawę. A ja myślałam, że ludzie po prostu boją się wskakiwać do basenu po ciemku.

- Jak ty? - docina mi.

- Nie jestem mięczakiem. Mówiłam ci, że...

- Tak, wiem, masz ekscytujące życie, więc idź na całość.

Wytrzeszczam oczy.

- To znaczy co? - pytam oszołomiona.

- Wskakuj - odpowiada spokojnie.

- Nie wygłupiaj się.

- Wiedziałem, że nie wskoczysz.

- Jeśli chcesz mnie sprowokować, to ci się nie uda. Możesz mnie nazwać nudziarą, ale za żadne skarby nie wskoczę do basenu o piątej nad ranem. Nie ma mowy.

- Niech ci będzie - mówi Tom i zdejmuje podkoszulek. - Nie wiesz, co tracisz.

Gdyby dwadzieścia cztery godziny temu ktoś mi powiedział, że wczesnym rankiem będę pływająca rozchichotana w samej bieliźnie w hotelowym basenie w towarzystwie Toma Bronte, odesłałabym go do psychiatry.

Mimo nieprzyjemnych przeżyć ostatnich czterech dni, emocjonalnej huśtawki i upokorzeń, doskonale się bawię. Chociaż wewnętrzny głos mówi mi, że mogę tego żałować, powtarzam sobie, że właśnie po to są wakacje. I że nikogo nie krzywdzimy. A jeśli nawet, to będę się o to martwiła jutro. Czuję się jak kobieta z reklamy tamponów - gotowa zawojować świat.

- Nie umiałem pływać do czternastego roku życia! - woła Tom z przeciwległego końca basenu. Jest mi zaskakująco ciepło. Przynajmniej kiedy się ruszam.

- Naprawdę? - Wypluwam chlorowaną wodę.

Podpływa do mnie kraulem, tnąc wodę szybkimi i wprawnymi ruchami ramion. Nie wygląda na kogoś, kto tak późno nauczył się tej sztuki. Zatrzymuje się niecałe dwa metry ode mnie.

- Potwornie bałem się wody. Nie wiem dlaczego. Moja biedna mama prowadziła mnie na zajęcia pływackie dla dzieci, a ja umierałem ze strachu.

- Kiedy zmieniłeś zdanie?

- Zacząłem chodzić na lekcje pływania.

- Ale co cię skłoniło, żeby zacząć brać te lekcje?

- Sam nie wiem. - Opiera się o brzeg basenu. Woda rozbryzguje się o jego atletyczną klatkę piersiową. - Wierzę, że trzeba stawiać czoło własnym demonom. Może właśnie dlatego cię podziwiam.

Oblewam się rumieńcem.

- Podziwiasz mnie?

- Nie paliłaś się do biegania, ale wytrwałaś. Nikt ci tego nie odbierze. Uśmiecham się. I wtedy przychodzi mi do głowy pytanie, które rzucam bez namysłu:

- Czy według ciebie jestem pulchna?

- Tylko nie to! - krzyczy z udawaną zgrozą. - Nie dam ci się zapędzić w kozzi róg jednym z tych babskich pytań, na które nie ma dobrej odpowiedzi.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Chichoczę niewinnie. - Chcę tylko, żebyś był ze mną szczery.

Podpływam do rogu, w którym odpoczywa Tom. Opieram ramiona o krawędź basenu. Po chwili orientuję się, że jestem za blisko niego. Stanowczo za blisko. Czuję falowanie wody, gdy porusza nogami.

- Nie wykręcaj się - ponaglam.

- Hm - zaczyna z ociąganiem - a chcesz być pulchna?

- Tego ci nie powiem.

- Dlaczego?

- Bo to byłoby oszustwo, a ja chcę poznać twoją szczerą opinię.

- Wcale nie. - Śmieje się i pryska mi w twarz wodą. - Chcesz uspić moją czujność.

Nie pozostaję mu dłużna i też go opryskuję.

- Skoro tak, to rozumiem, że uważasz mnie za grubą.

- Nie uważam cię za grubą. Jesteś w sam raz.

- Naprawdę? - pytam, nie posiadając się z radości.

- Tak. - Wzrusza ramionami. - Prawie bliska ideału. Czy to właściwa odpowiedź?

Mrużę oczy.

- To zależy, czy powiedziałeś tak, bo uznałeś, że to będzie właściwa odpowiedź... czy naprawdę tak myślisz.

Naszą leniwą rozmowę przerywa odgłos otwieranych drzwi restauracji i kroków, którym towarzyszą podniesione głosy wykrzykujące coś po hiszpańsku. Serce mi łomocze. Nieruchomieję z przerażenia.

W miarę zbliżania się kroków i narastania głosów jestem pewna, że zostaniemy nakryci. I wtedy Tom obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie. Po chwili opieram głowę na jego ramieniu, a on zamyka mnie w mocnym uścisku. Jesteśmy poza zasięgiem wzroku ludzi, którzy znaleźli się na hotelowym tarasie.

Niezrozumiała dla nas kłótnia trwa w najlepsze. Po długim jak wieczność czasie głosy oddalają się na bezpieczną odległość. Zagłusza je bicie mojego serca i szum krwi w uszach.

Modłę się w duchu, żeby głosy całkiem zniknęły. Ale ważniejsze staje się co innego: moja pozycja. I pozycja Toma. Nasza jedność, której jestem świadoma aż do bólu.

Jesteśmy prawie nadzy, oplatamy się rękami i nogami. Zastygli w bezruchu, przywieramy do siebie tak ciasno, jak to tylko możliwe między dwojgiem ludzi.

Podnoszę wzrok. Kiedy napotykam spojrzenie Toma, wszystko staje się jasne. Czuję przyływ adrenaliny. Nie wiem, czy bardziej ze strachu przed przyłapaniem w basenie, czy z podniecenia.

Głosy milkną. Mam nadzieję, że nie wrócą. Otwieram usta, ale Tom kładzie na nich palec. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymuję się, by nie pocałować miękkiej opuszki. Po chwili głosy wracają. Kiedy myślę, że bliżej Toma już być nie mogę, otacza ramieniem moją szyję i przyciąga do siebie jeszcze bardziej.

Ten ruch wywołuje zmarszczki na wodzie. Zamieram. Boję się, że tym razem nas przyłapią. Wtulam policzek w szyję Toma i zamykam oczy. Czuję ciepło jego ciała. Ogarnia mnie pragnienie tysięcy razy silniejsze od tego, jakie odczuwałam w obecności Olivera.

Mam wrażenie, że krew gotuje mi się w żyłach. Kroki się oddalają. Odgłos zamykania drzwi niesie się echem przez patio. Droga wolna, możemy wyjść z wody.

Jednak żadne z nas się nie rusza. Milczymy. Tom nie zwalnia uścisku, nie odpływa. Oczy płoną mu tym samym niepowstrzymanym pragnieniem, jakie na pewno widzi w moich oczach.

- Naprawdę tak myślę - szepcze.

Nachyla się, milimetr po milimetrze zmniejszając dystans między naszymi twarzami, aż jego oddech muska mi wargi.

Nasze ciała pod wodą stapiają się w jedno. Nie potrafię powiedzieć, gdzie kończę się ja, a gdzie zaczyna Tom. Kiedy staje się jasne, że Tom zaraz mnie pocałuje, nie myślę o konsekwencjach. Nie myślę o aspektach moralnych całej sytuacji. Wiem jedno: nigdy nie przeżywałam czegoś podobnego.

Uniesienie trwa krótko. Po chwili wraca mi trzeźwość umysłu. Odsuwam się od Toma z gwałtownością zaskakującą nas oboje.

- Gerladine jest na górze - szepczę. Zbiera mi się na płacz. - A ja... ja nie jestem twoją dziewczyną.

- Wiem. - Tom przetyka ślinę, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Wiem - powtarza.

Rozpaczliwie pragnę go pocałować, zapominając o tym, co przed chwilą powiedziałam. Chcę spędzić w jego ramionach całą noc, czuć dotyk jego warg na szyi. Pragnę tego rozpaczliwie, a jednak nie mogę temu pragnieniu ulec.

- Tom - szepczę, odwracając wzrok - nie możemy. Zasłania ręką usta. Ból na jego twarzy rani mi serce.

- Wiem. - Kiwa głową. - Wiem.

Kiedy ociekając wodą, półnaczy wracamy do hotelu, dręczy mnie myśl, co powiemy sobie przy śniadaniu.

Rozdział 63

Nigdy się tego nie dowiem. Zamiast pójść na pożegnalne śniadanie, zostaję w łóżku.

Nie tylko z powodu kaca, koszmarnego wyglądu i obolałego ciała. Doskonałą sztukę uników. Wolałabym raczej podciąć sobie żyły niż wpaść dziś rano na którąś z następujących osób:

- a) Toma (z oczywistych względów);
- b) Geraldine (ze względów jeszcze bardziej oczywistych);
- c) OHvera (w ostateczności, aczkolwiek niechętnie, wolałabym wpaść na niego niż na osobę „a” czy „b”);
- d) Mau (szóstym zmysłem wyczułaby, że coś się święci);
- e) Janice (która będzie chciała opchnąć mi pakiet na przyszły rok).

Mam zamiar wylegiwać się do oporu. Zwlokę się z łóżka dopiero po to, by spakować rzeczy na popołudniowy samolot.

Naciągam kołdrę na głowę, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

Boże, litości! Nie mam ochoty nikogo oglądać. Nawet siebie, nie mówiąc o innych. Godzinę temu w łazience spojrzenie w lustro sprawiło mi fizyczny ból. Nie tylko z powodu skołtunionych od lakieru i chlorowanej wody włosów, które mogłyby posłużyć jako strzecha do pokrycia dachu niewielkiej lepianki.

Postawmy sprawę jasno: zrobiłam Geraldine świństwo. Nieważne, że nie pocałowałam Toma. Ważne, że chciałam. Rozpaczliwie chciałam. I to jeszcze zanim wylądowaliśmy objęci w basenie.

Co gorsza, gdy na chwilę zapominam o wstręcie do samej siebie, zatapiam się w słodkich i zmysłowych wspomnieniach wczorajszej nocy.

Kiedy zamykam oczy i wciągam głęboko powietrze, czuję zapach Toma, smak jego skóry. To najcudowniejsze doznanie na świecie.

Otwieram szeroko oczy i potrząsam głową, by natychmiast tego pożałować. Z powodu kaca mam wrażenie, że mózg wypada mi z czaszki. „Abby - mówię do siebie - nie możesz ulegać tym fantazjom. Tom jest zajęty. Jest od trzech lat z kobietą, którą kocha. Sam to przecież powiedział”.

To ostatnie stwierdzenie sprawia, że czuję ukłucie w sercu.

Pukanie nie ustaje. Zwlekam się z łóżka i wkładam szlafrok, przygotowując się do konfrontacji z Janice i jej broszurkami. Otwieram drzwi. Zamiast Janice widzę Toma.

Ma na sobie bojówki i ciemnoszary podkoszulek. Ten sam, w którym widziałam go, gdy poznałam jego dziadka. Jest zwyczajny, ale Tom wygląda w nim doskonale. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę ze swojej wyjątkowej atrakcyjności. Sprawia wrażenie zupełnie nieświadomego, ale czy to w ogóle możliwe? Czyż Oliver nie zachowywał się podobnie?

Mimo to czuję, że Tom jest inny niż Oliver. Wiem to na pewno. Nie na tym polega problem z Tomem. Chodzi o to, że jest chłopakiem innej.

- Cześć - rzuca na powitanie.

- Cześć - odpowiadam. Walczę z chęcią przyciągnięcia go do siebie i powrotu do wczorajszego wieczoru. Nienawidzę się za to.

- Mogę wejść? - pyta z poważną miną.

- To nie jest najlepszy pomysł. - Odpowiedź przychodzi mi z trudem.

- Tu nie możemy rozmawiać.

- W ogóle nie powinniśmy rozmawiać - szepczę.

- Dlaczego nie? Odkąd się poznaliśmy, nie robimy nic innego, tylko rozmawiamy. Jeśli coś wygląda podejrzanie, to...

- Dobrze już, wejdź. - Wzdycham ciężko, przypuszczając, że dziś rano jest bardziej zdolny do logicznych wywodów niż ja.

Tom starannie zamyka za sobą drzwi.

Siadam na brzegu łóżka w pełni świadoma tego, jak koszmarne wyglądam. Tom zyska potwierdzenie, że jego wczorajsza opinia na mój temat była efektem omamów wzrokowych wywołanych nadmiarem piwa.

Jeśli dojdzie do wniosku, że w świetle dnia nie jestem choćby w połowie tak atrakcyjna, jak twierdził, łatwiej mi będzie znieść całą tę sytuację. Jednak ściskanie w żołądku zdradza moje prawdziwe uczucia. Chcę, żeby Tom pragnął mnie tak bardzo, jak ja pragnę jego.

Siada przy mnie, a ja odsuwam się nerwowo. Tom reaguje ściągnięciem brwi.

- Uhm... wczoraj wieczorem - zaczyna i milknie.

- Przepraszam cię, Tom - mówię.

- Za co? - pyta zaskoczony.

- Za wszystko. Okropnie się czuję z powodu Geraldine. Zamyka oczy i pociera dłonią policzek.

- Nie masz powodu, żeby czuć się okropnie. Nawet się nie pocałowaliśmy.

- Ale było blisko.

- To ja powinienem tak się czuć. To ja powinienem... no wiesz...

-Urywa i patrzy mi w oczy. - Nie jestem takim gościem.

- Jakim?

- Gościem, który... no wiesz. W basenach. W środku nocy.

Przygryzam wargi.

- Wiem. Nikomu o tym nie powiem.

- Nie po to przyszedłem.

- Więc po co? - pytam. Tom wciąż na mnie patrzy.

- Sam nie wiem - odpowiada.

W moje serce wstępuje desperacka nadzieja, ale natychmiast przywołuję się do porządku. Nie mogę jej ulec. Muszę wziąć się w garść.

- Tom, mogę coś zasugerować? Wróc do pokoju, znajdź Geraldine i udawaj, że wczorajszej nocy nie było.

-Ale...

- Mówię poważnie.

Twarz mu tężeje, widzę, że jest coraz bardziej spięty.

- Więc... nic do mnie nie czujesz? Nic a nic?

Wyobrażam sobie Geraldine w pokoju piętro niżej, nieświadomą tej rozmowy. Jak bym się czuła na jej miejscu, gdybym za swoją miłość, lojalność i wsparcie okazywane mężczyźnie dostała taką zapłatę?

Przyzwoite postępowanie nigdy nie jest łatwe. W tym przypadku przyzwoitość nakazuje mi zrobić coś tak trudnego, że słabo mi się robi na samą myśl. Widzę ból w oczach Toma, wiem jednak, że gdybym postąpiła inaczej, nie mogłabym z tym żyć.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Tom - mówię zdławionym głosem. - Wczoraj wieczorem byłam pijana. To wszystko. Nic do ciebie nie czuję prócz przyjaźni. A jako przyjaciela bardzo cię cenię. I niech tak zostanie. Dla dobra nas wszystkich.

Rozdział 64

Po powrocie do domu mogę zrobić tylko jedno: zwierzyć się najlepszej przyjaciółce.

- Chcę dobrze zrozumieć - mówi Jess, gdy jadąc do taty na kolację, rozmawiam z nią przez telefon. Moja lodówka była zupełnie pusta i zamiast spędzić wieczór nad jakimś gotowym daniem na wynos, postanowiłam uciec z domu. - Spałaś z Oliverem i obcałowywałaś się z Tomem, tak? Podczas jednego wyjazdu?

- Nie! - protestuję energicznie. - Nie, nie, nie! Nie obcałowywałam się z Tomem. Nawet go nie pocałowałam. To był... prawie pocałunek.

- Ale wylądowałaś z nim w basenie półnaga, a on cię obejmował?

- Brzmi strasznie, kiedy tak to opisujesz. - Wzdycham ciężko.

- A jak inaczej mam to opisać?

W głosie Jess jest coś dziwnego. Coś jak potępienie. Szczerze mówiąc, mogłam się tego spodziewać. Jess zna Geraldine od dawna.

- Ale z Oliverem się przespałaś, prawda?

- Tak - mamroczę niewyraźnie, jakbym bała się kary.

- To w którym jesteś teraz zakochana?

Milczę przez chwilę. Wstydzę się przyznać do pomyłki.

- W OHverze, tak? - draży Jess.

- Prawdę mówiąc - nie. Miałaś rację co do niego.

- O! - W głosie Jess słyszę zaskoczenie. - Co cię skłoniło do zmiany zdania?

- Może jestem staroświecka, ale chciałam, żeby to było coś więcej niż seria przypadkowych bzykanek.

-Hm.

- Poza tym... - Wstyd nie pozwala mi przyznać się, co czuję do Toma - ... następnego dnia Oliver flirtował z tą ciemnowłosą kelnerką.

- Z Adrianą? Świetne cycki, piękne oczy i duży tyłek?

- Tak, z tą. - Jess milczy. - Jesteś tam, Jess? - pytam.

W tle słyszę głos Jamiego i już wiem, co odciągnęło jej uwagę.

- Muszę już kończyć - oznajmia Jess. - Będziesz jutro na treningu? Pogadamy po nim.

Rozłączam się. Wjeżdżam na podziemny parking pod blokiem taty i wtedy przypominam sobie, że jutro w River Web Design zaczyna pracę Hazel, nowa pracownica.

Z radością wracam do firmy, chociaż takie uczucie to rzadkie zjawisko po urlopie. Pragnę powrotu do normalności. Poza tym moje naciski na spóźnionych płatników zaczęły przynosić owoce. Z Hazel w zespole możemy zacząć pracę nad zmianą marki Diggles, czego nie mogę się już doczekać.

Wyskakuję z auta i ruszam w stronę schodów, gdy widzę jarmarczną makramową spódnicę i pseudoartystyczne botki z owczej skóry. Podnoszę głowę. Po schodach schodzi Karen, dziewczyna taty. Ma minę, jakby przed chwilą skończyła ssać szmatę nasączoną benzyną.

- Cześć, Karen - rzucam radośnie. - Jak się udała konferencja w zeszłym tygodniu?

- Witaj, Abby - odwarkuje Karen, odrzucając włosy. - Współczuję ci.

- O! A dlaczego?

- Naprawdę ci współczuję. - Karen krzyżuje ręce na piersi. Dopiero teraz zauważam jej zaczerwienione oczy. - Twój ojciec ma problem.

-Tak?

- Odchodzę od niego.

- Taaak?

- Nie rób takiej zadowolonej miny. - Marszczy czoło.

- Nie robię. Myślałam, że... pasujesz do niego. Naprawdę. - Akurat, dodaję w duchu.

- Szkoda, że on tak nie uważał. Jedno mu trzeba przyznać: nigdy mi tego nie okazał.

Karen mija mnie energicznie. Z trudem unikam trafienia jej koralami. Nagle przystaje i obraca się na pięcie.

- Abby, muszę ci jeszcze coś powiedzieć. -Co?

- Coś o twoim ojcu. Przykro mi, ale takich spraw nie powinno się przemilczać. Musisz o tym wiedzieć, nawet jeśli cię to zabol.

- Naprawdę muszę? - Krzywię się.

- Musisz. Wydaje mi się, że twój ojciec ciągle kocha twoją mamę.

Gdyby Karen wiedziała, jaki efekt wywołają jej słowa, miałyby zepsuły dzień. Gryzę się więc w język i nie oznajmiam jej, że wiem o tym od szesnastu lat. Zamiast tego udaję zaskoczenie i oburzenie. Tylko ona jest na tyle tępa, by w to uwierzyć.

Tata otwiera mi drzwi z niewyraźną miną, lecz na mój widok zbiera się w sobie.

- Witaj, skarbie. - Uśmiecha się blado. - Wejdz. Nie przygotowałem kolacji. Coś się stało.

- Spotkałam Karen na schodach - mówię niepewnie.

- Aha. - Na jego twarzy pojawia się błysk zrozumienia. - Więc już wiesz. Potakuję.

- Nie pasowaliśmy do siebie - mamrocze tata.

Zamawiamy jedzenie na wynos. Wiem, że jest zakazane, ale mieliśmy do wyboru albo to, albo resztki z zamrażarki taty: mrożonego indyka z ostatniego Bożego Narodzenia i połowę paczki groszku.

Po kolacji siadamy na kanapie i gawędzimy, popijając herbatę. Opowiadam mu o wyjeździe na Teneryfę. Przedstawiam oczywiście wersję ocenzurowaną.

- Brzmi super - stwierdza tata. - Może następnym razem się z tobą wybiorę. - Na widok mojej miny dodaje pośpiesznie: - Nie bój się, żartowałem.

Bierze ode mnie pustą filiżankę i odstawia ją na kuchenny blat.

- Tato? - zaczynam, jakbym chciała go poprosić o pożyczenie auta.

-Tak?

- Będzie ci brakowało Karen?

Wygląda na zaskoczonego tym pytaniem. Tata i ja nigdy nie umieliśmy rozmawiać o sprawach sercowych. Tyle że przed Karen nie miał żadnej kobiety i z żadną się nie rozstał. Wraca na kanapę.

- Tak, będzie mi jej brakowało. Nie była miłością mojego życia, ale nigdy nie chciałem zestarzeć się w samotności.

- Mówisz jak stuletni staruszek. Poza tym nie zestarzejesz się w samotności. Masz mnie.

- Wiesz, o czym mówię - łagodnie wchodzi mi w słowo. Spoglądam na ekran telewizora i czuję nagłą falę tęsknoty za Tomem.

Tym razem nie ma to nic wspólnego z seksem. Chcę po prostu z nim porozmawiać. Chcę, żeby mnie przytulił. Wyobrażam sobie, że leżę na kanapie w jego ramionach.

- Tato?

- Słucham?

- Myślałeś kiedyś o tym, żeby zejść się z mamą?

Jest zaskoczony. Nie wiem, skąd we mnie potrzeba sondowania taty akurat teraz, skoro dotąd nigdy o to nie pytałam. Przypuszczam, że to wynik emocjonalnej huśtawki ostatnich dni.

- Liczyłem na to - odpowiada z ociąganiem.

- Ale mama nie chciała?

Staram się ukryć swoją dezaprobatę dla jej zachowania i po ich rozstaniu, i potem.

Tata spogląda na mnie ze zmarszczonym czołem.

- To nie tak, Abby. Uśmiecham się kwaśno.

- Och, tato, dlaczego po tylu latach jeszcze jej bronisz?

- Po co miałbym jej bronić? - pyta zdezorientowany. Zupełnie jakby nigdy nie przyszło mu do głowy, że mama zrobiła coś złego.

- Wiem, że nadal ją kochasz - ciągnę. - Ona też wie. Nawet Karen o tym wie.

- Karen ci to powiedziała? - Tata jest coraz bardziej wstrząśnięty, mimo to nie żałuję, że poruszyłam ten temat.

- Mamy rację, prawda? Gdyby to od ciebie zależało, nigdy byście się nie rozstali. Nie martw się. Wiem, że to wina mamy, nie twoja.

Tata rzuca mi pełne bólu spojrzenie, jakbym poraziła mu serce prądem.

- Wina... mamy? - powtarza wolno, z niedowierzaniem.

- Tak. To przecież przez nią wasze małżeństwo się rozpadło. W jednej chwili tata robi się szary na twarzy.

- To nie była jej wina, Abby.

- Tato, nie wciskaj mi tych samych bzdur co mama: że niby „wasze drogi się rozeszły, oddaliliście się od siebie”. - Robię w powietrzu znak cudzysłowu i przewracam oczami. - Znam sytuację. Wiem, że mama mogła zostać. Wiem...

- Nic nie wiesz - przerywa mi ojciec tak gwałtownie, że milknę jak zamknięta z impetem pozytywka.

- Tato, o co chodzi? - szepczę.

Pociera dłonią czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Tak myślałaś przez te wszystkie lata? Że rozstaliśmy się przez mamę?

- Zapominasz, że przy tym byłam - podkreślam. - Pamiętam dzień, w którym odeszliśmy. A raczej mama zdecydowała, że odchodzimy. Pamiętam wszystko.

W oczach taty błyszczą łzy. Ten widok jest dla mnie szokiem.

- Dobrze, Abby. Mama mnie zostawiła. Czy to zamyka temat?

- Nie rozumiem.

- Czegoś w tej układance brakuje. Nie wiesz, dlaczego mnie zostawiła. A to zasadnicze pytanie.

- Więc... dlaczego?

Spogląda przez okno, gryząc kciuk. Boję się, że zaraz zobaczę krew.

- No mów! - ponaglę go. - Nie możesz zaczynać tematu, a potem milczeć.

- Twoja mama zawsze uważała, że córka nie powinna wiedzieć pewnych rzeczy o rodzicach. To ona nie chciała ci mówić.

- Mówić o czym? Nie jestem już dzieckiem.

- Nie mogę dopuścić, żebyś oskarżała mamę, skoro... - Tata mówi bardziej do siebie niż do mnie.

- Tato - przerywam mu stanowczo - mów do mnie. Odwraca się z płonącym wzrokiem.

- Miałem... przygodę - oznajmia. Czuję ściskanie w żołądku.

- Romans? - pytam.

- To nie był romans. To była przygoda na jedną noc. Głupi wyskok. Głupi to mało powiedziane. Oboje tego żalowaliśmy. I żalujemy do dziś. Ale nie o tym chciałem mówić...

- Więc miałeś przelotną przygodę - wybucham, zaszokowana tą informacją, ale nie składam broni. - W małżeństwie takie rzeczy się zdarzają. Trzeba było jakoś rozwiązać ten problem. Mama nie musiała odchodzić. Mogła...

- Abby, przestań! - krzyczy tata. Łzy płyną mu po policzkach, w jego udreńczonych oczach widzę wstyd. - To była ciocia Steph. Przespałem się z siostrą twojej mamy.

Rozdział 65

Każda rodzina ma swoją tajemnicę. Wyjawiona przez tatę tajemnica mojej rodziny w jednej chwili zburzyła jedno z najbardziej podstawowych przekonań, jakie żywiłam przez lata.

- Mama nie chciała ci o tym mówić. Miałaś wtedy dwanaście lat. I bez tego było ci ciężko. Umówiliśmy się, że jeśli kiedyś zapytasz o powód rozstania, szczerze ci odpowiemy. Ale ty nigdy nie zapytałaś. - Tata wzdycha ciężko.

- Nie pytałam, bo byłam przekonana, że wiem, co się stało. - Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło. - Mama zawsze powtarzała, że wasze drogi się rozeszły. Dawała do zrozumienia, że poszło o twoje małe dziwactwa i twoją służbę w wojsku.

- To było najprostsze wyjaśnienie. A ja w ogóle uciekałam od tych myśli. Byłem strasznym tchórzem. - Uderza pięścią w otwartą dłoń. - To ja zadałem wam ból, a stworzyłem sobie mit, że rozwód po prostu nam się przytrafił.

Gryzę nerwowo paznokcie.

- Chyba żałuję, że się dowiedziałam.

- Może lepiej by było, gdybyś nie wiedziała, ale nie mogłem spokojnie słuchać twoich oskarżeń pod adresem mamy.

Spoglądam na swoje dłonie i widzę, że drżą.

- Jak to się stało? - pytam ochrypłym głosem.

- Tak mi wstyd - szepcze tata, po czym patrzy mi w oczy i zbiera się w sobie. - To było latem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Miałem urlop. Byłem w domu od dwóch tygodni, gdy zadzwonił mój kumpel Thommo. Miał wtedy urodziny i chciał wyskoczyć ze mną na drinka. Nie miałem ochoty, ale mama namówiła mnie, żebym poszedł.

- I co dalej?

- Urzneliśmy się, jak to mają w zwyczaju młodzi mężczyźni po długim niewidzeniu.

- Przecież ty nie pijesz - zauważam.

- Teraz nie. Od tamtej pory nie tknałem alkoholu. - Milknij na chwilę.

- Przypadkiem natknęliśmy się na ciocię Steph i jedną z jej koleżanek. Chyba miała na imię Cheryl. Wpadła Thommowi w oko. Uparł się, żebyśmy spędzili z dziewczynami resztę wieczoru. Łaziliśmy za nimi do późna. Resztę pamiętam jak przez mgłę.

Nie wiem, czy mówi prawdę, czy chce oszczędzić mi szczegółów. Zerka na mnie i wyczuwa moje wątpliwości.

- W końcu wylądowaliśmy u Steph pijani w sztok. I właśnie wtedy... Nie każ mi ciągnąć tej opowieści, Abby.

Przełykam ślinę. Z wrażenia robi mi się słabo.

- To był tylko pocałunek czy... coś więcej? Zawstydzony spuszcza wzrok.

- Więcej.

Łzy płyną mu po policzkach.

- Dlaczego? Jak mogliście to zrobić?

- Przez wszystkie te lata ciągle o tym myślałem - mówi tata ze smutkiem. - Jeśli chodzi o Steph, to zawsze żyła w cieniu twojej mamy. Nie była tak błyskotliwa, tak ładna, tak charyzmatyczna. Gili i Steph nigdy otwarcie ze sobą nie rywalizowały, ale z perspektywy czasu widzę, że Steph chowała głęboką urazę do siostry.

- A ty?

Tata wzdycha z nieszczęśliwą miną.

- Dobre pytanie, skarbie. Jedyne wyjaśnienie jest porażająco proste alkohol, chwilowa ekscytacja i seks. Z tych idiotycznych powodów zmarnowałem sobie życie. Popełniłem straszliwy błąd. Nigdy przedtem nie zdradziłem. Nawet nie myślałem o zdradzie. Ale to nieistotne. Od tamtego czasu płacę za to wysoką cenę.

- Jak mama się dowiedziała?

- Od Steph, dwa tygodnie później. Steph powiedziała, że zżerają ją wyrzuty sumienia i nie umie żyć z tym sekretem. Nie wiem, czego się

spodziewała: że Gili wzruszy ramionami i powie: „Było minęło, siostrzyczko”. Niektóre kobiety umieją przymknąć oko na sprawy swoich niewiernych mężów, ale zdrada z siostrą? Rozumiem, dlaczego Gili nie mogła tego znieść.

Kiwam głową w zamyśleniu.

- Ja też. Taka rzecz jest... niewybaczalna.

Tyle myśli kłębi mi się w głowie, że nie wiem, której dać pierwszeństwo. Patrzę na tatę ze wzbierającą złością i... współczuciem. Potem myślę o mamie. Mojej kapitalnej stukniętej mamie, która już dawno temu mogła mi powiedzieć, dlaczego odeszła od taty, wołała jednak oszczędzić mi smutnej prawdy i cierpliwie znosiła moje oskarżenia.

- Steph już wcześniej napomykała o wyjeździe. Nie była typem ryzykant-ki, więc na mówieniu się skończyło. Ale po tej historii stanęła na głowie, żeby uciec jak najdalej. Mama wniosła o separację zaraz po tym, jak się dowiedziała o zdradzie, chociaż oficjalny rozwód wzięliśmy dopiero po kilku latach.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. Może tliła się w nas iskierka nadziei, że nie wszystko stracone? Ja miałem nadzieję. Mama też pewnie chciała by udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Ale czy to w ogóle możliwe?

Przeciągam ręką po włosach, czując coraz większe odrętwienie.

- Bardziej nie mogłam się pomylić, prawda? - mówię.

- Nie oczekuję, że mi przebacysz, Abby. - Po mojej twarzy powoli płyną łzy. Serce ściska mi się z żalu. - Sam nie umiem sobie tego wybaczyć. Ale przepraszam. Nawet nie wiesz, jak mi przykro.

Czuję przyływ złości, obrzydzenia i nienawiści. Nie spodziewałam się takiej intensywności negatywnych uczuć, zwłaszcza do ojca. Potem spoglądam na niego. Na kanapie siedzi płaczący mężczyzna, który zapłacił najwyższą cenę za swój błąd i nigdy się z tego nie otrząśnie.

- Co do jednego się nie pomyliłam - szepczę, odsuwając się od niego i patrząc w jego zaczerwienione oczy. - Ciągłe kochasz mamę, prawda?

Tata oddycha głęboko.

- Bardziej niż możesz to sobie wyobrazić.

Rozdział 66

Do półmaratonu zostały tylko dwa miesiące, a tymczasem Klub Biegacza jest ostatnim miejscem, w którym mam ochotę bywać. Wszystko przez wydarzenia na Teneryfie.

Rozważam rezygnację z treningów w klubie i trenowanie indywidualne, ale Jess jest przekonana, że stracę ducha współzawodnictwa. Ten pogląd pokrywa się z tym, co czytam na stronach internetowych dla biegaczy. Chodzę więc do klubu, usilnie starając się unikać Toma i Geraldine. Wypracowałam swoisty system uników: wpadam na trening w ostatniej chwili i pod byle pretekstem znikam zaraz po nim.

Jedyną pozytywną stroną tej sytuacji jest to, że po powrocie z Teneryfy grupę elektryzuje plotka o mnie i Oliverze. Moje dziwne zachowanie ludzie tłumaczą sobie tym, że Oliver mnie zbałamucił, a potem zostawił jak wczorajszą pizzę.

W normalnych warunkach czułabym się potwornie upokorzona. Ale to nie są normalne warunki. Dlatego nie mam nic przeciwko odgrywaniu białej pizzy na grubym spodzie z sosem pomidorowym. Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że po miesiącach polowania na Olivera, teraz ledwo go zauważam.

Mam jednak twardszy orzech do zgryzienia. Muszę pogodzić się z tym, do czego nie chciałam się przyznać od pierwszego dnia: że zakochałam się w Tomie. Bez pamięci.

Chociaż od powrotu z Teneryfy prawie nie odzywam się do niego i Geraldine, jestem przerażona. Nie wiem, czy źle odczytuję ich mowę ciała, ale mam wrażenie, że Geraldine coś podejrzewa. Nawet z daleka wyczuwam delikatną zmianę jej nastroju, gdy Toma i mnie dzieli tylko sześć metrów.

Mimo to, a może właśnie dlatego, spędzam długie godziny na rozmyślaniach o nim. Brak mi go jako przyjaciela, pragnę go jako kochanka. Chciałabym, żeby okoliczności były inne, ale niestety nie są. Wyznanie taty utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie chcę być odpowiedzialna za rozpad czyjegoś związku.

Kiedy zaczynam wierzyć, że dotrzmam do półmaratonu bez rozmowy z Tomem, dostaję od niego e-mail. Otwieram go z bijącym sercem.

Abby,

chcę z tobą porozmawiać. Boli mnie, że nie jesteśmy już przyjaciółmi.

Mam Ci mnóstwo do powiedzenia i żadnej okazji, żeby to zrobić. Daj mi szansę i mnie wysłuchaj. Jutro po treningu będę w winiarni U Keitha.

Proszę, przyjdź.

Tom

xx

Nie ma mowy, żebym poszła na to potajemne spotkanie. Podsyciłabym tylko uczucia, które tak bardzo staram się stłumić. Na dodatek Geraldine mogłaby się o tym dowiedzieć. Nie chcę jednak kłócić się z Tomem. Z namysłem układam odpowiedź.

Tom,

jutro nie mogę się z Tobą spotkać. Obiecałam Jess, że pójdę z nią do kina. Nie mówiłam, że nie jestem już Twoją przyjaciółką. Dla dobra wszystkich trzymajmy się od siebie z daleka. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Abby

Przez dziesięć minut zastanawiam się, czy pójść w jego ślady i dodać na końcu całusy. Najpierw dochodzę do wniosku, że jeden jest do przyjęcia. Stawiam go, po czym usuwam. Potem uznaję, że dwa są właściwsze, ponieważ jeden albo żaden oznaczają zbytnią powściągliwość. Po namyśle je usuwam. W pewnym momencie wpisuję nawet trzy ikсы, ale ostro

przywołuję się do porządku. Usuwaam wszystko, co ma podtekst seksualny, i wciskam klawisz „wyślij”.

Odpowiedź przychodzi po niecałych trzech minutach.

Abby,

jutro Jess ma rocznicę ślubu i idzie na kolację z Adamem. Sama mi

to wczoraj powiedziała. Będę U Keitha. Jeśli przyjdiesz, bardzo się

ucieszę. Jeśli nie, będę rozczarowany, ale zrozumiem.

Tom

Xxx

Bez namysłu wciskam klawisz „odpowiedz”.

Nie idź do Keitha. Nie przyjdę.

Odpowiada natychmiast:

Będę tam na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie. Mam nadzieję, że tak się stanie. Proszę.

Znów wciskam Odpowiedz.

Nie zmienię zdania. I nie będę otwierała kolejnych e-maili.

Po tej wymianie sprawdzam skrzynkę przez cały dzień, ale od Toma nie przychodzi już żaden e-mail. Wieczorem i następnego dnia wyobrażam sobie, co się stanie, jeśli jednak przyjdę. Po treningu unikam spojrzeń Toma, które śle w moim kierunku, i zachowując zimną krew - choć przychodzi mi to z ogromnym trudem - wsiadam do auta i jadę prosto do domu.

Myślę o Tomie przez cały wieczór, przygotowując kolację, biorąc kąpiel, wkładając piżamę i kładąc się do łóżka. Kiedy o wpół do jedenastej przychodzi SMS, serce we mnie zamiera. Rugam się za to duchu.

Zamiast imienia Toma widzę imię Jess.

OMB! Adam dał mi naszyjnik. Cudo! I mnóstwo innych prezentów. Dzięki ci, Abby, za wszystkie Twoje rady. Byłam idiotką. Nigdy więcej nie spojrzę na innego faceta i nie zrobię tego, co zrobiłam. Pogadamy jutro x

Przełączam telefon na wibracje i gaszę lampkę nocną. Przynajmniej jedna z nas jest szczęśliwa.

Rozdział 67

W sobotni poranek spotykam się z Jess w klubie piłkarskim Jamiego. Moja przyjaciółka wciąż przeżywa rocznicowy prezent od Adama.

- Abby, naszyjnik jest cudowny. - Promienieje ze szczęścia.

- Wiem. - Uśmiecham się szeroko. - Nie zdradzę, ile Adam za niego zapłacił.

- Wyobrażam sobie. Ale nie dlatego to cacko tak mi się podoba. Adam nigdy dotąd czegoś takiego nie zrobił. Powiedział, że chciał mi przypomnieć, jak bardzo mnie kocha. - Jess uśmiecha się, choć w jej oczach błyszczą łzy. - I zadziało.

- To dobrze - szepczę.

- Wstyd mi, że potrzebowałam takiego przypomnienia. W końcu to tylko rzecz, prawda?

- Cholernie piękna rzecz.

- Tak, ale nie o to chodzi. Najważniejsze, że mój mąż jest wyjątkowy. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Szkoda, że tak późno to zrozumiałam...

Siedzący z nami na ławce ludzie zaczynają klaskać. Patrzymy na boisko. Jamie właśnie strzelił gola. Jess i ja zrywamy się na równe nogi i krzyczymy na wiwat. Kiedy siadamy, Jess przyznaje:

- Gryzie mnie sumienie, Abby. Nie mogę spać. Jak mogłam pomyśleć o seksie z innym mężczyzną?

- Posłuchaj, Jess, przelotna przygoda zrujnowała małżeństwo moich rodziców, ale nie zrujnuje twojego. Ciesz się, że zmądrzałaś, zanim zrobiłaś coś naprawdę głupiego. I tego się trzymaj.

- Wybacz, Abby, nawet cię nie zapytałam, jak się czujesz po tych rewelacjach. Wszystko w porządku?

Wzruszam ramionami.

- Szczerze mówiąc, jeszcze się nie pozbierałam. Mam wyrzuty sumienia z powodu mamy. Przez pół życia miałam jej za złe, że zostawiła tatę. Gdybym wiedziała, co się naprawdę stało, zrozumiałabym jej decyzję o odejściu. Nie mówię, że by mi się spodobała, ale mogłabym ją zrozumieć.

- Rozmawiałaś z mamą?

- Uchowaj Boże.

- Dlaczego, skoro wina leży po jego stronie? - pyta Jess.

- Tata powiedział, że zawsze chciała oszczędzić mi nieprzyjemnych szczegółów ich rozstania. Mama uważa, że lepiej trzymać się ogólnikowej wersji. Będzie wściekła na tatę, że się wygadał.

- Rozumiem, dlaczego nie chciała ci zdradzić prawdziwych powodów ich rozstania - stwierdza Jess. - Wszyscy rodzice chcą chronić swoje dzieci przed taką bolesną prawdą. Gdyby Jamie kiedykolwiek się dowiedział, co zrobiłam... - Wzdryga się.

- Nikt się nie dowie - szepczę. - To zostanie między tobą, mną i Johnem. Nadal często widzisz go w pracy?

Jess przełyka ślinę. -Uhm.

- Wciąż coś do niego czujesz?

- Już nie, bo zrozumiałam, co czuję do Adama, i wreszcie przejrzałam na oczy. Ale ze mnie idiotka. Złapałam się na lep czułych słówek. Trzy miesiące temu dałam się zaciągnąć do łóżka, bo facet powiedział mi, że „mam oczy jak księżyc z bajki”. Ale ze mnie kretyńska! - Śmieje się gorzko.

Jej słowa mrozą mi krew w żyłach. Chcę zatrzymać naszą rozmowę, przewinąć ją do tyłu i przesłuchać od nowa.

- Co powiedziałaś, Jess? - pytam cicho.

- Uhm, co? - Jess klaszcze w roztargnieniu po kolejnym gołu Jamiego.

- Co powiedziałaś? - powtarzam spokojnie. - Jakimi słowami cię uwiódł?

Spogląda na mnie. Na widok mojej miny orientuje się, że popełniła błąd. Jedną nieopatrzna uwaga i tajemnica przestaje być tajemnicą.

Próbując zachować spokój, analizuję jej słowa i wyciągam jedyny możliwy wniosek.

- Nie ma żadnego Johna, prawda?

- C-co chcesz przez to powiedzieć? - pyta przestraszona.

- Dobrze wiesz, Jess.

- Nie wiem - idzie w zaparte, ale szyja jej pąsowieje.

- Jak sądzisz, jakie jest prawdopodobieństwo, że dwaj różni faceci wyskakują z tak ckliwym, żalonym i cholernie oryginalnym tekstem: „Masz oczy jak księżyc z bajki”.

- Czy... ktoś inny to powiedział? - pyta chłodno. Nie mam czasu na odpowiedź, ponieważ w tej samej chwili podbiega do nas Jamie. Trening właśnie się skończył. - Byłeś świetny, skarbie - mówi Jess, ale słowa z trudem przechodzą jej przez gardło. Wkładając synowi kurtkę, zerka na mnie. Jeśli dotąd miałam jeszcze wątpliwości, strach w jej oczach potwierdza moje domysły.

Mężczyzna, z którym przespała się moja najlepsza przyjaciółka, to Oliver.

Rozdział 68

I to ma być poplątane życie osobiste? Śmiechu warte.

Najpierw przespałam się z Oliverem, za którym szalałam od czterech miesięcy.

Potem o mało nie pocałowałam Toma, którego najpierw nie znosiłam, potem polubiłam, a teraz Kocham i walczę z tym uczuciem, ponieważ jest zajęty.

Po latach życia w przekonaniu, że mama miała dość taty i odeszła przy pierwszej lepszej okazji, dowiaduję się, że tata ją zdradził. Z jej rodzoną siostrą.

A teraz słyszę, że nie ja jedna uległam zwodniczemu urokowi Doktora Ciacha. Okazuje się, że ofiarą jest też moja najlepsza przyjaciółka.

Moje życie nie przypomina opery mydlanej. To przeklęty melodramat.

Jedyne, czego teraz pragnę, to święty spokój. Marzę, aby rozpląnąć się w powietrzu. Dwadzieścia cztery godziny po odkryciu prawdy o Jess i Oliverze nie jestem w stanie zająć się niczym konstruktywnym. Snuję się po domu, oglądam powtórkę *Tańca z gwiazdami* i zaczynam porządkować szufladę ze skarpetkami. Kiedy mam dość telewizji i porządków, kładę się na kanapie. I wtedy rozlega się dzwonek. Zwlekam się z kanapy i idę otworzyć. W drzwiach stoi przygnębiona Jess.

- Abby, możemy porozmawiać? Wpuszczam ją do środka.

- Co słychać? - pytam.

Moja przyjaciółka ma podkrążone oczy. Wygląda marnie, dawno nie widziałam jej w tak złym stanie.

- Tak mi przykro, Abby. Bardzo cię przepraszam - mówi i osuwa się na kanapę.

- Za co przepraszasz? Oliver nie był nawet moim chłopakiem.

- Wiem. Ale wiem też, co do niego czułaś. - Wzdycha. - Jedyne, co mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, to to, że czułam dokładnie to samo. Walczyłam z tym, ale mi się nie udało. Zawiodłam na całej linii. Zawiodłam jako żona. Zawiodłam jako przyjaciółka.

- Wcale nie - protestuję. - Nie zawiodłaś.

- Kiedy przespałam się z Oliverem, czułam, że zrobiłam podwójne świństwo: zdradziłam Adama i ciebie. Nie mogłam wyleczyć się z tego zauroczenia. Okazałam się strasznie słaba. Jestem do niczego.

- Jess, nie mów tak. Nie zrobiłaś mi świństwa.

- Chciałam cię ostrzec, że Oliver jest kobieciarzem, ale nie wiedziałam, jak mam to zrobić bez wyznania prawdy. Byłam bezradna. Zdradziłam cię tak samo, jak zdradziłam...

- Jess, przestań wreszcie! - krzyczę. - Powiem ci coś, co poprawi ci samopoczucie.

- Wątpię, ale mów.

- Nic już nie czuję do Olivera. Jess oddycha głęboko.

- To się dobrze składa, bo ja też nie. Szkoda, że wcześniej nas nie oświeciło, prawda?

- Hm, tyle że sprawy się skomplikowały. Chyba zakochałam się w Tomie - wyznaję.

Jess robi wielkie oczy.

- O cholera. Naprawdę? Po tym, co się stało na Teneryfie?

- Jeśli mam być szczerą, to zaczęło się o wiele wcześniej.

Resztę wieczoru Jess i ja spędzamy na rozmowie, która przynosi nam wielką ulgę. Kiedy odprowadzam Jess do drzwi i ściskam na dobranoc, widzę jasno, że:

Po pierwsze: nikt nie jest doskonały (sama to udowadniam każdego dnia). Po drugie: namiętność skłania kobiety do dziwnych rzeczy (sama się o tym przekonuję na każdym kroku).

Po trzecie: moja najlepsza przyjaciółka i ja potrzebujemy się nawzajem i zawsze tak będzie.

Rozdział 69

Z nadejściem zimowych chłódów moje postanowienie startu w półmaratonie jest mocniejsze niż dotąd.

Nie chodzi tylko o nastawienie psychiczne. Mimo wzlotów i upadków, których było, przyznaję, sporo, od chwili dołączenia do Klubu Biegacza, sumiennie przestrzegałam rozkładu treningów. W rezultacie mam dziś kondycję, o której kiedyś mogłam tylko marzyć. Pierwszy raz od miesięcy wierzę - nie, wiem - że dobiegnę do mety. Wyzbyłam się resztek wątpliwości. Nawet jeśli miałabym się czołgać, ukończę ten bieg.

W przenikliwie zimny czwartkowy wieczór niebo ma barwę melasy. Po biegu pot spływający mi po plecach natychmiast staje się lodowaty. Daję sobie chwilę na wyrównanie oddechu, po czym ruszam do auta. Dołącza do mnie Mau, która zaczyna swoją paplaninę.

- Półmaraton to będzie dla ciebie pestka, jeśli pobiegiesz tak jak dzisiaj. - Uśmiecha się szeroko. Mimo temperatury poniżej zera eksponuje dekolt obwieszony szlachetnym kruszcem. Dziwię się, że biżuteria nie przymarzła jej do skóry.

- Jesteś łaskawa, Mau, ale bardzo w to wątpię.

- Naprawdę. Niedługo zostawisz nas, starsze panie, i przeniesiesz się do średniej grupy.

- Mało prawdopodobne, ale dziękuję za słowa otuchy.

- Na pewno znajdzie się dla ciebie miejsce. Geraldine ma teraz głowę zaprzątniętą ważniejszymi sprawami niż bieganie.

- Tak, a dlaczego?

Mau rozgląda się na boki niczym Różowa Pantera.

- Powinnam trzymać język za zębami, ale niech tam... Geraldine i Tom w końcu się pobierają.

Stało się.

Gdy słowa Mau dźwięczą jeszcze w lodowatym powietrzu, uświadamiam sobie, że właśnie tego obawiałam się od dnia powrotu z Teneryfy.

Staram się zachować kamienny wyraz twarzy, choć czuję skurcz w żołądku i drżenie warg. Na szczęście Mau jest zbyt zajęta rozglądaniem się na boki, by zauważyć moje pomieszenie.

- Jeszcze tego nie ogłosili - szepcze konfidencjonalnie. - Nie możesz pisać ani słowa, ponieważ na razie to wiadomość nieoficjalna. Odbyli długą rozmowę i Tom postanowił zdobyć się w końcu na ten krok. Uwielbiam piękne śluby! Mam nadzieję, że pobiorą się latem. Zimą moje włosy matowieją, co zawsze widać na zdjęciach.

Patrząc na nią oszołomiona, słyszę tylko bicie swojego serca.

- Czy Geraldine jest w ciąży? - wyrywa mi się. Nie wiem, czy wolałabym usłyszeć, że Tom podstępem został skłoniony do oświadczeń, czy że sam podjął tę decyzję, ponieważ kocha Geraldine na tyle mocno, by się z nią ożenić.

Mau przewraca oczami.

- Boże, czy Geraldine zdradziła ci swój wariacki plan? - pyta. Nie odpowiadam, pozwalając jej mówić dalej. - Nie jest w ciąży, co nie znaczy, że nie próbowała zajść. Okropne, prawda? - W tonie głosu Mau brzmi sympatia, choć zważywszy na okoliczności, inni mogliby uznać, że Geraldine na nią nie zasługuje. - Przynajmniej Tom podjął decyzję, nie będąc przyparty do muru. Tyle mogę powiedzieć.

Kiedy nadal milczę, Mau pyta:

- Wszystko w porządku, skarbie? Nie powtórzysz tego nikomu? Wpadnę w tarapaty, jeśli się okaże, że puściłam farbę.

- Nie bój się, Mau, nikomu nie powiem.

Nie muszę trzymać języka za zębami, ponieważ Jess słyszała to samo. Nie od Geraldine, lecz od dziewcząt z grupy średniej. W pierwszej chwili nie wiem, jak zareagować. Potem uświadamiam sobie, że wcale nie muszę

reagować. Robię to, co ostatnio: przyjeżdżam na trening, biegnę i jadę do domu.

Tom nie rozumie tej aluzji.

W przeciwieństwie do mnie uważa, że powinniśmy odbudować naszą przyjaźń i zachowywać się jak przed wyjazdem na Teneryfę. Chciałabym, ale nie potrafię. Szczerze mówiąc, nie umiem sobie nawet tego wyobrazić.

W walce o powrót do normalności Tom daremnie stara się o mój uśmiech przed treningiem i po nim, a nawet wznawia regularną korespondencję. Oczywiście ignoruję jego e-maile. Jeśli mnie o nie zapyta, powiem, że miałam kłopoty z komputerem.

Kiedy we wtorek rano na moją skrzynkę znów przychodzi e-mail od Toma, otwieram go z sercem w gardle. Szybko orientuję się, że to kolejna nieudolna próba nawiązania kontaktu. *Ponowna okazja...* i tak dalej, i tak dalej. Moją uwagę przykuwa dopisek.

PS. Czy twoje życie nadal jest ekscytujące? Chciałbym znów być jego częścią.

Nie odpisuję. Idę omówić z Hazel jej projekt dla Diggles po zmianie marki. Nowa członkini naszego zespołu jest spokojniejsza i mniej doświadczona niż reszta, ale dotychczasowe efekty jej pracy są obiecujące, a szefostwo Diggles nie posiada się z zachwytu. Po rozmowie z Hazel odbywam krótkie spotkanie z Heidi i Prią w sprawie ostatniej odsłony zbiórki funduszy. To miła odskocznia od mojego poplątanego życia uczuciowego.

Do tej pory zebraliśmy ponad dziewięć tysięcy funtów. Nie przypuszczałam, że to się uda. Cieszę się ze względu na Heidi, która zyskała napęd do działania. Od miesięcy objawy nie dały o sobie znać, a jednak zżera ją niepokój. Można to wyczytać z jej twarzy.

- Mamy nowy list od administratora - oznajmia Priya, otwierając e-mail.

- O rany, a tyle czasu siedzieli cicho - wzdycha Heidi.

Priya chrząka i zaczyna czytać:

Dyrektor Administracyjny Budynku otrzymał informację, że pracownicy Pewnej Firmy na czwartym piętrze stosują Zakazaną Substancję.

- Co? Teraz oskarżają nas o branie narkotyków? - pytam.

- Daj skończyć - mówi Priya. - *Zgodnie z wytycznymi przekazanymi na początku tego roku Wszystkim Firmom przez Administrację Budynku niedopuszczalne jest używanie masy klejącej wielokrotnego użytku, ogólnie znanej jako Blu-Tack, ponieważ usuwanie jej śladów ze ścian to istna mordęga. Każdy kolejny przypadek użycia masy klejącej przez Pewną Firmę z czwartego piętra zostanie potraktowany z całą surowością.*

- Tym razem się od nas nie odkleją - komentuje Matt.

Heidi jęczy i rzuca w niego paczką samoprzylepnych karteczek. Priya lekko kręci głową.

- Jesteś coraz bardziej nieznośny. - Uśmiecha się. To jej najłagodniejsza jak dotąd reakcja na jego kiepskie żarty.

Matt odwzajemnia uśmiech i puszcza do niej oko.

- Mam nadzieję, że nie.

Spoglądam na stertę dokumentów. Na wierzchu leży wyciąg z firmowego konta. Rzucam na niego okiem. W tym miesiącu jestem na debecie, ale nie ma powodu do niepokoju. Kiedy Diggles zaczną regulować podwyższone płatności - termin pierwszej wpłaty upływa jutro - nie będę musiała korzystać z debetu. Z Egorem mam się zobaczyć przed Bożym Narodzeniem. Już teraz wiem, że będzie zadowolony z wyników finansowych River Web Design.

Sytuacja znacznie się poprawi po styczniowym półmaratonie. Wtedy zredukuję liczbę treningów do normalnego poziomu - może do dwóch w tygodniu - i całą uwagę poświęcę firmie, zamiast tak jak teraz łączyć normalne życie ze spotkaniami w sprawie zbiórki funduszy i treningami.

A zanim to się stanie, trzeba robić to, co konieczne. Dziś po południu idę na kawę z jednym z najbogatszych i najbardziej pożądanых kawalerów w północno-zachodniej Anglii. Jak wszystkim wolnym kobietom, z którymi się spotyka, zależy mi na jego pieniądzach. Tyle że nie chcę ich dla siebie.

Rozdział 70

W hotelu Hard Days Night zwykle panuje nastrojowy półmrok. Teraz hol tonie w bożonarodzeniowych dekoracjach. Wchodzę do zatłoczonego baru, siadam w wygodnym fotelu i zamawiam kawę.

Daniel Whale jest trzydziestopięcioletnim właścicielem i dyrektorem naczelnym Whale Insurance. Chce omówić ze mną kwestię ewentualnej wpłaty na nasz fundusz. Brał udział w balu charytatywnym, słyszał nasze wystąpienia i postanowił się z nami skontaktować, ale dopiero teraz znalazł na to czas.

Dużo słyszałam o Danielu, ale dotąd nie miałam okazji go poznać, ponieważ siedziba Whale Insurance mieści się w Leeds, a w Liverpoolu ma tylko niewielkie biuro. Wiem, że jest bogaty, firmę odziedziczył po ojcu i w ciągu pięciu lat potroił jej obroty.

Odkąd prowadzę własną firmę, spotkałam dziesiątki takich jak on. Dokładnie wiem, czego się spodziewać: eleganckiego garnituru, bajeranckiego zegarka i tupetu. A jednak kiedy Daniel się zjawia, natychmiast zmieniam zdanie.

- Abby, prawda? Jestem Daniel Whale - przedstawia się. Ma wesołą przystojną twarz, łagodne rysy, jasne włosy i przyjemny głos. Prezentuje kosztowną, lecz pełną prostoty elegancję.

- Miło mi cię poznać, Danielu. - Ściskam mu dłoń na powitanie.
-Dziękuję za telefon.

- Szkoda, że dopiero teraz - odpowiada z uśmiechem. - Już dawno miałem zadzwonić, ale ty też prowadzisz własny biznes, więc dobrze wiesz, jak czasem bywa trudno.

- Moja firma to płotka w porównaniu z takim wielorybem jak Whale Insurance.

- Każdy musi od czegoś zacząć. Ja dostałem fory dzięki tacie. Przedtem Daniel niewiele miał wspólnego z firmą ojca. Mieszkał na

Florydzie i pracował dla dużej firmy z branży informatycznej jako konsultant do spraw zarządzania. Kiedy pięć lat temu Whale senior postanowił spędzić emeryturę na polu golfowym, Daniel po długich namowach zgodził się przejąć schedę po ojcu.

Odnoszę wrażenie, że zrobił to bardziej z poczucia obowiązku niż z rzeczywistej chęci. Branża nie jest porywająca - ubezpieczenia dla firm -ale Daniel skorzystał z nadarzającej się okazji. I opłaciło się.

- Chętnie przekażę dotację na wasz fundusz, ale mam nadzieję upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Tak? - pytam zaintrygowana.

- Chcemy zdobyć więcej klientów korporacyjnych z Liverpoolu. Pomyślałem, że sprawdzę, czy dostałbym coś w zamian od River Web Design. Chodzi o kontakty. Znasz wszystkich, których trzeba znać w tym mieście, co byłoby dla nas bardzo pomocne.

- Z przyjemnością pomogę ci nawiązać kontakty. A tak przy okazji, to kto zajmuje się waszą stroną internetową?

Daniel wybucha śmiechem.

- Wybacz, ale jestem bardzo zadowolony z naszej strony.

- Udam, że tego nie słyszałam - rzucam żartobliwym tonem. Daniel milczy przez chwilę i popija kawę.

- Uhm, Abby, nie byłem z tobą do końca szczery. Czas zagrać w otwarte karty. Unoszę brew.

- Czekam.

- Miałem nadzieję upiec trzy pieczenie na jednym ogniu.

- Uważaj, żeby się nie przejeść. Daniel chichocze.

- Na balu nie miałem okazji z tobą porozmawiać. Już wtedy bym cię o to spytał. - Odstawia filiżankę. - Przyjmiesz zaproszenie na kolację?

Rozdział 71

Przez całe życie nęka mnie pewna przypadłość, która ujawnia się raz w roku: to obsesja bożonarodzeniowa. Ekscytuję się świętami jak pięcioletnia dziewczynka. Wydaję mnóstwo pieniędzy na dekoracje, a potem ekstrawagancko przystrajam dom. Niektórzy twierdzą, że jeśli dodam kilka elfów, mogę z czystym sumieniem pobierać od rodziców z dziećmi opłaty za wstęp. W tym roku pierwszy raz w życiu, mimo czekającej mnie randki z Danielem zaraz po Bożym Narodzeniu, nie czuję świątecznej euforii. Przed zamknięciem biura firmy na święta muszę zmierzyć się z problemami, jakie pojawiły się na horyzoncie. Najważniejszy to odkrycie, że Diggles spóźnili się z zapłatą. Dotąd nigdy im się to nie zdarzyło. Niby nie ma powodu do zmartwienia - to może być tylko krótkotrwałe zakłócenie w nowym systemie finansowym wdrażanym po przejściu innej firmy - niemniej przyprawia mnie o lekki ból głowy.

Spotkanie z Egorem cztery dni przed Bożym Narodzeniem jest dalekie od świątecznej wesołości.

- Zrobiłem bilans do listopada włącznie - oznajmia Egor. - Musimy przyjrzeć się z bliska nowym umowom, które zawarłaś.

Do chwili, w której poprawia okulary i robi marsową minę, jestem przekonana, że pogratuluje mi zdobycia nowych klientów.

- Problem tkwi w tym, że niektóre nie są tak opłacalne, jak tego oczekiwałaś.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - pytam, skubiąc jedną z babeczek bożonarodzeniowych, które zostawiła nam Priya.

- Realizacja zleceń dla nowych klientów wiązała się ze sporymi wydatkami - na przykład na pomocnicze materiały marketingowe - i zatrudnieniem

nowej pracownicy. Wystarcza ci tylko na pokrycie tych wydatków, dlatego twój debet stopniowo narasta.

- To przejściowa sytuacja - wyjaśniam. Czasami Egor zachowuje się jak stara baba. - Czekam na wpłaty, które rozwiążą problem.

- To dobrze. O ile sobie przypominam, zgodziłaś się zapłacić pracownikom dwa dni przed Bożym Narodzeniem, zamiast w normalnym terminie. Jeśli to zrobisz, wyczerpiesz limit debetu.

- Wiem, ale czekamy na przelew z Diggles, który pokryje wszystko. Nie ma powodów do niepokoju.

- Kiedy przyjdzie ten przelew?

- Lada moment. Trochę się spóźniają, to wszystko - zapewniam. - Egorze, nie rób takiej miny! Diggles to najsolidniejsza firma na świecie. Po fuzji mieli trochę problemów, jak zwykle w takiej sytuacji. Wszystko wróci do normy.

- Brzmi pocieszająco - mówi Egor. - Przynajmniej na krótką metę. Na dłuższą metę musisz nauczyć się odpowiednio kalkulować koszty wykonania zlecenia, zanim się go podejmiesz.

Rzucam mu gniewne spojrzenie.

- To tylko sugestia - dodaje z nerwowym uśmiechem.

- Masz rację - wzdycham. - Słuszna uwaga. Przyjęłam ją do wiadomości.

- Bardzo dobrze. - Egor przerzuca papiery. - A teraz przejdźmy do VAT-u i podatku dochodowego. VAT jest pilniejszy. Masz do zapłacenia osiem tysięcy funtów, termin spłaty upływa trzydziestego pierwszego grudnia. Jeśli jesteś pewna tego przelewu od Diggles, mogę poinformować urząd skarbowy, że pieniądze są w drodze. Zyskamy kilka dni. Czy ta kwota pokryje też podatek dochodowy?

- Tak - mówię zdecydowanie.

- Dobrze. Co nam jeszcze zostało? - zastanawia się głośno.

- Może babeczka? - Podsuwam mu talerzyk.

- O! - Uśmiecha się szeroko. - Nie przejmuj się, jeśli ja przejmuję się kosztami.

Rozdział 72

Nigdy dotąd święta nie upłynęły mi tak spokojnie. Samo Boże Narodzenie spędzam u mamy. Na widok potężnej choinki nabieram podejrzeń, że sprowadziła ją z Parku Narodowego Yosemite. Mama zaciąga mnie do swoich sąsiadów, Francine i Johna, na najbardziej emocjonującą partyjkę zgadywanek, jaką przeżyłam. Nawet porównanie Francine do Juliusza Cezara, a mamy do Brutusa nie odda woli zwycięstwa obu kobiet.

- Typowe - żołądkuje się mama, gdy wracamy do domu po nieznacznej przegranej. - Bombardowali nas pytaniami o fizykę cząstek elementarnych, a oni musieli podać imiona psów z *EastEnders*.

Sylwestra spędzam na drinku u Jess. Cieszy mnie, że między nią i Adamem wszystko dobrze się układa. Błysk w ich oczach, kiedy całują się o północy, nie pozostawia wątpliwości co do ich uczucia.

W nowym roku wracam do biura naładowana pozytywną energią. Mam o niebo lepszą kondycję niż rok temu, moja firma się rozwija - aczkolwiek wolniej, niż tego chciałam. Poza tym, choć nie przypisuję zbliżającej się randce z Danielem nadmiernego znaczenia, w głębi serca mam nadzieję, że otworzy ona nowy rozdział w moim życiu.

Spotkanie z kimś, kto nie jest ani Tomem, ani OHverem, i nie ma nic wspólnego z Klubem Biegacza, jest dokładnie tym, czego mi teraz trzeba. Daniel nie mógł pojawić się w lepszym momencie. Niewiele o nim wiem, ale widzę, że jest sympatyczny, godny zaufania i mimo kupy pieniędzy na koncie - skromny.

Randkę mamy w Chilli Banana, miłej i niedrogiej tajskiej restauracji przy Lark Lane. Bawię się świetnie. Cieszy mnie brak gierki i aluzji

seksualnych, od których roilo się w kontaktach z Oliverem. Cieszy mnie, że jest sam, w przeciwieństwie do Toma. Rozmowa toczy się wartko i swobodnie. „Swobodnie” - cudowne słowo.

- Chyba zamówiłem za dużo ryżu - stwierdza, kiedy kelnerka stawia na stole wielki półmisek.

- Czy po zjedzeniu mamy się w nim wymyć? - rzucam. Daniel wybucha śmiechem.

- Może dadzą nam torebkę na resztki.

- Chyba nie masz zamiaru wracać do domu z torbą ryżu pod pachą? -chichoczę.

Tak wygląda cały wieczór. Zajmująca pogawędka przerywana częstymi wybuchami śmiechu. Czuję, że podobam się Danielowi. Śmieje się nawet z niezbyt śmiesznych dowcipów, z zainteresowaniem słucha anegdot, nawet tych niezbyt zajmujących. Wychodzę z restauracji z przyjemnym szumkiem w głowie, choć wypiałam tylko półtora kieliszka wina. Chcę przywołać taksówkę, ale Daniel robi to pierwszy.

Otwiera mi drzwi, pozerając mnie wzrokiem.

- Doskonale się bawiłem, Abby.

- Ja też. - Zdaję sobie sprawę, że chce mnie pocałować, i wpadam w lekką panikę. Serce tłucze mi się w piersi, gdy Daniel przysuwa się i pochyla głowę. W ostatniej chwili zmienia zdanie i całuje mnie w policzek. Ma wąskie, ale miękkie wargi. Czuję na skórze muśnięcie kilkudniowego zarostu, które przyprawia mnie o przyjemny dreszcz.

- Mogę zadzwonić? - pyta na koniec.

- Tak - odpowiadam zadowolona z takiego obrotu spraw. - Dobranoc. I do zobaczenia... wkrótce?

- Na pewno. - Uśmiecha się.

W taksówce rozsiadam się wygodnie i próbuję uporządkować myśli. Dotykam policzka i zastanawiam się, czy to początek czegoś poważniejszego. Daniel jest godny zaufania, miły i solidny. Wymarzony mężczyzna na dłużej.

Wędruję myślami do Geraldine i Toma. Uświadamiam sobie, że nie pierwszy raz tego wieczoru. Przeklinam się za to w duchu.

W rozróżnieniu wkładam rękę do torebki i wyjmuję komórkę, by sprawdzić godzinę. Wtedy widzę, że mam jedną nową wiadomość.

„Abby, tu Matt”. - Ton jego głosu sprawia, że serce podchodzi mi do gardła. - „Wybacz, że zawracam ci głowę w wolnym czasie, ale nie wiem, czy słyszałaś, że... Ech, możesz oddzwonić?”

Robię to natychmiast, zaniepokojona, że coś się stało Heidi.

- Cześć, Matt - mówię, podając kierowcy pieniądze. - Co się dzieje?

- Abby, jak wiesz, nie znam się na prowadzeniu biznesu...

- Wiem. I co dalej?

- Dziś wieczorem usłyszałem coś... To chyba zła wiadomość. Nie jestem ekspertem, ale...

- Matt, do czego zmierzasz?

- Chodzi o Diggles - mówi przygnębiony.

- Co z nimi?

- W lokalnych wiadomościach podano, że ogłosili bankructwo.

Rozdział 73

Przez wzgląd na siebie, na Egora i na czworo moich pracowników, którym będę musiała przekazać tę hiobową wieść, walczę z napływającymi do oczu łzami. Staram się zachować spokój i pełen profesjonalizm. Ale Egor nie daje się nabrać. Widzi, że drżą mi wargi. Widzi pocące się dłonie. Widzi drgającą prawą powiekę. Widzi to wszystko i nie może zrobić nic, by mnie pocieszyć. Tkwią w gównie. Oficjalnie.

Wiedziałam to już w chwili, gdy zadzwonił Matt, chociaż dopiero teraz okazuje się, jak głębokie jest to gówno.

Od paru dni zalegam z ośmioma tysiącami funtów VAT-u. Za trzy dni mija termin wpłacenia podatku dochodowego. Pieniądze na obydwie należności miały pochodzić od Diggles, mojego największego i najsolidniejszego klienta, który właśnie zbankrutował. Po zatrudnieniu dodatkowej osoby, wydaniu kilkuset funtów na materiały, wielu godzinach poświęconych zmianie strony internetowej Diggles i stworzeniu nowych materiałów marketingowych nie dostaniemy za to wszystko ani grosza.

Konsekwencje łatwo przewidzieć. River Web Design splajtuje.

- Nawet nie udało mi się porozmawiać z Jane Bellamy, dyrektorką do spraw marketingu - mówię ze złością. - A współpracowałyśmy przez ponad rok. Rok!

Egor podaje mi chusteczkę. Głośno wydmuchuję nos.

- Przekierowali mój telefon do jakiejś firmy o nazwie Lawrence Hugh and Company.

- Syndyk masy upadłościowej. - Egor kiwa głową.

- Połączyli mnie z panem Pugh...

- Hugh - poprawia mnie Egor.
- Wiesz, co od niego usłyszałam?
- Domyślam się.
- Dowiedziałam się, że jestem „wierzycielem nie-za-bez-pie-czo-nym”.
- Wyraźnie akcentuję każdą sylabę. - I wiesz, co jeszcze?
Egor unosi pytająco brwi.
- Że jeśli chcę otrzymać zapłatę za wykonaną dla Diggles pracę, mam jedno wyjście...
- ... wystąpić z roszczeniem do syndyka - dopowiada.
- Właśnie. I wiesz, co jeszcze?
Egor otwiera usta, ale go uprzedzam:
- Powiedział, że mają całą listę tych, którym trzeba było zapłacić w pierwszej kolejności. Nie zgadniesz, kto znalazł się na jej czele.
- On? - pyta niepewnie Egor.
- Tak! Potem „zabezpieczeni wierzyciele”. - Wymawiam słowa z afek-tacją. - Potem pracownicy. A na szarym końcu tego potwornego kastowego systemu... - zawieszam głos - ... jestem ja. „Niezabezpieczony wierzyciel”.
Zdawałam sobie sprawę, że te informacje nie będą dla Egora zaskoczeniem. Szczerze mówiąc, dla mnie też nie były. Wiem, jak działa ten system, ale w stresie wywołanym całą sytuacją nie myślę jasno.
- Zapytałam, kiedy według niego mogłabym dostać pieniądze, które nam się należą. Wiesz, co usłyszałam? - pytam i znów nie daję Egorowi dojść do głosu. - Że mogę wszcząć procedurę prawną. Każdy przypadek zostanie rozpatrzony z najwyższą starannością. Ale od siebie, zupełnie prywatnie, dodał, że nie mam najmniejszych szans na zapłatę. Wyobrażasz sobie? Po minie Egora widzę, że bez trudu to sobie wyobraża. - Chodzi o pieniądze za pracę, którą już wykonaliśmy! - zawodzę. - Za materiały, które już kupiliśmy! Specjalnie zatrudniłam dodatkową osobę. Dodatkową osobę! - powtarzam z naciskiem. - Powiedziałam Lawrenсовi Pugh...
- Hugh.
- Hugh - syczę. - Powiedziałam mu twardo, że muszą nam zapłacić. Muszą. - Walę pięścią w stół.

Egor patrzy na mnie współczująco. Spoglądam w okno i znów czuję wzbierające łzy.

- Nie zapłacą, prawda? - jęczę. Egor kręci głową.

- Przykro mi, Abby.

- Powiedz mi, że coś przeoczyłam - mówię błagalnie. - Powiedz, że pomyliłam się w obliczeniach albo coś źle zrozumiałam. Powiedz mi, że zbieżność terminu zapłaty VAT-u i podatku dochodowego z bankructwem mojego największego klienta, który odmawia uregulowania należności za moją pracę i zostawia mnie z pustym kontem... - urywam, żeby nabrać powietrza - nie oznacza tego, o czym myślę.

- A co to według ciebie oznacza?

- Koniec River Web Design.

- Żałuję, że nie mogę zaprzeczyć, Abby. - Zmartwiona mina Egora mówi sama za siebie.

W odruchu desperacji wyrzucam w górę rękę.

- Co się stanie? - pytam.

- Po plażcie? No cóż... - zaczyna poważnie - widziałaś, co się dzieje z Diggles. To samo będzie z twoją firmą.

- A co z pracownikami? - pytam ze ściśniętym gardłem.

- Natychmiast stracą pracę i będą musieli zwrócić się do syndyka o wypłatę zarobków. Realizacja zleceń dla wszystkich klientów zostanie wstrzymana. Administrator wystąpi o spłatę zaległego czynszu i prawdopodobnie wyda zakaz wstępu do budynku. Jest jeszcze twój debet. Bank będzie chciał odzyskać pieniądze i zapuka do drzwi poręczycieli.

Teoretycznie wiedziałam, co usłyszę, a mimo to z wrażenia brak mi tchu. Wstaję i podchodzę do okna.

- A jeśli nie ureguluję tych należności? - pytam. - Jeśli będę pracowała jak gdyby nigdy nic, licząc, że coś się wydarzy i... - Milknę. Zdaję sobie sprawę, że to nie wchodzi w rachubę.

- Twoja firma jest niewypłacalna - stwierdza Egor. - Nie masz pieniędzy na spłatę swoich zobowiązań. Gdybyś w tych warunkach nadal

działała, to byłoby nielegalne i nieetyczne. Dobrze o tym wiesz. Dla własnego dobra i dla dobra swoich klientów powinnaś zaprzestać działalności, zanim wpadniesz w większe kłopoty. Serce mi się kraje.

- Musisz zamknąć firmę, Abby - ciągnie Egor. - To jedyne wyjście. Mogę cię skontaktować ze specjalistą do spraw upadłościowych, który...

- Nie mogę do tego dopuścić. Nie dopuszczę! Musi być jakieś wyjście. Wypowiadam tę kwestię z żarliwością Elżbiety I przed inwazją hiszpańskiej armady, podczas gdy tak naprawdę mam ochotę się powiesić.

Egor kręci głową.

- Jedynym wyjściem byłby zastrzyk żywej gotówki. Przypuszczam, że gdybyś miała dostęp do takiego źródła, wspomniałabyś o tym.

- Jasne - mówię ponuro.

- Jeśli nie spadnie ci z nieba jakiś nieprzyzwoicie bogaty krewny... Odwracam się i piorunuję go wzrokiem.

- O co chodzi? - Patrzy na mnie wstrząśnięty. - Masz kogoś, kto ma tyle wolnej forsy?

- Nie, nie mogę - mamroczę.

- Czego nie możesz?

- Prosić mamy o wyciągnięcie z kłopotów. To by znaczyło, że wszystko sknociłam.

Egor rozważa sens moich słów. Zmienia się na twarzy, gdy pojmuję, że odpowiedź na jego poprzednie pytanie brzmi „tak”.

- To twoja firma, Abby - mówi poważnie. - Ty decydujesz, czy chcesz ją ratować. Pamiętaj, że w grę wchodzi źródło utrzymania paru osób, nie mówiąc o twojej reputacji. Walczyłaś o to przez ostatnie dwa lata. Musisz zrobić wszystko, by utrzymać się na powierzchni. Wszystko.

- Mam biec do matki po pomoc? Chyba nie mówisz poważnie.

Buntuję się, choć wiem, że i tak zrobię to, czego przyrzekłam nie robić, gdy zakładałam firmę. W imię wyższej konieczności muszę złamać to przyrzeczenie. Nigdy w życiu nie czułam się taka beznadziejna.

Rozdział 74

W powszechnej opinii moja mama jest doskonałą bizneswoman. Handluje z całym światem, ubija interesy od Mediolanu po Tokio. Dlatego trudno mi opisać, co czuję, gdy jestem zmuszona pukać do jej drzwi w drugim roku prowadzenia własnej firmy, by błagać ją o pieniądze na jej uratowanie.

Prawdę powiedziawszy, nie będę musiała błagać. Wystarczy, że poproszę, a mama natychmiast wypisze czek i wciśnie mi go do ręki. Nie tym się gryzę. Mamie udało się prowadzić firmę bez wyciągania ręki po pomoc. To samo udaje się innym. Mój mózg gotuje się z emocji, gdy upokorzona porażką i przyciśnięta do muru wchodzę do biura mamy.

- Jakoś dziwnie mówiłaś przez telefon, skarbie. - Mama całuje mnie w policzek na powitanie. - Chyba nie masz tego mrowienia w ręce?

- Nie, mam, ja...

- To dobrze. Nie powinno się lekceważyć takich objawów.

- Wiem.

- To może być ucisk na nerw. Dopadło mnie to w Hongkongu, kiedy negocjowałam umowę z domem towarowym. Spróbuj jeść pałeczkami, kiedy nie możesz poruszać nadgarstkiem. Upstrzyłam przekąskami cały stół. - Pęka ze śmiechu na to wspomnienie.

- Mamo? - zaczynam, siadając naprzeciwko niej.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję. Ja...

- Nie masz nic przeciwko temu, że ja się napiję?

- Oczywiście, że nie, ale...

- Isabella - mówi mama przez intercom - proszę o cappuccino. Takie jak zwykle. Tylko nie przesadź z czekoladą. Muszę kontrolować przyrost sadełka. - Otwiera szufladę biurka. - Masz ochotę na batonika? - zwraca się do mnie.

- Nie, dziękuję.

- Mam ananasa w kawałkach, krówki, oranżadę w proszku i... och, zapomniałam, że napoczęłam jednego. - Wyjmuje z szuflady gwizdzącego lizaka i wydobywa z niego przeraźliwy dźwięk, od którego o mało nie pękają mi bębenki. - Nie umiem oprzeć się pokusie - wyjaśnia z szelmowskim uśmiechem. - A teraz mów, o co chodzi.

- Dobrze. Hm... - zaczynam i milknę. Zauważam, że mama dyskretnie zerka na zegarek. - Masz czas? - pytam niespokojnie.

- Dla ciebie zawsze, kochanie.

- Więc...

- Dobrze byłoby jednak skończyć tę rozmowę przed dziewiątą. Mam telekonferencję z Sydney.

- Z jaką Sydney?

- Z Sydney w Australii.

- Aha. - Nabieram powietrza. - Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

- Słucham.

Kiedy patrzę jej w oczy, z moich ust padają zaskakujące słowa. Nie planowałam tego. Nie wiem, co mnie podkusiło.

- Wiem o tacie i cioci Steph.

Przez dwadzieścia dziewięć lat nie widziałam mamy płaczącej. Nie dlatego, że jest zimna jak ryba. Wręcz przeciwnie. Ekspresją i wylewnością przewyższa wszystkich znanych mi ludzi. Przypuszczam jednak, że pewne rzeczy - tak jak zdradę taty - postanowiła przede mną ukrywać. Słusznie czy niesłusznie, to inna sprawa. W rezultacie na widok łez płynących jej teraz po twarzy zupełnie nie wiem, co robić, więc otaczam ją ramieniem i słucham.

Przedstawia mi całą historię ze swojej perspektywy. Mówi o szoku. O rozpacz. O wściekłości. I ukrywa coś, czego nie umiem nazwać. Żal?

- Często się zastanawiam, co by było, gdybym mu wtedy wybaczyła.
- Pociągając nosem, sięga po paczkę chusteczek. Potem patrzy mi w oczy.

- Nie mogłam, Abby. Naprawdę nie mogłam. To była moja siostra. Przespał się z moją siostrą. Jak z tym żyć?

- Nie mogłaś, rozumiem - zapewniam ją.

- Kiedy patrzyłam na nią albo na niego, wszystko wracało. Przez kilka tygodni próbowałam, ale pewnych rzeczy nawet najsilniejsi ludzie nie są w stanie znieść.

Kiwam głową.

- Więc odeszłam. Odeszliśmy - poprawia się.

Jej płacz przechodzi w szloch. Czekam, aż mama uspokoi się na tyle, by mówić dalej.

- Przez parę miesięcy po wyprowadzce rozważałam powrót. Oznaczałoby to jednak konieczność ponownej konfrontacji z tym wszystkim. Może wyjdę w twoich oczach na tchórza, ale wolałam tego uniknąć. Łatwiej było przekonać samą siebie, że moja oficjalna wersja rozstania jest prawdziwa. Że po prostu oddaliliśmy się od siebie.

- Więc się nie oddaliliście? Wcześniej, przed zdradą. Mama patrzy tępo przed siebie.

- Mieliśmy gorszy okres, kiedy umarła twoja babcia Cilla i oboje przeżywaliśmy wielki stres w pracy. Ale nigdy nie wątpiłam, że tata mnie uwielbia i że nasze kłopoty są przejściowe. Jak mogłam tak się pomylić? Gdyby tak było, nigdy by tego nie zrobił.

Spogląda na swoje dłonie wzrokiem bez wyrazu.

- To był szok, Abby. Straszliwy szok. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, może postąpiłam zbyt pochopnie. Może powinnam była zrobić wszystko, żeby rodzina się nie rozpadła... Ale nie mogłam. Przez lata karmiłam ciebie i innych różnymi „powodami” swojego odejścia, choć żaden nie był prawdziwy. Tak, twój tata zapomina o rachunkach i innych codziennych sprawach. Tak, czasem rzeczywiście trudno mi było znieść rozłąkę. Ale te rzeczy nie miały znaczenia. W przeciwieństwie do tamtej historii.

- Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo.

- Tak? Nie sądzę, Abby. - Mama pociąga nosem. - Jesteś bardziej wielkoduszna niż ja. I uczciwsza.

Zamieram z wrażenia.

- Tego bym nie powiedziała.

- Jesteś, jesteś. Nie masz sekretów. Jesteś szczerą, ciężko pracujesz i...

- Mamo, przestań.

- Co ci jest, Abby?

Przełykam ślinę i chowam twarz w dłoniach.

- Nie przyszłam w sprawie taty i cioci Steph. Chodzi o coś innego. Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

- Boże, moja dziewczynka jest w ciąży! Tym razem to prawda! Moja córeczka jest...

- Mamo! - podnoszę głos. - Nie jestem w ciąży. Dlaczego zawsze myślisz, że jestem w ciąży?

- Więc o co chodzi?

Zbieram się w sobie i mówię bez owijania w bawełnę:

- Schrząniłam sprawy w firmie.

- Na pewno przesadzasz.

- Niestety nie. Mam do spłacenia dwa wysokie podatki należne. Zamierzałam zapłacić z pieniędzy od mojego największego klienta, tyle że ta firma właśnie zbankrutowała. - Patrzę jej w oczy. - Splajtuję, mamo.

Przygląda mi się uważnie. A potem mówi stanowczo, jakby taki scenariusz w ogóle nie wchodził w rachubę:

- Nie, nie splajtujesz.

- Wiedziałam, że będziesz chciała wypisać mi czek i pocieszyć, że wszystko się dobrze skończy i...

- Nie wypiszę ci czeku - odpowiada ku memu ogromnemu zaskoczeniu.

-Co?

- Powiedziałam, że nie wypiszę ci czeku. I nie dam pieniędzy.

- O! - Takiego obrotu sprawy się nie spodziewałam. Skłamałabym, mówiąc, że przyjmuję tę deklarację ze spokojem. - Rozumiem. Cieszę się. Naprawdę. Chcę stanąć na własnych nogach i... - Milknę, tknięta przerażającą myślą. - Naprawdę nie dasz mi pieniędzy? Ani nie pożyczysz?

- Naprawdę - odpowiada mama twardo.

- Ale tu chodzi o moją firmę, o pracę dla kilkorga ludzi, o moich klientów - podnoszę głos o kilka oktaw.

- Zamiast dawać ci pieniądze, usiądę z tobą i z twoim księgowym... Jak mu na imię?

- Egor.

- Z Egorem. Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Rozwiązanie, które będzie wymagało twojego zaangażowania. Sama wyprowadzisz firmę z kłopotów.

Rozdział 75

Między mamą a Egorem nawiązuje się nic porozumienia. Nie wiem dlaczego, ale to mnie zaskakuje. Może tajemnica tkwi w abnegacji, która w połączeniu z jego profesjonalizmem ma swój urok. Noski butów, które Egor ma dziś na nogach, wglądają, jakby starły się z niszczarką dokumentów.

On i mama zgadzają się we wszystkim, dzielają nawet opinię na temat mojej roli w całej tej historii. Spodziewałam się ostrej reprimendy, ale oboje okazują mi zrozumienie.

- Posłuchaj, Abby - mama łapie mnie za ramiona niczym wkraczający do akcji policjant - statystki mówią, że pięćdziesiąt procent firm upada w pierwszym roku istnienia, a dziewięćdziesiąt pięć przed upływem pięciu lat. I wcale nie dlatego, że większość ludzi zakładających własne firmy to kretyni.

Unoszę brwi.

- Prowadzenie firmy to po prostu piekielnie trudne zajęcie - konkluduje mama.

Puszcza mnie i zaczyna przemierzać gabinet tam i z powrotem, dając upust swemu talentowi oratorskiemu.

- Musisz się uczyć na własnych błędach, w działaniu. Szanse powodzenia są niewielkie. Zwłaszcza podczas recesji, kiedy firmy takie jak twoja ukochana Diggles idą na dno, pociągając za sobą inne firmy.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że nic nie mogłam zrobić?

- Tego nie mówię - przyznaje mama. - Ale kiedy już wygrzebiemy się z tego bagna, opracujemy metodę zabezpieczania się przed ryzykiem, aby taka sytuacja więcej się nie powtórzyła. Nie jesteś pierwszą osobą, która prowadząc porządną, nie, świetną firmę, pada ofiarą takich zdarzeń.

- Twoja mama ma rację - dodaje Egor. - To się dzieje cały czas. Simon Cowell zbankrutował i żyje teraz na granicy nędzy. To samo spotkało Petera Jonesa, faceta z *Jak zostać milionerem*.

- Naprawdę?

- Naprawdę - potwierdza mama. - Ale twoja firma nie splajtuje, prawda, Egorze?

- Hm, nie - mówi Egor z niepewnym uśmiechem, jakby odpowiadał na pytanie jednego z generałów Stalina.

Nie wiem, które z nich wpadło na ten pomysł, ale oboje zgodzili się, że to najlepsze rozwiązanie. I najprostsze. Muszę znowu zapukać do drzwi tych, z którymi spotkałam się w ciągu ostatniego roku, i przypomnieć im o istnieniu River Web Design.

Tylko szybkie zdobycie nowych klientów i podpisanie intratnych umów uratuje firmę. Z takimi umowami zapowiadającymi przyszłe wpływy można iść do banku i błagać o tymczasowe podwyższenie limitu zadłużenia na rachunku bieżącym, póki firma znów nie stanie na nogi.

Wyjaśniam, że już rozmawiałam w tej sprawie z bankiem, ale odesłano mnie z kwitkiem. Mama i Egor upierają się, że jeśli przyjdę do banku z gwarancją przyszłych dochodów, to spojrzą na mnie przychylniej.

- Brzmi pięknie, gdyby nie jedno „ale” - mówię.

- Co znowu? - pyta mama.

- Nie mam żadnych widoków na intratne umowy! - wybucham. - Nikt nie zapłaci mi aż tak wysokich dywidend. Nawet jeśli szybko podpiszę nową umowę, szanse na radykalną poprawę sytuacji są bliskie zeru.

Mama cmoka z niezadowoleniem. Można by pomyśleć, że mam cztery lata i upieram się przy pływaniu z nadmuchiwanymi poduszkami na ramionach.

- Nie przesadzaj, Abby - mówi beztrąsko. - Czas wykazać się pomysłowością. Myśl.

Osuwam się na krzesło i zamykam oczy. Myśl, powtarzam w duchu. Postanawiam zrobić coś, co w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zaczęło sprzyjać myśleniu. Nie wiem, jak to się stało, ale się stało. Idę pobiegać.

Rozdział 76

Biegnę bez iPod'a. Chcę otworzyć się na pomysły i rozwiązania, które przyjdą mi do głowy.

Widziałam to na filmach. W trudnych chwilach główna bohaterka zakłada buty do biegania, robi kilka kółek po odpowiednio malowniczej ulicy i, uwalniając się od napięcia i niepokoju, znajduje wyjście z sytuacji.

Szczerze mówiąc, nigdy mnie to nie przekonywało. Dziś, kiedy na niebie kłębią się ołowiane chmury, a moje stopy rytmicznie uderzają o chodnik, czuję niezwykły przypływ energii. Mimo bólu nóg, podbiegam stromą Rose Lane. W strugach deszczu zbiegam do parku Sefton. Zdyszana i coraz bardziej przemoczona, mijam ludzi w płaszczach przeciwdeszczowych. Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach. Robię przegląd firm, które mogłyby uratować mój biznes.

Myślę o przetargu na kampanię antynikotynową ogłoszonym przez publiczną służbę zdrowia. Złożyłam ofertę we wrześniu, po czym dowiedziałam się, że decyzję odłożono do stycznia tego roku. Myślę o firmie sprzedającej damską bieliznę. Byli zachwyceni moją prezentacją, ale chcieli poczekać, aż wyjaśni się sprawa kontraktu z Chinami. Myślę o firmie wyposażenia wnętrz, która pozytywnie zareagowała na moją ofertę, ale w oczekiwaniu na nowego specjalistę do spraw marketingu wstrzymali się z realizacją projektu. Warto uderzyć do nich jeszcze raz.

Deszcz się wzmaga. Siecze powierzchnię parkowego jeziora, na którym kołyszą się puste łódki.

Kieruję się w stronę domu i wtedy opadają mnie wątpliwości. Choć z każdą z tych firm warto znowu nawiązać kontakt, jest mało

prawdopodobne, by ich dział marketingu podjął szybką decyzję, a na takiej mi teraz zależy.

Poza tym każda z tych firm z osobna jest za mała, by kontrakt z nią rozwiązał moje problemy. Muszę podpisać co najmniej trzy kontrakty, i to do końca tygodnia.

Biegam już od godziny. Deszcz w końcu przestaje padać. Zza chmur przebija się zimowe słońce. Niestety, mój optymizm zaczyna ulatywać.

Skrećam w Allerton Road. Zmęczone nogi odmawiają posłuszeństwa. Zwalniam, bieg przechodzi w marsz. W końcu tak opadam z sił, że staję i opieram się plecami o ścianę niewielkiej restauracji.

Jestem na jednej z najbardziej ruchliwych ulic Liverpoolu. Czerwona na twarzy, przemoczona do suchej nitki i brudna, zupełnie tu nie pasuję. Spoglądam w niebo i dyszę ciężko, z trudem łapiąc oddech. Po policzkach płyną mi łzy.

Kiedy otwierają się drzwi lokalu, odwracam się i ruszam przed siebie zawstydzona, że ktoś mógł mnie zobaczyć w takim stanie.

- Abby.

Serce podchodzi mi do gardła. Choć głos przebija się przez świst wiatru, poznałabym go wszędzie. To głos Toma Bronte.

Pierwszy raz od powrotu z Teneryfy jestem z nim sam na sam. Może dlatego, że dzieje się to poza Klubem Biegacza, z dala od jego rozplotko-wanej atmosfery, mogę zebrać myśli. A może po prostu przykuwa moją uwagę światło, jakie pada na jego twarz. Nigdy nie wyglądał piękniej. Ma opalizujące oczy, idealne pełne usta, a w oczach niepokój.

Nie mam wyjścia. Ruszam ku niemu, a on idzie w moją stronę. Pokonanie kilkunastu dzielących nas kroków trwa wieczność. Patrzymy na siebie, próbując odczytać swoje myśli.

- Zauważyłem, że przechodzisz. Jak się czujesz?

- Dobrze. - Uśmiecham się słabo.

- Wszystko w porządku? - pyta z troską.

Waham się. Z jednej strony chciałabym mu powiedzieć, co się stało, ale boję się, co sobie o mnie pomyśli. Wstyd, że moja firma jest na skraju bankructwa, potęguje się dziesięciokrotnie na myśl o tym, że Tom miałby się o tym dowiedzieć.

- Uhm - mruczę niewyraźnie.

Dotyka mojego ramienia. Robi mi się gorąco.

- Napijesz się z nami kawy?

Otwieram usta, nie mając pojęcia, czy przyjąć zaproszenie, czy je odrzucić. Los decyduje za mnie. Nie muszę nic mówić.

- Nie daj się prosić. Ucieszysz chłopaka - słyszę chrapliwy głos.

- Witam - mówię do dziadka Toma, biorąc się w garść. - Jak się pan miewa?

- Ja? Świetnie. Pisałem do ciebie na Twitterze, ale nie odpowiedziałaś.

- Przepraszam. Byłam bardzo zajęta.

- Nie przejmuj się. Przywilejem damy jest nie odpowiadać. - Dziadek się uśmiecha.

- Naprawdę mam mnóstwo pracy - tłumaczę. - Chciałabym napić się z wami kawy, ale nie mogę.

- Na bieganie znalazłaś czas - zauważa dziadek przytomnie.

- Szukałam inspiracji, to wszystko.

- Znalazłaś? - pyta Tom.

- Niezupełnie - przyznaję. - Dlatego muszę wracać do biura.

- E tam, biuro to ostatnie miejsce do szukania inspiracji - stwierdza dziadek i gestem zaprasza mnie do środka. Nie mam wyboru. Nie wykręcę się.

Dopiero po pół godzinie dziadek Toma zdejmuje czapkę i kładzie ją na stole, odsłaniając lśniąca łysinę.

Siedzimy przy oknie. Gawędzimy o laptopie dziadka, *Glee* i wietrznej pogodzie. Ta ostatnia jest niczym w porównaniu z tornadem, jakie rozpętuje się w moim brzuchu za każdym razem, gdy podchwytuję spojrzenie Toma.

- Robią tu kapitalne latte z chudym mlekiem - mówi dziadek, popijając drugą kawę. - Lepsze niż w Starbucksie i o połowę tańsze. Nie żebym często chodził do Starbucksa.

- Martwi pana globalizacja? - pytam żartobliwie, sprawdzając, czy moja kurtka choć trochę wyschła. Legginsy, które w przeciwieństwie do kurtki mam na sobie, ciągle są mokre.

- Nie, cukier - odpowiada, chowając do górnej kieszeni garść saszetek z cukrem. - Mają takie głupie pojemniki, nie da się wziąć z nich cukru.

- Dlaczego emeryci tak obsesyjnie gromadzą cukier? - zastanawia się Tom.

- Zbieram saszetki z cukrem, bo są poręczne - karci go dziadek. -Bycie emerytem nie ma tu nic do rzeczy.

- Nie przypominam sobie, żebyś to robił dziesięć lat temu. Nie krytykuję cię, dziadku, tylko stwierdzam fakt, że to powszechna przypadłość u osób powyżej siedemdziesiątego piątego roku życia. - Zerka na mnie ze znaczącym uśmiechem.

Dziadek ściera brwi.

- Nie myśl, że nie widzę waszych porozumiewawczych spojrzeń. Daje kuksańca Tomowi, który przeprosza i wychodzi do toalety.

- Dobrze znasz Geraldine? - pyta dziadek niespodziewanie. Czuję, że rumieniec oblewa mi twarz i szyję. Popijam wodę z nadzieją, że trochę mnie ochłodzi.

- Tak, z Klubu Biegacza. Jest... urocza.

- Uhm, jest dość miła - potwierdza dziadek i zamyśla się na chwilę. -Może trudno to sobie wyobrazić, ale mój tata był romantykiem. W jego czasach niewielu było takich.

Peszy mnie, że rozmowa zesłała na ten niewygodny temat.

- Powtarzał mi: synu, zakochanego mężczyznę poznasz po tym, że w obecności ukochanej kobiety twarz mu płonie.

- Płonie? - powtarzam.

Dziadek kiwa głową, jakby wiedział coś, czego ja nie wiem.

- A teraz, Abby - mówi bezceremonialnie - dasz się skusić na następną butelkę wody? A może wolisz herbatę?

- Nie, dziękuję bardzo. - Zerkam nerwowo na zegarek.

- To może coś mocniejszego? Obok podają doskonałą tequilę z napojem musującym.

- Nie, naprawdę dziękuję. - Uśmiecham się. Widzę Toma zbliżającego się do stolika. - Muszę już iść. Miło było pana widzieć.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odpowiada dziadek.

Tom odprowadza mnie do drzwi. Kiedy je otwiera, podmuch lodowatego wiatru smaga mi policzki. Wychodzi za mną i stajemy przed wejściem. Bliskość Toma przyprawia mnie o zawrót głowy i jednocześnie peszy.

- Odwiozę cię do domu - proponuje.

- Nie trzeba. Chcę jeszcze pobiec.

- Nie odpowiedziałaś na moje e-maile - mówi po długiej chwili milczenia.

- Przepraszam, kłopoty techniczne.

Z jego miny wnioskuję, że nie daje się nabrać na tę wymówkę. Wzdycham.

- Pomyślałam, że ze względu na okoliczności... sam wiesz. - Nie mogę wydusić, że wiem o jego zaręczynach z Geraldine.

- Wiem - przyznaje, wybawiając mnie z kłopotu. - Oczywiście. Możemy nadal być przyjaciółmi?

Patrzę na ulicę pełną samochodów, które rozbryzgują wodę z kałuż na chodnik. Czuje, że szyja znów mi pąsowieje.

- Daj spokój, Abby. - Zanim się orientuję, łapie mnie za rękę i zamyka mi palce w uścisku. Dotyk jego dłoni przyprawia mnie o przyjemny dreszcz. - Wiem, że na Teneryfie dziwnie się to wszystko ułożyło, ale szkoda byłoby zmarnować taką piękną przyjaźń.

Na dźwięk słowa „przyjaźń” coś się we mnie buntuje. Pragnę, by Tom stał się dla mnie kimś więcej niż przyjacielem. I wiem, że nie mogę sobie pozwolić na takie myśli. Jak zwykle przy podobnych

okazjach chcę powiedzieć mnóstwo rzeczy, lecz żadna z nich nie jest właściwa. Idę więc po linii najmniejszego oporu.

- Oczywiście - mamroczę. - Słuchaj, naprawdę muszę już wracać. Tom puszcza moją rękę.

- A tak, praca. Może jest coś, w czym mógłbym ci pomóc?

- Nie sądzę.

Odwracam się, by pobiec dalej, gdy Tom dotyka mojego ramienia.

- Chciałem powiedzieć, że kilka moich e-maili, które padły ofiarą twoich „kłopotów technicznych”, dotyczyło ważnej sprawy.

-Tak?

- Chodzi o pracę. Nadarza się okazja.

Na dźwięk słowa „okazja” wraca mi pamięć. Przypominam sobie e-maila, do którego odwołuje się Tom. W postscriptum pytał, czy moje życie nadal jest ekscytujące. Tylko to pytanie zwróciło moją uwagę.

- Firma, która miała zająć się naszą stroną internetową...

- Vermont Hamilton? Tom kiwa głową.

- .. .okazała się nieporozumieniem.

Wcale mnie to nie zaskakuje, gryzę się jednak w język i ograniczam do zdawkowego:

- Naprawdę?

- Miałaś rację co do ich braku doświadczenia. Ja nie mam z nimi do czynienia, to działka Jima Broadhursta, a on pokłócił się z ich trzema pracownikami do spraw kontaktu z klientami. Zachowują się jak amatorzy.

- Przykro mi to słyszeć.

- Tylko nie mów: „a nie mówiłam”. Wzruszam ramionami.

- Może za dwa lata, kiedy ogłosicie nowy konkurs, znów przedstawię swoją ofertę.

- Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. To na razie poufna informacja, ale Jim ich wylał i w tej chwili nikt nie zajmuje się naszą stroną internetową. Nie było wyjścia.

Strzygę uszami.

- Ogłosicie kolejny przetarg? - pytam. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

- W tej sprawie chciałem do ciebie zadzwonić. Nasz dział marketingu znalazł się w stanie zawieszenia. Nie wiedzą, co robić, zwlekają z decyzją. Gdybyś przedstawiła im nową, lepszą propozycję, miałybyś szansę przejąć robotę po tamtych.

- Ale jak? Ci z zarządu zorientują się, że rozmawiałeś ze mną o wewnętrznych kłopotach Caro and Company i...

- Zostaw to mnie. Interesuje cię spotkanie z Davidem i Jimem w tym tygodniu?

Serce bije mi żywiej, gdy uświadamiam sobie, co to oznacza dla mojej firmy.

- Tak. TAK, do cholery! - wyrzucam z siebie jednym tchem. - Tom, jesteś moją dobrą wróżką!

Tom wybucha śmiechem. I wtedy słyszę skrzypnięcie drzwi.

- Gadajcie dalej, nie przeszkadzajcie sobie. Już dawno wypilem latte-gdera dziadek, poprawiając czapkę.

- Już skończyliśmy - mówi Tom. - Odprowadzę cię do domu, dziadku. Więc jak - zwraca się do mnie - umowa stoi?

- Jasne - odpowiadam, z trudem panując nad emocjami.

- Dobrze. Zadzwonię do nich dziś po południu. Potem dam ci znać, co postanowili.

- Pośpiesz się, chłopcze. - Dziadek bierze Toma za ramię. - Muszę jak najszybciej zabrać cię z tego zimna.

Tom patrzy na niego zdziwiony.

- Mnie? Dlaczego?

- Och, sam nie wiem. Jakoś dziwnie płoną ci policzki - odpowiada dziadek, rzucając mi szelmowskie spojrzenie.

Rozdział 77

SMS od Toma przychodzi do mnie godzinę później. Jim Broadhurst spotka się ze mną jutro o dziesiątej rano. Tym razem nie mogę zawalić. Dla dobra mojej firmy, moich pracowników, dla siebie i... dla Toma. Skoro nadstawił za mnie głowę, nie mogę pojawić się z byle czym jak ostatnim razem.

Idę prosto do domu, biorę prysznic i włączam laptop. Moja oryginalna prezentacja dla Caro & Company sprawia, że czuję się zażenowana. Nie dlatego, że jest zła. Zasadniczo jest całkiem dobra. Ale kilka fragmentów zdradza, że jest to gotowiec niedopasowany do potrzeb ich firmy. Od razu to wychwycili.

Przez cały wieczór przyswajam informacje o Caro & Company: przeglądam ich stronę internetową, czytam artykuły w prasie, poznaję osiągnięcia, rynki docelowe, sprawdzam konkurentów.

Idę spać po drugiej w nocy, przekonana, że z przejęcia i nadmiaru informacji nie zasnę. Zасыpiam jednak od razu, ale mój sen jest płytki i niespokojny. Przewijają się w nim moi rodzice, moja firma, moja prezentacja i... Tom. Znowu Tom. Mimo stresu, w jakim ostatnio żyję, mój umysł niestrudzenie wraca do słodkiego smaku jego oddechu w basenie na Teneryfie.

Wiem, że to nie ma sensu i że źle postępuję, ale nie mogę się powstrzymać. Wspomnienie tamtej nocy jest jak narkotyk: daje natychmiastową przyjemność, gwarantowaną - choć bezcelową - euforię.

Kiedy za dziesięć dziesiąta przekraczam próg siedziby Caro & Co., jestem dziwnie spokojna. Może dzięki temu wspomnieniu udaje mi się trzymać nerwy na wodzy.

Skupiam się wyłącznie na tym, co dzieje się tu i teraz. Gdybym zaczęła analizować konsekwencje dzisiejszego niepowodzenia, straciłabym zimną krew. Odsuwam od siebie złe myśli. Mam jeden cel: być tak przekonująca, by nawet wampira skłonić do kupna czosnku.

Jim Broadhurst zjawia się dziesięć po dziesiątej. O tej godzinie jestem już w stanie wewnętrznego dygotu. Jedyną pozytywną stroną jest fakt, że bez spódnicy pokrytej tłustym sosem w ogóle nie interesuję Dusty ego.

- Jim. - uśmiecham się i wyciągam rękę na powitanie. Widzę wyrażenie, jak drży. - Jak się masz?

- Bardzo dobrze, Abby - odpowiada. - Czułbym się jeszcze lepiej, gdyby nie zamieszanie z poprzednią agencją. Przypuszczam, że Tom w tajemniczył cię w sytuację?

Waham się. Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć, skoro informacja o kłopotach z Vermont Hamilton była poufna.

- Niezupełnie. Powiedział tylko, że chcecie jeszcze raz przyjrzeć się firmom, które starały się o kontrakt.

- Bardzo dyplomatyczne stwierdzenie - komentuje ze śmiechem Jim. - Powiem ci, co się stało.

Przez dwadzieścia minut Jim opowiada historię, którą wczoraj przedstawił mi Tom. W odpowiednich momentach reaguję „achami” i „ochami”, czasem cmokam z oburzeniem. Pod koniec rozmowy uznaję, że zasłużyłam na Złoty Glob.

- Skończyło się na tym, że potrzebuję nowej agencji. Dlatego chciałem z tobą dzisiaj porozmawiać. Mieliśmy zamiar znów dać ogłoszenie. Żadna z trzech agencji, które braliśmy pod uwagę, nie powaliła nas na kolana. Z twoją włącznie. Bez urazy.

- Wiem, że moja prezentacja nie spełniła waszych oczekiwań, więc nie mogę się obrażać - odpowiadam.

- David i ja zgodziliśmy się co do oceny twojego wystąpienia - przyznaje. - Tom próbował nas przekonać, że to chwilowa obniżka formy, ale ponieważ pozostali mieli tylko jedno podejście, nie mogliśmy akurat ciebie potraktować inaczej.

Otwieram oczy ze zdumienia.

- Tom przekonywał was, żebyście wybrali moją firmę? O ile pamiętam, decyzję podjęliście jednogłośnie. Tak to przynajmniej przedstawiłeś.

- Naprawdę? - Jim wzrusza ramionami, świadomy, że ta informacja rzuca nowe światło na całą sytuację. - To była figura retoryczna. Masz za co dziękować Tomowi. Nie udało mu się przekonać nas za pierwszym razem, ale odkąd zaczęły się problemy z wybraną przez nas agencją, suszył głowę Davidowi i mnie, żebyśmy jeszcze raz przemyśleli sprawę i rozważyli twoją ofertę.

- Naprawdę? - Głos łamie mi się z przejęciem. Jim kiwa głową.

- Dlatego chciałbym, żebyś przygotowała dla nas nową prezentację. Wiem, ile pracy się z tym wiąże, ale gdybyś wykorzystała fragmenty poprzedniej...

- Tak - przerywam mu. - Zgadza się.

- Chcesz zrobić nową prezentację? - Patrzy na mnie przenikliwie.

- Tak - odpowiadam niecierpliwie. - Już ją mam. I mogę ją przedstawić.

- Teraz? - Spogląda na zegarek. - Mam niewiele czasu. Przyszły tydzień też odpada, więc może w następnym?

Wpadam w panikę. Nie mogę powiedzieć Jimowi Broadhurstowi, że wtedy River Web Design nie będzie już istnieć. Pochyliłam się w jego stronę.

- To zajmie tylko dziesięć minut - mówię z naciskiem na „tylko”, pytając się w duchu, jakim cudem na oczekaniu skrócę dwudziestominutową prezentację o połowę.

Jim Broadhurst wierci się na krześle. Uświadamiam sobie z przerażeniem, że wyglądam jak gotowa na wszystko kobieta, która użyłaby kajdanek, gdyby tylko miała je pod ręką.

Po minie Jima widzę, że bije się z myślami.

- Kiedy usłyszałam, że możecie zostać bez strony internetowej, pomyślałam: liczy się czas - kuję żelazo, póki gorące. - Każdy dzień bez

porządnej strony to dla was strata. Po co owijać w bawełnę. Lepszy wróbel w garści, niż gołąb na dachu.

- Zgoda - mówi w końcu Jim. - Ale nie dłużej niż dziesięć minut.

Pół godziny później wychodzę z biura Caro & Co. z mieszanymi uczuciami. W moim odczuciu prezentacja poszła dobrze, chociaż „dobrze” to za mało, zważywszy sytuację. Z rozmowy ze mną Jim Broadhurst powinien wyjść głęboko przekonany, że dla dobra Caro & Co. musi mnie zatrudnić już TERAZ.

Bez względu na siłę argumentu, że firma nie powinna pozostawać bez internetowego wsparcia przez ponad tydzień, samo podjęcie decyzji może trwać miesiąc albo i dłużej.

Wlokę się do firmy noga za nogą. Boję się spojrzeć swoim pracownikom w oczy. Wiedzą, że po bankructwie Diggles sprawy nie stoją najlepiej, nie wiedzą jednak, jak źle. Otwieram drzwi biura, gdy odzywa się moja komórka. Sięgam po nią do torebki.

- Abby Rogers, słucham.

- Abby, tu Jim Broadhurst.

Serce tłucze mi się w piersiach jak oszalałe. Reakcja jest szybsza, niż śmiałam marzyć.

- Tak? - pytam drżącym głosem.

- Zostawiłaś w moim biurze szal.

- Ach. - Przybita zamykam oczy.

- Ale nie dlatego dzwonię.

- Ach tak.

- Podjąłem decyzję w sprawie twojej propozycji.

Rozdział 78

Zaraz po pracy spotykam się z Danielem. Jest już po dwudziestej pierwszej i marzę o powrocie do domu i gorącej kąpieli, ale jeśli nie zbiorę się w sobie i nie pójde do baru, Daniel uzna, że nie jestem nim zainteresowana. A jestem.

- Dlaczego siedziałas w pracy tak długo? - Uśmiecha się i całuje mnie na powitanie w policzek. - Myślałem, że tylko ja jestem pracoholikiem.

- Sam wiesz, że czasem dla dobra firmy trzeba wcisnąć gaz do dechy. Właśnie teraz muszę to zrobić.

- Aha. W takim razie potrzebujesz tego. - Podaje mi kieliszek wina. -Przygotowujesz ważną prezentację?

- Nie. Prezentację miałam dzisiaj, jutro idę na rozmowę do banku.

- Rozumiem. Kiedy się dowiesz, jak poszła prezentacja?

- Już wiem. - Upijam łyk wina. Patrzy na mnie zaskoczony. -Ico?

- I... mam kontrakt.

Daniel kręci z rozbawieniem głową.

- Twój stoicki spokój mi imponuje. Na początku wybiegałem z biura jak szalony po podpisaniu każdej nowej umowy. Po paru sekundach dostawałem zadyszki. Nie bez powodu mam taki brzuch. - Gładzi się po całkiem normalnym brzuchu, a ja tłumię chichot.

- Trochę sobie pobiegałam - przyznaję. - Ale w tym tygodniu czeka mnie jeszcze parę przeszkód. Dopiero potem się wyluzuję.

Nie chcę przedstawiać prawdziwej sytuacji, dlatego mówię ogólnikowo. Fakt, że mam list od Jima Broadhursta ze zobowiązaniem podpisania ze mną wartego tysiące funtów kontraktu, to istny cud. Niestety, to jeszcze nie oznacza, że wyszliśmy na prostą.

Po kilku kryzysowych latach banki nadal niechętnie pożyczają pieniądze prywatnym firmom. Wiem, że nie będzie łatwo, ale to nasza ostatnia nadzieja. Nie dopuszczam do siebie myśli o plajcie River Web Design.

Uprzedziłam Daniela, że dziś mam czas tylko na jednego drinka. Będąc już myślami przy jutrzejszym spotkaniu, po jednym kieliszku zbieram się do wyjścia. Kiedy Daniel odprowadza mnie do auta, czuję przyjemne ciepło. Nie jest to przyspieszone bicie serca, jakiego doświadczam, myśląc o Tomie, ale postanowiłam o nim nie myśleć.

Myślę za to o towarzyszącym mi uroczym, zabawnym i sympatycznym facecie, który jest wolny. I który, co podpowiada mi intuicja, byłby mój, gdybym tylko tego chciała.

Dochodzimy do auta. Otwieram drzwi i odwracam się do Daniela, by się z nim pożegnać. Patrzy mi w oczy z niepewną miną. Ma przyjemną twarz: gładką skórę, łagodne rysy. Ten pewny siebie i odnoszący sukcesy mężczyzna nagle wydaje mi się o wiele młodszy.

Mam ochotę pocałować go w czoło i przytulić. Robię jednak to, czego on chce: powoli przysuwam się do niego i całuję w usta.

Zachęcony tym Daniel przyciąga mnie do siebie. Czuję jego podniecenie. W przeciwieństwie do niego jestem spokojna. Jakaś częśćka mnie pragnie ekscytacji, tego intensywnego, magicznego uczucia, jakiego doświadczam, gdy patrzy na mnie Tom. Nie znaczy to, że pocałunek z Danielem nie jest przyjemny. Jest ciepły i kojący. Ma wszystko, co powinien mieć pocałunek.

Daniel coraz bardziej mi się podoba.

Ponieważ Gary, mój „specjalista do spraw bankowości dla firm”, wyobraża sobie, że jest inwestorem w *Jak zostać milionerem*, nie sposób przewidzieć przebiegu spotkania.

Co gorsza, stare dobre czasy, kiedy dyrektor banku mógł od razu podjąć decyzję, już minęły. Egor i ja wiemy, że nasz wysiłek, by przekonać bank do pożyczania nam większej gotówki, nie zostanie nagrodzony natychmiastową odpowiedzią.

Oboje ze swadą wykładamy swoje racje. Egor kładzie nacisk na solidność mojej firmy, ja zaś kokietuję na potęgę, usiłując zmiękczyć Gary ego.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że bez kontraktu z Caro & Co. już byłabym na dnie. O ile przekaz Egora i mój jest jasny, o tyle Gary stara się stworzyć atmosferę tajemniczości co do perspektyw naszego powodzenia.

- Przed podjęciem decyzji muszę skonsultować się z centralą. - Uśmiecha się z nadętą miną.

- Och, dziękuję ci, Gary! - wykrzykuję z egzaltacją. - Nie przeszkadza ci, że zwracam się do ciebie po imieniu?

- Ani trochę. - Gary szczyrzy zęby. - Chociaż jestem pewny, że mówiłem to na początku naszej rozmowy.

- Naprawdę? Och, przepraszam! - Pieprzony pedant. - Kiedy poznamy decyzję?

Gary cmoka z wyraźnym niezadowoleniem.

- W piątek mam szkolenie, więc do końca tego tygodnia to raczej niemożliwe. Pewnie zależy wam na początku przyszłego tygodnia. Problem w tym, że w poniedziałek rano idę do dentysty. Leczenie kanałowe. Nie macie pojęcia, jak długo to trwa.

Jego słowa mrożą mi krew w żyłach.

- Może ktoś inny zadzwoniłby do mnie i przekazał decyzję? - Uśmiecham się promiennie. - Bardzo mi zależy na jak najszybszej informacji.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Puszczam do mnie oko. - Ale niczego nie obiecuję.

Zobaczy, co się da zrobić. Żadnych obietnic. Jasna cholera!

Na Water Street odwracam się do Egora.

- Jestem w stanie zawieszenia.

- Wiem, Abby. - Kiwa współczująco głową. - Po powrocie do biura zadzwonię do urzędu skarbowego i powiem, że bank pozytywnie odniósł się do twojej prośby o podwyższenie limitu debetu. Może dadzą ci jeszcze parę dni.

Spoglądam na niego zaskoczona.

- Tak odebrałeś naszą rozmowę? Że się zgodzą?

- Hm, niezupełnie - przyznaje Egor. - Ale nikt inny nie musi o tym wiedzieć, prawda?

Gdy jadę do biura ogarnia mnie coraz większa panika. Nie mogę zebrać myśli. Mimo mnóstwa spraw do załatwienia postanawiam, że zajmę się porządkowaniem spinaczy.

- Abby! - woła Priya na mój widok. - Właśnie dostaliśmy dotację, dwieście funtów. Pieniądze ciągle spływają.

- Cudownie. - Siadam za biurkiem i zmuszam się do uśmiechu.

- A ja właśnie umówiłam się na przyszły tydzień z Jimem Broadhurstem z Caro and Company - oznajmia Heidi. - To fantastyczna firma.

- Matt ma już dużo pomysłów na ich stronę - dodaje Priya, po czym odwraca wzrok. Gdyby nie chodziło o nią, opisałabym jej zachowanie jako nieśmiałe.

Pomysły Matta bardzo mi się podobają. Mój zespół jest pełen entuzjazmu. Wiem, że ich praca zachwyci Jima Broadhursta.

I kiedy na nich patrzę, coraz bardziej dręczy mnie pytanie: czy za tydzień będą jeszcze mieli pracę?

Rozdział 79

Paradoksalnie ta kryzysowa sytuacja odciąga moją uwagę od poplątanego życia uczuciowego. Każdą porcję energii wkładam w pracę, dzięki czemu obsesja na punkcie Toma i rodząca się sympatia do Daniela schodzą na dalszy plan wraz z oczekiwaniem na decyzję banku.

Po uporządkowaniu spinaczy dołączam do reszty. W ekspresowym tempie pracujemy nad projektem dla Caro & Co. i ze zdwojoną energią kontynuujemy już rozpoczęte projekty. Wysilek procentuje. Efekty naszej pracy są bardziej oryginalne i imponujące niż wszystko, co zrobiliśmy od miesiący. Dlatego myśl, że odmowa banku miałaby to przekreślić, budzi we mnie coraz większe przerażenie.

Przez trzy dni, jakie upływają od spotkania z Garym, mam przedsmak tego, jak mogłoby wyglądać moje życie, gdyby było nieco bardziej ustabilizowane. Zespół pracuje na najwyższych obrotach, a mój związek z mężczyzną, który naprawdę do mnie pasuje, jest... cudowny. Daniel dzwoni wtedy, kiedy obiecuje, nie ogląda się za innymi kobietami, nie przeszkadza mu, że chrapię jak koza z katarem, kiedy zasypiam na jego kanapie po ciężkim dniu w pracy (choć żałuję, że tak się stało).

W czwartek wieczorem jadę na trening z podbiegami. Odliczam dni do wielkiego biegu. Wiem już na pewno, że mogę przebiec dwadzieścia kilometrów. Zmierzam do szatni, gdy dzwoni mój telefon.

- Pani Rogers? - Poznaje głos Garyego.

- Tak? - mówię z bijącym sercem.

- Tu Gary Majors. - Wstrzymuję oddech, czekając na werdykt. -Z banku - dopowiada.

- Gary! Jak się masz?

- Dobrze, dziękuję, że pytasz. Boli mnie gardło, ale to prędzej czy później przejdzie.

Milczę. Nie mam ochoty dyskutować o bolącym gardle Gary ego ani o innych częściach jego ciała.

- Mieli mi dziś rano przywieźć pralkę, ale się nie pojawili. Nie wściekasz się, kiedy ci się to przytrafia? Jakby tego było mało, zadzwoniła moja teściowa i truła o swoich... - urywa. - Pani Rogers?

- Jestem - odpowiadam niecierpliwie.

- To dobrze. Czasem na linii są jakieś zakłócenia - ciągnie Gary. -Musimy to zgłosić operatorowi i...

- Jest już decyzja w sprawie debetu? - wyrzucam z siebie. - Wybacz, że ci przerywam, ale to pytanie nie daje mi spokoju.

- Kiedy coś człowieka dręczy, wywołuje ciężki stres. A stres szkodzi. Mamy w banku terapeutkę, która powtarza nam...

- Gary! - warczę, po czym gryzę się w język. - Skróć moją mękę. Jaka jest decyzja?

- Ach tak, decyzja! Oczywiście - mówi, jakby przyszłość mojej firmy miała marginalne znaczenie w zderzeniu z jego domowymi i zawodowymi problemami. - Pani Rogers, Barwest Bank stawia sobie za cel ścisłą i korzystną współpracę z małymi firmami. - Słyszę szelest papieru. Gary przewraca kartki, z których czyta formułkę. - Z powodu trudnej sytuacji ekonomicznej trudno nam było utrzymać dotychczasowy poziom pożyczek.

- Tak. - Serce mi zamiera.

- Wraz ze swoim księgowym, panem Brownem, bardzo przekonująco przedstawiła pani swoją sprawę. - Gary najwyraźniej delektuje się kreowaniem narastającego napięcia.

- Dziękuję.

- O ile w wielu bankach nie brano by tego pod uwagę...

- Gary!

- Słucham?

- Powiedz mi wreszcie, co zdecydowaliście. Pożyczycie mi pieniądze czy nie?

Krew pulsuje mi w skroniach z każdym uderzeniem serca. Nadeszła ta chwila. Za moment się dowiem, czy River Web Design przetrwa, czy zginie.

- Tak, pani Rogers. - Gary się śmieje, jakby oglądał końcową scenę zabawnej pantomimy. - Pożyczymy pani te pieniądze. Ma pani wspaniałą firmę i z radością jej pomożemy. Gratuluję!

Rozdział 80

Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym mamie. I Egorowi. I Jess. Wiedząc już, że moja firma ma zabezpieczoną przyszłość, chcę zobaczyć się z kimś jeszcze. I to jak najszybciej.

Gdyby nie Tom, siedziałabym w domu jako bankrutka i topiła smutki w butelce Listerine, mając na sumieniu cztery miejsca pracy.

Zawdzięczam mu wszystko. A on nic o tym nie wie.

Jest mglisty wieczór, gdy dołączam do biegaczy rozgrzewających się w świetle reflektorów w centrum sportu. Szukam wzrokiem Toma. Gawędzi z Mau w mroźnych podmuchach wiatru. Na jego widok wpadam w euforię.

Niczego bardziej nie pragnę, jak dotknąć tej twarzy o szlachetnych rysach, spojrzeć w jego błyszczące oczy, utonąć w jego ramionach i poczuć siłę jego objęć. Z trudem odsuwam od siebie te myśli. Serce bije mi jak oszalałe.

- Tom - mówię miękko. Odwraca się, przerywając rozmowę z Mau. Nieruchomieje, gdy nasze spojrzenia się spotykają. Po chwili rozluźnia się i uśmiecha.

- Abby.

- Masz chwilę? - pytam bez tchu, choć przebiegłam zaledwie kilkanaście metrów.

- Oczywiście - odpowiada, skinieniem głowy przepraszając Mau. Odchodzimy na bok. Reszta kontynuuje rozgrzewkę. Tom jest teraz poza zasięgiem światła lamp. Księżyc rzuca cień na jego twarz.

- Coś się stało? - pyta.

- Nie. Tak. To znaczy... - Uciekam spojrzeniem w bok, próbując zapanować nad emocjami. Kiedy znów spoglądam na Toma, uśmiecham się szeroko.

- Tom, naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. Walczyłeś, żebym znów mogła starać się o kontrakt dla Caro & Company. W końcu go zdobyłam. To dla mnie wielka sprawa.

- Cieszę się - odpowiada, zerkając za siebie.

- Mówię poważnie. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. Uśmiecha się niewyraźnie.

- Cieszę się, że dobrze ci poszło, Abby.

Nie mogę się przyznać, w jakie wpadłam tarapaty. Nie chcę, by ktokolwiek w Caro & Co. o tym wiedział. Muszę jednak dać Tomowi do zrozumienia, ile to dla mnie znaczy.

- To coś naprawdę ważnego, wielka sprawa - ciągnę. - Boże, nie wiem, co powiedzieć, prócz „dziękuję”. Dziękuję z całego serca.

Każda cząstka mojego ciała ma ochotę skoczyć i pocałować go, spełniając niezaspokojone pragnienie, jakie towarzyszy mi od pobytu na Teneryfie. Zamiast tego z trudem nakazuję sobie w duchu uścisnąć po przyjacielsku rękę Toma, by okazać wdzięczność.

Kiedy jestem na to gotowa, moje ciało robi coś, co mózg odrzucił. Staję na palcach i całuję Toma w policzek. Dotykając wargami jego skóry, czuję przeskakującą między nami iskrę. Zamykam oczy i chłonę jego zapach, jego smak. Nie odsuwa się, mam wrażenie, że opada z niego napięcie. Odsuwam się pierwsza. Nie bez trudu.

Patrzę mu w oczy. Jest w szoku. Dotyka policzka. Wpatruję się w niego intensywnie, zawstydzona, milcząca, i usiłuję odgadnąć, o czym myśli. Nie mam pojęcia, co będzie dalej. Chcę coś powiedzieć, nie znajduję jednak odpowiednich słów. Chwilę potem wszystko się zmienia.

Wyczuwam obecność Geraldine, jeszcze zanim ją widzę.

Kiedy się odwracam, patrzy na nas surowo. Przez chwilę czuję się tak, jakby przyłapała nas w basenie. Gdyby знаła siłę mojego pragnienia i poczucie winy, zrobiłaby to.

Wbijam wzrok w swoje buty, zastanawiając się, co powiedzieć. Kiedy podnoszę głowę, Geraldine odwraca się na pięcie i bez słowa odchodzi.

- Muszę za nią iść - mówi Tom.

- Przepraszam, bardzo przepraszam - powtarzam jak w amoku. - Nie chciałam niczego popsuć.

- Nic się nie stało - wzdycha. - Tyle że... uhm, Geraldine i ja nie chcieliśmy tego rozgłaszać, przynajmniej na razie, ale teraz mogę ci powiedzieć, tylko proszę, żebyś na razie zachowała to dla siebie.

- Oczywiście. A o co chodzi? - Wiem, że Tom mówi o swoich zaręczynach z Geraldine, ale zgodnie z obietnicą daną Mau udaję, że o niczym nie wiem.

- Podjęliśmy z Geraldine decyzję - oznajmia. Ma minę, jakby wiedział, że ta wiadomość mną wstrząśnie, więc zaczyna ostrożnie, by złagodzić cios. - Wreszcie uświadomiłem sobie, czego chcę od życia, Abby. - Przęłyka ślinę i patrzy mi w oczy. - To, co mówiłaś na Teneryfie, nabrało sensu.

Zaciskam powieki. Pamiętam, co mówiłam. Namawiałam go na ślub z Geraldine.

- To dobrze - mamrocę pod nosem, czując, jak skręca mi się żołądek.

- Wiesz, jak bardzo Geraldine chce wyjść za mąż i mieć dzieci - ciągnie.

- Wiem.

- W końcu dotarło do mnie, że kobieta, którą kocham, miała rację i że nie odważyłem się złapać byka za rogi. Do teraz. - Przeciąga ręką po włosach. - Gadam bez sensu, co?

- Nie - odpowiadam, walcząc z napływającymi do oczu łzami. - To, co mówisz, ma sens.

Tom kiwa głową.

- To dobrze, bo... Słuchaj, trudno się tu rozmawia. Może spotkamy się po treningu?

Kocham Toma, ale słuchanie, jak informuje mnie o zaręczynach z Geraldine jest ponad moje siły. - To zły pomysł - mówię z całą determinacją, na jaką mnie stać. - Mój chłopak ma wpaść.

Tom milczy.

- Ma na imię Daniel - dodaję. -Aha.

Grupa klaszcze. Wracam do rzeczywistości. Potrząsam rękami, jakbym kończyła rozgrzewkę.

- Lepiej do nich dołącz - mówię i ruszam biegiem. - Potem cię złapię.

- Dobra, potem.

Wciągam zimne i wilgotne powietrze. Podczas biegu w głowie kłębi mi się tyle myśli, że robi nam się ciemno przed oczami. Słyszę, jak moje stopy odbijają się od ziemi, ale zupełnie ich nie czuję. Przypominam sobie wyraz twarzy Geraldine, gdy na mnie patrzyła, i robi mi się słabo.

Jad w jej spojrzeniu może oznaczać tylko jedno: Geraldine wie o moim grzeszku w basenie. Nic dziwnego, że mnie nienawidzi. Pływałam pólnaga z jej przyszłym mężem.

Powinnam Tomowi pogratulować. Wskoczyłam na małąstkową zadrośnicę, a tymczasem przytłacza mnie dojmujący smutek. Jak zdołam spojrzeć na Toma i Geraldine?

Po pokonaniu jednej czwartej okrążenia postanawiam zawrócić. Nikogo nie informując, odłączam się od grupy, pędzę do szatni najszybciej, jak umiem, a potem do samochodu. Lodowaty wiatr chłocze mi policzki. Trzęsącymi się rękami otwieram drzwi. Mam wrażenie, że pot ściekający ze mnie zamarza, gdy tylko przestaję się ruszać. Uruchamiam silnik, wrzucam wsteczny bieg i trafiam w słup latarni.

- Tego tylko brakowało - mamroczę. Wsiadam, by zobaczyć szkody. Na szczęście tylko zarysowałam karoserię. Wskakuję do auta i trzaskam drzwiami.

Mam mętlik w głowie. Przednia szyba zaparowuje coraz bardziej, a po moich policzkach płyną gorące łzy. W tej chwili jestem pewna tylko trzech rzeczy:

- dziś jest dziewiętnasty styczeń;
- do wielkiego biegu zostało półtora tygodnia;
- właśnie skończyłam ostatni trening w klubie.

Rozdział 81

Kiedy ostatnim razem moje relacje z Tomem się popsuły, bombardował mnie e mailami i telefonami. Teraz jest inaczej. Od paru dni głucha cisza. Tylko dziadek odezwał się do mnie na Twitterze. Wreszcie przypomniał sobie, do kogo jestem podobna. Wcale nie do Reeny, lecz do dziewczyny, która mieszkała obok jego kuzyna Billy ego i była zwolenniczką mycia włosów płynem do naczyń.

Nawet to nie poprawia mi humoru. Prześladowuje mnie koszmarny sen: stoję w kościele na ślubie Toma i Geraldine. Kiedy pastor pyta, czy ktoś zna powód, dla którego tych dwoje nie może się pobrać, zrywam się na równe nogi, chcąc przerwać ceremonię w stylu podpatrzonym na *Czterech weselach i pogrzebie*, ale potykam się o torebkę, padam jak długa na ziemię w przejściu między ławkami i niczym kula do kręgli sunę w stronę ołtarza, gdzie potracam druhny i małego pazia.

Budzę się złana potem i łajam się bezlitośnie: „Ciesz się ich szczęściem, Abby! Tom jest twoim przyjacielem. Geraldine jest twoją przyjaciółką. Tom sam powiedział, że ona jest kobietą, którą kocha. Pogódź się z tym”.

- Abby? Abby! - Priya spogląda na mnie znad komputera. - Słyszałaś, co mówiłam o zbiórce funduszy?

- Co? Nie. Przepraszam cię, Priyo - mamroczę.

- Przekroczyliśmy założoną kwotę! - oznajmia triumfalnie Matt.

- Naprawdę?

- Dzięki dotacji Dyrektora Administracyjnego Budynku. - Priya szczerzy wesoło zęby. - W e-mailu napisał, że mimo twojego jawnego lekceważenia nowego systemu układania papierowych kubków przy automacie z chłodzoną wodą, chce pomóc.

- O! - Kręcę głową z niedowierzaniem. - Cofam wszystko, co powiedziałam o tym facecie. Nigdy więcej nie będę lekceważyła jego rozporządzeń. Ile zebraliśmy?

- Proszę o werble! - mówi Matt. Priya spogląda na ekran.

- Dziesięć tysięcy czterysta dwadzieścia dwa funty. Ze zdumienia otwieram szeroko oczy.

-Co?

- I czterdzieści siedem pensów - dodaje Priya.

- Niesamowite, prawda? - cieszy się Matt.

- Uhm, tak. - Pieką mnie oczy, ze wzruszenia ściska w gardle.

- Wszystko w porządku? - pyta Matt.

- Tak - odpowiadam łamiącym się głosem.

- Zdecydowałaś już, czy jedziesz do Paryża? - pyta Priya. No tak, Paryż.

Nie wspomniałam o tym. Daniel zapytał, czy mam ochotę towarzyszyć mu w podróży służbowej do Paryża.

Ma spotkanie w poniedziałek rano. Polecimy w sobotę, przez dwa dni będziemy zwiedzali miasto i chłonęli jego atmosferę, i wrócimy w poniedziałek po spotkaniu. Jedynym minusem tego planu jest to, że wylot wypada w tę samą sobotę, w którą odbywa się półmaraton. A moje plany na ten dzień są już od dawna ustalone: po przebiegnięciu trasy padam jak kłoda i nigdzie się nie ruszam. Rozsądek mi mówi, by skorzystać z propozycji Daniela. Wyjazd do Paryża to coś, czego teraz potrzebuję, by oderwać myśli od Toma.

- Uhm, tak, jadę - odpowiadam chrapliwie. Czując pojedynczą łzę na policzku, odsuwam krzesło i wybiegam do łazienki.

Po chwili zjawia się tam Priya.

- Co się stało, Abby? - pyta, otaczając mnie ramieniem.

- Nic takiego, naprawdę. - Pociągam nosem. - Jestem szczęśliwa, że udało się tyle zebrać, to wszystko. I...

- I co?

Urywam kawałek papieru toaletowego i głośno wydmuchuję nos.

- Nie chcę o tym mówić. Wszystko w porządku. - Spoglądam w lustro i ku mojemu przerażeniu widzę plamy na twarzy. Wyglądam jak Alex Ferguson¹. - Boże, za godzinę mam prezentację - panikuję.

Priya podaje mi papierowy ręcznik.

- Korektor sobie z tym poradzi.

- Potrzebuję tony korektora. - Siąkam nosem. - Heidi będzie zachwycona, prawda?

- Spróbowałyby nie być. - Priya się uśmiecha. - Wtedy powiem jej coś do słuchu.

- Dzwoniła i mówiła, że ma gripę, tak? -Tak.

- Wierzysz jej? Może coś ukrywa? - drażę. Priya zamyśla się na chwilę.

- Nie sądzę. Skoro otwarcie przyznała się do choroby, na pewno powiedziałyby nam, gdyby symptomy się nasiliły.

- Może wstąpiłabyś do niej i na wszelki wypadek sprawdziła, co się z nią dzieje? Poszłabym sama, ale dziś wieczorem biegam, z poza tym muszę dopracować prezentację.

Priya robi niewyraźną minę.

- Dobrze. Tak, tak. Pójdę - mówi w końcu.

- Jeśli masz w planach coś innego... Kręci głową, ale niezbyt przekonująco.

- Priyo! Masz zajęty wieczór? - Nie daję za wygraną.

Kąciki jej ust unoszą się lekko, a po twarzy przelatuje ledwo dostrzegalny uśmiech. Priya kiwa głową.

- Randka?

Kolejne skinienie. W tym pełnym rezerwy zachowaniu jest coś, co wzbudza moje podejrzenia.

- Kto to jest? No, przyznaj się.

- Nie mogę. Ale do Heidi pójdę.

¹Alex Ferguson - szkocki trener piłkarski.

- Nie, Priyo. Nie chcę rujnować twoich planów na wieczór. Poza tym masz rację. Heidi ma gripę. Powiedziałyby nam, gdyby chodziło o coś innego.

- Dobrze - mamrocze.

- Priyo, z kim idziesz na randkę? - nie odpuszczam.

- A, tak. Randka. - Priya najwyraźniej zbiera się w sobie. - Idę z Mattem.

Szczęka mi opada.

- Żartujesz?! - Nie powinnam się dziwić. Przecież ostatnio zauważyłam, że coś się między nimi dzieje. Ich przyjacielskie żarciki zrobiły się bardziej kokietyjne. A niech mnie!

Priya zagryza wargi.

- Jesteś zła? - pyta z niepokojem.

- Dlaczego miałabym być zła? Priya wzrusza ramionami.

- Matt uważa, że mogłabyś czuć się dziwnie z powodu naszego biurowego romansu, skoro jest nas w firmie tylko pięcioro.

- Wcale nie! - oponuję i milknę, uderzona nagłą myślą. - Jak się poczujesz, jeśli Matt... - Nie potrafię powiedzieć tych okrutnych słów.

- Mnie rzuci? - kończy za mnie Priya. Kiwam z ociąganiem głową.

- To ryzyko, z jakim muszę się liczyć, Abs. Ja... hm, szaleję za Mattem. Rozpływam się w uśmiechu.

- Skoro tak, nie zważaj na przeszkody - radzę.

To dobra rada, wiem o tym. Żałuję, że sama nie mogę się do niej zastosować.

Prezentacja idzie jak po maśle. Jak wszystkie prezentacje w tym miesiącu. Po chwyceniu liny ratunkowej rzuconej przez mój bank i Caro & Co. czuję taki przyływ energii, że Etna przy mnie to ogródkowy grill.

Gdyby wszystkie moje prezentacje zaowocowały podpisanymi kontraktami, spłaciłabym debet w dwa miesiące i postawiła firmę na nogi.

To nie jedyna rzecz, jaka mi się udaje.

Mając świadomość konsekwencji odejścia z Klubu Biegacza krótko przed półmaratonem, trzymam się ściśle planu treningów. Nie powiedziałabym, że czekające mnie wyzwanie to pestka, jednak im bliżej wielkiego dnia, tym głębsze mam poczucie, że nie zmarnowałam czasu.

Wracam do firmy, by zostawić materiały z prezentacji. Zaplanowałam, że zaraz potem pójdę pobiegać. W piątkowy wieczór miasto tętni życiem, wszędzie czuć atmosferę rozpoczynającego się weekendu.

Przemykam ulicą z opuszczoną głową, rękami wzdłuż tułowia, unikając kontaktu wzrokowego z przechodniami. Robię tak od ostatniego treningu w klubie. Dopiero w tym miesiącu przekonałam się, że liverpo-olska dzielnica biznesowa jest za mała. Na każdym kroku drzę z obawy, że natknę się na Toma. Nie mam pojęcia, co wtedy zrobię.

Wiem, że to nieuniknione, i prędzej czy później do tego dojdzie. Wziąwszy pod uwagę, ile spotkań odbyłam w Caro & Co., to cud, że dotąd na siebie nie wpadliśmy. Zaczynam popadać w paranoję, podejrzewając, że Tom mnie unika.

Złoszczę się na siebie za każdym razem, gdy nawiedzają mnie myśli o nim. Denerwuje mnie, że spycha na dalszy plan mężczyznę, o którym powinnam myśleć. W tym miesiącu byłam tak zajęta, że widywałam się z Danielem raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. A każde spotkanie potwierdza, jaki z niego wspaniały facet.

Nie spaliśmy ze sobą. Jego propozycję wspólnego wyjazdu do Paryża przyjął jako coś oczywistego. Tyle że czeka mnie logistyczny koszmar. Po biegu nie mogę spocząć na laurach. Będę musiała jak najszybciej dotrzeć do domu, wziąć prysznic, przebrać się i pędzić taksówką na lotnisko.

Na Castle Street potrąca mnie gnający przed siebie mężczyzna. Przeprasza, a ja siłą bezwładu obracam się wokół własnej osi. I wtedy mój wzrok pada na okno restauracji pełnej ludzi. Oślepiąca rześzystym światłem potrzebuję paru sekund, by moje oczy zarejestrowały widok pary za szybą.

Mężczyzna i kobieta zachowują się jak na pierwszej, może drugiej randce. Ona roześmiana odrzuca głowę, on rozpromieniony słucha jej śmiechu.

Po chwili kobieta spogląda na niego i milknie. Teraz patrzą sobie w oczy. On wyciąga do niej rękę. Ona poważnieje, gdy przestrzeń między czubkami ich palców coraz bardziej się kurczy.

Ich dłonie dzielą tylko milimetry, kiedy on wyczuwa moją obecność za szybą. Odwraca się i patrzy na mnie. Ona wędruje za jego spojrzeniem. Na ich twarzach maluje się nieopisane zdumienie.

Targana emocjami zamieram bez ruchu, wpatrzona w parę przy stoliku.

Ten mężczyzna i ta kobieta to moi rodzice.

Rozdział 82

- Tata i ja chcieliśmy omówić sytuację twojej firmy - mama skwapliwie śpieszy z wyjaśnieniem, podczas gdy ja obserwuję bąbelki na powierzchni stojącej przede mną wody gazowanej.

- Rozumiem - mówię, wyciągając ze szklanki plasterki cytryny i odkładając go na talerzyk - ale nie musicie się martwić. Jeśli chcecie, możecie sprawdzić księgi rachunkowe. Złożyłam sześć ofert. Nawet jeśli wypalą dwie, pozbędę się debetu.

- Cieszę się. - Tata kaszlem pokrywa zażenowanie. Mrużę oczy.

- Słabą macie wiarę w swoją córkę.

- Nie o to chodzi - zaperza się mama. - Przekonałaś się na własnej skórze, jak łatwo wpaść w kłopoty. Pomyśleliśmy z tatą, że odłożymy na bok spory i wspólnie zastanowimy się, jak ci pomóc, gdyby kiedyś ta sytuacja miała się powtórzyć, choć jestem pewna, że się nie powtórzy.

- Rozumiem - powtarzam. Bronię się przed tym, ale jestem coraz bardziej przygnębiona. Tłumaczenie mamy, przyznaję z bólem serca, jest prawdopodobne. Właśnie tak postąpiliby moi rodzice w takiej sytuacji.

A jednak kiedy stałam na ulicy i patrzyłam na nich przez okno, czy rzeczywiście sprawiali wrażenie ludzi dyskutujących o interesach? Czy można aż tak dobrze się bawić, omawiając zyski i straty?

- I co postanowiliście? - pytam tonem funkcjonariusza FBI. - Co zrobicie, kiedy znów wszystko spieprzę?

Wiercą się niepewnie na krzesłach, zupełnie jakbym zażądała od nich rozwiązania równania algebraicznego.

- Hm, tego jeszcze nie ustaliliśmy - bąka mama. - Jest mnóstwo spraw do omówienia, a my siedzimy tu od niedawna.

Dopijam wodę, odstawiam szklankę na stół i sięgam po kurtkę.

- Skoro macie tyle spraw do omówienia, na pewno nie chcecie, żeby wam przeszkadzać.

- Nie musisz wychodzić! - protestuje mama.

- Właściwie to już miałem iść do domu - dodaje tata. Patrzą na niego uważnie, a potem przenoszę wzrok na mamę.

- Tak? Przed chwilą mama powiedziała, że dopiero co zaczęliście rozmawiać.

Tata waha się przez chwilę.

- Miło nam będzie, jeśli zostaniesz. Dotykam jego ramienia, po czym wstaję.

- Dzięki za propozycję, ale nie skorzystam. To ostatni tydzień treningów przed półmaratonem. Dzisiaj czeka mnie jeszcze bieganie.

Oboje milczą, gdy wkładam kurtkę, uśmiechając się do siebie. Nawet jeśli za ich tete-a-tete nic się nie kryje, jak utrzymuje mama, to i tak zrobili wielki postęp od czasów, gdy prawie w ogóle nie utrzymywali ze sobą kontaktów.

Już mam wychodzić, gdy tknięta nagłą myślą pytam:

- A tak z ciekawości: czyj to był pomysł?

Oboje mają miny przyłapanych na gorącym uczynku sklepowych złodziejasków. Wymieniają szybkie spojrzenia, szukając najlepszej odpowiedzi. Znajdują ją jednocześnie:

-Mój!

Uśmiechając się od ucha do ucha, wychodzę z restauracji. Od tygodni nie byłam tak szczęśliwa, jak w tej chwili.

Rozdział 83

Wieczorem przed półmaratonem czuję się jak w przeddzień własnego ślubu. Choć nie doświadczyłam jeszcze przedślubnych emocji, mogę je sobie wyobrazić. Tak bardzo staram się zrelaksować, że aż pęka mi głowa. Szczerze mówiąc, nie tylko jutrzejszy bieg jest przedmiotem moich rozważań.

Myślę o rodzicach. Może moja interpretacja ich spotkania to tylko pobożne życzenia? Mimo wszystko puszczam wodze fantazji. W ten sposób walczę z nawiedzającą mnie uporczywą wizją zakłócenia ślubu Geraldine i Toma, która ujawnia paskudną stronę mojej natury.

Jeszcze nie poinformowali o zaręczynach członków klubu. Jess ma mi natychmiast powiedzieć, gdy to zrobią, chociaż wiem od niej, że ostatnio Tom rzadko bywa na treningach. Mimo wszystko właśnie o tym myślę za każdym razem, gdy odzywa się mój telefon, a wyświetlacz pokazuje numer Jess.

Idę wziąć kojącą nerwy kąpiel. W roztargnieniu wlewam do wanny połowę butelki olejku eterycznego. Kiedy z niej wychodzę, moja skóra przypomina skórę lwa morskiego. Po szybkim prysznicu owijam się szlafrokiem, po czym zasiadam w salonie, włączam telewizor i szukam czegoś mało absorbującego. Zatrzymuję się na *Randce w ciemno*, ale wkrótce znów skaczę po kanałach. I wtedy dzwoni telefon.

- Abby! - słyszę w słuchawce znajomy głos, choć nie umiem przypisać go do konkretnej osoby. - Mówi Bernie. Z Klubu Pogromców Wagi.

- Och, Bernie! Cześć. Co słychać?

- Wszystko w porządku, złotko. Dzwonię, by cię poinformować o naszej specjalnej ofercie. Możesz odnowić swoje członkostwo w klubie za darmo, a jeśli przyrowadzisz koleżankę, dostaniesz darmowe

opakowanie mieszanki bezcukrowych cukierków z lukrecją - sugerowana cena detaliczna to jeden funt czterdzieści dwa pence - oraz klikacz.

- Klikacz? A co to takiego?

- To taki krokomierz, tyle że nie liczy kroków automatycznie. Sama musisz klikać. Proste urządzenie, ale o wiele tańsze od krokomierza.

Ruszam do łazienki.

- Opuścę sobie, Bernie. Ostatnio sporo schudłam.

- Tak? A ile?

Staję na wadze i patrzę, jak igła odchyła się to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu nieruchomieje.

- Dobry Boże!

- Co się stało? Jesteś tam, złotko?

- Zrzuciłam dziesięć kilo, Bernie. Całe dziesięć kilo! Bez wysiłku.

- Jasna cholera. - Bernie wzdycha z rezygnacją. - Przeszłaś do Chudnącego Świata? Ostatnio wszyscy do nich idą. Rozdają darmowe łyżki do odmierzania. Tej oferty nie przebiję.

Postanawiam położyć się wcześniej. Mam nadzieję, że gorące picie i dobra książka ukoją mi nerwy i przywołają sen. Jestem w połowie schodów, gdy znów rozlega się dzwonek telefonu. Wracam do salonu z przekleństwami cisnącymi się na usta.

- Wybacz, Bernie, ale nawet gdybyś oferowała elektroniczną wagę łazienkową z hartowanego szkła i dorzuciła dziesięcioprocentowy upust na trzysta kolejnych spotkań, nie dam się skusić - wyrzucam z siebie jednym tchem.

Tyle że to nie Bernie.

- Abby? - Przez szloch niewyraźnie przebija się moje imię, ale i tak wiem, kto jest na linii.

- Jess! Co się stało?

- Chodzi o Adama. Wie, że przespałam się z Oliverem. Otwieram usta, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Ale Jess mnie ubiega:

- Adam odszedł, Abby. Zostawił mnie.

Rozdział 84

Trudno szukać pozytywnych stron takiej sytuacji. Być może jedynym plusem jest fakt, że Jamie i Lola już śpią, zupełnie nieświadomi huraganu, jaki rozdzielił ich rodziców.

Jess jest zrozpaczona. Siedzę na jej kanapie i patrzę, jak przemierza salon tam i z powrotem z włosami w nieładzie, z rozmazanym tuszem. Chcę objąć ją i mocno przytulić. Problem w tym, że nie mogę. Jess przemieszcza się nieustannie, mamrocząc coś obłąkańczo.

Od czasu do czasu przystaje, sięga po telefon i wybiera numer komórki Adama. Odkąd przyjechałam, próbowała już ze dwadzieścia razy, ale przez cały czas włącza się poczta głosowa. Po każdej nieudanej próbie połączenia Jess wybucha szlochem i z impetem rzuca telefon na kanapę.

- Jess, usiądź, proszę cię - błagam. - Przestań wydzwaniać. Postaraj się znaleźć jakieś rozwiązanie.

W pierwszej chwili mam wrażenie, że moje słowa do niej dotarły. Niestety, jestem błędnie. Jess wyciąga rękę po kieliszek wina - trzeci, który pije w mojej obecności - wychyla go jednym haustem.

- Rozwiązanie? - Łka spazmatycznie. - Jakie rozwiązanie? Mój mąż odszedł. Wie, że spałam z innym. Nigdy nie wróci. O jakim rozwiązaniu mówisz?

Tych gorzkich słów nie kieruje do mnie. Wiem, że nie chce się na mnie wyżywać. To na siebie jest wściekła. Więcej niż wściekła. Osuwa się na fotel i chowa twarz w dłoniach.

- Znalazł mój SMS do ciebie o naszym nikim. Nie wynikało z niego jasno, że spałam z Oliyerem, ale Adam nabrał podejrzeń i zaczął czytać starsze

wiadomości. - Pociąga nosem. - W końcu znalazł SMS, którego Oliver przysłał mi na dzień po tym, jak się ze sobą przespaliśmy.

- Co napisał?

- Nietrudno zgadnąć - mówi sarkastycznie. - Że mam oczy jak...

- Księżyc z bajki - kończę beznamiętnie.

- Niestety, było coś jeszcze. Boże, to takie żenujące. Napisał, że... - Jess wije się jak piskorz. - Hm, mówiąc najogólniej, po przeczytaniu tego SMS-a nikt nie miałby wątpliwości, co się stało.

Przełykam nerwowo ślinę.

- Dlaczego go nie wykasowałaś?

- Dobre pytanie! Jak mogłam być taką idiotką? Chyba dlatego, że jego treść mnie rajcowała. Co za ironia losu. Teraz słabo mi się robi na samą myśl.

Zagryzam wargi.

- Kiedy między mną i Adamem się poprawiło, zmusiłam się, żeby zapomnieć o Oliverze. Najpierw myślałam, że będzie mi trudno, bo spotykałam go w klubie. Ale wiesz co? Poszło gładko. Szczególnie kiedy się dowiedziałam, że z tobą też się przespał. Bez obrazy.

- Nie ma o czym mówić.

- Łatwo mi było o nim zapomnieć - ciągnie Jess - bo wreszcie przekonałam się, jaki jest naprawdę. Uważaliśmy go za skromnego miłego faceta, a on okazał się doskonałym aktorem. Miałam męża. Cudownego, kochanego męża, któremu ten typek nie dorasta do pięt. Kiedy to sobie uświadomiłam, Oliver ze swoimi SMS-ami przestał dla mnie istnieć.

- Dlatego o nich zapomniałaś. Jess siada obok mnie.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? Ale tak, zapomniałam. Jak o czymś z listy zakupów.

- Dlaczego Adam grzebał w twoim telefonie? Jess wzdycha ciężko.

- Mieliśmy jechać pociągiem do jego siostry do Durham. Adam chciał sprawdzić godzinę przyjazdu i numer referencyjny, jaki dostałam na

komórkę po kupieniu biletów. Karmiłam wtedy Lolę i przygotowywałam lunch dla Jamiego, więc zamiast sięgnąć po telefon, powiedziałam mu, żeby sam to zrobił. - Jess kręci głową. - Co za głupota. I niefrasobliwość. Cała ja, prawda? Niefrasobliwa. Miałam wspaniałego mężczyznę, cudowne życie, i udało mi się wszystko schrzanić. Wybucham płaczem. Obejmuję ją i tulę.

- Nie wiesz, czy nie wróci. Może kiedy ochłonie...

- Nie wróci - przerywa mi Jess. - Znam Adama. To chodząca przyzwoitość. I wierzy w świętość małżeństwa. W jego oczach mój występki jest niewybaczalny.

Marszczę czoło.

- Przecież on cię kocha.

- Adam kochał kobietę, za jaką mnie uważał. Dostał kogoś zupełnie innego. - Jess wzdycha z rezygnacją.

- Popełniłaś błąd, ale to wcale nie znaczy, że...

- Dam ci radę, Abby - przerywa mi zapłakana. - Jeśli kiedyś znajdziesz kogoś takiego jak Adam, kogoś szlachetnego, kochającego i zabawnego, kto zawsze się za tobą ujmie i w ciebie wierzy, nawet gdy inni nie wierzą...

Patrzę na nią z oczami pełnymi łez.

- ... nigdy nie pozwól mu zniknąć.

Postanawiam zostać u Jess na noc. Pocieszam ją jak umiem, aż o trzeciej nad ranem odprowadzam pijaną do sypialni i układam do snu.

Idę do wolnego pokoju, rozbieram się do podkoszulka i majtek, wślizguję się do łóżka i leżę wpatrzona w sufit. Od największego fizycznego wyzwania w moim życiu dzieli mnie osiem godzin, lecz zamęt w głowie nie pozwala mi spać. Słowa Jess dźwięczą mi w uszach. „Szlachetny”. „Kochający”. „Zabawny”. „Wierzy w ciebie, nawet gdy inni nie wierzą”.

Tom.

Ach, Tom.

Mieliście kiedyś absolutną pewność, że ktoś byłby Tym Właściwym, gdyby tylko los dał wam szansę?

Nie doświadczałam wcześniej tak silnych emocji, jak moje uczucia do Toma. Nie miałam pojęcia, że można aż tak kochać.

Najbardziej przeraża mnie myśl, że nigdy o nim nie zapomnę, choćbym próbowała z całych sił, że pozostanie jedyną prawdziwą miłością mojego życia, ale smutną, bo niespełnioną, jaką pielęgnują we wspomnieniach samotne stare kobiety z mnóstwem kotów.

Druga możliwość jest o wiele bardziej pociągająca, jeśli tylko zdecyduję się z niej skorzystać. Daniel jest troskliwy, atrakcyjny i wolny. Pojawił się w moim życiu niedawno, ale już złagodził ból wynikający z nieosiągalności Toma.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie ich obu jutro rano - Toma na linii startu, Daniela trzymającego za mnie kciuki. Od tych obrazów kręci mi się w głowie. Opuszczają mnie siły. W takim stanie nie przebiegnę dwudziestu kilometrów.

Rozdział 85

Jess wycofuje się z biegu. Gdyby stawka nie była tak wysoka, też bym to zrobiła. Ale nie mogę sobie pozwolić na stratę dziesięciu tysięcy funtów dotacji, nie mówiąc o prawie roku treningów.

Spędzam rano u Jess, usiłując wykrzesać z siebie trochę energii. W przerwach wydzwaniam do Adama na komórkę. Może zmieni zdanie, jeśli dowie się, jak zrozpaczona jest Jess?

Dobrze wiem, że przemawia przede mną nadmierny optymizm. Wystarczy pomyśleć, jak sama czułabym się na jego miejscu. To jednak nie powstrzymuje mnie przed kolejnymi próbami dodzwonienia się do Adama. Jedynym wymiernym efektem moich usilnych starań są szeptane wiadomości głosowe, błagające go, by oddzwonił. Za każdym razem, gdy z udawaną swobodą wchodzę do kuchni po kolejnym telefonie do Adama, moja wiara w powodzenie tajnej misji maleje.

- Dlaczego nie biegniesz dzisiaj, mamusiu? - pyta Jamie, zanurzając żołnierzyka w jajku na miękko. - Tatuś i ja mieliśmy ci kibicować.

Mimo drżenia warg Jess zbiera się w sobie.

- Tatuś musiał wyjechać w interesach, skarbie, a ja źle się czuję.

- Przeziębłaś się? Jess kiwa głową.

- Tak, przeziębłam się. - Znów szklą jej się oczy. Odwraca się szybko, by Jamie nie zobaczył łez.

- Wiesz, Abby - mówi Jamie - Callum MacKenzie ma tapetę z Benem Tenem.

Nigdy nie spotkałam Calluma MacKenziego, nowego przyjaciela Ja-miego, ale dziś rano słyszałam o nim tyle, że mogłabym być jego matką chrzestną. -1 zasłony z Benem. I piórnik z Benem. I shaker maker z Benem.

- O rany! - mówię, jakbym wiedziała, co to jest shaker maker. - Cal-lum MazKenzie musi bardzo lubić Bena Tena.

- Nie bardzo... - Jamie wzrusza ramionami. - Woli Transformersów. Chcę wyciągnąć Jess z domu, dlatego namawiam ją, żeby przynajmniej popatrzyła na bieg, chociaż dzisiaj nie liczę na żywiołowy doping z jej strony.

Jedzie za mną z dziećmi swoim autem. Najpierw do mnie do domu, skąd biorę strój do biegania i walizkę na podróż do Paryża. Szczerze mówiąc, mam ochotę odwołać wyjazd.

Rozmyślania przerywa mi dzwonek telefonu. Włączam zestaw słuchawkowy i odbieram.

- Tak, słucham?

- Abby? - Głos po drugiej stronie jest zdławiony i przygnębiony, mimo to rozpoznaję go od razu. - Mówi Adam.

Czuję przyływ adrenaliny. Gwałtownie zjeżdżam na bok. Tej rozmowy nie mogę prowadzić podczas jazdy.

- Adamie, jak dobrze, że dzwonicz.

- O co chodzi? - pyta smutno. - Zostawiłaś mi wiadomość.

- Posłuchaj, Jess umiera ze wstydu. Wie, że to, co zrobiła, było niewybaczalnie głupie i złe. Ona cię kocha. I potrzebuje cię. Daj jej szansę.

- Jess mnie nie kocha, Abby. Nie winię jej za to. Zawsze wiedziałem, że jest dla mnie za dobra.

- Jest dla ciebie idealna. Oboje idealnie do siebie pasujecie.

- Odkąd zgodziła się iść ze mną na randkę, wiedziałem, że to się kiedyś stanie - mówi Adam, jakby nie dotarło do niego ani jedno moje słowo. -Uważałem, że taka kobieta jak Jess nigdy nie zechce być z kimś takim, jak ja.

- Ależ ona chce z tobą być. Popelniła koszmarny i głupi błąd. Nie każ jej płacić za niego do końca życia. Pomyśl o Jamiem i Loli.

Po drugiej stronie słuchawki zapada długa cisza. Każda sekunda wydaje się wiecznością.

- Parę ładnych lat trwało, zanim uwierzyłem, że Jess może mnie kochać. Przez lata bałem się, że obudzi się któregoś dnia i zobaczy, jaki jestem naprawdę.

- Adamie, jesteś...

- Jak na ironię - ciągnie Adam, nie dając mi dokończyć zdania - kiedy wreszcie uwierzyłem, że to możliwe, kiedy wreszcie przekonałem sam siebie, spełnia się jeden z moich najgorszych koszmarów.

- Musisz do niej wrócić. Jesteście dla siebie stworzeni. Adamie, ja nawet nie umiem sobie wyobrazić, że nie jesteście razem.

- Nie umiesz? Nie musisz sobie wyobrazać. To już się stało.

Zajeżdżam na parking, wyłączam silnik, wyskakuję z auta i podbiegam do wozu Jess, zanim wysiądzie.

- Dzwoń do Adama - mówię cicho, by nie usłyszały mnie siedzące z tyłu dzieci. - Właśnie z nim rozmawiałam. Szybciej. Ja ich popilnuję.

Jess wysiada z auta i trzęsącymi się rękami wybiera numer Adama. Po paru sekundach odwraca się do mnie i kręci głową.

- Zostaw mu wiadomość - ponagliam ją.

Odwraca się do nas plecami, by wypowiedzieć najśłodsze słowa na świecie:

- Adamie, Kocham cię.

Zważywszy entuzjazm i hałaśliwość moich kibiców, można by sądzić, że właśnie wyszli z finałowego meczu o Puchar Anglii. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że na razie trwa rozgrzewka.

Rej wodzą Priya, Matt i Heidi. Machają transparentem, z którego dałoby się uszyć niewielki spadochron. Widnieje na nim napis: „ABSolutnie fantastyczna!”. Nie mogę powstrzymać się od myśli, że oryginalność tego pomysłu nie powala na kolana. Tym bardziej, że cała trójka pracuje w sektorze wymagającym kreatywności.

Są moi rodzice, którzy przyjechali razem. Tylko dlatego, że nawalił samochód taty, co pośpiesznie wyjaśnia mama, czerwieniąc się po nasadę włosów.

Jest Daniel, który schował moją walizkę do bagażnika swojego bmw, i teraz zdobywa sympatię pozostałych niewymuszonym urokiem i życzliwością.

Jest wreszcie Jess z dziećmi. Tylko ona milczy, wpatrzona przed siebie zamyślonymi, niewidzącymi oczami. Mimo wszystko cieszę się, że przyjechała. Jej obecność rozprasza nieco mój niepokój.

Pół godziny przed startem wszyscy uczestnicy biegu są już w parku Sefton. Napięcie rośnie z każdą minutą. Nieznacznie przesuwam się na skraj strefy rozgrzewki, by zniknąć z pola widzenia wszystkich, których znam. Zwłaszcza tych, których najbardziej boję się spotkać: członków Klubu Biegacza.

Po piętnastu minutach naiwnie sędzę, że ten manewr mi się udał. Nagle czuję na sobie czyjś wzrok. Odwracam się i napotykam spojrzenie Geraldine.

Udaję, że jej nie zauważyłam. Zaraz potem przeklinam się w duchu za tchórzostwo. Niechętnie odwracam głowę i patrzę wprost na nią. Żadnego udawania. Oddycham głęboko i ruszam w jej stronę.

- Cześć, Geraldine! Jak miło cię widzieć. - Robię najweselszą minę, na jaką mnie stać. Mięśnie policzków pieką mnie z wysiłku.

- Witaj, Abby - odpowiada z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. - Jak się masz?

- Świetnie, dziękuję. - Mój żołądek wyczynia dzikie harce, chociaż raz po raz nakazuję sobie spokój.

Ta kobieta była moją przyjaciółką. No, prawie przyjaciółką. Przez długie miesiące byłam z nią w dobrych stosunkach. Nie zrobiła nic złego. Jest tylko przyszłą żoną Toma. I nic na to nie poradzę.

- Posłuchaj - zaczynam, gotowa na to wyzwanie - wiem od Toma o wszystkim i chciałam powiedzieć, że... hm, bardzo się cieszę. Bardzo.

Geraldine przerywa rozgrzewkę i patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem.

-Co?!

- Ty i Tom. Wielka nowina. Ogromnie się cieszę. Naprawdę.

Na twarzy Geraldine maluje się irytacja pomieszana z rozbawieniem. Nigdy nie posądzałam jej o krwiożercze instynkty wobec innych, ale w tej chwili jej wzrok przyprawia mnie o ciarki.

- Czy zawsze gratulujesz ludziom rozstania, Abby?

Gapię się na nią tępo, a świat wokół mnie wiruje. Tylko jedno zdanie, a serce we mnie zamiera.

Rozdział 86

Kiedy mija pierwszy szok, a Geraldine orientuje się, że doszło do nieporozumienia, wyjaśnia:

- To była wspólna decyzja.

- Ale co z waszym ślubem? I z oświadczynami? - pytam.

- Gdybym została z Tomem, czekałabym na to do setki - odpowiada. Wcale nie wygląda na tak zrozpaczoną, jak się spodziewałam.

- Ale powiedział mi... a przynajmniej wydaje mi się, że powiedział...

-Urywam, próbując dokładnie przypomnieć sobie słowa Toma.

- Co ci powiedział? - dopytuje się Geraldine. Kręczę głową, wracając do rzeczywistości.

- Sama nie wiem. Kiedy rozmawiałam z nim w klubie, odniosłam wrażenie, że... - Milknę, by dobrać jak najdelikatniejsze słowa - wciąż dobrze się trzymacie. Poza tym w klubie krążyły plotki o waszych zaręczynach.

- Boże, strasznie mi głupio z tego powodu. Chyba sama rozsiewałam te plotki. Cóż za przenikliwość, prawda? - Geraldine śmieje się z zażenowaniem. - Tom szykował się do rozstania, a ja zinterpretowałam to jak przygotowanie do oświadczyn.

- Mówiłaś, że decyzję o rozstaniu podjęliście wspólnie.

- W rezultacie tak - stwierdza filozoficznie. - Chociaż już wcześniej czułam to na kilometr, Abby. Jeszcze przed decydującą rozmową zadałam sobie kilka bardzo trudnych pytań.

Najważniejsze brzmiało: Czy Tom i ja jesteśmy dla siebie stworzeni? Im głębiej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej byłam przekonana, że nie.

- Bardzo mi przykro, Geraldine. - Moje słowa płyną prosto z serca.

- Nie musisz mi współczuć. Ostatnio ciągle powtarzałam tę śpiewkę: przekroczyłam trzydziestkę, muszę wyjść za mąż, a Tom jest moim mężczyzną. Był najbardziej oczywistym rozwiązaniem, ponieważ miałam go przy sobie. Nie przestałam się jednak zastanawiać, czy Tom rzeczywiście jest najlepszym kandydatem.

- Ach tak.

- Nie zrozum mnie źle, Abby. Kochałam Toma. Nadal go kocham. Tyle że stał się bardziej moim bratem niż mężem. Nawet nie chłopakiem. Nie twierdzę, że rozstanie mnie nie zabolowało. Kiedy związek rozpada się po trzech latach, cierpienie jest nieuniknione. Ale oddaliśmy się od siebie. Wiedziałam to od dawna, lecz udawałam, że to się nie dzieje, bo mój zegar biologiczny podpowiadał mi co innego. Pod koniec byłam z nim ze złych powodów. Jesteśmy przyjaciółmi, Abby. Nikim więcej. Nie można wyjść za kogoś, mając dla niego tylko przyjaźń, prawda?

- Chyba nie - szepczę. - Masz jeszcze mnóstwo czasu na ślub i dzieci.

- Cherie Blair urodziła w wieku czterdziestu czterech lat. - Geraldine się uśmiecha. - Najważniejsze to znaleźć właściwego faceta, nie sądzisz?

- Jasne - odpowiadam drewnianym głosem. - Kiedy to się stało?

- Tuż przed twoim odejściem z klubu. W tym samym tygodniu. Ale dopiero teraz zaczęłam o tym mówić. Nie chcieliśmy tego ogłaszać wszem i wobec. Wiesz, jakim siedliskiem plotek jest klub.

Zbieram się na odwagę i pytam:

- A... jak Tom?

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odpowiada z zakłopotaniem. - Przypuszczam, że dobrze. W końcu to on wyszedł z inicjatywą zakończenia naszego związku. Ale nieczęsto go ostatnio widuję, nawet w klubie. Rozmawialiśmy parę razy przez telefon, ale odpowiadał wymijająco.

- Aha. - Patrzę przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku. Bez względu na to, co było między nami, pozostaniemy przyjaciółmi. Jest wspaniałym materiałem na męża. Ale nie dla mnie. Och, muszę dołączyć do grupy.

Chodź ze mną. Nieważne, że ostatnio nie chodziłaś na treningi. Jesteś jedną z nas.

Kręci mi się w głowie od rewelacji Geraldine. Znaleźć się wśród członków klubu to ostatnia rzecz, na jaką mam teraz ochotę. Tymczasem Geraldine łapie mnie za rękę i ciągnie do nich.

Pierwszą osobą, która odwraca się do nas, jest Oliver.

- Abby. - Uśmiecha się promiennie i całuje mnie w policzek. - Jak tam moja oporna półmaratonka? Nadal oporna?

- Przecież tu jestem - odpowiadam lodowato.

- I wyglądasz bosko - dodaje, okraszając te słowa miłym uśmiechem, który kiedyś budził mój zachwyt, a teraz nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Z trudem powstrzymuję śmiech.

- Nigdy się nie zmienisz, co?

- Staram się - rzuca z miną niewiniątka.

- Więc uważaj, żeby ktoś ci nie podbił tych twoich ocząt jak księżyc z bajki.

Ktoś klepie mnie w ramię. Odwracam się. Przede mną stoi Mau, ubrana w najbardziej efektowny ze swoich dotychczasowych kostiumów: czerwoną jak skrzynka pocztowa górę bez pleców i legginsy a la Olivia Newton-John.

- Miałam nadzieję, że nie zrezygnujesz tuż przed biegiem, Abby.

- Po prawie roku treningów? Chyba żartujesz. Chciałam odpocząć od klubu, to wszystko.

Mau kiwa głową i rzuca mi uważne spojrzenie, jakby tknięta nagłą myślą.

- Zupełnie jak Tom.

Chyba pąsowieję, bo Mau kładzie mi rękę na ramieniu, przysuwa się bliżej i szepcze mi do ucha:

- Nie pozwól mu uciec, kochana, dobrze?

Im bliżej startu, tym bardziej ściska mnie w żołądku, nie tylko z powodu czekającego mnie biegu.

W głowie dźwięczą mi słowa Toma, które usłyszałam od niego podczas naszej ostatniej rozmowy: „Kobieta, którą kocham, miała rację”.

Boję się myśleć, co się za nimi kryje. Wiem, jakie znaczenie chciałabym im przypisać, ale pomyśl, że Tom mówił o mnie, wydaje się tak nierealny, że nie śmiem nawet o tym marzyć.

Przez głośnik podają informację, że uczestnicy biegu mają ustawić się na starcie. Idę za tłumem i zajmuję pozycję, wstrzymując cisznięcie się do oczu łzy. Mam mętlik w głowie. I wtedy słyszę wołanie:

- Dalej, Abby! Jestem z ciebie dumny!

Spoglądam w bok i widzę Daniela, mojego uroczego lojalnego Daniela, który zagrzewa mnie do boju. Macham mu najweselej jak umiem. Jego twarz rozjaśnia uśmiech. Myśl, by odwrócić się od niego i pognać za Tomem, jest niedorzeczna. Zwłaszcza że jeszcze dzisiaj lecimy do Paryża. A jednak natrętne obrazy wracają. Idiotka ze mnie. Ponosi mnie wyobraźnia. To, że Tom nie jest już z Geraldine, wcale nie oznacza, że jest mój.

Do startu zostało jeszcze trzydzieści sekund. Każdy mój nerw drży od szalonego napięcia. W oczekiwaniu na sygnał biegacze zastygają bez ruchu.

Dwadzieścia sekund przed startem napięcie sięga zenitu. Kiedy rozpoczyna się końcowe odliczanie ostatnich dziesięciu sekund, każda komórka mojego ciała wydziela potężną dawkę adrenaliny.

Spoglądam na morze głów przede mną. Wszyscy biegacze patrzą przed siebie w najwyższym skupieniu.

Wszyscy prócz jednego.

Stoi dwadzieścia metrów przede mną i patrzy w złą stronę. Jest jedyną twarzą w morzu rozmaitych fryzur. Przez długie jak wieczność sekundy nie spuszcza ze mnie wzroku.

Rozlega się strzał.

Tom Bronte odwraca się i rusza przed siebie.

Rozdział 87

Może sprawia to energia emanująca z uczestników biegu. Może zimowe słońce przeświecające przez chmury. A może po prostu mój mózg uznał, że jest zbyt przeładowany myślami, problemami i zagadkami, by nadal je przetwarzać.

Cokolwiek to jest, sprawia, że z chwilą startu uwalniam się od tego balastu. Całą uwagę skupiam na pracy ciała, na krwi pulsującej w żyłach i odżywiającej mięśnie nóg.

Doświadczam czegoś prymitywnego i pierwotnego. Wykonuję jedną z najprostszych, a jednocześnie najpiękniejszych czynności, do jakich stworzone jest moje ciało: biegnę. Ludzie biegają od zarania dziejów.

Osiem pierwszych kilometrów pokonuję bez trudu. Kiedy w punkcie bufetowym łapię butelkę wody, by uzupełnić płyny, trudno mi uwierzyć, że mam już za sobą taki kawał.

Następne trzy kilometry są większym wyzwaniem. Zaczynam odczuwać lekkie pieczenie w płucach. Traktuję to jak przypomnienie, by zachować równe tempo i nie popadać w samozadowolenie.

Na dwunastym i trzynastym kilometrze reguluję rytm. Biegnę wolniej niż na początku, zbierając siły na ostatnie kilometry. Potem przyspieszam. Szczytem moich marzeń było ukończenie tego biegu, ale teraz czuję przyływ pozytywnej energii i uznaję, że powinnam dać z siebie więcej.

Na siedemnastym kilometrze przekonuję się, że za bardzo przyspieszyłam. Z mojego gardła wydobywa się świst. Między dwoma palcami u stóp robi się pęcherz.

Na osiemnastym kilometrze chcę się poddać. Oddałabym wszystko, byle tylko móc przystanąć. Uporczywe myśli nie dają mi spokoju...

Daj sobie spokój, Abby. Nigdy się do tego nie nadawałaś. Co ci strzeliło do głowy?

Wystarczy. Już udowodniłaś, co chciałaś. Osiemnaście kilometrów to doskonały wynik. Darczyńcy i tak wpłaciliby pieniądze.

Możesz zrezygnować. Nikt z tego powodu nie pomyśli o tobie źle.

To prawda. Nikt nie pomyśli źle prócz mnie samej.

Wciągam do płuc mnóstwo powietrza. Nagle odnajduję w sobie zasoby energii, których istnienia nawet nie podejrzewałam. Odcinam się od bodźców zewnętrznych, skupiając całą uwagę na miarowym oddechu, rytmicznych ruchach rąk i nóg.

- Dalej, Abby, dalej!

Na dźwięk głosu Daniela nie wierzę, że został mi do mety niecały kilometr.

Wstępują we mnie nowe siły. Po chwili słyszę swoje imię wykrzykiwane przez innych.

- Tempo, tempo, ciociu Abby! - woła Jamie, ile sił w płucach. Macham do niego. Już wiem, dlaczego Jess mu nie wtóruje. Stoi za nim, pogrążona w rozmowie z... Adamem.

Serce, które już wyskakuje mi z piersi, robi dodatkową przewrotkę. Nie mogę sobie pozwolić na dekoncentrację. Muszę biec dalej. Po prostu biec. Każdy krok przyprawia mnie o ból. Bolą mnie stopy, bolą nogi, ból rozsadza mi klatkę piersiową. Całe moje ciało woła o litość.

Wśród tumultu przebija słodki szczebiot mojej mamy w duecie z tatą:

- Dalej, dalej! To nasza córka! Biegnij, Abby!

W chwili, w której zbliżam się do znaku informującego, że do mety pozostało tylko czterysta metrów, ogarniają mnie nieopisane emocje.

Zbieram się do wspaniałego finiszu, gdy nagle kątem oka dostrzegam coś, co każe mi zwolnić. Priya i Matt stoją za taśmą oddzielającą kibiców od trasy, ale zamiast mnie dopingować, klęczą na ziemi pochyleni, a wokół nich gromadzą się ludzie.

Idę ku nim, obrywając łokciami od innych biegaczy.

- Co się stało? - krzyczę, ciężko dysząc. - Matt, co jest? Odwraca się i patrzy na mnie ze śmiertelnym przerażeniem w oczach.

- Heidi - odpowiada bezgłośnie.

Rzucam się gwałtownie między zawodników. Jeszcze parę kroków i jestem przy nich.

- Ktoś wezwał karetkę? Wezwaliście karetkę? Powiedzcie, że wezwaliście! - krzyczy histerycznie zalana łzami Priya.

- Już się tym zajęli - zapewnia ją Matt, po czym zwraca się do mnie: - Nie mieliśmy tu zasięgu. Jakaś kobieta poszła poszukać miejsca, z którego da się zadzwonić. Na pewno wezwie pomoc.

- A jeśli nie?! - krzyczy Priya. - Powinnam sama pójść.

- Idź teraz - mówi Matt. - Ja z nią zostanę.

Priya puszcza się biegiem w poszukiwaniu miejsca, z którego da się zadzwonić i wezwać karetkę. Spoglądam na Heidi. Siedzi na ziemi zapłakana, ze zmartwiałą twarzą.

- Heidi, co ci jest? - pytam.

Podnosi głowę. W jej splątanych włosach widzę zakrzepłą krew.

- To noga - pada zaskakująca odpowiedź.

- Noga? - powtarzam.

- Upiorne uczucie, Abby - łka. - Straciłam nad nią kontrolę. Zupełnie jakby ktoś kopnął mnie z tyłu w oba kolana i po prostu... upadłam. Rozbiłam sobie głowę o tamten słupek.

Schylam się i oglądam jej czoło. Rozdygotana, staram się za wszelką cenę nie okazać, że jestem zdenerwowana.

- Źle to wygląda - słyszę swoje mamrotanie.

- O głowę się nie martwię, Abby. Gdybyś wiedziała, jakie dziwne mam wrażenie. Bardzo dziwne.

- Jakie? Jest bezwładna?

- Trudno to opisać. Nie mam nad nią kontroli. Jakby była pusta w środku. Straszne.

Dziesięć następnych minut ciągnie się jak godzina. Ani śladu karetki. Heidi panikuje i wzywa mamę. W końcu przekonuję Matta, żeby sprawdził, czy Priyi udało się zadzwonić po pomoc i żeby zawiadomił matkę Heidi.

- Ale ty musisz skończyć bieg, Abby - rzuca Matt, wstając. - Zostało ci tylko czterysta metrów.

Kiedy odchodzi, otaczam Heidi ramieniem.

- Karetka niedługo przyjedzie. Na pewno.

Po kilku minutach zjawiają się sanitariusze, przepychają się przez tłum i docierają do Heidi. Zaczynają zadawać jej pytania. Kiedy kładą ją na noszach, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, w których czai się lęk.

Spoglądam na zmierzających do mety biegaczy. Potem odwracam się do Heidi. W tej sytuacji mogę zrobić tylko jedno.

Rozdział 88

W karetce jadącej na sygnale do szpitala ściskam dłoń Heidi.

- Jak się trzymasz? - pytam.

- Nieszczerólnie - szepcze. - Chciałabym wiedzieć, co się ze mną dzieje.

- Nie do wiary, że to przyszło tak nagle. Jak grom z jasnego nieba.

- Niezupełnie jak grom - przyznaje Heidi. - Od paru dni zataczałam się, wpadałam na meble jak kompletna niezdara. Udawałam, że to nie dzieje się naprawdę. A to jeden z typowych objawów stwardnienia rozsianego.

- To dlatego nie przyszedłeś do pracy? Kiwa głową i krzywi się.

- Boże, Abby, to dopiero początek. Jak będzie wyglądało moje życie? Ściskam mocniej jej drobną lodowatą rękę.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Natychmiast załuję nonszalanckiego tonu. Milknę i analizuję znaczenie tych słów. A potem wypowiadam je jeszcze raz. Powoli, z absolutną pewnością.

- Wszystko będzie dobrze.

Heidi wyczuwa zmianę w moim nastawieniu.

- Skąd wiesz, Abby? Nie jesteś lekarką.

Ma rację. Rozumiem powagę sytuacji. Wiem, że ma stwardnienie rozsiane, nieuleczalną, wyniszczającą organizm chorobę. Wiem, że nie ma pojęcia, jaka przyszłość ją czeka prócz niepewności. Wiem, że w tej chwili jedzie do szpitala, mając jeden z przerażających symptomów. I chociaż nie wiem, co powiedzą lekarze, jednego jestem pewna.

- Masz rację. Z medycznego punktu widzenia nie wiem, co cię czeka. Ale wiem, że to cię nie złamie.

Heidi słucha mnie z zapartym tchem.

- Nigdy nie byłaś potulna i bierna - ciągnę - i to się nie zmieni. Nadal będziesz tą samą błyskotliwą, pełną życia, zachwycającą i zdeterminowaną kobietą, jaką zawsze byłaś. A twoje życie będzie tak satysfakcjonujące, jak na to zasługujesz.

Wargi Heidi przestają drżeć.

- Skąd to wiem? To proste. Heidi Hughes nigdy się nie poddaje.

Po jej policzkach płyną łzy. Zamyka oczy, a kiedy po chwili je otwiera, jej twarz rozjaśnia uśmiech.

- Masz rację. Heidi Hughes nigdy się nie poddaje. Odwzajemniam uśmiech, chociaż sama mam oczy pełne łez.

- Przepraszam - mamroczę.

- Dlaczego płaczesz? To nie tobie nogi odmówiły posłuszeństwa. -Chichocze nieco histerycznie.

- Tu mnie masz. Nie wiem, co ci odpowiedzieć. - Kręcę głową.

- Zawsze wiedziałam, że znajdę sposób na zamknięcie ci ust - żartuje Heidi. Potem spogląda na mnie, tknięta nagłą myślą. - Nie ukończyłaś biegu.

Wzruszam ramionami.

- Nigdy nie wierzyłam, że dobiegnę do mety.

- Daj spokój, myślałaś tak pół roku temu. Dzisiaj zabrakło ci jednej minuty.

- Ludzie nie wycofają dotacji - zapewniam ją.

- Nie o to mi chodziło. Po prostu szkoda mi ciebie i twojego wysiłku.

- Są ważniejsze rzeczy niż jakiś durny wyścig, prawda?

Karetka podjeżdża pod szpital, nie dając Heidi szansy na odpowiedź. Przez następną godzinę uwijają się wokół niej lekarze i pielęgniarki, wykonując podstawowe badania, a potem wiozą ją do specjalisty. Wychodzę przed szpital, żeby zadzwonić.

Najpierw telefonuję do Jess. Wyjaśniam, dlaczego nie było mnie na mecie. Od niej dowiaduję się, że Adam pojawił się na trasie biegu po odsłuchaniu wiadomości od niej. Był przekonany, że bierze udział w pół-maratonie.

Ich rozmowa trwała krótko. Wymieniali urywane zdania, pilnując, by nie usłyszał ich Jamie. Na pożegnanie Adam powiedział:

- Jeśli się zgodzisz, przyjdę dziś wieczorem.

- Po rzeczy? - spytała.

- Nie. Tęsknię za tobą.

Będą mieli mnóstwo spraw do omówienia, to pewne. Dobrze chociaż, że rozmawiają. Modłę się, żeby doszli do jedyne go słusznego w ich przypadku wniosku.

Potem dzwonię do Priyi, by przekazać jej najnowsze informacje o stanie Heidi. Priya odchodzi od zmysłów. Siedzą z Mattem w taksówce. Są w drodze do szpitala. Słyszę, jak Matt próbuje ją uspokoić, ale na próżno.

- Priyo, nie martw się. Nie zostawię jej samej - zapewniam.

- Będziesz musiała, Abby. Za niecałą godzinę masz samolot do Paryża. O Boże! Paryż. Daniel. Zupełnie o nich zapomniałam.

- Daniel zabrał twoją walizkę na lotnisko. Masz tam jechać prosto ze szpitala. Zadzwoń do niego z drogi, jeśli dasz radę. Matt i ja będziemy na miejscu za niecałe piętnaście minut.

- Dobrze.

Już mam się rozłączyć, gdy Priya o czymś sobie przypomina.

- Abby, jeszcze jedno. Szukał cię ten facet z Caro and Company.

- Caro and Company?

- Tak. Nie Jim Broadhurst, ten drugi. Mówił, że chodził z tobą do Klubu Biegacza.

- Tom - mówię ze ściśniętym gardłem.

- O właśnie! Bardzo mu zależało na spotkaniu z tobą. Powiedziałam mu, gdzie jesteś, a on jakoś dziwnie zareagował. Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

W tej samej chwili zza rogu wyłania się wysoki mężczyzna i zdecydowanym krokiem zmierza w moją stronę. I zdejmuje kask. Serce we mnie zamiera.

- Nie, Priyo, nie zrobiłaś nic złego - odpowiadam. Gdybym tylko wiedziała, czy to prawda.

Rozdział 89

- Co ty tu robisz?

Chciałam nadać swojemu głosowi spokojny i obojętny ton, tymczasem kręci mi się w głowie niczym początkującemu skoczkowi spadochronowemu przed pierwszym skokiem w życiu. Nie jestem nawet pewna, czy uda mi się sklecić jakieś sensowne zdanie.

- Chciałem się z tobą zobaczyć. - Tom ma poważną minę. Odnoszę wrażenie, że boi się, co odpowiem.

- Dlaczego? - wyrzucam z siebie bez namysłu.

- Nie wiem. - Ściąga brwi, jakby sam nie umiał rozwikłać zagadki własnych motywacji. - Od dawna nie rozmawialiśmy... i kiedy dzisiaj cię zobaczyłem. .. nie chcę się powtarzać... nie jestem typem prześladowcy, ale...

Uśmiecham się. Widzieć opanowanego zwykle Toma w takim stanie to bardzo dziwne doświadczenie.

- Chcę, żebyśmy znów byli przyjaciółmi, Abby - mówi wreszcie. Przyglądam mu się tak intensywnie, że wstrzymuję oddech.

- To możliwe, prawda? - ciągnie. - Nawet jeśli nic do mnie nie czujesz. Nawet jeśli masz chłopaka.

- Przyjaźń? - pytam, ledwo poruszając drżącymi wargami.

- Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony- zapewniam.

- Nie muszę? - Mój głos podnosi się o oktawę.

- Nie mam zamiaru cię zdobywać. -Nie?

- Absolutnie nie - podkreśla stanowczo. - Chociaż kiedyś chciałem. Pod wpływem tych słów nieruchomieję.

- Co? - pytam oszołomiona.

- Teraz chcę odnowić naszą przyjaźń. Jeśli ty tego chcesz. - Milknij i uważnie mi się przygląda. - Dobrze się czujesz? - pyta zaniepokojony.

Patrzę mu w oczy. Ucisk w żołądku mija.

- Tom, nie wiem, od czego zacząć...

Przerywa nam odgłos szybkich kroków. To Matt i Priya biegną w naszą stronę.

- Gdzie Heidi? - pyta Priya.

- Z lekarzem w jednym z gabinetów przy recepcji - wyjaśniam. - Pielęgniarka powiedziała, że da nam znać, kiedy będziemy mogli do niej wejść.

- Dobrze, w porządku - mówi niecierpliwie Priya. Spogląda na zegarek. - Abby, musisz jechać!

-Co?

- Daniel czeka na lotnisku! Boże, Abby... taksówką nie zdążysz. Teraz Matt patrzy na zegarek.

- Priya ma rację. Szanse są marne.

Zerkam na telefon. Mam dwa nieodebrane połączenia od Daniela i wiadomość w poczcie głosowej. Musiał się nagrać, gdy rozmawiałam z Jess albo z Priya.

Patrzę na Toma. Jego słowa ciągle dźwięczą mi w uszach.

- Już za późno - stwierdzam, rozpaczliwie pragnąc dokończyć tę rozmowę. Pal licho konsekwencje. - Zadzwoń do Daniela i powiem, że nie dotrę na czas. Taksówka mnie nie dowiezie.

- Taksówka nie, ale ja tak. - Tom łapie mnie za rękę.

- Co ty kombinujesz? - pytam, usiłując za nim nadążyć, gdy sady wielkimi krokami w stronę parkingu.

Odwraca się i posyła mi szelmowski uśmiech.

- Za chwilę odbędziesz pierwszą w życiu przejażdżkę motocyklem.

Rozdział 90

Wewnętrzną stroną ud przywieram do pośladków Toma. Brzmi wspaniale, chociaż tylko dla tych, którzy w tej chwili polegają jedynie na własnej wyobraźni.

Dla mnie wspaniałe nie jest.

Siedząc na motocyklu śmigającym slalomem między autami, z piskiem opon wchodzącym w zakręty, mknącym przez skrzyżowania na żółtym świetle, czuję się jak na randce w ciemno z Hannibalem Lecterem.

Kiedy Tom wjeżdża na rondo, lekceważąc wszelkie ograniczenia prędkości, żałuję, że jego ulubionym pojazdem nie jest elektryczny wózek golfowy. Ale obejmując jego muskularny tors i przyciskając okrytą kaskiem głowę do jego pleców, daję się ponieść innym myślom.

Ta jazda jest straszna. I przerażająca. Źle, że dałam się na nią namówić. Chociaż muszę przyznać, że bywają też momenty elektryzujące. Zwłaszcza kiedy zamykam oczy i czuję mocne ciało Toma tuż przy swoim ciele, każde napięcie i rozluźnienie mięśni w trakcie szaleńczej jazdy.

I tak miotam się między skrajnościami.

Z jednej strony panicznie boję się wypadku. Boję się, że spadnę, że stanie się coś strasznego. Mimo zapewnień Toma nie mogę wyzbyć się tego strachu.

Z drugiej strony ogarnia mnie rozpaczliwe i nienasycone pragnienie, by ta bliskość trwała. Nie umiem wyobrazić sobie przyszłości bez Toma.

Potem mój umysł wędruje ku Danielowi - cudownemu, doskonałemu Danielowi, niewinnemu w tej skomplikowanej układance - który czeka na lotnisku i zabiera mnie na weekend do Paryża. Każda kobieta marzy, by mężczyzna tak ją traktował. Ja też.

Pomiędzy tym wszystkim są słowa Toma: „Nie mam zamiaru cię zdobywać. Chociaż kiedyś chciałem”.

Więc kiedyś mnie pragnął, ale teraz już nie? Czy to znaczy, że znów mógłby?

- Który terminal? - pyta, zerkając przez ramię.

- Pierwszy. - Przełykam ślinę. Muszę zebrać się w sobie.

Tom zatrzymuje się w miejscu dla wysiadających. Skoro stoimy, teoretycznie moje skołatanе nerwy powinny się uspokoić, ale tak się nie dzieje. Kiedy Tom zdejmuje kask i pomaga mi zsiąść, nogi trzęsą mi się jak galareta.

- Dziękuję - bąkam i podaję mu kask.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiada i milknie. Stoimy, patrząc na siebie. Po chwili odwracam głowę i dostrzegam

w hali terminalu Daniela. Przesłupuje z nogi na nogi przy naszym bagażu i spogląda na zegarek.

- Lepiej już idź - ponagla mnie Tom. Kiwam głową bez słowa.

Odwracam się na pięcie i ruszam w stronę wejścia. Wiem, że tak należy postąpić. Nie mogę wystawić do wiatru mężczyzny, który czeka na mnie i zabiera mnie do Paryża. Nie mogłabym spojrzeć w lustro.

Dochodzę do obrotowych drzwi, rozpaczliwym wysiłkiem tłumiąc łzy. I wtedy czuję na ramieniu czyjąś dłoń.

- Abby, chodź ze mną - mówi Tom kategorycznie i odciąga mnie na stronę, by nie było nas widać przez szybę terminalu. - Muszę ci coś powiedzieć. Muszę zrzucić ten ciężar z serca. Tak nie może być.

- Jak nie może być? - pytam ze ściśniętym gardłem. Tom oddycha głęboko.

- Od miesięcy udawałem, że tego nie ma, że to się nie dzieje. Dłużej nie mogę. I chociaż podtrzymuję to, co wcześniej powiedziałem, że nie zrobię niczego niegodnego, nie mogę patrzeć, jak odlatujesz z innym mężczyzną, nie powiedziawszy ci, co czuję.

Nagle brak mi tchu.

- A co czujesz?

Patrzy w bok i się śmieje.

- Kiedy ostatnio próbowałem ci to powiedzieć, wszystko poszło nie tak. Tym razem powiem jasno i wprost.

-Tak?

Zaciska szczęki, jakby jeszcze ze sobą walczył, a potem z płonącymi oczami łapie mnie za rękę.

- Kocham cię.

- C-co? - Z wrażenia się jąkam.

- Kocham cię, Abby. - Tom uśmiecha się szeroko. Po jego minie widać, że kamień spadł mu z serca. - Wierzyć mi się nie chce, że aż tak bardzo.

- Naprawdę? Kiwa głową.

- Słuchaj, twój chłopak na ciebie czeka. A ja... nie wiem, co odpowiesz, ale wiem jedno: znając swoje uczucia, nie chcę spędzić ani minuty dłużej bez ciebie.

Stoję w obliczu wyboru. Tom albo Daniel.

Decyzja zapada błyskawicznie. Innej podjąć nie mogę.

- Przykro mi, Tom, ale będziesz musiał.

Rozdział 91

Tom robi wielkie oczy.

- Daj mi minutę - dodaję pośpiesznie. - Tylko minutę. Czekał tu. Nigdzie się nie ruszaj. Nie żartuję.

- Będę tu stał - zapewnia.

Pędzę do terminalu. Daniel od razu domyśla się, że coś jest nie tak.

- Abby, zdążyłaś. - Uśmiecha się niepewnie.

- Udało się - mówię.

- Nie stanąłem w kolejce do odprawy bagażu. Wszyscy już się odprawili, idziemy prosto do stanowiska.

- Uhm - spuszcza wzrok. - Danielu, chodzi o to, że...

- Nic nie mów - przerywa mi łagodnie. - Co?

- Nic nie musisz mówić, Abby - szepcze. - Nie jedziesz, prawda?

Zamykam oczy.

- Bardzo mi przykro. Daniel wzdycha.

- Jest ktoś inny. - To nie pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Z nikim się nie spotykałam, odkąd jesteśmy razem - zapewniam go. -

Ale tak, jest ktoś.

- Tom?

- Skąd wiesz?

- Mówiłaś przez sen - wyjaśnia, uśmiechając się blado. - Wtedy, kiedy zasnęłaś na mojej kanapie...

Otwieram usta, by coś powiedzieć, gdy z głośników płynie ostatnie wezwanie do odprawy pasażerów lecących do Paryża.

- Pójdę już. Moje spotkanie w Paryżu nadal jest aktualne. A ty nie zapomnij o walizce - mówi Daniel.

- Dziękuję ci. - Całuję go w policzek. - Miłej podróży. I uważaj na siebie.

Daniel podchodzi do stanowiska odprawy, a ja pędzę do wyjścia, ciągnąc za sobą walizkę. Nagle ogarnia mnie przerażająca myśl, że nie zobaczę Toma przed terminalem.

Na szczęście to tylko mój niespokojny umysł.

Tom stoi przy motocyklu. Gdy mnie widzi, rusza w moją stronę. Wygląda bosko jak rok temu, gdy zobaczyłam go pierwszy raz. A właściwie milion razy lepiej, ponieważ tym razem jest przytomny.

Puszczam rączkę walizki, wspinam się na palce i zarzucam mu rękę na szyję. Patrzy mi w oczy. Czuję ciepło jego oddechu, jeszcze zanim zbliży wargi do moich ust.

Nasz pocałunek - pierwszy, odkąd robiłam mu na parkingu sztuczne oddychanie metodą usta-usta - jest najbardziej ekscytującym doświadczeniem w całym moim życiu. Trwa wieczność i kończy się za szybko.

Potem przysuwam wargi do ucha Toma i szepczę:

- Ja też cię kocham. Ale czy możemy wrócić do domu taksówką?

Epilog

Nie winiłabym Daniela, gdyby więcej nie chciał ze mną rozmawiać. Ale to nie w jego stylu. W swojej szlachetności zapomniał o urazie i miesiąc później zadzwonił do River Web Design z informacją, że jeden z jego klientów szuka firmy projektującej strony internetowe.

Akurat wtedy nie było mnie w biurze i telefon odebrała Heidi. Od tego czasu Matt kwituje to słowami: „O ile mi wiadomo, nie skończyło się na odebraniu telefonu”.

Spostrzeżenie jest tyleż złośliwe, co mylące. Związek Heidi i Daniela nie jest przelotnym romanssem. Zachowują się jak gruchające gołąbki na diecie złożonej z samych afrodyzjaków. Miło na nich patrzeć. Co do choroby Heidi, symptomy ustąpiły nieoczekiwanie tydzień później. Teraz Heidi jest w okresie remisji, bierze różne leki i znów czuje się normalnie, choć dobrze wie, co oznaczają poważniejsze i trwające dłużej nawroty. Mimo tej świadomości emanuje z niej determinacja, by nie dać się chorobie. Powtarza mi, jaką inspiracją są dla niej członkowie grupy wsparcia chorych na stwardnienie rozsiane. Chyba nie do końca zdaje sobie sprawę, jak bardzo sama inspiruje nas swoją postawą.

Priya i Matt chodzą na randki już cztery miesiące. Według Priyi to nie tylko rekord, ale wręcz cud. Odkąd są razem, nie umiem sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Matt jest idealny dla Priyi, tak jak jej odbłaskowe włosy. W tym przekonaniu utwierdziła mnie ostatnia przerwa w dostawie prądu w ubiegłym tygodniu.

Geraldine nawiązała romans z przystojnym ortodontą, który nie trenuje w Klubie Biegacza, gardzi ćwiczeniami fizycznymi i nieprzytomnie

ją uwielbia. Wprawdzie to dopiero początek, co Geraldine stale powtarza, parę tygodni temu przyłapałam ją na przeglądaniu broszury *Mama i Tata*.

Adam wrócił do domu w dniu półmaratonu. Jess do końca życia będzie się zadręczała tym, co zrobiła. I nigdy więcej nie trzeba będzie jej przypominać, jakie ma w życiu szczęście. Pewnie dlatego codziennie rano powtarza swojemu mężowi dwa magiczne słowa, które nic nie kosztują, a znaczą wszystko. Upewniają Adama w przekonaniu, że naprawdę odzyskał żonę.

Mama dała Egorowi pracę. Bardzo mnie to ubodło, ponieważ był najlepszym księgowym, z jakim miałam do czynienia. No dobrze, jedynym księgowym, z którym pracowałam, ale nie o to chodzi. Egor był mój. Nie mogę być jednak rozgoryczona, ponieważ u mamy zarabia więcej niż u mnie. Nosi teraz najbardziej eleganckie buty, jakie w życiu widziałam, poza katalogiem butów projektu Christiana Louboutina.

Mój rodzice randkują. Słyszając to, na pewno by zaprzeczyli, ale ja wiem swoje.

Sytuacja przedstawia się następująco: co dwa tygodnie chodzą na kolację. Na dodatek bez przerwy o sobie mówią. Wszystkim naokoło prócz mnie. Pewnie boją się rozbudzać we mnie nadzieję. Jess widziała nawet, jak się całowali! W sobotę późnym wieczorem siedzieli w barze w śródmieściu. Jess wstąpiła tam z Adamem na drinka po wyjściu z teatru i się na nich natknęła. Obściskiwali się, jakby byli sami.

Mam jeszcze jedną radosną nowinę: w przyszłym miesiącu mama leci w podróż służbową do Sydney i już umówiła się na lunch z ciocią Steph. Oczywiście umniejsza znaczenie tego wydarzenia, ale dla mnie ma ono wielką wagę. Jest wspaniałą ilustracją siły charakteru mojej mamy. Nawet jeśli czasem działa mi na nerwy. Odkąd została konsultantką w zarządzie River Web Design, mam do czynienia z obiema stronami jej natury.

Wreszcie zrozumiałam, że korzystanie z niewielkiej pomocy właściwych ludzi nie jest powodem do wstydu, chociaż jako szefowa czasem muszę ją hamować. Przyznaję, że nieźle się bawiłam przez ostatnie tygodnie. Odrzucenie jej sugestii w sprawie koloru żaluzji do biura dało mi więcej satysfakcji, niż oczekiwałam.

Firma wspaniale się rozwija. Spłaciłam debet. Jesteśmy na najlepszej drodze do podbicia całego świata. Trochę przesadziłam, ale River Web Design rzeczywiście idzie jak burza. Przybywa nam klientów. Zatrudniłam nowego pracownika.

Bardzo mnie to cieszy, bo mimo wcześniejszych planów nie zrezygnowałam z treningów. Zgodnie z przewidywaniami żaden z darczyńców nie wycofał dotacji, chociaż oficjalnie nie ukończyłam półmaratonu. Traktując to jako sprawę do dokończenia, miesiąc później wystartowałam w półmaratonie w Yorkshire Dales i szczęśliwie dobiegłam do mety.

Po biegu byłam ledwo żywa. Zaklinałam się, że nigdy więcej, zwłaszcza że nie mam zamiaru powiększać grona fanatyków biegania. Uchowaj Boże. Mimo wszystko nie będę się zarzekała. W czerwcu odbędzie się bieg na dziesięć kilometrów. We wrześniu Wielki Bieg Północny. Jess trenuje do przyszłorocznego maratonu nowojorskiego. Absurdalny pomysł. Chociaż, z drugiej strony, zawsze chciałam zobaczyć na własne oczy Statuę Wolności...

Moje plany podróży na najbliższą przyszłość są już sprecyzowane. Nie tylko mama wybiera się niedługo do Australii.

Po miesiącach docinania Tomowi, że bezdusznie pozbawił mnie australijskiego funduszu tylko po to, by naprawić motocykl - którego, nawiasem mówiąc, nadal nie znoszę - doczekałam się nagrody.

Mój ukochany, z którym jestem od czterech miesięcy, zjawił się w domu w środowy wieczór i wręczył mi kopertę. Wyjęłam z niej dwa bilety do Sydney.

To tylko jeden z powodów, dla których kocham go bardziej, niż to sobie kiedyś wyobrażałam. Postanowiłam jednak, że tym razem dopilnuję, by nasza droga na lotnisko przebiegła o wiele spokojniej niż ostatnio.

Podziękowania

Żadne słowa nie są w stanie wyrazić mojej wdzięczności dla wspaniałych ludzi, którzy mają swój udział w powstaniu i sukcesie moich książek.

Dziękuję mojemu agentowi Darleyowi Andersonowi za jego mądrość i bezcenne wsparcie, które okazuje mi od chwili naszego pierwszego spotkania. Słowa podziękowania należą się też członkom jego zespołu, a szczególnie Maddie Buston i Kasi Thompson.

Praca z moimi przyjaciółmi w Simon & Schuster była jak zwykle wielką przyjemnością. Chciałabym bardzo podziękować Suzanne Baboneau i Libby Yevtushenko za ich entuzjizm i troskliwą opiekę nad każdą z moich książek.

Pracując nad *Wyscigiem po miłość*, potrzebowałam pewnych wskazówek, by wiarygodnie opisać kwestie związane z pracą mojej bohaterki Abby. Udzielił mi ich Phil Wolstenholme (vel Papa), za co bardzo mu dziękuję. Dziękuję też Richardowi Price'owi za informacje o stwardnieniu rozsianym.

Gdy pisałam tę książkę, w moim życiu zdarzyły się rzeczy, które przypomniały mi wagę powszechnie znanych prawd. Najważniejszą z nich okazała się ta o bezcennej wartości rodziny i przyjaciół.

Dziękuję rodzicom, którzy okazali mi więcej miłości i wsparcia, niż oczekiwałam. Dziękuję swoim synom, Otisowi i Lucasowi, którzy z każdym dniem stają się coraz wspanialsii.

Miałam szczęście, że przez ostatni rok otaczały mnie przyjaciółki, bezinteresownie ofiarowując mi lojalność, cierpliwość, siłę i dobry nastrój. Szczerze mówiąc, nie wiem, co bym bez nich zrobiła.

Dlatego chcę z całego serca podziękować Alison Bellamy, Emmie Blackman, Debbie Johnson, Ninie Owens, Rachaeli Tinniswood, Rachaeli Hampton-Smith, Cathy O'Grady, Madeleine Little, członkiniom Piątkowego Klubu Książki i wielu innym, z którymi rozmawiałam i śmiałam się, popijając wino. Jesteście fantastyczne. Nigdy tego nie zapomnę.